



Stella Cameron
Zapach
czekolady

Tłumaczyła
Klaryssa Słowiczanka



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Covent Garden
Londyn 1815 rok

Uda się... nie uda... Tego jeszcze nie wiedział.

To, jak dalej ma działać, co czynić, zależało od przebiegu rozmowy w zdziczałym parku w jednej z bardziej podejrzanych dzielnic Londynu.

Zaraz się przekona.

Skręcił z ulicy w parkową bramę i szedł teraz żwirową alejką. Dziewczynę dojrzał z daleka; stała tuż obok żywopłotu, oświetlona łyskającymi zza chmur promieniami księżyca, beztrąsko wystawiając się na widok ciekawych oczu. Gdyby gdzieś w pobliżu znalazł się wścibski obserwator, z łatwością by ją dojrzał, ale ona zdawała się całkowicie nieświadoma niebezpieczeństwa.

- Nie stójże tak - syknął, szybko podchodząc do niej. - Siadaj. Tutaj, na tej ławce, koło krzewów.

- Ja... nie trzeba. Mogę postać... panie... Przepraszam... Chciałam powiedzieć: ojciec.

- Ciszej, proszę. Mów ciszej - napomniał ją. - Nazywają mnie bratem Justem i tak masz się do mnie zwracać. Nalegam, żebyś usiadła. Nikt nas nie powinien tu widzieć. Trzeba zachować daleko posuniętą ostrożność.

Chwycił ją za ramię i pociągnął ku ławce. Naprawdę nazywał się Dominik Elliot. Lord Dominik Elliot, ale dzisiaj z pewnych powodów wolał występować incognito. Niech dziewczyna trwa w przekonaniu, że ma do czynienia z braciszkiem zakonnym. Tak będzie zdecydowanie lepiej dla niej i bezpieczniej dla niego z całą pewnością.

Zaimponowała mu odwaga tej ósóbki. Jeszcze przed chwilą, gdy wchodził do parku, wątpił, czy stawi się na spotkanie, czy zdecyduje się widzieć z zupełnie obcym jej człowiekiem wieczorową porą w ustronnym miejscu. Z tego, co mógł dojrzeć w mroku, była młodziutka, niebrzydka i skromnie ubrana.

Jane Weller, panna niesłusznie odprawiona ze służby, skromnie przysiadła na brzegu kamiennej ławki, osłoniętej krzewami wawrzynu.

- Zaraz muszę wracać, skąd przysłam - odezwała się, lekko jeszcze zadyszana, kiedy Dominik zajął obok niej miejsce, zbierając fałdy brązowego habitu. - Nie mam zbyt dużo czasu. - Otuliła się szczelniej paltotem i pochyliła głowę, skrywając twarz pod rondkiem kapelusika, jakby mrok nie krył jej w wystarczający sposób.

Dotknęła ostrożnie palcem brody, drgnęła i syknęła cicho.

- Boli cię? - zaniepokoił się brat Just.

Panna Weller szepnęła w odpowiedzi coś, czego nie zdołał usłyszeć.

Gdzieś opodal rozległ się pijacki śmiech, a potem w wieczornym powietrzu poniosły się podniesione głosy. Panna Weller zasłoniła usta dłońmi, tłumiąc okrzyk przestachu, i rzuciła swojemu towarzyszowi spłoszone spojrzenie. Jednak nie była taka dzielna, jaką chciała mu się pokazać, pomyślał.

- Nic to - uspokoił ją. - Nikt nie zrobi ci krzywdy. Nie musisz się niczego lękać. Przy mnie jesteś całkowicie bezpieczna, możesz mi wierzyć.

W drodze z kościoła Najświętszej Maryi Panny przy Pearl Lane miał dość czasu, by obmyślić najskuteczniejszy, być może jedyny, sposób rozwiązania tajemnicy. Musiał bezwarunkowo coś przedsięwziąć, natychmiast przejść do działania, zanim będzie za późno.

- Odprowadzę cię do domu. Ze mną jesteś bezpieczna - powtórzył, chcąc dodać dziewczynie otuchy. - A teraz opowiedz mi o sobie.

W zasadzie znał jej historię. Z najważniejszymi faktami zapoznał się w klubie, przy szklaneczce, podczas pogawędki z synem byłych chlebobodców panny Weller. Resztę, ze szczegółami, sumiennie zrelacjonował Dominikowi jego brat, Nathan.

- To wszystko nieprawda, co moja pani o mnie mówi. - Głos dziewczyny drżał, ale nie płakała. Dzielne dziecko. - Ja wcale nie byłam u swojego kawalera tamtej nocy, kiedy dostałam wychodne,

znaczy się w ostatni czwartek. W ogóle nie mam kawalera. Uprawdzili mnie. Ktoś mnie uprawdził. I wiem dlaczego.

Wiesz dlaczego? Bardzo ciekawe, pomyślał Dominik. Zaraz się dowiemy, co masz do powiedzenia, a czego zaledwie się domyślasz.

- A czemu ktoś miał cię uprawdzić? - On oczywiście znał powody, ale zaskoczyło go trochę, że panna Weller odgadywała, dlaczego porwano ją w Hyde Parku, opodal domu, gdzie pracowała jako służąca.

- Ten pan myślał, że ja to panna Victoria. Wziął mnie za panienkę. Pomylił się. W sam raz miałam na sobie jej pelerynę. Dała mi ją - wyjaśniła pośpiesznie. - To ją chciał porwać. Sam przyznał. Powiedział mi to wprost. Okropnie się zezłościł, kiedy poniewczasie odkrył, że jego zachody zdały się na nic i że to mnie ma, zamiast niej, jak sobie wcześniej umyślił.

Ojciec panny Victorii Crewe-Burns był człowiekiem bardzo zamożnym: jego pończochy patentowe Crewe-Burns znali wszyscy, ale kupowało je wyłącznie pospólstwo, to jest ci, którym marna pozycja w hierarchii społecznej czy brak grosza w saskiewce, albo jedno i drugie, jako że obie te rzeczy zwykle idą w parze, uniemożliwiały noszenie pończoch jedwabnych. Przez pewien czas łączono nawet imię panny Victorii z imieniem Nathana, brata Dominika.

- Pewna jesteś tego, co mi tu mówisz, panno Weller? Chciał pojmać Victorię, nie ciebie?

- Och, tak. Jestem najzupełniej pewna, proszę

brata. Ten człowiek sam mi to powiedział, kiedy już przywiózł mnie do swojego domu. - Dziewczyna wystawiała się całkiem gładko jak na sługę, co Dominik zapisał sobie skrzętnie w pamięci. - Pomogę panu go odnaleźć. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Chcę przyczynić się do schwytania tego niegodziwca, bo gotów kiedy jeszcze kogo skrzywdzić. On jest niebezpieczny, ja to wiem. Ale teraz to tylko się boję, żeby kto nie zobaczył, że mnie jakiś obcy odprowadza na stację, choćby i w zakonnym habicie. Jeszcze rozejdzie się złe słowo i znowu trafię na bruk, a drugiego takiego taniego miejsca to chyba nie znajdę.

- Widziałaś dobrze twarz tego człowieka? - zapytał Dominik, chociaż nie miał nadziei, że panna poda mu dokładny opis.

- Tak i nie.

Tak i nie? Cóż to może znaczyć? Doprawdy, zagadkowa odpowiedź...

Czekał niecierpliwie na dalszy ciąg relacji, na bardziej dokładne wyjaśnienia.

- Pomalowana twarz, tylem widziała. Miał pomalowaną twarz, ot co. Wystraszyłam się okropnie, jak go tak zobaczyłam. Białe mazidło na twarzy, zupełnie jak kiedyś panie nakładały. Usta też pomalowane, na czerwono. A brwi wymalowane czarnymi krechami na czole, wysoko. Na włosach biała peruka. Biały puder na rzęsach. Oczy wydawały się różowe. Wstrętne.

Następne pytanie Dominik zadał niejako dla porządku, gdyż odpowiedź znał z góry i nie czynił już sobie żadnych nadziei.

- Rozpoznałabyś go?

Nie wyśmiała go i nie zaprzeczyła bez wahania, że nie, że to niemożliwe.

- Nie wiem. Nie umiem powiedzieć. Było w nim coś... niedobrego. To zły człowiek. Okrutnik. Czuję to. Pchnął mnie tak, że upadłam, potem kopnął. Krzyczał, że tylko czas przeze mnie stracił.

- Przykro mi. - Dominik nie wiedział, czy bardziej jest wściekły, czy zawiedziony. - Czy mogłaś go spotkać kiedyś wcześniej? Zauważyłaś w nim coś znajomego? Głos? Kształt nosa? Jakiś szczegół?

- Och, nie. - Pokręciła zdecydowanie głową. - Nigdy go nie widziałam, tego to jestem zupełnie pewna. Ale to coś, co czułam... Mówiłam już... To nie był tylko strach. Coś jeszcze, sama nie wiem co. Nie poznałabym, chyba żeby był tak samo umalowany... Nie, może bym poznała. - Jane wahała się, zmieniała zdanie. - Powiedział, że jest mistrzem zmylenia. Niby, że potrafi się przebierać, tak myślę. - Spojrzała niepewnie na Dominika. - Przepraszam, że więcej nie mogę pomóc, chociaż tak bardzo chcę - zapewniła.

- Już bardzo pomogłaś. - Nie mógł jej spłoszyć, była mu potrzebna, powinien spotkać się z nią jeszcze, i to wkrótce. Myśl, że panna mogłaby zniknąć, że by jej nie znalazł, przyprawiała go o panikę. - Pewnie nie masz pieniędzy? - zapytał ostrożnie; urazić jej też przecież nie chciał.

Jane Weller odwróciła wzrok.

- Potrafię zadbać o siebie. Niejedno już przeszłam. Dam sobie radę.

- Jak długo wytrzymasz bez pracy oraz bez środków do życia?

Panna Weller podniosła kołnierz skromnego paltota i ukryła w nim brodę.

- Długo - odparła stanowczym tonem. - Mnie bieda nie strasza.

- Jednak chciałbym ci dać trochę pieniędzy... Byłbym spokojniejszy...

- Dziękuję, nie przyjmę. - Podniosła się gwałtownie. - Tylko patrzeć, jak gdzieś znowu się najmę. Pochodzę, poszukam, będę rozpytywać. Znajdę robotę, na pewno. Nie mam wyjścia.

- Jeśli masz pieniądze, bo rozumiem, że masz jakieś oszczędności, skoro tak zdecydowanie odmawiasz przyjęcia ode mnie pomocy, to dlaczego tak bardzo zależy ci na znalezieniu nowego chlebodawcy?

- Bo... zależy, i już. Dość na tym. Nie będę się opowiadać. Przepraszam, ale na mnie już pora. Muszę wracać na stancję.

- Naturalnie. - Dominik wstał i, zapominając, kim jest tego wieczoru, podał pannie Weller ramię, ale ona zignorowała uprzejmy gest bardziej stosowny dla dżentelmena niż braciszka zakonnego. Cóż, niełatwo występować incognito, człowiek zapomni się na chwilę i już może zdemaskować. Na szczęście panna Weller nie zwróciła uwagi na tę pomyłkę. - Odprowadzę cię, ale mam prośbę: zrób coś dla mnie jutro rano - powiedział Dominik, kierując się ku wyjściu z parku.

- Jutro rano nie dam rady. Nie mam czasu. - Panna Weller zawahała się, odchrząknęła. - Gos-

podyni, co u niej teraz mieszkam, powiedziała, że mniej zapłacę za stancję, jak jej posprzątam. To się zgodziłam.

- Może więc w takim razie po południu? - zagadnął. - Będziesz wolna.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Dominik stanął, nie wiedząc, w którą iść stronę.

- Dobrze - zgodziła się panna Weller. - Jeśli tylko będę mogła.

- Pamiętaj, panno Weller, że masz we mnie przyjaciela. Możesz mi ufać. Zaopiekuję się tobą. Chcę twój dobro.

- Ja nie potrzebuję...

- Nie potrzebujesz wsparcia? Ma się rozumieć, że nie potrzebujesz - przytaknął dla świętego spokoju. - Tak czy owak, pójdź jutro, proszę cię, na Heatherly Grove, dobrze? Zapytasz o markizę Granville. To moja serdeczna, wypróbowana przyjaciółka. Powiedz kamerdynerowi, że chcesz się najać na służbę i że pani cię oczekuje. Upprzedzę ją, że przychodzisz z mojego polecenia.

- Ale... - Jane Weller zatrzymała się. - Crewe-Burnsowie powiedzieli, że nie dadzą mi listu polecającego, że nie mam co liczyć na referencje, a jak kto będzie o mnie pytał, to usłyszy, dlaczego straciłam u nich pracę. Że niby poszłam na noc do swojego kawalera i że jestem kłamczucha, której w ani jedno słowo nie można wierzyć. Tak się na mnie zawzięli.

- Nieważne, co mówią Crewe-Burnsowie. Nie przejmuj się nimi. Ja cię zarekomenduję markizie i moja poręka w zupełności wystarczy.

- Kiedy ja nawet nie wiem, gdzie jest to jakieś Heatherly.

- Trafisz tam bez trudu. To blisko Regent's Park, dokładnie mówiąc, trochę za parkiem, na północ. Jak zapytasz, każdy ci wskaże, gdzie znajduje się siedziba markizy. Obiecujesz, że tam pójdziesz?

- Nie mówię, że nie, ale muszę jeszcze pomyśleć.

Lord Dominik Elliot ukrył habit w kościele Najświętszej Maryi Panny i ruszył szybkim krokiem przez pustą ulicę do koni, czekających opodal. Miał nadzieję, że wkrótce nie będzie musiał występować w roli brata Justa, acz jego przyjaciel, ojciec Cadwin, tak ułożył rzecz z proboszczem od Najświętszej Maryi Panny, by Dominik w razie potrzeby mógł swobodnie korzystać z pomieszczeń w kościele.

- Długo kazałeś mi na siebie czekać. Coś ty, godzinki odmawiał? - powitał brata niewyszukanym dowcipem Nathan, podając mu wodze. Nathan taki już był: skory do facecji, z usposobienia więcej sowizdrzał niż dżentelmen. - Do diabła, siadajże na koń! Szybko! Jeszcze ktoś nas zobaczy.

Dominik przezornie powstrzymał się od odpowiedzi, wskoczył na siodło i ruszyli przed siebie wąskimi, słabo oświetlonymi uliczkami Covent Garden. Po kilku minutach jazdy zatrzymali się na niewielkim placu, nasłuchując uważnie. Jednak nikt za nimi nie jechał. Odetchnęli z ulgą i skierowali konie w stronę Regent's Park.

- Czemuś tak długo zwłóczył, panie bracie? - zagadnął lekko zirytowany Nathan.

- Dziewczyna odważna, ale mocno nerwowa, niespokojna po przejściach - odpowiedział Dominik. - Najpierw musiałem ją o wszystko dokładnie wypytać, potem odprowadziłem na stację, gdzie teraz mieszka. I dobrze, że okazałem cierpliwość, bo powtórzyła mi dokładnie nie tylko, co jej ten łądak powiedział, ale jak wyglądał. Uszminkowany był, jeśli chcesz wiedzieć. Biała twarz, biała peruka, niczym fircyk albo klaun. Trudno za nim trafić. Pewnie do kompletu jedwabna koszula, kaftan z atłasu przesywany złotą nicią, koronkowe żaboty, te rzeczy. Już sobie wyobrażam, błazen i galant w jednym.

- A tyś myślał, bracie Juście, że już nikt inny poza tobą nie może paradować w przebraniu? - Nathan się zaśmiał.

Dominika nie wiedzieć czemu nie rozbawiły facecje brata.

- A Bertie Crewe-Burns łągał w żywe oczy, kiedy w klubie opowiadał przy tobie o dziewczynie. Dobrześmy się domyślali. I wcale nie miał w czubie. Udawał tylko pijanego, teraz już wiem na pewno. Panna nie ma adoratora, przynajmniej tak twierdzi, ale ja jej wierzę. Wyrzucili ją ze służby, bo przestraszyli się, co będzie, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

- Dziewczyna mówiła, że tamtemu wymalowanemu szubrawcowi szło o Victorię, nie o nią? - zapytał Nathan z napięciem w głosie.

Dominik opowiedział mu o pelerynie, po czym powtórzył, co mu relacjonowała Jane, kiedy ją odprowadzał na stację.

- Zawiózł ją do jakiejś willi, nie willi, gdzie pełno było pozytywek. Z zewnątrz domu nie widziała. Tyle pamięta, tyle widziała. Nastawiał ponoć te pozytywki jedną po drugiej i wirował w takt muzyki jak człowiek chory na umyśle.

- Kto wie? Może rzeczywiście jest obłąkany. Paskudna sprawa - mruknął Nathan.

- A ja myślę, że udawał. Dziewczyna mówi, że nagle przestał cudować, jakby ochłonał. Przyjrzał się jej uważnie i wtedy wpadł w złość. Wykrzykiwał, że mu niepotrzebna, że dla niego mogłaby i umrzeć, ale on jej nie zabije, szkoda jego fatygi, bo ona jest nikim, nic mu z jej strony nie grozi. Nie będzie jej krwią brukał podłóg w swoim ukochanym domu.

- Łotr, skończony szubrawiec - wybuchnął Nathan, kręcąc głową. - Dziewczyna się domyśla, gdzie znajduje się ten jego dom? Mówiła coś?

- Nie. Crewe-Burnsowie mieszkają przy Park Lane. Porwał ją koło wejścia do Hyde Parku, dosłownie dwa kroki od domu. Powiada, że jechali mniej więcej pół godziny, może trochę krócej, może trochę dłużej. Nie jest pewna, ale wydaje się jej, że kierowali się na południe, właściwie na południowy wschód, w stronę Green Park. I dalej już na wschód. Jeśli nie konfabuluje, to znaczy, że może się pochwalić naprawdę doskonałą orientacją w przestrzeni i dobrze zna Londyn.

- Myślisz, Dominiku, że jest coś, o czym mogła zapomnieć? Jakiś detal, który przeoczyła, mimo najlepszych chęci?

- Jeśli coś przeoczyła, o czymś zapomniała, to będziemy mieli jeszcze wiele okazji usłyszeć szcze-

goły, pod warunkiem, że uczyni, co mi obiecała. Otóż jutro ma przyjść do nas, do Heatherly. Matka przyjmie ją na służbę. Jane nie wie, że jestem synem markizy.

Nathan cmoknął cicho.

- Jak ci się udało uzyskać tak wiele w tak krótkim czasie? - Pełen podziwu, zapomniał najwyraźniej, że jeszcze przed chwilą czas dłużył mu się niemiłosiernie. - Nie wspomniawszy przy tym bratu, który cię wiernie wspiera, co zamierzasz. Aż do dzisiejszego wieczoru nie miałem pojęcia, jakie masz plany, a przecież to ja, nie kto inny, opowiedziałem ci z detalami historię o wprowadzeniu panny, zapomniałeś?

- Nie prosiłem, żebyś ze mną jechał - zauważył Dominik. - Sam zaofiarowałeś udział, wierciłeś mi dziurę w brzuchu, bym cię ze sobą zabrał. Że matka się ucieszy, widząc, iż masz zajęcie i do szklanicy nie zaglądasz, to twoje słowa, które ci na wszelki wypadek przytaczam.

- A czy ja ci czynię wyrzuty? Utyskuję? Mam za złe?

Dominik nie musiał długo zastanawiać się nad odpowiedzią.

- A jakże. U ciebie narzekanie to zwyczajna rzecz, ale dość o tym. Powinniśmy się cieszyć, że ten lokajczyk od Crewe-Burnsów połakomił się na grosz i wypaplał, dokąd Jane Weller poszła, kiedy ją wyrzucili ze służby, inaczej nigdy bym jej nie znalazł, kamień w wodę, a tak bez trudu odszukaliśmy dziewczynę.

- Tak, tak. - Nathan westchnął żałościwie. - Za

długo żyłem w celibacie, od tego umysł mi się teraz miesza. Oto cała przyczyna, więc nie miej do mnie pretensji, jak czasami powiem coś od rzeczy.

- Tak? To niezwykle interesująca koncepcja. A od dawna zachowujesz wstrzemięźliwość? - zainteresował się Dominik.

- Aaa... - Nathan zamknął oczy i zaczął w myśli obliczać. - Przynajmniej od dwóch dni - odparł.

Dominik pokręcił głową. Oto cały Nathan: wygadujący androny świszczypała.

- Długo - przyznał ze współczuciem. - Nic dziwnego, że padło ci na mózg. Jest coś jeszcze, Nathanie. Z tego, czego zdołałeś się dyskretnie wywiedzieć, wynika jasno, że nasz klaun albo fircyk, jak go tam zwać, *zdażył* już porwać kilka dobrze urodzonych panien, po czym je dość szybko uwalniał, zapewne po zainkasowaniu odpowiedniego okupu. Do takiej oceny sytuacji skłania mnie twoja relacja.

- Owszem, dobrze wnosisz. Sęk w tym, że rodziny ani pary z ust nie puszcza, bo ten szubrawiec trzyma wszystkich w szachu, grożąc, że zrujnuje reputację owych młodych dam. - Nathan skrzywił się z niesmakiem. - Bertie wspomniał o Gussy Arbuthnot. To musiał być przypadek, moim zdaniem, ale wymienił też kilka innych nazwisk, a w końcu przypomniał sobie historię służącej, tej Jane Weller.

- Bertie obawia się o Victorię i szuka pomocy, choć wprost za nic tego nie powie.

- Ja też tak myślę - przytaknął Nathan. - Bertie boi się o bezpieczeństwo siostry.

Dominik spojrział uważnie na brata.

- Między wami coś się święci, dobrze zgaduję?
Z tobą nigdy nic nie wiadomo.

- Prawdę mówiąc, przez chwilę wydawało mi się, że na coś się zanosi, ale Vicky to jeszcze zupełne dziecko. Nie dla mnie taka dziewczeczka.

Dominik uznał, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Co Bertie mówił o Gussy?

- Tyle tylko, że „przepadła na dzień czy dwa”. Dokładnie tak się wyraził: „przepadła”. Rodzina desperowała, co ludzie sobie pomyślą, jak się wieść rozejdzie. Kiedy zacząłem go wypytywać co i jak, powiedział, że wróciła cała i zdrowa, a potem zaczął kręcić: że jest pijany, że gada trzy po trzy i że w ogóle nic nie było, Gussy nigdzie nie „przepadła”. Jednak jestem pewien, że za pierwszym razem powiedział prawdę i potem chciał się wycofać.

Dominik był podobnego zdania.

- Może przesadzamy - odezwał się Nathan, zdjęty raptem wątpliwościami. - Robimy wiele hałasu o nic i ten wymalowany gagatek to jakiś stuknięty, ale niegroźny dowcipniś.

- Nie sądzę. - Dominik pokręcił głową. - Znajdę sposób, by dojść, co wie Gussy. Victoria to panna prostolinijna, przy tym niezależna, zwykle ma własne zdanie, tu jednak widać uległa rodzinie i pozwoliła poświęcić służącą. Jeśli będzie trzeba, podszepnę matce, żeby zaprosiła ją do Heatherly. Niechby Vicky zobaczyła, że przyjęliśmy Jane Weller pod nasz dach. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo wtedy musiałyby się wydać, kim jest

brat Just, niemniej chętnie usłyszałbym, co ma do powiedzenia Victoria.

- Matka nienawidzi gości, wiesz o tym doskonale. Poprosisz ją, to zaprze się i powie, żeby dać jej święty spokój. Kocha malować te swoje kiście winogron czy co tam sobie paćka i o nic więcej nie dba. Przez cały rok mogłaby nie wychodzić z pracowni.

Dominik doskonale wiedział, że jego szanowna rodzicielka najpewniej odmówi, tym bardziej że nie chciał i nie mógł jej wtajemniczać w to, kim jest brat Just i czym się zajmuje.

Zbliżył się do Nathana i powiedział cicho:

- Nasz klaun, kiedy się zezłościł, sięgnął ponoć po kieliszek. Wysuszył trzy flaszki reńskiego, jedną po drugiej, a potem wydobył z jakiegoś schowka zawiniątko i okazało się, że trzyma w nim „okropne noże”, jak je nazwała Jane Weller.

Nathan, przejęty w najwyższym stopniu, chwycił brata za ramię.

- Mówże dalej.

- Wybrał jeden, przyłożył nieszczęsnej dziewczynie do gardła i powiedział, że jeden zgrabny ruch ręką, a mógłby z nią skończyć.

- Ale nie zrobił tego, zatem...

- Możemy uznać, że sobie żartował? Nie. Oto co powiedział, powtarzam słowo w słowo, co usłyszałem: „Przyjdzie jeszcze czas, że złapie dziewczynę i nie wypuści jej żywej, jeśli rodzina zlekceważy jego groźby”. To znaczy, że musimy traktować go poważnie. Nie, Nathanie, to nie żartowniś, co mu brak piątej klepki. Owszem, chory na umyśle, ale

w sposób groźny, bo zaczyna szermować ludzkim życiem.

- O co mu idzie? - spytał Nathan, gubiąc się w domysłach.

- Jak to o co? Jeszcze pytasz? O pieniądze. Duże pieniądze. Wyciąga krocie, ponieważ ludzie się boją, płacą posłusznie, ile zażąda, i nikt nie pisnie ani słowa, żeby nie zaszkodzić córce.

- Pospieszmy konie, Dominiku. Dość czasu zmiężyliśmy, robi się coraz później. Porozmawiamy rano o sprawie. Prześpisz się, ochłoniesz i od razu spojrzysz na rzecz innym okiem.

Dominika zdjął gniew na bez troskę brata. Zawsze taki sam, nigdy nie dorośnie, nigdy nie spojrzy na świat poważnie, pomyślał ze złością. Strząsnął z ramienia dłoń Nathana.

- Owszem, pospieszymy konie, a jakże, bardzo proszę - burzył się. - Najpierw tylko ci powiem, posłuchaj uważnie, że Jane Weller poczuła ostrze noża pana Białego na własnej skórze. Jak ci się to podoba? Machniesz ręką? Nadal będziesz mnie przekonywał, że to głupie żarty niedoważonego błazna? Ten twój błazen zrobił jej małe nacięcie na brodzie i oznajmił, że powinna się cieszyć, iż na tym poprzestał. Dodał, że następna panna nie będzie miała tyle szczęścia: nóż pójdzie trochę niżej i wrazi się w ciało głębiej, tak by nieszczęsna wykrwawiła się na śmierć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Heatherly House koło Regent's Park, Londyn

- Do diabła, Dominiku, przecież w każdej chwili może tu wejść któraś ze służących.

- To będzie miała czym nasycić wzrok - oznajmił Dominik spokojnie.

Nathan spojrział z bezbrzeżną pogardą na młodszego, rozebranego do naga brata. Wreszcie miał jedyną w swoim rodzaju okazję: mógł być tym poważniejszym z nich dwóch.

- Lepiej uważaj - przestrzegł Dominika. - Czego oczy nie widzą, to i śmiechu nie wzbudzi - stwierdził sentencjonalnie.

Dominik nalał wody z dzbana do stojącej na komodzie porcelanowej miski, zanurzył w niej palce i przysnął kilka kropel zazdrośnikowi na twarz.

- Masz zapłatę za twoje kpiny.

- A ty masz, drogi braciszku, przypominam,

znacznie ważniejsze sprawy na głowie, niż przeko-
marzać się tu ze mną. - Nathan uśmiechnął się pod
nosem, wycierając wodę z policzków.

- Dziękuję, że mi o tym przypominasz. Nie mogę
uwierzyć, że już jesteś na nogach po wczorajszej
wieczornej eskapadzie. Muszę porozmawiać z mat-
ką o panie Weller, ale najpierw chciałbym zjeść
śniadanie.

- Dla nabrania sił? - Nathan lubił brata, dobrze
z nim żył, choć to Dominik, najmłodszy, był
oczkiem w głowie markizy. - W takim razie
najedz się porządnie, bo dużo sił będzie ci po-
trzebne.

Dominik, tknięty złym przeczuciem, przyjrzał się
uważnie Nathanowi. Było w zachowaniu brata coś,
czego wcześniej nie dostrzegł.

- Bądź ze mną szczerzy - zaczął powoli. - Coś ci
chodzi po głowie... Coś innego niż sprawa naszego
białego klauna. Widzę to. Słyszę w twoim głosie.
Albo wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia, albo coś
knujesz.

Uśmiezek Nathana zezłościł Dominika.

- Mówże, o co idzie, ale już. Nie mam czasu na
bezsensowne gierki.

- Ubieraj się - rzucił Nathan. - Matka czeka na
ciebie w Domku Wdowy. - Markiza zajmowała
oddzielny pawilon w ogrodach Heatherly, zwany
popularnie Domkiem Wdowy, jako że od dawna
była wdową.

- Chcesz mi powiedzieć, że zdażyłeś się z nią
widzieć?

- Nie mogłem spać. Wstałem wcześniej, a ponie-

waż ona zaczyna malować o świcie, poszedłem do niej z krótką synowską wizytą.

Dominik zmrużył oczy.

- Matka nikogo nie przyjmuje, kiedy maluje. Nigdy nie widziałem żadnego jej obrazka. A ty?

Nathan wzruszył ramionami.

- Też nie widziałem. Wiem tylko, że pani Lymer codziennie kupuje świeże owoce, zapewne więc matka układa z nich martwe natury do swoich malunków. Zawsze była bardzo skryta. Szczerze mówiąc, nie wierzę, żeby się przełamała i pokazała komukolwiek efekty swoich artystycznych wysiłków. Tak czy owak, chce cię widzieć i prosić o wyświadczenie drobnej przysługi. Której to wyświadczenie nie zajmie ci więcej niż kilka miesięcy. Doprawdy, bagatela. Możesz to dla niej uczynić.

Dominik zastygł niczym posąg, z jedną stopą w nogawce spodni, co akurat było mało posagowe, i posłał Nathanowi niezbyt braterskie spojrzenie.

- Matka niedawno odwiedziła przyjaciółkę z lat młodości, pamiętasz? - ciągnął Nathan. - Panią Toogood. Otóż pani Toogood jest żoną pastora w jakiejś zapadłej parafii. Bardzo zapadłej parafii. Gdzieś w Cotswolds, ile mnie pamięć nie myli. Nasza pani matka rozejrzała się na miejscu i postanowiła ni mniej, ni więcej tylko wziąć pod swoje skrzydła jedną z panien Toogood.

- Bardzo szlachetnie z jej strony - pochwalił matczyne intencje Dominik i wciągnął spodnie, nie odrywając wzroku od twarzy Nathana. - Dobrze jej to zrobi. Będzie miała zajęcie i kobiece towarzysstwo. Lubi Hattie - Hattie była żoną ich najstarszego

brata, Johna, markiza Granville'a - ale przebywa daleko, w Bath. Za rzadko przyjeżdża do Londynu. Doprawdy, wielka to szkoda, że nasza matka nie ma córki.

Nathan zmarszczył czoło i po namyśle oznajmił:

- To by oznaczało, że mielibyśmy siostrę.

- Takie przypadki zdarzają się w niektórych rodzinach - stwierdził Dominik ubawiony domyslnością brata. - Myślisz, że mnie zirytujesz swoimi wieściami? Widać gołym okiem, że masz za dużo czasu, wieszysz próżniacze życie, i stąd twoje wycieczki w moją stronę. To się niedługo zmieni, obiecuję.

- Wściekniesz się, jak usłyszysz, co ci mam do powiedzenia. Zaraz się przekonasz, że nie żartuję i nie robię żadnych „wycieczek w twoją stronę”, jak to nazywasz. - Nathan zachichotał. - A czasu prędzej zabraknie tobie, a nie mnie.

Dominik miał już dość tych podchodów. Prośba matki to na pewno drobiazg, uznał.

- Mówże wreszcie - przynaglił Nathana. - Mam inne sprawy na głowie.

- Wiem, panna Weller, ale powtarzam, nie ucieszy cię to, co usłyszysz.

Dominik włożył koszulę, zieloną kamizelkę i sięgnął po jedwabny fular.

- Na pewno nic wielkiego. Nie tak łatwo wyprowadzić mnie z równowagi, jak ci się wydaje. Czegóż to matka może chcieć ode mnie?

- Otóż wczoraj wieczorem, kiedy my płataliśmy się po Covent Garden, panna Fleur Toogood zjechała wreszcie do nas ze swojej zapadłej parafii. Matka

jest zachwycona. Umyśliła sobie, żebyś zajął się jej gościem, otoczył troskliwą opieką, zaznajomił z życiem w Londynie. Pod okiem przyzwoitki, ma się rozumieć. Trzeba pannę przygotować do wejścia w świat, a kiedy już zacznie się sezon, czyli niebawem, ty będziesz jej towarzyszył na wszystkie bale oraz przyjęcia.

- Nie pleć bzdur - zachnął się Dominik. - Po pierwsze, nie wierzę, żeby matka chciała wystawiać jakąkolwiek dziewczynę na tym dorocznym targowisku matrymonialnym. Po drugie, nienawidzi obowiązków towarzyskich, o czym dobrze wiesz. A teraz skup się - zmienił temat. - Nie jestem pewien, czy mogę ci zaufać, bo masz pstro w głowie, ale chciałbym powierzyć ci ważne zadanie: otóż zbliż się do Arbuthnotów i spróbuj wywieźć, co naprawdę przydarzyło się Gussy.

- Zły pomysł. Gussy ma swoje plany wobec mojej osoby. Raz już ledwie się wyrwałem z jej objęć i nie zamierzam wpadać w nie ponownie. To niebezpieczne. Zagrożenie życia... W każdym razie zagrożenie wolności, którą nade wszystko sobie cenię. Ona poluje na męża. Jeśli zbliżę się do niej, znowu zagnie na mnie parol. A z panną Toogood to najprawdziwsza prawda. Nic nie zmyśliłem. Nasza droga matka prosiła, żebym cię uprzedził. Co też uczyniłem. Mógłbyś mi przynajmniej podziękować.

Dominik ciężkim krokiem podszedł do okna i spojrzał na park. Trawniki połyskiwały w deszczu, starodrzew w oddali znaczył granicę gruntów w miejscu, gdzie rodowa posiadłość przylegała do Regent's Park.

- Nie wierzę, po prostu nie wierzę, żeby matka chciała mnie prosić o coś podobnego - wycedził.

- Wszyscy będą zachwyceni, a szczególnie matki panien na wydaniu. Będą wychwalały urodę i nieocenione zalety swoich córek, ty będziesz słuchał z uśmiechem, obwożąc pannę Toogood po balach, przyjęciach i herbatkach, pilnując, by zrobiła konkietę.

- Boże, zmiłuj się nade mną. - Dominik wznosił oczy do nieba, tam szukając pomocy.

Nathan prychnął.

- Nie zmiłuje się, jeśli nie zajmiesz się troskliwie panną Toogood.

- To być nie może. Wygłupiasz się, żarty sobie ze mnie stroisz. Pajacujesz, jak zwykle. Nie będę więcej słuchał twoich bajań. Mam inne rzeczy na głowie, naprawdę ważne.

- Panna Toogood nie jest żadnym bajaniem.

- Nie jest bajaniem, powiadasz? - Dominik podszedł do brata. - Widziałeś ją może?

- Nie - odparł Nathan lekko. - Matka mówi, że z niej „słodki pączuszek”. I jeszcze, że „miła”, a nadto „bardzo urodziwa”. To słowa naszej rodzicielki. Oczywiście trochę nieobyta, ponieważ wychowała się w odległej parafii, i trzeba jej „ogłady”, „szlif”, cokolwiek ma to znaczyć. Matka w tej kwestii była dość oględna, ale najpewniej chodzi o maniery. Trzeba ją wykapać, znaczy się, przynajmniej od czasu do czasu. Lepiej, żeby nie otwierała ust w towarzystwie, jak rozumiem, bo gotowa palnąć monstrialne głupstwo.

Dominik starał się panować z całych sił nad targającymi nim emocjami.

- A to jakim niby sposobem? Buzię jej zamknąć na kłódkę?

- Tym się nie martw. Na pewno nie będzie otwierała ust. Nie ma zębów.

- Posłuchaj...

- Spokojnie. - Nathan przyjacielsko klepnął brata w plecy. - Wszystkiego dowiesz się od matki. Ileż w niej dobroci i troski o innych, ile serca i bezinteresowności, żeby tak zająć się obcą dziewczyną...

Nathan kpił niemiłosiernie z Dominika, droczył się z nim, ale w jego słowach musiało być żdźbło prawdy. Chyba nie zmyśliłby całej historii z przyjazdem panny Toogood?

Dominik podszedł do komody, zanurzył twarz w zimnej wodzie i tak trwał przez chwilę, aż mu powietrza w płucach zabrakło.

- Masz rację. - Prychnął, prostując się i sięgając po ręcznik. - Wcale a wcale nie podoba mi się to, co od ciebie usłyszałem. Jeśli mówisz prawdę, ma się rozumieć, bo ja ci nie zawsze i nie we wszystkim wierzę. I powiem ci, jak mnie tu słyszysz i widzisz, że za nic nie spełnię prośby naszej matki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Fleur leżała na łóżku i ćwiczyła marsowe miny. Musi, myślała, za wszelką cenę wreszcie musi coś w sobie odmienić. Nie mogła słuchać, jak wszyscy mówią, że jest najpogodniejszą i najrozsądniejszą w świecie osobą. Oczywiście w Londynie nikt nie wiedział, jaka się za nią ciągnie opinia, i tutaj, w wielkim świecie, nikogo to nie obchodziło. Tutaj była nikim. Nawet nie ubogą krewną. Córka przyjaciółki z lat dzieciństwa? Panną respektową na łasce markizy?

Wszystko jedno. Osoba o chmurnym, marsowym obliczu z pewnością nie będzie budziła zainteresowania kawalerów, chyba żeby znalazł się przenikliwy, ale tacy nie bywają przecież na balach i herbatkach, na których ona miała się ponoć pojawić.

Przewróciła się na brzuch, nogi i ręce rozłożyła szeroko i znieruchomiła w takiej pozie, zupełnie nie jak na młodą damę przystało.

Robi to dla mamy, papy i swoich drogich czterech sióstr, powtarzała sobie po raz setny. Może dzięki niej odmieni się los rodziny. Niezwykła rzecz - myśl biegła już innym torem - jak łatwo człowiek zapomina o irytujących przywarach siostrzyczek, kiedy tylko wyjedzie z domu. Jej ukochane Sodbury Martyr zdawało się oddalone o tysiące mil od tej wspaniałej posiadłości, którą nazywali Heatherly, i od tej ogromnej niczym pałac rezydencji, gdzie znalazła się raptem poprzedniego wieczoru, w świecie całkowicie innym od tego, w którym dotąd żyła.

Leticia, Rosemary, Zinnia i Sophie - jej cztery siostry.

To dla nich zgodziła się tu przyjechać. Jeśli Fleur uda się dobrze wyjść za mąż, to i one będą miały widoki na lepszą partię. Fleur zamknęła oczy i westchnęła głośno. Cały szkopuł w tym, że była zdecydowana wyjść za mąż jedynie za tego, którego pokocha miłością pierwszą i czystą, a nawet kiedy już go pokocha, to nie odda mu ręki, jeśli nie będzie spełniał określonych wymogów.

Pod materacem, na którym właśnie leżała w niegodnej damy pozie, zaraz po przyjeździe schowała kajecik, w którym kragłymi, starannie kaligrafowanymi literkami skreśliła listę zalet koniecznych u przyszłego męża panny Fleur Toogood.

Poczuła leciutkie pieczenie pod powiekami, ale zamrugała i pieczenie zaraz przeszło. Żadnego użalania się nad sobą, nakazała sobie w duchu. Taką miała zasadę, a raz przyjętych zasad zwykła się trzymać z żelazną konsekwencją. Wyrastała w do-

mu, gdzie wszyscy wszystkiego musieli sobie odmawiać, i bieda nauczyła ją być silną i cieszyć się z tego, co ma, nic więcej od życia nie żądać i nie zgłaszać pretensji do losu, że źle się z nią obchodzi.

Spojrzała na ciężką draperię baldachimu nad łóżkiem, we wzór z purpurowych stokrotek na jasnofioletowym tle. Na ścianie, na której usytuowano kominek, umieszczono porcelanowe medaliony wprawione w boazerię, też przyozdobione bukietami stokrotek. Ten piękny pokój, wizytę w Londynie, nowe perspektywy, wszystko to zawdzięczała dobrej markizie Granville i powinna o tym pamiętać, powtarzać sobie niczym litanie w chwilach zwątpienia.

Nie była jeszcze proszona przed oblicze markizy, ale pamiętała ją z wizyty, którą wielka dama złożyła przed kilku miesiącami w Sodbury Martyr, kiedy to została przesądzona sprawa jej przyjazdu do Heatherly z początkiem sezonu.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i weszła pokojówka, ta sama dziewczyna o surowej twarzy, która poprzedniego wieczoru pomagała jej rozgościć się w pokoju.

- Panienska ma iść zaraz do Domku Wdowy - oznajmiła Blanche, bo tak sługa miała na imię, po czym otworzyła ogromną szafę, w której wisały suknie Fleur, i zaczęła je przeglądać, mrużąc coś pod nosem.

- Gdzie jest Domek Wdowy? - Fleur wystraszyła się, że czeka ją kolejna podróż powozem przez obce i ciągle wrogie miasto.

- Trzeba wyjść do ogrodu, przejść przez rosa-

rium, a potem to już sama panienska zobaczy - poinformowała ją Blanche, nie wystawiając głowy z przepaścistej, bogato rzeźbionej szafy.

- To jest w Heatherly jeszcze drugi dom? - zdziwiła się Fleur.

- Oczywiście. Dlaczego by miało nie być? To panienska nic nie wie? Domek Wdowy, gdzie mieszka lady Granville. Całkiem niedaleko od głównego domu. Lady Granville ceni sobie samotność, tak mówi.

Fleur zeskoczyła z łóżka, podeszła do szafy i stanęła za Blanche.

- Co robisz?

Pokojówka spojrzała na nią z politowaniem, że pyta o tak oczywiste rzeczy.

- Szukam czegoś, w co panienska mogłaby się przyodziać. To ujdzie. - Wyjęła pelisę z jasnoblękitnej wełny, odsunęła ją na wyciągnięcie ręki i rozważała przez chwilę swój wybór, czy aby trafny. Fleur pod wysokim stanem białej sukni miała wstążkę w tym samym kolorze, pelisa więc pasowała w sam raz, ale nie to było ważne. Uświadomiła sobie, że odtąd przez wiele tygodni przez cały czas ktoś będzie jej usługiwał. Ta myśl wprowadziła Fleur w autentyczną konsternację.

Blanche cofnęła się o dwa kroki i zmierzyła swoją nową panienkę kompetentnym, ale i mocno krytycznym spojrzeniem.

- Hm - brzmiał jej werdykt, tyleż lakoniczny, co wymowny. - Taki rwetes dzisiaj od rana, że nie wiem co. Od kiedy służę w Heatherly, jeszcze nie widziałam podobnego urwania głowy. Najczęściej

stara lady Granville nic od nikogo nie chce, siedzi zamknięta w swoim domku, i wszystkim z tym jest dobrze. A dzisiaj raptem biegaj tylko w tę i nazad, jak z piórkami. Jaśnie pani ciągle coś każe zrobić, to znowu po kogoś posyła. Aż wszyscy w domu w głowę zachodzą, co też panienska za jedna i po co przyjechała do Londynu.

- Dlaczego właściwie nazywasz ją starą? - zapytała Fleur ostrożnie. Powodów swojego przyjazdu do Heatherly nie zamierzała wyjawiać, tym bardziej że całe przedsięwzięcie matrymonialne mogło spełznąć na niczym. - Jaśnie pani może się dowiedzieć, że tak o niej mówisz, a wtedy...

- Jest jeszcze młoda pani - oznajmiła Blanche, jakby ten fakt był wystarczającym wyjaśnieniem braku szacunku. - Żona markiza, niby pana Johna, co jest w służbie króla. Oni zwykle mieszkają w Bath, tam mają swój dom, ale słyszałam, że młoda lady Granville ma zjechać do Londynu, żeby pomóc paniencie.

Fleur poczuła gęsią skórkę, speszyła się okrutnie. Tyle kłopotu przysporzyła, że aż młoda lady Granville musi „zjechać do Londynu” z jej powodu?

Kiedy już miała czepek na głowie - wstażki luźne, niezwiązane po brodą, bo Blanche twierdziła, że „taki teraz fason” - opuściły pokój, zeszyły po imponujących schodach i po chwili znalazły się w ogromnej sieni. W ogóle cała rezydencja, z przesklepioną szklaną kopułą oranżerii w samym środku, z amfiladą sal i salonów, wydawała się Fleur ogromna.

Blanche poprowadziła ją alejką, wzdłuż której

rozstawiono rzeźby, do rosarium, gdzie na krzewach pojawiły się już pierwsze pąki. Przez zwieńczoną łukiem bramę w żywopłocie, dwa razy tak wysokim jak Fleur, wyszły na niewielki dziedziniec i tu oczom panny ukazał się Domek Wdowy, w którym mieszkała ceniąca sobie samotność markiza.

W tej samej chwili usłyszała za plecami czyjeś ciężkie, szybkie kroki. Starła się nie rozglądać, nie okazywać ciekawości, ale nie mogła nie dostrzec wysokiego, postawnego mężczyzny, który ją minął, rzucając coś, co mogło być powitaniem, i podszedł do drzwi piętrowego pawilonu z szarego kamienia.

- To lord Dominik - szepnęła Blanche. - Przy stojny. Jak malowany. Wszystkie dziewczyny w domu strzelają za nim oczami. On jest tu panem na włościach, wszystkim rządzi, a pan Lawrence mu pomaga. Pan Lawrence to tutejszy rządcą, znaczy się.

Fleur nie widziała twarzy lorda Dominika, ale postać zdała się jej owszem, „jak malowana”. Aż dreszczyk ją przeszedł. Mama byłaby zgorszona. Nie aprobowała żadnych dreszczyków, a już w obecnych okolicznościach nie zaakceptowałaby z całą pewnością, ale Leticia i Rosemary z pewnością zrozumiałyby podniecenie siostry. Często rozmawiały o podobnych rzeczach, tuląc się do siebie w łóżku Leticii. Są takie osobniki płci męskiej, na widok których kobiecie robi się słabo. W tej kwestii wszystkie trzy były zgodne, choć w innych potrafiły się bardzo różnić.

Lord Dominik odznaczał się męską postacią

i długimi ciemnymi włosami: te nosił związane na karku w zgrabny harcapik, co Fleur wydało się bardzo oryginalne.

Pchnął energicznie drzwi i wszedł do środka, zostawiając je otwarte.

Blanche parsknęła śmiechem.

- Niby spokojny, układny pan, a siła w nim taka, że aż buzuje.

Fleur pomyślała, że Blanche musi się durzyć w jego lordowskiej mości i wcale nie dziwiła się dziewczynie. Co prawda, mógł mieć paskudne oblicze i złe spojrzenie, ale w to akurat nie bardzo mogła uwierzyć; bardziej ufała własnemu instynktowi.

Kiedy doszły do drzwi, w progu pojawiła się siwowłosa dama w czarnej sukni i w sutym koronkowym czepeczku, z miłym uśmiechem na okrągłej różowej twarzy.

- Panna Fleur? - zapytała i Fleur dygnęła grzecznie.

- Tak.

- Jestem pani Lymer. Gospodyni jaśnie pani. Proszę za mną, panienko. A ty, Blanche, uciekaj.

Fleur znalazła się w niewielkim holu o jasnozielonych ścianach, z posadzką z białego, zielonożyłkowanego marmuru. Pierwsze, co usłyszała, to niski męski głos, może nawet nie gniewny, za to wystarczająco donośny, by dało się zrozumieć każde wypowiedziane słowo.

- Co mama, do diaska, sobie wyobraża, proszę mamy? - To było bardzo niegrzeczne. - Jestem zajęтым człowiekiem. Prawdę mówiąc, przychodzę

do mamy prosić o przysługę, która, gdyby mama się przychyliła, uwolni mnie od wielkiego kłopotu. Uprzedzam, zanim mnie mama poprosi. Nie mogę i nie zamierzam pod żadnym pozorem wodzić się po londyńskich salonach z pani matki parafialną myszką.

Kiedy lady Granville nie była czegoś pewna, przygryzała dolną wargę. Tak właśnie uczyniła w tej chwili i Dominik poczuł się jak ostatni szubrawiec.

- Przepraszam - powiedział. - Uniosłem się, ale obecnie mam nazbyt wiele zajęć, przytłoczony jestem obowiązkami. Kiedy Nathan powtórzył mi, co mama zamyśla, przyznam otwarcie, bardzo się zirytowałem.

Matka, w umazanym farbami fartuchu narzuconym na suknię z japońskiego jedwabiu, wyglądała bardzo egzotycznie, niczym kolorowy motyl, a i bardzo niekonwencjonalnie. Krótko obcięte szpakowate włosy układały się w miękkie loki, twarz była gładka, niemal bez zmarszczek, a ciemne oczy bystre. Kiedy stała wyprostowana jak teraz, nie wyglądała na swoje lata, choć ile lat dokładnie sobie matka liczy, Dominik nie potrafiłby powiedzieć. W każdym razie kiedy markiza Granville, z rzadka, to prawda, pojawiała się w towarzystwie, przyciągała uwagę wszystkich panów.

Spojrzała uważnie na Dominika i ten stracił trochę kontenans, jakby spokorniał, choć jeszcze nie skapitulował.

- Mama mi wybaczy?
- Cóż mam ci wybacząć? Nie powiedziałeś jesz-

cze, o jaką to pilną przysługę zamierzasz mnie prosić, i nie wiem, czy będę mogła spełnić twoją prośbę. A że sama nie zdążyłam wyeksplikować, czego oczekuję od ciebie, to nie możesz mi odmawiać, nie usłyszawszy w czym rzecz. Jak widzisz, nie mam podstaw, by ci wybaczać albo nie wybaczać... na razie przynajmniej - zakończyła dość skomplikowany wywód z satysfakcją w głosie.

Dominik pochylił głowę, a kiedy ją uniósł, zdążył jeszcze dojrzeć uśmiezek, który przemknął przez matczyną twarz.

- Jak mama lubi ze mną igrać! Nic dziwnego, że jest mama moją najukochańszą rodzicielką.

- O co nietrudno, kiedy masz mnie tylko jedną - zauważyła markiza trzeźwo.

- W rzeczy samej, przyznaję. Dzisiaj po południu w Heatherly pojawi się pewna dziewczyna. W każdym razie mam nadzieję, że się pojawi. Będzie chciała nająć się na służbę. Nazywa się Jane Weller. Powiedziałem jej, żeby pytała o mamę. Poprzedni chlebodawcy nie dadzą jej rekomendacji i nie chcą za nią ręczyć, ale ja ręczę.

Matka skinęła lekko głową.

- Jeszcze jedna z tych twoich nieszczęsnych, pokrzywdzonych przez los. Rozumiem, że niesprawiedliwie wyrzucona ze służby? Dobrze się domyślam?

- Dobrze się mama domyśla, jak zwykle. Jane była pokojówką Victorii Crewe-Burns i nie chciałbym, by Burnsowie dowiedzieli się, że służy teraz u nas. - Opowiedział historię dziewczyny w wersji Burnsów. - Mieszka na stacji w Covent Garden

i pomaga gospodyni, przez co mniej płaci za noclegi.

- Nie będę pytała, skąd znasz tę dziewczynę. Nie chcę nic wiedzieć. Niepotrzebne mi szczegóły - oznajmiła markiza.

Dominik uśmiechnął się pod nosem. Doskonale wiedział, że pani matka tylko czeka na szczegóły, ale wrodzona delikatność oraz nabyte zasady każą jej powściągać ciekawość.

- Dziękuję z całego serca - powiedział. - Pewnego dnia wszystko mamie wyjaśnię. Na razie wyjawię tylko, że nie jest to pospolita dziewczyna. Kto wie, może jej rodzina popadła w biedę i Jane, nie mając innego wyjścia, musiała zgodzić się na służbę.

- Bardzo dobrze. Uprzedź McGee. Niech ją przyprowadzi prosto do mnie, kiedy się tylko ta twoja panna pojawi. - Wszyscy goście odwiedzający Heatherly, zanim zostali wpuszczeni na pokoje, musieli zetknąć się ze starym kamerdynerem, który niczym cerber strzegł domu. - Zobaczymy, co da się zrobić.

- Nie spodoba ci się to, ale Jane Weller nie wie, kim jestem i...

- Mówiłeś, że ją znasz.

- Tak, ale... Proszę, niech mama się nie zdradzi, że ja ją poleciłem, niech mama mówi, że uczynił to przyjaciel. - Dominikowi od tych pokrętnych tłumaczeń pot wystąpił na czoło.

- Dobrze - odparła markiza po chwili. - Jesteś uczciwym człowiekiem, ufam ci, zawsze ufałam, tolerowałam twoje małe tajemnice, spełnia-

łam różne dziwaczne prośby i teraz też uczynię, jak prosisz, chyba że miałyby to zaszkodzić Jane Weller.

- Dziękuję mamie. - Dominik ucałował dłoń rodzicielki. - A teraz mama wybacz, ale muszę już iść, spieszę się. - Miał nadzieję, że umknie.

Niestety.

- Ani mowy być nie może - powiedziała spokojnie markiza, wskazując chiński fotelik, obity jasnoniebieskim jedwabiem. - Siadaj, bardzo proszę. Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. Jadłeś już śniadanie?

- Tak - odparł krótko Dominik. - Od wejścia ci oznajmiłem, że nie chcę mieć nic wspólnego z twoim pomysłem. Nie będę wprowadzał w świat żadnych pastorskich córek.

- Siadaj - powtórzyła markiza bardziej zdecydowanym tonem.

Dominik już otworzył usta, żeby zaprotestować, i szybko je zamknął, a kiedy matka zajęła miejsce na otomanie zarzuconej wzorzystymi poduszkami, usiadł w fotelu, acz, trzeba przyznać, niechętnie.

- Słyszałeś, że Vivian Simpson się zaręczyła? - zagadnęła matka niby od niechcienia.

Dominik natychmiast ujrzał przed oczami miłą twarz lady Vivian.

- Nie, nie słyszałem. Życzę jej szczęścia. Ze wszech miar zasługuje.

- I nie żałujesz, choć trochę, że nie ty zostałeś jej narzeczonym?

- Vivian to słodka dziewczyna, ale to, co było

między nami, dawno przeminęło. Stare dzieje i nie ma powodu do nich wracać.

A więc o to szło: matka wezwała go do siebie, by nie wiadomo po raz który przypomnieć, że powinien się ożenić. Nie miał serca jej mówić, że to płonne nadzieje i że nie ożeni się nigdy w życiu. Zajęcia, obowiązki, jakich się podejmował, wykluczają małżeństwo i nie da się ich pogodzić z życiem rodzinnym.

- Dużo bym dała, żeby wiedzieć, co sobie teraz myślisz.

Dominik zrobił taki ruch, jakby chciał wstać.

- Naprawdę muszę już iść.

- Siedź.

Niezadowolony Dominik nie miał innego wyjścia, jak tylko siedzieć i usłuchać.

- Panna Fleur Toogood - zaczęła markiza - jest córką mojej serdecznej przyjaciółki z dawnych lat. Nie widziałyśmy się szmat czasu, ale kilka miesięcy temu, jak zapewne pamiętasz, odwiedziłam ją z pewnych powodów i postanowiłam...

- Sprawić sobie córkę, której mama nigdy nie miała, i wprowadzić ją w świat, znaleźć pannie męża. Bardzo chwalebne, aczkolwiek...

- Zanim wystawisz ocenę, pozwól mi, z łaski swojej, skończyć.

Dominik spojrział na matkę i na wszelki wypadek umilkł.

- Będę niezmiernie wdzięczna, jeśli powstrzymasz się od niewybrednych i uwłaczających uwag. Na zbyt wiele sobie pozwalasz, młodzieńcze.

Gdyby miał lat sześćdziesiąt z okładem, a matka

żyła jeszcze, dalej pewnie nazywałaby go „młodzieńcem”, chcąc przywołać do porządku.

- Nathan wyszedł stąd dziś niezwykle rozradowany - powiedziała. - Zawsze lubił ci trochę dokuczyć, ale tak to już jest, kiedy masz starszego brata. Domyślałam się, że pokrótce zreferował ci, w czym rzecz. Prosiłam go, by cię uprzedził.

Dominik wsparł łokcie na kolanach.

- Ciągle wierzę, że większość tego, co mówił, zmyślił.

- To nie będzie dla ciebie wielki wysiłek, Dominiku - zapewniła markiza. - Dawno zauważyłam, że twoje zajęcia, o których skądinąd nigdy nic mi nie mówisz, wymagają, byś obracał się w towarzystwie. Połączysz pożyteczne z przyjemnym, zabierając ze sobą tu i tam uroczą pannę. Będziesz zajmował się swoimi sprawami jak dotychczas. Ja tylko proszę, żebyś miał oko na dziewczynę i zadbał, by poznała odpowiednich ludzi, kawalerów, znaczy się, i żeby była traktowana z szacunkiem należnym młodej damie. Czy to tak wiele?

- Wspaniale - mruknął Dominik, nie odpowiadając wprost na pytanie.

- John wyjeżdża do Wiednia na polecenie króla, tam teraz zwrócone są oczy całej Europy, ale nie mówmy o polityce... W każdym razie Hattie w tym czasie może zabawić się w przyzwoitkę, pod warunkiem, że będziesz towarzyszył obu paniom.

- A niech to. - Dominik przesunął się na kraj fotela, nogi wyciągnął przed siebie, ręce podniósł i zaplótł na karku. - Inaczej mówiąc, mam pilnować mojej pięknej bratowej, kiedy ona będzie pilnowała

twojej podopiecznej. Przypomnę ci, że młoda markiza, moja bratowa, ściąga na siebie wszystkie spojrzienia, i jeśli mam strzec i jej honoru, to będę zaniedbywał swoje sprawy. John mnie zabije, i to żadna przemożność, literalnie zabije, jak tylko jaki pijany fircyk zacznie się umizgać do Hattie w uwłaczający sposób. Co ja mówię, niewłaczający wystarczy, by braciszek zgniótł mnie po powrocie na miazgę.

- Wszyscy wiemy, że dasz sobie radę - stwierdziła markiza, przyglądając się lakowemu, chińskiemu naturalnie, parawanowi z tak żywym zainteresowaniem, jakby ujrzała go po raz pierwszy w życiu. - Hattie jest rezolutną, rozsądną i bardzo odpowiedzialną kobietą. Potrafi dać odprawę natrętom.

Dominik wydał nieartykułowany pomruk.

- O Hattie się nie martw, musisz natomiast uważać na młodziutką pannę Toogood - ciągnęła matka. - Nie widziałeś jej jeszcze.

Dominik nachylił się gwałtownie do przodu, zmrużył oczy.

- Co to znaczy?

- Piękno, żywy umysł, dowcip, pobożność - wyliczała markiza.

- Mogła mama zakończyć tę litanię na dowcipie - przerwał jej Dominik.

- Pobożność - powtórzyła markiza z naciskiem. - Szacunek dla starszych, dojrzałość sądu, układność: nie odezwie się, póki ktoś do niej zagadnie... Panna Toogood będzie świetną partią dla szczęśliwca, który zdobędzie jej serce.

- Szczęśliwca? Świętego raczej, chciałaś powiedzieć. Ale dlaczego ja? Dlaczego nie Nathan?

- Doskonale wiesz dlaczego. - Markiza wołała się nie wdawać w charakteryzowanie niektórych obyczajów średniego syna.

- Uhm... Jaśnie pani... - W pokoju pojawiła się pulchna pani Lymer. - Przyszła panna Fleur Toogood. Czeka w pokoju śniadaniowym. Milady mówiła, żeby ją wprowadzić, jak tylko się pokaże, więc pozwoliłam sobie przeszkodzić.

- Oczywiście, prosz ją zaraz, moja Lymer. - Markiza skinęła głową.

Ledwie gospodyni wyszła, Dominik zerwał się z fotela i ruszył do drzwi prowadzących na taras.

- Zostań - poleciła matka. - Zrób to dla mnie. Rzadko cię o coś proszę.

Dominik wznosił oczy do nieba, ale cofnął się posłusznie.

Lymer wprowadziła pannę Toogood. Zerknął na błękitny czepek, błękitną pelisę i już wiedział, kogo minął po drodze.

Obdartus jakiś, pomyślał i na tym wyczerpał mu się zasób nieprzychylnych uwag. Na honor, co by nie rzec, panna na pewno nie była szarą parafialną myszką, nawet jeśli przybywała z bardzo odległej wiejskiej parafii w dalekim Cotswolds.

- Witaj, Fleur. - Lady Granville podniosła się z właściwą sobie elegancją w każdym ruchu. - Pojejdźże bliżej, niech ci się przyjrzę. Widzę, że lubisz błękit. Jakie urocze nakrycie głowy. Śliczna pelisa. Poznaj mojego syna, lorda Dominika Elliota. Dominiku, to panna Fleur Toogood, córka mojej drogiej przyjaciółki.

Do kroćset! Nie mogłaby ta osóbką być całkiem niepozorna? Niewidzialna zgoła?

- Miło mi poznać, panno Toogood. - Dominik ujął jej dłoń i skłonił głowę nad starannie pocerowaną rękawiczką. - Witamy w Heatherly. - Dopełniwszy ceremonii, wyprostował się i cofnął pospiesznie.

Panna Toogood dygnęła.

- Dziękuję, milordzie. Cieszę się, że znowu panią widzę, milady. Rodzice prosili przekazać serdeczne pozdrowienia i podziękowania. Papa modli się za panią codziennie.

- Jak to miło z jego strony. - Markiza uśmiechnęła się ciepło.

Fleur Toogood podniosła wreszcie głowę, demonstrując spod czepka rudawe włosy, spojrzała na Dominika spod gęstych rzęs, a on nabrał pewności, że będzie musiał pilnie strzec czci oraz honoru nie jednej, lecz dwóch pięknych dam.

Tak ogromnych i tak błękitnych oczu jeszcze u żadnej nie widział. Cerę miała jasną, delikatną, jak u rudowłosych bywa, pełne, ładnie wykrojone usta, prosty nos. „Bez zębów”? „Do kąpieli”? Przeklęty Nathan. Ta panna z prowincji była śliczna jak obrazek. Niech to wszyscy diabli!

A ten uśmiech... Odpowiedział uśmiechem, nie mógł się powstrzymać i natychmiast się zachmurzyła, zrobiła marsową minę, bestia przewrotna. Kobiety, kobiety...

- Gdzie się zatrzymałaś, panno Toogood? - Sklął się w duchu: oto zadał pytanie z gatunku tych, które człowiekowi przychodzą na język, kiedy mózg

przestaje pracować. Ledwie się odezwał, wyszedł na głupca.

- Ależ u nas - uświadomiła go matka z niejakim zdziwieniem, że wychowała takiego gamonia. - W głównym domu, ma się rozumieć. Ze mną byłoby jej nudno. Tutaj, w Domku Wdowy, za cicho, za spokojnie dla żywej, ciekawej świata inteligentnej dziewczyny.

- Lubię ciszę i spokój - odparła panna Toogood pospiesznie. - Wychowałam się przecież na wsi. A pokój, w którym mieszkam, wydaje mi się zbyt wspaniały jak dla mnie. Chętnie zamieszkam z panną, gdyby znalazł się tu dla mnie ką.

- Bzdura. - Markiza nie przestawała się uśmiechać. - Jesteś słodka i skromna. Chcę, żebyś miała wszystko, co najlepsze, póki jesteś w Londynie. I żebyś rozpoczęła nowe życie, zanim sezon się skończy. Już o to zadbam. Lord Dominik podziela moją determinację, prawda?

Dominik, z nagłą zagadnięty, na czas powstrzymał się przed szczerą odpowiedzią.

- Mam nadzieję, że będziesz się tu dobrze czuła, panno Toogood - powiedział ostrożnie, a panna Toogood pochyliła głowę.

Cóż za sylwetka, pomyślał z uznaniem Dominik, jaka wdzięczna i proporcjonalna. Generalnie podobaly mu się wysokie kobiety, a panna Toogood odznaczała się niewielkim wzrostem. Trochę mniej niż przeciętnym, powiedzmy. Ale też nic w niej nie było przeciętne.

- Dominiku, mój drogi - odezwała się matka cichym, spokojnym tonem, który nie wróżył nicze-

go dobrego. - Pokaż teraz pani Toogood dom. Heatherly to prawdziwy labirynt, komuś, kto jest tu pierwszy raz, łatwo się pogubić, a ty tak jasno potrafisz wszystko wyłożyć.

- Z największą ochotą, ale... - rozłożył bezradnie ręce - obowiązki wzywają. Spieszę się. Bardzo się spieszę, proszę mamy.

Czemu, na litość boską, reaguje na te pannę jak rozbitek, który po latach samotności powrócił z bezludnej wyspy?

- Nathan wspominał, że jesteś bardzo zajęty, i dodał, że chętnie cię wyręczy w twoich rozlicznych obowiązkach - powiedziała markiza.

- Nathan niech lepiej pilnuje własnego... - Dominik ugryzł się w język, ale co rzekł, to rzekł, stało się. Zobaczył, że panna Toogood oblewa się rumieńcem. Niech to, uraził ją, dał odczuć, że jest mu zawadą.

- Kiedy ma przyjść ta osoba, która szuka miejsca? - zagadnęła lady Granville od niechcienia.

Niewyobrażalne. To woła o pomstę do nieba. Własna rodzicielka go szantażuje!

- Dzisiaj po południu - wycodził i dodał już uprzejmiej: - Proszę ze mną, panno Toogood. Oprowadzę cię po domu. To rzeczywiście prawdziwy labirynt, ale jest co oglądać.

- Miłego zwiedzania - rzuciła za nimi lady Granville. - Lunch zjecie we dwoje w pokoju ogrodowym. Dziś po południu przyjdzie moja krawcowa, pani Neville. Zajmie się garderobą panny Toogood. Ja nie znam się na modzie, zadbaj, Dominiku, żeby wybrała najbardziej awantażowne, najnowsze fasony. Polegam na tobie.

- Proszę mamy... - W głosie Dominika zabrzmiało wyraźnie ostrzeżenie.

- Świetnie sobie poradzisz, mój drogi. Za kilka dni przyjedzie Hattie, to zajmie się resztą, ale musimy mieć kilka toalet na początek. Krawcowa będzie miała listę. Dobrze zważaj na kolory i krój. Prawdę mówią, kiedy powiadają, że jak panna szuka męża, musi pokazać się z najlepszej strony i należy te najlepsze strony u naszej Fleur podkreślić pięknym strojem.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tam, w Domku Wdowy, uśmiechnął się do niej. A może nie?

Fleur zatrzymała się w progu długiej sali na drugim piętrze Heatherly House, odwróciła się i dopiero teraz zrozumiała, dlaczego nie słyszy za sobą kroków lorda Dominika.

Wspomniała nieśmiało, że lubi malarstwo, na co on rzekł krótko „galeria” i wyprowadził ją z najcudniejszej sali balowej, jaką w życiu widziała. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze żadnej nie widziała. Skromna resursa w Sodbury Martyr, gdzie cała okolica zjeżdżała na tańce, nie liczyła się przecież.

Fleur nie słyszała już kroków lorda Dominika, bo zapomniał on, że ma za nią podążać. Stał na środku korytarza ze wzrokiem wbitym w ziemię, zakłopotany, nieobecny duchem. Jaka szkoda, pomyślała, że taki przystojny mężczyzna jest nieszczęśliwy, co jednak ani trochę nie umniejszało jego urody.

Przeciwnie, wyraz zamyślenia na twarzy czynił lorda Dominika jeszcze bardziej pociągającym, o ile to możliwe.

Ocknął się wreszcie i ruszył ku niej powoli, z rękoma założonymi do tyłu, a Fleur czekała cierpliwie, jak przystało układowej pannie.

To był tylko pozór, ponieważ daleko jej było do potulności. Co za zarozumialec! - uznała Fleur. Czy uważa, że jak ma tytuł i pieniądze, to wszystko mu wolno? - zadała sobie w duchu pytanie.

Najpewniej tak właśnie myśli.

- Auu!

Ale z niej gapa; pozwoliła, żeby ją potrafił.

- Przepraszam, milordzie.

Okropność.

Przytrzymał ją za łokieć, kiedy się zachwiała.

- Za co mnie przepraszasz, panno Toogood? Że nie uważałem i zderzyłem się z tobą?

- Powinnaś była się odsunąć, zamiast stać w przejściu - odparła Fleur, na co lord Dominik odpowiedział długim westchnieniem.

- Musisz nauczyć się, jak traktować mężczyzn, panno Toogood. Nigdy, pod żadnym pozorem nie przepraszaj, chyba że inaczej nie można, a już w żadnym razie nie przepraszaj wtedy, gdy sama mogłaś ucierpieć choćby najdrobniejszą niewygodę. Zapamiętaj sobie moje słowa.

- Inaczej mówiąc, milordzie, mam zmienić się w osobę, która wcale mi się nie podoba, tylko po to, żeby zdobyć męża. To niemożliwe - obruszyła się Fleur. - Zostałam wychowana w zupełnie odmiennym duchu.

Lord Dominik ciągle trzymał ją za ramię i stał zdecydowanie za blisko. Fleur zadarła brodę, by spojrzeć mu w twarz. Zawsze żałowała, że nie jest trochę wyższa, ale pewnych rzeczy nie da się zmienić. Można, co najwyżej, wysoko nosić głowę.

- Zasady to rzecz bardzo chwalebna - powiedział, patrząc na nią trochę chmurnie - ale, jak rozumiem, przyjechałaś do Londynu, żeby dobrze wyjść za mąż i tym sposobem poprawić materialną sytuację rodziny.

- To nie był mój pomysł - odrzekła Fleur. Nie mogła powstrzymać się od poinformowania go o tym i zaraz dodała: - Mimo wszystko jestem głęboko wdzięczna markizie za jej dobroć i zamierzam uczynić dla mojej rodziny to wszystko, co jestem w stanie zrobić.

Sposób, w jaki lord Dominik na nią patrzył, kiedy mówiła, jak wpatrywał się w jej usta, zbijał Fleur z tropu, ale nie mogła powiedzieć, żeby jego spojrzenie budziło niemiłe odczucia, wręcz przeciwnie. Nie bardzo jednak wiedziała, co o tym myśleć.

- Gdybyś była moją córką, nie puściłbym cię samej w świat - oznajmił nieoczekiwanie lord Dominik.

- Nie jestem sama - obruszyła się. - Mówisz... mówisz okropne rzeczy, milordzie. Co przez to rozumiesz? I skąd to niby wiesz, co byś robił, gdybyś miał córkę w moim wieku, skoro jesteśmy równolatkami? Prawie równolatkami - dodała skrupulatnie, a wiek nowo napotkanych osób potrafiła oceniać bezbłędnie.

Dominik uśmiechnął się nieznacznie i puścił ramię Fleur.

- Wybacz, jeśli cię uraziłem. Chciałem tylko powiedzieć, że gdyby taka piękna kobieta jak ty była dla mnie kimś ważnym, bałbym się narażać ją na umizgi rozmaitych nicponi, lekkoduchów, łowców posagów, podejrzanego maści galantów, których jednak nie brakuje w londyńskim towarzystwie.

Powiedział, że jest piękna, ale w jego słowach kryła się uszczypliwość.

„Gdybyś była dla mnie kimś ważnym”.

Ma się rozumieć, że była dla niego nikim, ale czy musiał to podkreślać?

- Pod twoją opieką, milordzie, nie muszę się obawiać nicponi, lekkoduchów, łowców posagów i podejrzanego maści galantów, których jednak nie brakuje w londyńskim towarzystwie. - Weźmie ją za impertynentkę. Trudno, lepsze to, niż miałyby wyjść na prowincjonalną gąskę.

- Ile, mówiłaś, masz lat, panno Toogood?

- W ogóle nie mówiłam, milordzie. Dwadzieścia.

- Hm - mruknął, popadając w zadumę. - Ledwie pamiętam, jak to jest mieć dwadzieścia lat.

Zaśmiała się, zasłoniła usta dłonią i wybuchnęła głośnym śmiechem. Uczono ją, że dama musi wiedzieć, kiedy się zaśmiać, i że jej śmiech ma być wdzięczny oraz dźwięczny, ale Fleur nie potrafiła planować swoich reakcji. Kiedy coś było śmieszne, po prostu było śmieszne, i już.

- No proszę, ubawiłem cię. Chociaż muszę dodać, że tego nie zamierzałem. A dwadzieścia lat

miałem, jeśli już o tym mowa, dziesięć lat temu - dodał, wprowadzając Fleur do sali.

- Masz trzydzieści lat? Aż trzydzieści? - zdziwiła się. - Kobiety dojrzewają wcześniej. Zapewne o tym wiesz, milordzie.

- Wiem, że lubisz pojedynekować się na słowa. Można by pomyśleć, że chcesz mnie zirytować, panno Toogood. Co myślisz o naszych obrazach?

Fleur zerknęła na martwą naturę, przedstawiającą bardzo wiernie odmalowaną patere z owocami, i zatrzymała się przed studium portretowym, ukazującym dwie damy: wysoką i znacznie od niej niższą. Obie były ciemnowłose, zwrócone ku sobie, uśmiechnięte.

- Cioteczki Worth. Starsze siostry mojej matki. Mieszkają w Bath, blisko mojego brata Johna. Teraz są już wiekowe, ale ciągle rządzą całą rodziną.

- W takim razie na pewno bym je polubiła - stwierdziła Fleur bez wahania. - Ludzie, którzy mają silną wolę, odmieniają wszystkich wokół siebie. Zauważyłeś to, milordzie?

- Skoro tak mówisz. - Dominik nie wydawał się przekonany. Przeszli jeszcze kilka kroków i wskazał ławkę pod oknem. - Pewnie jesteś jeszcze zdrożna. Dużo podróżujesz, panno Toogood?

- Nie. - Właściwie nie wytykała nosa poza swoją okolicę, a podróż do Londynu była jej pierwszą w życiu, ale o tym zarozumiały lord Dominik nie musiał wiedzieć.

Uniósł lekko brwi. Zdawał się silny, naprawdę silny i zwinny. Trochę ją to niepokoiło, jakby w tej sile i zwinności kryło się dla niej zagrożenie.

- Posłuchaj mnie, panno Toogood - zaczął, stając naprzeciwko Fleur. - Obarczono cię trudnym i ciężkim zadaniem. Rodzina oczekuje, że dzięki tobie polepszy się położenie was wszystkich, a mnie się wydaje, jeśli mogę wyrazić własne zdanie, że to nazbyt wiele, żądać takiego poświęcenia od młodej dziewczyny.

Fleur zaczęła mieć w palcach fałd sukni. Oczywiście nie wiedział, że słyszała, jak mówił o niej, że jest parafialną myszką, jak się burzył, że nie będzie jej poświęcał swojego cennego czasu. Cóż, nie były to miłe słowa, ale też nie dziwiła mu się i nie mogła mieć o to do niego najmniejszych pretensji, że nie w smak były mu matczyne zamiary względem jego osoby.

- Jakim sposobem pani markiza przekonała cię, żebyś się mną zajął, milordzie? - wypaliła i natychmiast się usprawiedliwiła: - Przepraszam, nie powinienam była tego mówić.

- Nie powinnaś, to prawda. Zastanawiam się, dlaczego zatem powiedziałaś, panno Toogood. A twoje pytanie pozostawię, pozwolisz, bez odpowiedzi.

Lord Dominik zamilkł na dłuższą chwilę.

- Wszystko wskazuje na to, że musiałaś usłyszeć fragment naszej rozmowy. - A może całą rozmowę, pomyślał ze złością.

- Usłyszałam tyle tylko, że nie masz dla mnie czasu, milordzie. Nie dziwię się wcale i nie chcę być ci zawadą. Nie musisz się mną zajmować.

Dominik, który do tej pory przechadzał się w tę i z powrotem, stanął raptownie.

- Wybacz, moja panno, ale decyzja nie należy do ciebie.

- Nie chcę być ci zawadą - powtórzyła Fleur z uporem. - Ani tobie, ani nikomu innemu.

- A ja, pomimo wszystko, zajmę się tobą, panno Toogood.

- W żadnym razie.

Usiadł obok niej, a raczej opadł ciężko na ławkę i westchnął.

- Coś muszę ci wyjaśnić. Patrz mi na usta i słuchaj uważnie. Skup się.

Fleur założyła ręce na piersi, zrobiła marsową minę, jedną z tych, które ćwiczyła przed lustrem, ale nie odezwała się słowem.

- W tym domu nie ty decydujesz, co można, a czego nie można. Lady Granville chce pomóc twojej rodzinie, a przede wszystkim swojej starej przyjaciółce, twojej matce. Powiedziałem przed chwilą, że to dla ciebie zbyt wielki ciężar, że za dużo od ciebie wymagają, ale tego nie zmienimy, ja zaś ze swej strony uczynię, co do mnie należy, bo matka rzadko kiedy zwraca się do mnie z prośbą o cokolwiek. Nie odmówię jej w żadnym wypadku, nawet gdybyś protestowała przez następny tydzień.

- Ale ja widzę, że to dla ciebie niepotrzebne obciążenie, milordzie. Nie chcę nikomu zawadzać ani przeszkadzać - powtarzała Fleur.

Lord Dominik uśmiechnął się znowu.

- Będziesz przeszkadzać, to oczywiste. Po to tutaj przyjechałaś. Mam pewien...

- Nie wszystkim mężczyznom żona musi od razu przeszkadzać - odrzekła i dodała ostrym

tonem: - Są tacy, którzy widzą w niej podporę życiową, partnerkę i przyjaciółkę.

W odpowiedzi Dominik zmierzył Fleur baczny spojrzeniem, po czym wyjaśnił:

- Zanim mi przerwałaś, chciałem ci wyjawić, że wpadłem na pewien pomysł. Pozwól mi wybrać kilku kawalerów. Przedstawię ci ich, tak będzie znacznie prościej. To powinno ułatwić ci decyzję. - Dominikowi najwyraźniej spodobał się własny plan, bo zapalał się do niego coraz bardziej. - Tak właśnie zrobimy. Dlaczego nie podejść do sprawy rozsądnie, racjonalnie?

- Jak chcesz dokonać wyboru, milordzie? Nie rozumiem. Nie wiesz przecież, kto może znaleźć uznanie w moich oczach, a kto wręcz przeciwnie.

- Uznanie w twoich oczach, panno Toogood? - powtórzył, jakby nie mógł uwierzyć, że Fleur może mieć własne zdanie w kwestii wyboru właściwego kandydata. - Zdaj się na moje doświadczenie. Wiem już trochę o tobie, o twojej rodzinie, znam wasze położenie... A jak się okaże, że czegoś nie wiem, nie omieszkam uzupełnić wiedzy. Nie zastanawiaj się nawet. Zdaj się całkowicie na mnie. Nie zawiodę cię.

W rzeczywistości chciał sobie oszczędzić czasu i fatygi. Fleur zdjęła czepek i przesunęła palcami po rondku. Skoro nie podobała się lordowi Dominikowi, dlaczego miałyby się spodobać innym?

Prawdziwy ambaras.

Fleur, postrzelona dziewczyno. Chyba nie zainteresowałaś się synem markizy Granville? A może?

- Widzę, że rozważasz propozycję. To mądrze

z twojej strony. Porozmawiam z moim bratem, Nathanem, zapytam o radę. Moi przyjaciele też na pewno przyjdą mi z pomocą. Wspólnie coś uradzimy i wkrótce będziemy bawić się na twoim weselu. Im szybciej, tym lepiej. O wyprawę się nie martw. Krawcowa i Hattie zajmą się wszystkim.

Fleur bała się odezwać, tak była rozeźlona. Co ten człowiek sobie wyobraża?! Co on sobie ubrał w swojej zadufanej głowie? Chce zakładać komitet matrymonialny, żeby wydać ją za męża? Nie zdaje sobie sprawy w jak upokarzającej sytuacji ją stawia?

- Jesteś oszołomiona. Nie dziwi mnie to wcale. Zobaczysz, raz-dwa wydamy cię za męża. W swojej pracy nawykłem do rozwiązywania najbardziej zamkniętych problemów, więc z tym też się uporam.

- W jakiej pracy? - zdumiała się Fleur. Nie dość, że ma pracę, rzecz dla lorda niezwykłą, to jeszcze ma problemy. Ona jest jednym z jego problemów.

- Zarządzam posiadłością matki, ale mam jeszcze inne zajęcie, o którym nie chcę mówić. Dość powiedzieć, że jest poważne i nie pozwala mi marnotrawić czasu na błahostki.

W dodatku jestem błahostką? - Fleur była coraz bardziej zirytowana.

- Milordzie - zaczęła, odsuwając się od Dominika - jestem ci bardzo wdzięczna za troskę i chęć zajęcia się moimi sprawami, ale nie mogę przyjąć pomocy, jaką oferujesz. Nie czułabym się dobrze, wiedząc, że twoi przyjaciele przetrząsają miasto w poszukiwaniu zdalnych do małżeństwa kawalerów. Prawdę mówiąc, wpawiłoby mnie to w autentyczne zakłopotanie.

Lord Dominik machnął lekceważąco dłonią.

- I tu wychodzi twój brak doświadczenia, panno Toogood - stwierdził autorytatywnie. - Rzecz tak zostanie ułożona, byś nie poczuła najmniejszego zakłopotania. Wybrani przez nas młodzi ludzie usłyszą o tobie tyle dobrych rzeczy, że sami będą ustawiać się kolejce, by cię poznać.

- A ja będę musiała oglądać rozczarowanie, malujące się na ich twarzach, kiedy ujrzą, jak bardzo różnię się od danych im opisów. Bardzo dziękuję. Chyba że lojalnie uprzedzisz każdego z nich po kolei, iż nie mam grosza przy duszy i nie dostanę żadnego, ale to żadnego posagu.

- Spokojnie, spokojnie. Na to przyjdzie czas później. Kiedy już znajdzie się kandydat, który zadurzy się w tobie bez pamięci.

Fleur odwróciła głowę, ale Dominik zdążył jeszcze dojrzeć jej gorzki uśmiech.

- Wątpię, by pani markiza, twoja matka, była zachwycona, gdy usłyszy, jak niekonwencjonalnie podszedłeś do rzeczy. Rozumiem, że zamierzasz zapraszać tutaj kawalerów, ja mam bawić ich rozmową, a ty tymczasem będziesz nas pilnował?

- Dopóki Hattie nie przyjedzie.

Fleur zmierzyła lorda Dominika ponurym spojrzeniem i z niejakim uznaniem stwierdziła, że się zaczerwienił. Przynajmniej miał tyle przyzwoitości.

- Co powie lady Granville, kiedy odkryje, jakiego fortelu się chwyciłeś?

- Matka o niczym nie musi wiedzieć. Pomyśli, że nie tylko wprowadzam cię do towarzystwa, ale

dotatkowo umilam czas, zapraszając gości do domu. Tak to urządzę, że wszyscy będą zadowoleni.

Inaczej mówiąc, zamierzał po prostu oszukać własną rodzicielkę.

Fleur stanęła przed oczami rodzinna plebania: stare, ale zadbane sprzęty, ogień w kominku w bawialni, siostry pochylone nad robótkami czy zajęte jakąś grą, a może pisanie listu do niej. Tak bardzo za nimi tęskniła. Gdyby znalazła odpowiedniego kandydata na męża, człowieka godnego, z dobrej rodziny i nieźle sytuowanego, przed dziewczętami otworzyłyby się całkiem inne możliwości, a i rodzicom lżej by się żyło. Leticia była zakochana w paniczku z sąsiedniego majątku, ale nikt nie wiedział, czy coś z tego będzie.

- Chodźmy. Robi się późno. - Lord Dominik wstał i wyciągnął dłoń. - Pora na lunch. Nasza kucharka to prawdziwy geniusz.

- Jadłam już śniadanie przez nią przygotowane i w pełni zgadzam się z tą opinią - przytaknęła Fleur. - To rzeczywiście geniusz.

- Nakryto dla nas w pokoju ogrodowym - ciągnął Dominik. - Jest cała amfilada pokoi, wzdłuż ogrodowej elewacji. To pomysł mojego pradziada, prawdziwego znawcy architektury, który miał swój udział w projektowaniu Heatherly.

- Lordzie Dominiku. - Fleur musiała powiedzieć to, co miała do powiedzenia, natychmiast. - Proszę, nie czyn żadnych kroków, póki nie rozważę twojej propozycji. Poza tym, zanim pokażę się ludziom, muszę mieć kilka przyzwoitych sukien, jeśli nie chcę przynieść wstydu twojej matce. Dzisiaj skupię

się na uzupełnianiu garderoby. Działajmy powoli. Nie nawykłam robić zamieszania wokół swojej osoby.

- Doskonale. Nie będę na razie rozmawiał z przyjaciółmi o naszych zamiarach. Dzień, dwa mogę się wstrzymać.

- Nie słuchasz tego, co mówię. - Fleur z trudem hamowała gniew. - Powiedziałam, że muszę się zastanowić... nad twoim pomysłem.

Lord Dominik wydał lekko usta.

- Jak sobie życzysz, uważam jednak, panno Toogood, że im szybciej przystąpimy do realizacji planu, tym lepiej. Na co tu czekać, po co zwłóczyć?

- Zważ, że mówimy o czymś, co ma zaważyć na całym moim życiu. To doniosła decyzja. Nie mogę pozwolić sobie na najmniejszą pomyłkę.

Na pierwszym piętrze, gdzie mieściła się sala balowa i sale recepcyjne, Fleur przystanęła.

- Mój pokój jest tutaj. Na końcu tego korytarza w prawo. Pójdę odpocząć.

- Ale lunch... Mieliśmy przecież zjeść razem. Już dla nas nakryto...

- Jesteś potężny, silny, musisz dużo jeść. Kucharka na pewno się nie pogniewa, jak zjesz za nas dwoje, ja teraz nie przełknęłabym kęsa. Poza tym masz swoje zajęcia, nie chcę cię dłużej zatrzymywać - wykręcała się nieskładnie Fleur. - Widziałam, jaki byłeś przerażony, kiedy matka prosiła, żebyś nam asystował, gdy przyjdzie krawcowa. Zupełnie zbytecznie. Krawcowe wiedzą wszystko o strojach, poza tym twoja matka dała jej listę, to wystarczy. Nie będziesz potrzebny, milordzie. - Cofnęła się

o krok. - Bardzo dziękuję, że poświęciłeś mi swój cenny czas. Obiecuję sprawiać ci możliwie jak najmniej kłopotu, milordzie. Do widzenia tymczasem.

- Fleur, zaczekaj. - Zaskoczył ją, zwracając się do niej po imieniu. - Naprawdę chcę zjeść lunch w twoim towarzystwie.

A niech to!

Głos Dominika zabrzmiał zupełnie szczerze. Nieśforny kosmyk opadł mu na czoło, nadając twarzy chłopięcy wyraz. Uśmiechnął się ciepło. Czemu jest tak uroczy? Prawdziwy złodziej serc. Ma się rozumieć, że jej serca nie ukradł, ale Fleur zaczynała czuć do niego pewną, jak by tu rzec, sympatię.

Pułapka.

To jasne, że zastawiał chytrą pułapkę, w którą miała wpaść naiwna prowincjuszka.

- Dziękuję - rzekła. - Jestem bardzo zmęczona. Albo, jak sam to przed chwilą trafnie określiłeś, oszołomiona. Muszę odpocząć, milordzie.

- Czuję się bardzo zawiedziony, nie ukrywam, ale rozumiem i więcej nie nalegam. Chciałbym ci przedstawić mojego brata Nathana, średniego z naszej trójki. To dobry chłopak, chociaż lekkoduch, przez co trwoni swoje talenty. Jest serdeczny, wielkoduszny, na pewno go polubisz.

- Chętnie go poznam - odparła Fleur z uprzejmą powściągliwością.

- Tak, poznasz go niebawem. A tymczasem, jeśli nie chcesz zjeść ze mną, poproszę, żeby przyniesiono ci lunch do pokoju. Nie możesz cały dzień żyć tylko śniadaniem. - Ujął jej dłoń. - Jesteś odważna

i silna, przy tym stanowcza. Podoba mi się to. Wiele jeszcze jest do zobaczenia w naszym Heatherly. Obiecuję, że dokończymy zwiedzania.

- Będzie mi bardzo miło - powiedziała Fleur, starając się, by zabrzmiało to lekko i gładko, choć ogarnęło ją wzruszenie.

Uniósł jej dłoń do ust i ucałował każdy palec po kolei.

Był biegły w sztuce uwodzenia i teraz praktykował na niej swój kunszt. Z powodzeniem, musiała przyznać w duchu Fleur.

- Pójdę już - powiedziała. - Miłego lunchu. - Nie zastanawiając się, co robi, teraz ona zbliżyła jego dłoń do ust i ucałowała.

- Gdyby szło o inną kobietę, powiedziałbym, że ze mną flirtuje - rzekł lord Dominik. - Ty, moja droga panno Toogood, jesteś po prostu sobą.

Była czy nie była sobą, nie miała nic poza swoją listą i powinna raz jeszcze skrupulatnie ją przejrzeć, ba, nauczyć się jej na pamięć, żeby nie popełnić głupstwa.

- Do widzenia - powiedziała i ruszyła pospiesznie do swojego pokoju.

Oto prawdziwy ambaras.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wystarczająco długo zachowywał incognito, chociaż i tak nigdy nie zamierzał odkryć swojej tożsamości, wyjawić, kim jest naprawdę. Aż tak szalony nie był, by zrzucić maskę.

Chodziło o coś innego.

Jego imię, jego przybrane imię, powinno roznieść się pośród wrogów, a wrogiem był dla niego każdy. Nie spocznie, dopóki cały Londyn nie będzie drżał ze strachu na dźwięk owego imienia.

- Nie śpisz, mały?- zwrócił się do chłopca, który leżał na kozetce w alkowie oddzielonej od pokoju ciężką kotarą. - Uważaj, jesteś zdany na moją łaskę. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Tak, panie.

- Chcę, żeby o mnie szeptali. Niech o mnie wiedzą, ale niech myślą, że niebezpieczeństwo, które przynoszę, skierowane jest przeciwko innym, nigdy przeciwko nim samym i ich najbliższym.

Nawet ci, którzy już poczuli, co potrafię, i zapłacili okup za swoje córki, będą udawali, że ich to nie dotyczy.

- Tak, panie.

Tak, chciał, by o nim mówili, by szerzyła się przyprawiająca o dreszcz zgrozy plotka na jego temat.

Ach, nie mógł doprawdy życzyć sobie lepszej sytuacji. Plan rozwijał się nadzwyczaj pomyślnie, a osoba współdziałająca, bo miał taką, łaknącą zemsty na londyńskim wielkim świecie tak samo gorąco jak on. Prawie tak samo, ale i to było dość. Trudno wyobrazić sobie bardziej zdeterminowany, zawzięty, gotowy na wszystko, siejący zło tandem niż oni.

Kto by pomyślał, że wygórowane ambicje i skrywane rozczarowania dadzą mu tak cennego sprzymierzeńca? Doprawdy los mu sprzyjał.

Wolność. Tak, był wolny, cudownie wolny, a jego fortuna powiększała się z każdym dniem. Jeszcze jedna, dwie gołąbeczki i koniec przygód. To będą jego ostatnie ofiary. Tajemniczy mściciel zniknie. Chyba że kiedyś jeszcze, w nieokreślonej bliżej przyszłości, najdzie go kaprys przypomnieć Londynowi o strasznych zdarzeniach roku 1815.

Rodzice, w strachu o dobre imię córek, opłacali mu się hojnie, byle nikt nie wiedział, że ich kochane dziewczynki ktoś uprowadził, że ktoś, jakiś mężczyzna, przetrzymywał je w swoim domu. A on, Le Chat Soyeux, z największą chęcią przyjmował szczerne daniny za swoje milczenie. Klasnął w dłonie i okręcił się wokół własnej osi.

Le Chat Soyeux. Jedwabisty Kot. Doskonałe imię, nie mógł wymyślić lepszego.

Dość ukrywania się. Wreszcie nadszedł czas rozpuścić w wielkim świecie pogłoski: niech „jego panny” i ich rodziny pocą się i drżą ze strachu, że ujawni ich nazwiska, zrujnuje raz na zawsze ich reputację.

Na samą myśl o tym ogarniało go rozkoszne podniecenie.

Kręcone schody wiodły z salonu do pokoju z pozytywkami. Oto jego cudowna samotnia. Kto by odgadł, że wewnątrz starych magazynów ze ślepy mi od kurzu oknami mieści się taka rezydencja, prawdziwy klejnocik? Niewielka, to prawda, ale śliczna. Nie na darmo sprowadził budowniczych i rzemieślników z kontynentu i odesłał natychmiast, kiedy skończyli swoje dzieło. Starannie zatartł wszystkie ślady.

- Nie idź za mną - powiedział do chłopca i kopnął go na odchodnym.

Harry Przybłęda zdusił okrzyk bólu, zwinął się w kłębek.

- Nie, sir- wykrztusił.

Kot mógł zapomnieć o chłopaku do czasu, gdy ten znowu będzie mu potrzebny.

Wirując, krążył po pokoju i zatrzymywał się co chwila, by w kolejnych lustrach sycić wzrok swoim nowym kostiumem.

Niezadowolony z makijażu, podbiegł do stolika ze słoikami, nałożył na policzki, czoło, brodę i nos jeszcze jedną warstwę białego mastyksu, po czym przysiadł na taborecie i stopą obutą w czerwono-

-złoty trzewik na obcasie zaczął wybijać rytm o podłogę, czekając, aż mazidło wyschnie.

Teraz mógł podkreślić ciemnym różem kości policzkowe i usta. Usta, koniecznie! Całości dopełniła czarna muszka nad wargą i czarne kreski brwi. Jeszcze biały puder na rzęsy i maska gotowa.

W lustrze pojawił się Różowooki, jego nocne alter ego.

Początkowo, kiedy tylko wpadł na pomysł rozpuszczenia pogłosek na swój temat, chciał nawet użyć tego przydomka, ale szybko zrezygnował, uznając je za zbyt wydumane. I nieestetyczne, a on był esteta.

Jedwabisty Kot - wkrótce ten przydomek będzie na ustach wszystkich.

Zachwycała go biała peruka, długa do ramion, cała w loczkach, ze zwiniętą w przemyślny rulonik grzywką na czole. Ustrojony był w białe jedwabne pończochy, białe, bufiaste pluderki z atlasu, do tego w czerwono-złotą kamizelkę i kaftan ciemnoczerwony, bogato haftowany złotem. Prezentował się doskonale. Może nie był zbyt wysoki, to prawda, ale też nikt nie mógł mu zarzucić, że jest mikrej postury.

Jego informator się spóźnił. Jedwabisty Kot odął usta, niezadowolony. Nie wolno go zawodzić. Jeśli coś podobnego się powtórzy, będzie musiał pokazać ciemną stronę swego oblicza - znowu. Widać dwa razy to nie dość.

Wiadomości, których oczekiwał, były mu niezbędne, ale trudno, zaczeka, jeśli trzeba. Będzie rozmyślał o kolejnej pannie na wydaniu i cenie,

której zażąda za jej „bezpieczny” powrót do rodzinnego domu.

Tak, tym razem rozegra to inaczej, wprowadzi innowacje do swojego misternego planu. Tym razem dopilnuje, by rozeszły się na jej temat- na jego temat - pogłoski po całym Londynie.

Zaśmiał się radośnie, widząc już oczami wyobraźni, jak rodzina panny przyłącza się do szeptów o Jedwabistym Kocie, skrzętnie ukrywając fakt, że ich córka wpadła w jego łapy. Będą musieli kłamać i udawać, że ich rzecz nie dotyczy. Wszystko zrobią dla dobra dziewczyny!

Hi, hi!

Cóż za pyszna zabawa. Trzymał wszystkich w szachu. W swoich kocich łapach, można powiedzieć.

Dzisiaj wieczorem, jutro najpóźniej, zacznie się nowy etap. Może zamiast jednej, zwabi do złotej klatki dwie gołąbeczki, nie równocześnie, o nie. Będzie je tu przywoził po kolei. Choćby tylko dla doskonalenia techniki, biegłości w sztuce zastraszania.

Niech Anglia drży o bezpieczeństwo swych cór, bo Kot czyha.

On pragnie pieniędzy.

On chce poczuć swą władzę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Fleur stała na środku swojej sypialni i przyglądała się z uwagą rycinie z żurnala mód, którą podsunęła jej pani Neville, krawcowa.

- Doskonała suknia na wieczór - zachęcała pani Neville. - Fałda z tyłu, głębokie wycięcie i szarfa. Najmodniejszy krój.

- Uhm. - Fleur czuła, że znowu się czerwieni. Od momentu gdy wpadło jej do głowy ucałować dłoń lorda Dominika, rumieniec co chwila pojawiał się na jej twarzy. Lord Dominik potrafił być miły, owszem. Mogła zjeść z nim lunch, zamiast uciekać jak dziecko. Co też w nią wstąpiło?

Pani Neville czekała cierpliwie.

- Podoba mi się bardzo ta suknia - powiedziała wreszcie Fleur, zdobywając się na uśmiech. - To wszystko? Jestem już wolna?

- Wolna? Jakże to? Nawet nie zaczęłyśmy, proszę panienki. Trzeba jeszcze wybrać inne stroje, no i muszę zdjąć miarę z panienki, to podstawowa rzecz.

- Oczywiście, oczywiście. Przepraszam. W ogóle nie myślę. - Prawdę mówiąc, Fleur myślała aż nazbyt intensywnie.

- Ja wiem, to bywa męczące - odparła pani Neville ze zrozumieniem.

Fleur skinęła głową.

Dlaczego ta kobieta, na litość boską, nie potrafi dostrzec, że ubiera wieśniaczkę, prowincjuszkę? Wszyscy inni od razu widzieli, z kim mają do czynienia, tylko ona jedna nie.

- Pozwolę sobie przygotować kilka strojów dla panienki. Jak się spodobają, to je dopasujemy. Pani markiza opisała mi panienkę dokładnie. Słowo daję, przedstawiła jak żywą, ale wiadomo, lady Granville ma malarskie oko.

- Widziała pani kiedyś jej obrazy? - zapytała Fleur z ożywieniem. Miała nadzieję, że sama pewnego dnia będzie mogła je ujrzeć.

- Co to, to nie. Od lat szyję dla niej suknie, ale nigdy nie byłam w pokoju, w którym lady Granville maluje. W studio, znaczy się. Jaśnie pani nikomu nie pokazuje swoich obrazów, nawet mówić o nich nie chce, ale panienkę odmalowała mi tak trafnie, że nic dodać, nic ująć. Co panienka o tym myśli?

Z dużego płóciennego worka pani Neville wyciągnęła połyskliwą suknię w wielobarwne pastelowe pasy.

- Francuski jedwab, prosto z Paryża. Niech panienka przymierzy.

- Bardzo piękna - orzekła Fleur, przeglądając się w lustrze. - Tylko ten dekolt... - Zawahała się. - Nie myśli pani, że jest trochę...

- Nie - stwierdziła krótko krawcowa i dodała: - Przy takiej kształtnej figurze, jak panienki, czemu by nie odsłonić tego i owego? Niech panienka stoi teraz spokojnie, to zaznaczę, co trzeba poprawić.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wpadła Blanche, szepnęła coś krawcowej na ucho, ta skinęła głową i dziewczyna, zaróżowiona z podniecenia pobiegła z powrotem ku drzwiom.

- Proszę wejść, milordzie - rzuciła i ustawiła fotel dla lorda Dominika, tak by siadając za Fleur, w najdogodniejszym miejscu, mógł widzieć jej odbicie w lustrze.

Z bijącym sercem Fleur patrzyła, w tym samym lustrze, jak jego lordowska mość przemierza pokój i sadowi się w fotelu. Wiele jeszcze będzie musiała ćwiczyć, by stroić prawdziwie marsowe miny, pomyślała z rezygnacją.

- Dziękuję - powiedział Dominik do Blanche, która najchętniej zostałaby w pokoju, i wreszcie spojrzął na Fleur. Założył ręce na piersi, wyciągnął nogi i skrzyżował stopy. - Miło cię widzieć znowu, panno Toogood. - Jakby na potwierdzenie tych banalnych skądinąd słów, przechylił głowę i zmierzzył ją uważnym, bardzo uważnym spojrzeniem, od stóp do głów.

- Podziw bierze, że wasza lordowska mość tak się interesuje strojami panienki - zauważyła pani Neville, dygając. - Pani markiza wspominała mi, że jego lordowska mość koniecznie chciał być obecny przy wybieraniu toalet dla panny Toogood.

Zaraz mu przypomnę, że wyraźnie go prosiłam, by nie przychodził, zżymała się Fleur w duchu.

Musiałyby być ślepa, by nie widzieć, że lord Dominik wcale nie ma ochoty uczestniczyć w królewskich ceremoniałach. Co jednak najbardziej ją zdumiało, to fakt, że pani Neville całkiem naturalnie przyjęła pojawienie się lorda Dominika. Widać w Londynie obecność panów na podobnych sesjach nie była niczym nadzwyczajnym. W Londynie wszystko toczyło się inaczej.

- Za dużo - oznajmił nagle, zdawałoby się bez związku, ale pani Neville widać zrozumiała w lot, o co mu chodzi, bo dygnęła znowu i powiedziała:

- Oczywiście, jego lordowska mość ma absolutną rację, ale niech lordowska mość pamięta, że to dopiero pierwsza przymiarka. Zaraz dopasujemy suknię i będzie leżała na panience jak ulał - odrzekła po czym zajęła się dopasowywaniem kreacji.

- A ty co myślisz? Podoba ci się? - zagadnął lord Dominik, chwytając spojrzenie Fleur w lustrze.

- Owszem, milordzie. Śliczna. Najładniejsza suknia, jaką kiedykolwiek miałam.

- Na tobie każda będzie wyglądała ślicznie - powiedział, nie wiedząc czemu robiąc przy tym posępną minę. - Jesteś piękna. Pamiętaj o tym. Kiedy pojawisz się na salonach, wszyscy będą o tobie mówić. Masz ładną postawę, miły głos. Hattie, moja bratowa, udzieli ci różnych niezbędnych dla panny wskazówek. Chodzi o to, by przyciągać spojrzenia, a ty na pewno będziesz je przyciągać.

Fleur serce zabiło jeszcze mocniej.

- Dze de ai aje,

- Ludzie będą ciekawi, kim jesteś, skąd pochodzisz, kim są twoi rodzice. Czasami będą zadawać ci pytania, które mogą wydać się niegrzeczne.

- Jestem dumna z tego, kim jestem - odpowiedziała Fleur z godnością, a lord Dominik wreszcie się uśmiechnął.

- Sądziłem, że usłyszę z twoich ust podobną deklarację, ale radziłbym ci mówić, że jesteś sierotą po bratowej mojej matki, obecnie pod jej opieką. Kiedy ktoś powie, że nie słyszał, by moja matka miała brata, wyjaśnisz, że zmarł w Indiach, na krótko przed twoim przyjściem na świat. Zabity przez Sikha. A kiedy niedawno twoja biedna matka dokonała żywota, przyjechałaś do nas. Mów, że markiza widzi w tobie córkę, której sama nie ma.

- Wykluczone! - odparła Fleur z oburzeniem.

- Takiej odpowiedzi właśnie oczekiwałem. Zaczynam bezbłędnie odgadywać twoje reakcje. A podsunęta przeze mnie historia jest prawdziwa, tyle tylko, że ani ty nie odgrywasz w niej żadnej roli, ani brat matki nie miał dziecka. A teraz wróćmy do sukien. Zróbże stanik bardziej dopasowany, Neville.

- Nie będę mogła oddychać - zaprotestowała Fleur. Już nie wspomniała, że dekolt jest zbyt głęboki, i jeśli jeszcze bardziej dopasować stanik, to ciało po prostu nie będzie miało miejsca dla siebie w okowach miękkiej skądinąd materii.

Czyżby dojrzała na ustach lorda Dominika uśmiešek?

Owszem, uśmiechnął się i na wszelki wypadek opuścił głowę, ale i tak nie zdołał przed nią ukryć tej

miny człowieka wielce zadowolonego z siebie. Nicpoń! Znów bawi się jej kosztem.

Tymczasem pani Neville posłusznie dopasowała stanik, jak jej kazano.

- Tak niedobrze, za ciasno - stwierdziła Fleur stanowczym tonem.

- Doskonale, Neville - powiedział lord Dominik i zwrócił się do Fleur: - Suknia bardzo ładnie leży, panno Toogood. Pamiętaj, kobieta stroi się dla mężczyzny, nie dla siebie, i jako mężczyzna powiem ci, że...

Fleur przerwała mu w pół zdania:

- ...że kobieta ma czuć niewygodę, by podobać się mężczyznom?

- Czujesz niewygodę? Suknia cię pije?

- Mężczyźni - zachnęła się, mocno już poirytowana. - Czy zawsze musicie odpowiadać pytaniem na pytanie? Są inne jeszcze, dużo gorsze rodzaje dyskomfortu niż niewygodą czysto fizyczna.

- Czyżby suknia uwierała cię jakoś inaczej niż na ciele? Chyba nie na umyśle?

Nie da mu się zapędzić w kozi róg, tym bardziej że żart był mało wyszukany.

- W pewnym sensie. Można powiedzieć, że na umyśle. Na myśl, że pokażę się ludziom prawie naga, głowa zaczyna mnie boleć.

- Bo też zważ, że nie suknia zdobi człowieka. - Lord Dominik rzucił kolejną facecję z gatunku ani subtelných, ani dowcipnych, a mimo to uśmiechnął się szeroko. Bawiło go widać znęcanie się nad ludźmi, których uważał za bezbronnych.

Sytuacja stawała się nieprzyjemna, ale Fleur

potrafiła walczyć. Pokaże mu, jak pobłądził. Jego lordowska mość przekona się, że parafialna myszka ma własne zdanie i że nie będzie zabawką w jego rękach. Pozostawało jej tylko znaleźć po temu sposobność.

- Panienska jest taka szczuplutka. - Pani Neville objęła Fleur w talii, jakby ta była żywym manekinem. - Piękna linia.

- Widzę, widzę - przytaknął Dominik z aprobatą i znawstwem.

Dość się już napatrzył i zbyt wiele widział. Fleur pomyślała, że koniecznie powinna uzupełnić swoją listę cech pożądaných u przyszłego męża o jeszcze jeden ważny punkt. Mężczyzna jest istotą słabą, ale i on ma szansę na poprawę, jeśli będzie się modlił i doskonalił duchowo.

- Tutaj też niewiele ciała. - Pani Neville położyła teraz dłonie na biodrach Fleur. - Zaprawdę, dzisiejsza prosta moda pomyślana jest w sam raz dla takich dam jak panna Toogood. Pięknie podkreśla wiotką sylwetkę.

- Też tak uważam - zgodził się lord. - Masz klejnoty, panno Toogood?

Patrzył na nią tak jakoś... Miała to określić gorącym spojrzeniem? Nie powinna brać tych spojrzeń poważnie. Tym bardziej swoich na nie reakcji. To przecież lord Dominik, a nie kandydat na męża. Roić sobie romantyczne myśli na jego temat, odczuwać cielesną przyjemność, jaką te rojenia wywoływały? Nie, to próżne, czcze zajęcie, powiedziała sobie stanowczo.

- Panno Toogood? Pytałem, czy masz klejnoty - powtórzył lord Dominik.

Czy powinna mu powiedzieć, że jego obecność w czasie przyimiarki jest niepożądana, a wszelkie pytania nie na miejscu?

- Co pani myśli o aksamitce, pani Neville? - zagadnęła, rozmyślnie ignorując Dominika. - Wąska czarna aksamitka z wpiętą w nią niewielką broszą albo atłasową różą wyglądałaby bardzo efektownie na szyi. Mam złotą broszę z perłą. Mama mi ją dała. Należała jeszcze do mojej babki. Znam różne sposoby upiększania stroju tanim albo żadnym kosztem.

Pani Neville nie odpowiedziała, ale na jej policzkach pojawiły się wypieki, a twarz, jeśli zapomnieć o wypiekach, oczywiście, przestała wyrażać cokolwiek. Fleur była pewna, że krawcowa z przejęcia wstrzymała oddech. Nie mieściło się jej w głowie, żeby tak zlekceważyć jego lordowską mość.

Lord Dominik poruszył się w fotelu, oparł łokcie na kolanach i nachylił się do przodu.

- Cenię wyobraźnię i pomysłowość - powiedział i Fleur pokraśniała.

- W zeszłym roku na tańcach w Sodbury Martyr, gdzie mieszkam, wystąpiłam w sukni mojej siostry Leticii. Suknia całkiem prosta, skromna, ale z dobrego materiału. Jasnozielona. U dołu zrobiłam szczypanki. - Fleur pochyliła się, chwyciła kraj spódnicy i pokazała, o co chodzi. - Doszyłam zielone kokardy i suknia od razu nabrała całkiem innego wyglądu.

Ciągle trzymając kraj spódnicy, spojrzała na panią Neville, potem na lorda Dominika.

Wpatrywał się intensywnie z pewnością nie w jej twarz.

Fleur, wściekła i zakłopotana, wyprostowała się natychmiast, kładąc dłoń na dekolcie. Mężczyźni są jednak prymitywni, pomyślała. Powinni się modlić, jeszcze raz modlić. Małżeństwo, rodzina, dzieci, to wszystko też jest dla nich ratunkiem. Rodzina daje poczucie stabilizacji, zmienia spojrzenie na życie, uczy człowieka cenić je, tak jak uczy szanować innych. Papa to często powtarzał, a on nigdy nie kłamie.

- Żałuję, że nie widziałem cię w tej zielonej sukni z kokardami i szczypankami. Neville powinna uszyć ci coś zielonego. - Chyba zrobiło mu się nijako, bo starał się być miły.

- Przywiozłam ją ze sobą - oznajmiła Fleur, zadowolona, że nie wyszła na osobę, której kosztem można się bawić.

- Tak? To świetnie - ucieszył się nagle lord Dominik. - Chciałbym zobaczyć, dokąd mi sięgasz, kiedy staniemy obok siebie - dodał ni stąd, ni zowąd.

Fleur rozłożyła szeroko ręce i uśmiechnęła się kpiąco.

- To cała ja, proszę bardzo. Chciałabym być trochę wyższa, jak moja siostra Leticia, która ma bardzo wdzięczną postać.

- Ty też masz wdzięczną postać. Zobaczmy. Mężczyzna nie musi być wiele wyższy od żony, ale nie chciałabyś pewnie mieć niższego od siebie męża, szczególnie kiedy sama jesteś niewysoka.

Fleur pamiętała, by ściągnąć brwi, i z taką miną podeszła do lorda Dominika.

- Hm - mruknął, kiedy wycięcie jego kamizelki znalazło się na linii jej wzroku.

Jego lordowska mość miał szeroką klatkę piersiową. Imponującą klatkę piersiową, można powiedzieć.

- Spójrz na mnie, panno Toogood - poprosił.

Fleur podniosła głowę i Dominik objął ją w pól.

- I jak się czujesz przy takim wielkoludzie? - zapytał ze śmiechem.

- Lubię mężczyzn dużych i silnych - odparła, mając świadomość, że rozmowa staje się zbyt osobista.

- Dużych i silnych, powiadasz? Hm. Niech i tak będzie. Przynajmniej nie ukrywasz swoich gustów. Zatem starający się o twoją rękę powinien być duży i silny. Zapamiętam to sobie.

Obrócili się kilka razy w improwizowanym tańcu bez muzyki. Fleur wbiła spojrzenie w kamiczelkę Dominika. Nie umiała zapanować nad gwałtownymi doznaniem, jakie budziła w niej bliskość tego mężczyzny. Doznaniem i pragnieniami. Miała nieprzewartą ochotę przywrzeć do niego całym ciałem, objąć go mocno, złożyć głowę na jego piersi, zamknąć oczy i zapomnieć o całym świecie.

Wiedziała, że tego nie uczyni, a taniec trwał już nazbyt długo.

- Teraz już wiesz, jaka jest między nami różnica wzrostu, milordzie - oznajmiła, cofając się o krok. W każdym razie usiłując się cofnąć, bo lord Dominik nie był wcale skory wypuścić jej z objęć.

- Myślę, że wiem o tobie o wiele więcej - powiedział z poważną miną.

Fleur bardzo w to wątpiła.

- Podnieś brodę - poprosił. Kiedy to uczyniła, przesunął delikatnie, powoli palcem po jej szyi.

- Gładka, jedwabista skóra. Wspaniała. Zadbam, byś znalazła kawalera, który będzie ciebie wart. Wart zarówno twojego umysłu, jak i ciała. Takiego, który potrafi w pełni docenić wszystkie twoje zalety.

- Dość tego. Mówisz o mnie, jakbyś wystawiał prosię na targu na-sprzedaż - zachnęła się Fleur, na co lord Dominik odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jesteś cudowna. Nic dziwnego, że matka tak cię polubiła. Ufaj mi, zdaj się na mnie, a wszystko pójdzie dobrze. Będę twoim opiekunem.

Bardzo niebezpiecznym opiekunem, pomyślała Fleur i przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. W ogóle nie powinna myśleć o lordzie Dominiku.

Jakim też byłby kochankiem? Czuję, uważnym? Och, przy najbliższej okazji musi przeprowadzić solidny rachunek sumienia. Stanowczo za dużo romansów czyta, należy z tym skończyć.

Tymczasem lord Dominik cały czas trzymał dłoń na jej szyi.

- Jesteś stworzona do tego, by cię wielbić i zachwycać się tobą. Musimy tylko zadbać o godną tego piękna oprawę. Neville, uwijaj się i pamiętaj, by dobrze dopasować każdą suknię.

Podszedł do łóżka i zaczął oglądać przyniesione przez krawcową materiały: jednego dotknął, przy innym się skrzywił, w końcu zatrzymał uwagę na ciężkim, złocistym jedwabiu.

- Uszyj coś z tego. Pięknie podkreśli rude włosy. A i coś czerwonego, koniecznie. Chciałbym ją zobaczyć w czerwieni.

- W czerwieni, milordzie?

- A jakże, w czerwieni, Neville. Muszę już iść i tak za długo tu zbałamuciłem.

Dominik odwrócił się i wyszedł.

Na schodach spotkał Nathana.

- Gdzieś ty się podziewał? - zawołał brat na jego widok.

- Byłem u panny Toogood. Przymiarka krawiec-ka, rozumiesz. Neville ma przygotować dla niej kreacje, a ja doradzałem.

Nathan westchnął, zrobił współczującą minę i pokiwał głową. Trzeba przyznać, że środków ekspresji mu nie brakowało.

- Biedaku. Jaka ona jest? Prowincjonalna gąska i pewnie do tego brzydka?

Dominik miał już ochotę powiedzieć, że owszem, gąska i do tego brzydka, ale powstrzymał się w ostatniej chwili, bo kłamstwo byłoby aż nadto grubymi nićmi szyte.

- Gładka panna, bardzo gładka, ale że prowincjuszka, nie zaprzeczę. Całkiem bez obycia, bez pojęcia, jak się poruszać w świecie. Szczęście, że Hattie przyjeżdża, ona akurat z własnego doświadczenia wie, co to znaczy uczyć się manier.

- Tak, ale Hattie jest najcudowniejszą istotą, jaką znam.

Dominik uśmiechnął się.

- Owszem. Uroda bardzo pomaga dziewczynie, kiedy brak jej dobrego pochodzenia i śmiałości.

Nathan spojrział na brata przeciągle.

- Panna Toogood jest więcej niż gładka, przyznaj? - zagadnął z niekłamany zainteresowaniem.

- Przyznaję. Nie mam czasu, żeby z nią bywać na salonach, ale jedno ci powiem: na twoim miejscu czułbym się zazdrosny, że matka mnie zleciła to zadanie.

- Nie mów - mruknął Nathan smętnie, po czym coś sobie przypominając, chwycił brata za ramię. - Opowiadasz mi tu o paninie Toogood, a tam ktoś czeka na ciebie w gabinecie. Zgadnij kto?

Dominik pokręcił bezradnie głową.

- Podpowiem ci: porwana przez tańczącego fircyka z wymalowanym obliczem.

- Jako żywo, urwę staremu McGee głowę - zirytował się Dominik i ruszył na dół. - Powiedziałem mu jasno i wyraźnie, że ma prowadzić Jane Weller prosto do matki. Nie chciałem, żeby ją tu ktoś zobaczył.

- Panna Weller jeszcze nie przyszła, chociaż tylko jej patrzeć, i w tym cały szkopał, bracie. Musimy coś wymyślić, bo w gabinecie czeka na ciebie Gussy Arbuthnot, najserdeczniejsza przyjaciółka panny Victorii Crewe-Burns.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

McGee z urażoną miną wycofał się do swojej niszy w sieni, gdzie zwykle trzymał straż.

- No i mamy kłopot. - Nathan westchnął. - Złóścisz się bez potrzeby, że McGee nie słucha poleceń, kiedy wiesz, iż każde wypełnia jak najbardziej solidnie. Nie mógł prowadzić panny Weller do matki, skoro dziewczyna jeszcze się nie pojawiła.

Dominik chwycił brata za ramię i wepchnął w cień pod schodami.

- Czekaj tutaj - syknął. - Jak tylko Jane Weller przyjdzie, łap ją i prowadź natychmiast do Domku Wdowy. Rób, co chcesz, ale Gussy za nic w świecie nie może jej tutaj zobaczyć.

- Jak to, łap i prowadź? Narobi rabanu. Nie wzięłeś tego pod uwagę?

- To jej zatkasz buzię dłonią i uspokoisz. Powiedz, że brat Just cię przysyła i że nie wolno jej wspominać tego imienia. Potem uświadom jej, że

Gussy, przyjaciółka jej panienki, jest obecna w tym domu. Dziewczyna pojętna, w lot zrozumie w czym rzecz. A matce szepnij, że spełniamy prośbę pewnego braciszka zakonnego, i tyle.

- Dominiku, matka natychmiast przejrzy takie naiwne krętactwo. Nie spodoba się jej to.

- Nie rezonuj, tylko rób, jak mówię. Zdaj się na mnie. Nawet jeśli matka będzie się czegoś domyślać, nie odmówi nam pomocy. Ja tymczasem zajmę się Gussy. W żadnym wypadku nie może zobaczyć Jane Weller.

Nathan zmarszczył brwi.

- Muszę powiedzieć, że mowę mi odejęto, kiedy usłyszałem, że Gussy chce się z tobą widzieć. Poczułem się bardzo dotknięty. Zawsze myślałem, że ma słabość do mnie. Ot, jeszcze jedna zdrajczyni.

- Zapewniam cię, że nie przyszła tu wiedziona gwałtownym afektem do mnie.

- To po co?

- Za chwilę się dowiem - odparł Dominik, najwyraźniej mało ciekaw powodów niespodziewanej wizyty. - Zanim się z nią zobaczę, jeszcze jedno pytanie. Masz jakieś dla mnie nowiny? Coś na temat naszego porywacza w bieli?

- Nic a nic. Wczoraj wieczorem nic się nie wydarzyło, a nawet jeśli, to rzecz nie przedostała się do publicznej wiadomości. Trudno oczekiwać, żeby nasz przeciwnik zawiadamiał świat o swoich kolejnych krokach, prawda? Musimy zdać się na łut szczęścia i raz jeszcze przepytąć dokładnie pannę Weller.

- Owszem, przepytamy - przytaknął żywo Do-

minik. - O ile, oczywiście, dziewczyna się pojawi, ale myślę, że jednak się odważy i przyjdzie.

- Chyba żeby raptem strach ją obleciał i uciekła. Na przykład wróciła do domu. - Nathan wyraźnie sposepniał.

- Rozchmurz się, mój drogi. Niewczesna za-zdrość o Gussy ma ci myśli. - Kiedy w zielonych oczach Nathana pojawiał się koci błysk, nie wróżyło to nic dobrego. Co prawda, przyjaciele twierdzili z przekonaniem, że żadna kobieta nie oprze się jego spojrzeniu, ale Dominik nie mógł w to uwierzyć. Zapewne dlatego, że brat nigdy nie spojrzał na niego jak na kobietę.

Wręcz przeciwnie. Dominik budził w bracie zupełnie inne emocje. Choćby teraz: Nathan zacisnął usta, co było nieomylnym znakiem nadchodzącej burzy.

- Ty sobie możesz bimbać na to, że jakiś łajdak porywa najpiękniejsze panny, ale dla mnie to rzecz poważna. A jeśli temu łajdakowi, temu zbrodniarzo-wi przyjdzie do głowy tknąć którąś z nich? Zważ, jak dobrze to obmyślił. Skoro żadna nie chce pisać słowa, że była porwana, miałyby się głośno przyznać, że jej cześć odebrał?

- To prawda, ale nie martwmy się zawczasu. Dominikowi ta sama obawa spędzała sen z powiek, ale wolał zostawić brata w przeświadczeniu, że on pierwszy wziął pod uwagę tak ponurą ewen-tualność.

Nathan zaplótł ręce na piersiach.

- Widzę, że panna Toogood dla ciebie ważniejsza, ale ja bym na twoim miejscu nie lekceważył

łotra z białą twarzą. A teraz powiedz mi, czy dostałeś wiadomość od naszego Johna? W sprawie robót, które ma zacząć Noel DeBeaufort?

- Owszem. - Dominik przymknął oczy. - Johnowi wydaje się, że będzie rządził za wszystkich Elliotów. Nie rozumiem jego planów.

- John po prostu stara się pokazać, że dba o Heatherly. Chce zrobić coś dla rodziny. Czuję, że zbliża się gorący czas.

- Heatherly jest piękne takie, jakie jest. Nie potrzebuje ulepszeń wymyślanych przez Johna do spółki z Noelem. Wielki mi architekt ogrodów - sarknął Dominik. - Muszę już iść. Nie mogę pozwolić, żeby Gussy czekała w nieskończoność.

- Ma się rozumieć. Nie pozwól - przytaknął Nathan z kąśliwym uśmiechem.

- McGee. - Dominik podszedł do niszy, w której na wiklinowym krześle trwał na posterunku ciągle obrażony kamerdyner. - Bez urazy, mój stary. Nerwy, to tylko nerwy. Chyba rozumiesz. Jeśli panna Weller się pojawi, lord Nathan zaprowadzi ją prosto do lady Granville, a ty o nic nie musisz się martwić. - Dominik westchnął. - Panna Arbuthnot na mnie czeka.

McGee kiwnął bez słowa głową.

Przekłęta służba, sierznił się w duchu Dominik. Jak starasz się traktować takiego po ludzku, od razu pokazuje fochy.

Zbliżył się do drzwi gabinetu, zapukał lekko i wszedł.

Gussy Arbuthnot, z wypiekami na policzkach, stała nieruchomo na środku pokoju. Na widok Dominika uśmiechnęła się i nieco odzyskała wigor.

- Witaj, Gussy.

- Witaj, Dominiku. Wybacz, że przychodzę niezapowiedziana, ale musiałam, po prostu musiałam się z tobą zobaczyć.

Dominik po cichu liczył, że chodzi o porywacza w bieli. Uznał, że jeśli Gussy rzeczywiście przychodzi w tej sprawie, to znaczy, że coś wie o jego potajemnych zajęciach, a to nie byłoby korzystne.

- Zawsze jesteś mile widzianym gościem w naszym domu. Odnoszę wrażenie, że jesteś mocno czymś poruszona. Czyżby sprowadzały cię do mnie, nie дай Boże, jakieś kłopoty?

Gussy zrobiła kilka kroków w tę i z powrotem, szeleszcząc spódnicami.

- Siadaj - poprosił Dominik i zabrzmiało to, wbrew jego woli, niemal rozkazująco. - Napijesz się czegoś? Może każę podać czekoladę? - Biedna Gussy wyglądała i zachowywała się tak, że zapewne dobrze zrobiłby jej łyk gorącej czekolady.

- Dziękuję. - Zaplotła nerwowo dłonie. - Nic nie będę piła. Chciałam porozmawiać z tobą o mojej reputacji.

A więc jednak, pomyślał Dominik i poczuł dreszcz podniecenia. Jego nadzieje zaraz się ziszczą: Gussy opowie mu o straszliwej przygodzie.

- Coś niemiłego się wydarzyło? - Zajął miejsce naprzeciwko gościa. - Ktoś... wyrządził ci jakąś przykrość? Powiedz, że to nieprawda.

- Nic się nie wydarzyło - stwierdziła Gussy z rozpaczą. - W tym właśnie rzecz. Absolutnie nic. Zaczynam swój trzeci sezon. Trzeci, rozumiesz? Wygląda na to, że zostanę starą panną. - Ukryła

twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem, po czym zerwała się z fotela, przypadła do Dominika, chwyciła go za szyję i, łkając, wylądowała mu na kolanach.

Do stu tysięcy kartaczy!

- Cicho, Gussy. Uspokój się.

- Ja, nnn... nie mogę. - Ukryła twarz na jego ramieniu. - Potrzebuję pp... przyjaciela. Mężczyzna, któremu oddałam serce, odwrócił się ode mnie. Ciagle się odwraca. Ignoruje mnie. Nie, źle mówię. Nie ignoruje. Jeszcze gorzej. On nawet nie wie o moim istnieniu - mówiła bez ładu i składu.

Dominik miał ochotę zapytać, któż taki śmie nie wiedzieć o istnieniu Gussy.

- Wszystko będzie dobrze - próbował ją uspokoić, poklepując niezgrabnie po plecach.

- Pomożesz mi, Dominiku? - zapytała, podnosząc głowę i patrząc na niego przez łzy. - Cały Londyn już wie, że w tym sezonie masz pod opieką pannę ze wsi i będziesz bywał na wszystkich balach i przyjęciach. Na wszystkich - powtórzyła z naciskiem. - Moja pokojówka dowiedziała się od jednej z waszych pokojówek, że przyjęliście do siebie jakąś biedną krewniaczkę. To taki szlachetny gest. Wspaniałomyślny gest, godny Elliotów. Ale, ale... Pomyślałam, że skoro masz się nią opiekować, możesz zaopiekować się także mną. Nie sprawię ci najmniejszego kłopotu. Po prostu zatańczysz ze mną od czasu do czasu, okażesz trochę zainteresowania, a wtedy inni od razu zwrócą na mnie uwagę. Ty... mógłbyś... zmienić... - Zniosła się takim łkaniem, że przez moment nie była w stanie nic

powiedzieć. - Mógłbyś... - wykrztusiła wreszcie - odmienić moje życie. Uratować mnie. Tak, Dominiku, w tobie jedyny ratunek.

Dominik już się przeraził, że jakimś sposobem do Gussy dotarła wieść o Jane Weller. Ale nie, dotarła do niej lotem błyskawicy wieść o Fleur Toogood. Też źle. Niech to wszyscy diabli! Co odrzec?

- Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, Gussy, choć uważam, że taka śliczna panna jak ty na pewno nie potrzebuje niczyjej pomocy.

Gussy natychmiast się uspokoiła, wytarła nos w ozdobioną koronką chusteczkę.

- Tak uważasz?

- Absolutnie. - Chyba zwariował, ale dziewczyna była taka nieszczęśliwa, a jeden czy dwa tańce to znowu nie takie wielkie poświęcenie. Chociaż... na Jowisza. Mieć trzy damy pod swoją opieką? Dominik czuł zbliżającą się katastrofę. Trudno, zwróci się do Nathana o braterskie wsparcie, przecież sam nie podoła.

- Wybacz, Gussy, ale będę cię musiał pożegnać. Obowiązki wzywają.

- Oczywiście, mój aniele. - Uśmiechnęła się słodko. - Naprawdę jesteś moim aniołem. Aniołem stróżem. Obiecuję, że będę miła dla twojej biednej kuzyneczki. Zrobię wszystko, żeby nasze londyńskie damy przyjęły ją ciepło.

- Dziękuję, Gussy. - Postawił pannę na ziemi. Dał jej czas, by wygładziła spódnice, poprawiła włosy, po czym wyprowadził z pokoju.

W tej samej chwili usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi i zobaczył Nathana biegnącego do

wejścia. Tak pędził, że mignął tylko Dominikowi w końcu korytarza i po chwili rozległ się radosny ryk w sieni:

- Mój skarbie! Wreszcie jesteś!

- To Nathan - stwierdziła Gussy i przyspieszyła kroku. - Nie byłam dla niego zbyt miła, kiedy tu przyszedłam. Nathanie!

Pobiegła do sieni i Dominik nie mógł jej zatrzymać, chyba że siłą, czego, ma się rozumieć, nie uczynił, będąc dżentelmenem.

Na szczęście na końcu korytarza zastawił im drogę McGee w przekrzywionej peruce: wyczyniał takie gesty, jakby chciał oboje cofnąć na powrót do gabinetu.

Od drzwi dobiegły ich stłumione piski.

- Nathanie! - zawołała ponownie Gussy.

Dominik zdążył jeszcze dojrzeć wysoką sylwetkę brata oraz białą halkę i wierzgające stopy obute w czarne trzewiki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Fleur usłyszała męskie głosy. Zatrzymała się, przechyliła głowę, przycisnęła pamiętnik do piersi i nadstawiła ucha, usiłując dociec, skąd dochodzą. Bez rezultatu. Pokoje były tak wysokie, że echo uniemożliwiało ustalenie kierunku.

Zgubiła się! Zgubiła! Zgubiła!

Zła na siebie, skręciła w prawo, potem w lewo, błądząc pod przeszkloną kopułą oranżerii. Białe kolumny, ściany obite żółtym jedwabiem, wszystko jednakowe, mylące, żadnego punktu orientacyjnego. Z jednej strony, co raz napotykała zamknięte drzwi, z drugiej, miała okna wychodzące na otaczający rezydencję park. Kopuła była ogromna, biegnący w koło korytarz nie miał końca. Za jednymi z mnóstwa identycznych drzwi musiały znajdować się schody, którymi tu weszła i których teraz nie mogła odnaleźć.

A wszystko przez to, że chciała popracować

w spokoju nad swoją listą, która stawała się coraz dłuższa.

Na widok komody z marmurowym blatem odechnęła z ulgą. Zapamiętała tę komodę i stojący na niej niebieski wazon. Przechodziła tędy, zanim usiadła na ławeczce pod oknem. Teraz już znajdzie drogę na swoje piętro. Za wszelką cenę chciała uniknąć spotkania z kimkolwiek. Spotkania i rozmowy.

Kolejne okno i kolejna ławeczka. Przykłęka na niej, spojrzała na park i zamyśliła się. Co powiedziałyby jej siostry, gdyby mogły tu przebywać? Taki piękny dom, urokliwy park. Zapamięta je na całe życie.

A jednak dobrze będzie wrócić do rodzinnego Sodbury. Tutaj czuła się taka samotna. W ostatnich dniach nie widziała nikogo poza panią Neville i Blanche. Markiza przysłała jej liścik informujący o zbliżających się wydarzeniach towarzyskich, wyrażała nadzieję, że Fleur będzie się doskonale bawić, ale to wszystko. Żadnych wiadomości od rodziny, nic. Usiadła wygodniej, podciągnęła nogi, wygładziła nową sukienkę z różowego materiału. Dziewczętom na pewno by się podobała.

- Jeśli tak, to właśnie widzisz, nie mamy o czym mówić.

Fleur zamarła, z dłońmi zaciśniętymi na pamiętniku. Obcy męski głos.

- Przeciwnie, mamy wiele do omówienia. - To lord Dominik.

Otworzyły się drzwi tuż obok ławki i Fleur wcisnęła się głębiej we wnękę okienną.

- Ostrzegałem cię, że może być z tego nieszczęście. Nie powinieneś był sprowadzać tutaj Jane Weller. Jak długo uda ci się ukrywać ją u matki?

- Tak długo, jak będzie trzeba - odparł lord Dominik. - Dopóty, dopóki ci, których sprawa bezpośrednio dotyczy, będą milczeć. Licząc służbę w Domku Wdowy i McGee, tylko sześć osób wie. Służba matki da się za nią pokroić, a przykazała wszystkim, żeby trzymali język za zębami. McGee też będzie milczał jak grób, bo go o to prosiliśmy, a nasza prośba to dla niego rzecz święta. Pozostaje zatem tylko twoja osoba, Nathanie...

- A niech cię diabli, braciszku. Co ty mi imputujesz?

Fleur najchętniej *zatkałaby* sobie uszy, a/e nie śmiała się ruszyć. Rozzłoszczony głos należał więc do lorda Nathana Elliota, brata Dominika. Że też musiała wejść im w paradę.

Lord Dominik też musiał być zirytowany, ale słyszała, że stara się hamować.

- Nic nie imputuję - powiedział. - Po prostu zbieram fakty. Przekazałeś Jane Weller liścik od brata Justa?

- Owszem, przekazałem. Jeśli jest głupia, stawi się dzisiaj o północy na spotkanie w kaplicy.

- Nie ma w tym nic głupiego.

- Będzie, jeśli panna skręci sobie kark w ciemnościach albo serce jej stanie ze strachu.

- Z Domku Wdowy do kaplicy jest zaledwie kilka kroków. Jane to dzielna dziewczyna i przyjdzie, skoro ją wzywam.

- Ha, ta twoja dzielna dziewczyna to całkiem

smaczny kęs. Nie myśl, że tego nie zauważyłem - rzekł Nathan kwaśno.

Lord Dominik zaśmiał się.

- Jesteś szybki w sądach i bardzo spostrzegawczy, trzeba przyznać. Spodobała ci się Jane?

- Zostawię to pytanie bez odpowiedzi. A jak tam twoja uboga podopieczna?

- Ani moja, ani podopieczna, jeśli pytasz o pannę Toogood. Może uszło twojej uwagi, ale ostatnio byłem mocno zajęty i nie widziałem jej od kilku dni.

Fleur zamknęła oczy i oparła czoło o kolana. Jak znieść takie upokorzenie?

- Mam się spotkać dzisiaj w klubie z Bertiem Crewe-Burnsem - powiedział lord Nathan. - Obiecał zabrać mnie do piekiełka, gdzie wysoko grają i gdzie nikt nas z pewnością nie rozpozna.

- Wspaniale - prychnął lord Dominik, tym razem nie kryjąc złości. - Zapomniałeś już, jak brzmiała nasza umowa?

- Że mam się trzymać z dala od hazardu? Nie będę grał. Szukam tylko okazji, żeby wyciągnąć z Bertiego trochę więcej informacji. Sam mnie zaczepił. Mówił, że ma dla mnie coś ciekawego. Być może nasz biały fircyk znowu kogoś uprowadził.

Fleur wstrzymała oddech.

- W takim razie wyciągnij z niego, ile się da, ale uważaj na siebie. Te piekiełka to bardzo niebezpieczne miejsca.

- Czy widziałeś kiedy, żebym niepotrzebnie nadstawiał karku?

- Hm - mruknął lord Dominik. - Dzisiaj brat Just

spotka się z Jane Weller, a co z tego wyniknie, to się dopiero pokaże.

- Jak długo Jane zostanie u nas? Nie zapominaj, że jest tutaj tylko dla twojej wygody.

- Nie wiem. Wszystko zależy od tego, jak dalej potoczą się wypadki.

Fleur łzy napłynęły do oczu. Jeszcze jedna biedaczka na łasce tych ludzi.

Wyprostowała się dumnie. Kimkolwiek jest Jane Weller, pozna tę dziewczynę, zaprzyjaźni się z nią. Lord Nathan mówił, że znalazła się w Heatherly dla wygody lorda Dominika.

Słyszała już to określenie, przekazywane szepcąc na ucho z wielce mówiącym uśmiechem. Wielcy panowie, zdarzało się, trzymali sobie kobiety „dla wygody” i w końcu mama wyjaśniła dziewczynom, tytułem przestrogi, co to oznacza.

- Pójdę już - odezwał się lord Nathan. - Uważaj na siebie, braciszku.

- To brat Just powinien uważać.

- Jak wolisz. Jane Weller coś podejrzanie chętnie zgodziła się na służbę u matki. To może być podstęp. A wśród drzew wokół kaplicy łatwo się zacząć w nocy, dybiąc na życie człowieka.

- W rzeczy samej - przytaknął lord Dominik. - Wspomnij jednak, że mężczyźni w naszej rodzinie tak są chowani, by sprostać nawet najbardziej niebezpiecznym sytuacjom.

Fleur usłyszała pojedyncze kroki i zeszywniała jeszcze bardziej, jeśli to możliwe. Powoli wypuściła powietrze z płuc. Kroki ucichły w oddali.

- Mam cię!

Lord Dominik chwycił ją z całej siły za rękę i wyciągnął z wnetrza.

- A panna co tutaj porabia? Podśłuchiwałaś, tak? - Mierzył ją wściekłym wzrokiem, jakby za chwilę miał wytrząsnąć z niej życie, ale nie wytrząsnął, tylko pociągnął za sobą do pokoju, z którego wyszedł moment wcześniej.

- Nie podśłuchiwałam - zaprzeczyła, starając się ze wszystkich sił, acz bez powodzenia, by głos jej zabrzmiał stanowczo. - To znaczy niezupełnie. - Papa zawsze jej powtarzał, że w każdej sytuacji trzeba mówić prawdę. Trudno.

- Niezupełnie? Masz mnie za głupca? Na szczęście dla ciebie lord Nathan stał plecami do okna, inaczej miałabyś się z pyszna. Ja przy nim, moja droga, jestem mały dobry miś.

„Mały dobry miś”?

On? W innej sytuacji parsknęłaby śmiechem, ale tutaj śmiech byłby reakcją w najwyższym stopniu niestosowną, chociaż, trzeba przyznać, była bliska ataku hysterii.

- Co masz na swoją obronę? - zapytał lord Dominik lodowatym tonem.

- Czuję się samotna. - Chryste, co ona wygaduje? - To znaczy chciałam powiedzieć, że siedziałam sama w swoim pokoju i pomyślałam, że poszukam jakiegoś zacisznego kąta, gdzie mogłabym popisać.

- Samotna - powtórzył, ale w jego głosie nie zabrzmiała łagodniejsza nuta. - Hm. I przypadkiem wybrałaś sobie zaciszny kąt akurat obok drzwi wiodących do moich pokoi?

- Ja nie wiedziałam, że to twoje pokoje, milordzie. I wcale nie siedziałam tu, gdzie mnie znalazłeś.

Lord Dominik wzniosł oczy na te słowa.

- Oczywiście. To wyjaśnia wszystko. Że też od razu na to nie wpadłem. Teraz już rozumiem, dlaczego znalazłem cię siedzącą na ławce, na której wcale nie siedziałaś, panno Toogood.

I to ma być gryząca ironia? Mógłby się zdobyć na coś bardziej wyrafinowanego.

- Nie to chciałam powiedzieć, milordzie. - Fleur była tak zakłopotana, że nawet się nie obraziła. - Siedziałam dalej, w głębi korytarza. Kiedy chciałam wrócić do siebie, usłyszałam głosy i się schowałam.

- Żeby podsłuchiwać.

- Nie! Chciałam wrócić do swojego pokoju. Właśnie to zamierzam uczynić.

Lord Dominik stanął w przejściu, zastępując jej drogę.

- Spokojnie, powoli, moja panno. Pójdziesz, kiedy ci powiem, że możesz iść.

Drzwi się otworzyły i Dominik musiał się cofnąć.

- Nie wiem, gdzie ja mam głowę. Zupełnie zapomniałem powiedzieć ci o chłopcu.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna z długimi prawie do ramion włosami.

- Nathanie, to panna Fleur Toogood. Podopieczna naszej matki. Panno Toogood, poznaj mojego brata, lorda Nathana Elliota.

- Doprawdy? - Lord Nathan spojrzał na nią z uśmiechem i w tej samej chwili w jego oczach zapalił się błysk niekłamane go zainteresowania.

Fleur nie potrafiła powiedzieć, jakiego są koloru, ale z pewnością nie były tak błękitne jak oczy lorda Dominika.

- Doprawdy - przytaknął lord Dominik tonem, który na pewno nie był tonem przyjaznym ani też braterskim, cokolwiek to ostatnie określenie może oznaczać.

- Wreszcie mam przyjemność poznać naszego gościa. Nasza matka to naprawdę mądra kobieta. I smak ma wyborny. Odniesiesz wielki sukces w Londynie, panno Toogood. Będziemy mieli okazję poznać się lepiej w trakcie sezonu, a powiadają, że zanoszą się na wspaniały, taki, jakiego jeszcze nie było.

Fleur dygnęła grzecznie.

- Bardzo mi miło.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Będziesz różą wszystkich balów albo nie znam się na kobiecej urodzie i gracji.

Lord Dominik wydał dziwny dźwięk, ale zachował kamienną twarz.

- Ja dotąd tańczyłam tylko na wiejskich zabawach, milordzie - powiedziała Fleur, nie zwracając uwagi na stojącego obok i wydającego nieartykułowane odgłosy Dominika. - W Sodbury Martyr, gdzie mieszkam. Nie mam się czym chwalić, ale rzeczywiście uwielbiam tańczyć.

- Natańczysz się na londyńskich parkietach, ile dusza zapagnie. - Lord Nathan podszedł do niej bliżej, przechylając lekko głowę. - Zrobimy wszystko, żeby cały Londyn mówił tylko o Fleur Toogood i o żadnej innej, prawda Dominiku? Zobaczysz,

przyćmisz wszystkie panny z towarzystwa. To prawda, że Neville przygotowuje ci nowe stroje?

Fleur znowu dygnęła.

- Tak, to bardzo miła i zmyślna niewiasta.

- A jakże, a jakże. - Nathan przyjrzał się uważnie sukni Fleur. - Piękna suknia dla pięknej panny. Muszę sprostować twoją opinię. Neville jest miła, to prawda, ale przy twojej urodzie nie potrzeba wielkiej zmyślności, bo we wszystkim będziesz wyglądała uroczo.

Lord Dominik znowu wydał dziwny dźwięk i Fleur z pewnym zaskoczeniem odnotowała, że poczerwieniał niczym apoplektyk.

- Szczęśliwy ze mnie człowiek - odezwał się. - Będę miał zaszczyt opiekować się tobą, panno Toogood, moją bratową oraz moją starą przyjaciółką, panną Arbuthnot. Wszyscy panowie w Londynie będą mi zazdrościć, że jestem otoczony takimi pięknosciami.

- Gussy? - Lord Nathan spochmurniał. - A od kiedy to postanowione?

- Czyżbym zapomniał ci powiedzieć? - zdziwił się lord Dominik. - Gussy wprost nienawidzi bywać. Kiedy mnie odwiedziła kilka dni temu, uradziliśmy, że dołączy do naszego małego grona. Na ciebie już czas. Potem o tym porozmawiamy.

Lord Nathan odparł:

- Tak. Porozmawiamy. A ty przy okazji zamień słowo z Noelem DeBeaufortem. Myślał, że John wrócił już do Londynu, był tutaj, chciał z nim rozmawiać w sprawie prac w ogrodach.

- A niech to licho porwie! - zawołał lord Dominik.

- Właśnie - przytaknął lord Nathan. - Przyjdzie jutro rano obejrzyć teren. Powiedziałem mu, żeby ustalił wszystko z tobą. Chce ci przedstawić kilka różnych projektów. A o tamtej sprawie porozmawiamy później - dodał jeszcze.

Fleur zrobiło się nieswojo. Lord Natan miał mówić o jakimś chłopcu, z tym przyszedł do brata, jednak na jej widok zmienił zamiar.

- Dziękuję. - Lord Dominik westchnął. - Zatem do zobaczenia.

- Siadaj - zakomenderował, kiedy został sam z Fleur. - Tutaj, koło biurka. Muszę pracować, ale równocześnie będę się zastanawiał, co mam z tobą zrobić, panno Toogood.

Fleur z niejakim ociąganiem przysiadła na brzeżku fotela.

- Jakbym miał mała na głowie, to jeszcze los mnie pokarał wścibską panną.

- Ja nie...

- Cisza.

Dominik podwinął poły surduta, zasiadł za wielkim biurkiem i zabrał się do przeglądania papierów.

Podpisywał po kolei różne dokumenty, przykładał suszkę i odkładał kartki na bok.

- Jest sposób, który pozwala składać podpis na kilku dokumentach równocześnie - wyrwała się Fleur i natychmiast zamknęła usta.

- Jest, a jakże - przytaknął lord Dominik, sięgając po gazetę.

Fleur otworzyła pamiętnik i zaczęła notować:

„Większość mężczyzn w ogóle nie rozumie kobiet. Mają ten obrzydliwy zwyczaj zachowywać się przy damie tak, jakby byli sami. Na przykład czytają, a ty czekaj, żeby taki przemówił. To aroganci, co to nie potrafią okazać nam krzty szacunku”. Na końcu kajetu znalazła listę, a tam punkt siódmy: „Brak szacunku”. Do ostatniego wpisu dodała wtrąconą w nawias cyfrę siedem.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że lord Dominik obserwuje ją znad gazety.

- Rozumiem, że notujesz swoje opinie na mój temat - zauważył. - Przychylne, mam nadzieję.

Ci mężczyźni! Próźni, zarozumiali, pewni siebie. Fleur zamknęła kajet i położyła go na kolanach.

- Zawsze prowadziłam pamiętnik.

- To, co usłyszałaś, kiedy siedziałaś na ławce pod oknem, to sprawy ściśle poufne - oznajmił ostrym tonem, odkładając gazetę.

- Nie jestem plotkarką, milordzie.

- Ale jesteś kobietą.

Fleur wyprostowała się z godnością.

- Na tę uwagę nie muszę chyba odpowiadać.

- Zatem plotkujesz. Pytanie tylko, jak wiele z tego, co usłyszysz, rozpowiadasz wśród ludzi.

- Nie znam nikogo w Londynie, nie mam komu przekazywać zasłyszanych informacji, nawet gdybym lubiła plotki, co mi przypisujesz, milordzie. Zabawny jesteś, milordzie, kiedy z takim namaszczaniem traktujesz własną osobę.

Lord Dominik odsunął się z fotelem od biurka i dłoń zaplótł na brzuchu.

- Jesteś impertynentką, ale ma to swój wdzięk,

panno Toogood. Oczywiście zastanawiasz się, o co tu chodzi, ale jesteś inteligentna i szybko się uczysz, jak mniemam. Moja bratowa przygotowuje cię do wejścia w świat, ale póki nie nabierzesz trochę ogłady, najlepiej będzie, jeśli nie będziesz się odzywała. Uśmiechaj się tylko i roztaczaj wokół niewątpliwy urok, to wystarczy.

Fleur potrząsnęła głową, jakby się przestyszała.

- Obawiam się, że cię nie zrozumiałam, milordzie. Nie chciałeś chyba powiedzieć, że nie nadaję się do towarzystwa, ponieważ „brak mi ogłady”?

- Być może wyraziłem się nazbyt ostro, ale towarzystwo w Sodbury Martyr i londyńskie towarzystwo to dwa zupełnie odmienne światy, rządzące się zupełnie różnymi prawami. Jesteś bystra, panno Toogood, to prawda, ale poczekaj, aż zetkniesz się z damami biegłymi w sztuce błyskotliwej konwersacji. Wtedy zrozumiesz, jak wiele jeszcze musisz się nauczyć.

Fleur czuła, że za chwilę wybuchnie.

- Mój panie, ludzie rodzą się z pewnymi darami i bystrość umysłu do nich należy. Żebyś nie wiem jak tresował człowieka tępego, nie wpoisz weń dowcipu i nie uczynisz zajmującym. Ja nie jestem ani tępą, ani całkiem niedouczoną. Mój ojciec uważa, że kobiety powinny mieć wykształcenie. Sam mnie edukował, a teraz uczy moje młodsze siostry.

- To się chwali - zauważył z lekkim uśmiechem Dominik. - Nie jesteś pokorna, panno Toogood. Masz hart ducha, a to w ludziach cenię nade wszystko.

- Dziękuję. - Niech się nie spodziewa, że może jej rzucić kość i ją udobruchać, pomyślała Fleur. Odkryła w nim przykre męskie cechy i nie zmieniła tak łatwo swojej o nim opinii.

- A teraz powiedz mi, panno Toogood, coś usłyszała.

Kłamać nie potrafiła. Jednak nie chciała wyznać prawdy, bo oznaczałoby to powrót do domu, a na to nie mogła sobie pozwolić. Zbyt wiele nadziei domownicy wiazali z jej pobylem w Londynie.

- Słowa. Nic, co miałoby dla mnie sens. Chłopiec. Lord Nathan wspomniał o jakimś chłopcu, ale nic więcej nie powiedział.

- To prawda - przytaknęła Dominik. - Co jeszcze?

- Chyba się poróżniliście. - Schyliła głowę. Niech myśli, że jest zakłopotana. - Zachowam to dla siebie. Mnie też zdarza się posprzeczać z siostrami. Potrafimy powiedzieć sobie wiele niemiłych rzeczy i zaraz o wszystkim zapominały. Jeśli mogę coś doradzić, zapomnijmy o ostrych słowach, które padły między tobą, milordzie, a twoim bratem. Nie wygląda mi na człowieka, który długo chowałby urazę w sercu.

- Tak uważasz? - Lord Dominik wyraźnie się odprężył. Być może zdołała go jednak przekonać, że jej osoba nie stanowi dla niego zagrożenia. - Sądzę, że masz rację. Pójdę za twoją radą.

Zegar na kominku wybił godzinę.

- Jest później, niż przypuszczałem - powiedział lord Dominik - ale dobrze mi się z tobą rozmawia. Hattie, lady Granville, przyjeżdża jutro po południu. Razem ze swoją adoptowaną córką Chloe i kilkor-

giem służby. - Wziął do ręki listę, taką samą jak ta, którą markiza przesłała Fleur. - Pojutrze jest organizowany wieczór muzyczny u Herbertów i lady Granville przygotowuje cię do pierwszego wystąpienia na tyle, na ile to możliwe. Poznasz Gussy Arbuthnot, która obiecała, że pomoże ci stawiać pierwsze kroki w wielkim świecie. Obydwie będą cię wspierać.

- Dziękuję. Bardzo uprzejmie z ich strony. - Ogarnięta nagłym popłochem, Fleur poderwała się z fotela. - Mogę obejrzeć zegar? Bardzo ładny. Ogromnie lubię zegary z połćacanego brązu.

Lord Dominik przesunął palcem po wargach i Fleur powiedziała sobie, że musi koniecznie dopisać do swojej listy jeszcze jedną uwagę: piękne usta to u mężczyzny rzecz niezwykle ważna.

- Oczywiście, że możesz, panno Toogood. Należała do mojej babki, dlatego tu stoi.

Fleur podeszła do kominka, czując na sobie baczne spojrzenie lorda Dominika. Śledził każdy jej ruch i Fleur doszła do wniosku, że zapewne uznał, iż porusza się bez wdzięku. Wiadomości Dominika były zdecydowanie niepełne. Nie wiedział choćby tego, że jej matka pochodzi z bardzo dobrej, zamożnej rodziny, czy tego, że została wydziedziczona, kiedy zdecydowała się wyjść za biednego, choć uczonego pastora, i że zadbała o staranne wychowanie wszystkich swoich córek.

- Znasz się na tym? - Lord Dominik podniósł się zza biurka, podszedł cicho do Fleur i stanął tuż koło niej. - Brąz i porcelana. Zobacz, jaki misterny jest ten ornament z pnących różyczek.

- Śliczny. Francuzi mają doskonałe wyczucie stylu.

Położył Fleur dłoń na ramieniu i zaintrygowany obrócił ją ku sobie.

- Skąd to wiesz?

- Oglądałam ryciny. Czytałam sporo o francuskim rzemiośle.

Lord Dominik przysunął się jeszcze bliżej, a Fleur cofnęła się o krok, pod samą ścianę, przyciskając kajat do piersi.

- Powiadasz, że w odległej wiejskiej parafii czytałaś książki o...

- ..o rozmaitych rzeczach - wpadła mu w słowo Fleur, wysuwając wojowniczo brodę.

Lord Dominik oparł dłoń o ścianę tuż nad jej głową.

Taki mężczyzna mógł z pewnością trzymać sobie kobietę „dla wygody”. Niebezpieczny typ dla niedoświadczonej panny, jeśli miałyby to być prawda.

- Jesteś nie tylko ładna. Masz żywy umysł oraz silny charakter. Nadajesz się na żonę dla człowieka z pozycją w świecie. Byłaś kiedyś zakochana?

- Interesowałam się swego czasu pewnym młodzieńcem, ale nie, raczej nie byłam zakochana, jeśli dobrze się nad tym zastanowić. Pewnie dowiem się, że jestem, dopiero wtedy, gdy naprawdę się zakocham.

Za nic nie powinnam rozmawiać z lordem Dominikiem sam na sam, w dodatku w jego gabinecie, uznała Fleur. Nie powinna była tu w ogóle przychodzić. Cała sytuacja zdawała się wysoce nie-

stosowna, nawet ona to czuła, przy całym swoim nieobyciu i braku doświadczenia.

- Czy ten młodzieniec, którym się interesowałaś, pocałował cię kiedyś?

Zaczerwieniła się i poczuła się z tego powodu zakłopotana. Bardziej speszył ją własny rumieniec niż samo pytanie, skądinąd mocno niedelikatne. Znowu ten brak obycia oraz doświadczenia! Odwróciła wzrok.

- Nie, ma się rozumieć, że nie.

- Ma się rozumieć, że nie - powtórzył lord Dominik, a kiedy Fleur na niego popatrzyła, zbliżył twarz do jej twarzy tak bardzo, że poczuła jego gorący oddech na skórze.

Położył dłoń na jej policzku i przesunął powoli palcem po brodzie.

Fleur bezwiednie rozchyliła usta. Nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Chciała, żeby ją objął, to pewne. Sama pragnęła go przytulić, ale...

- Nie - oznajmiła, po czym zręcznie wymknęła się pod jego ramieniem i stanęła na środku pokoju. Lord Dominik pozostał na swoim miejscu.

I... wybuchnął śmiechem!

Naprawdę wybuchnął śmiechem. Dopiero teraz odwrócił się ku Fleur.

- Dobrze - powiedział. - Bardzo dobrze. Mężczyźni będą ci czynili awanse, po większej części znacznie mniej subtelne niż moje. - To mogą być jeszcze mniej subtelne awanse? - pomyślała Fleur, przestraszona tym, co ją czeka. - Musisz wiedzieć, jak dawać takim zalotnikom odprawę - ciągnął lord

Dominik. - Musisz pozostać czysta aż do nocy poślubnej.

- Milordzie, proszę... - Fleur jeszcze nigdy nie czuła się tak zakłopotana. - Pójdę już, jeśli pozwolisz. Nie zatrzymuj mnie dłużej.

- Za chwilę. Jak ci się widzi mój brat? Uważasz, że jest sympatyczny?

Fleur stropiła się na tę nagłą zmianę tematu. Dlaczego życie jest takie skomplikowane, a ten człowiek taki dociekliwy?

- Aaa... owszem.

- Jeszcze nie spotkałem kobiety, na której nie wywarłoby wrażenia. Może powinienem inaczej sformułować pytanie. Zacznijmy raz jeszcze. Czy on... czy on ci się podoba?

Fleur milczała, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

- Lord Nathan jest bardzo przystojny, przyznam, ale ty także, milordzie. A że wasza matka jest niezwykle piękną kobietą, wolno mi przypuszczać, że uroda musi być cechą rodzinną Elliotów.

- Ho, ho, moja panno, potrafisz replikować. - Podeszedł powoli do Fleur. - Nie masz się czego obawiać. To, co zdarzyło się przed chwilą, więcej się nie powtórzy. Masz moje słowo. Jak słyszałaś, Nathan zamierza bywać z nami na balach i przyjęciach, kiedy tylko czas mu pozwoli. Cieszę się, że znajdujesz jego towarzystwo miłym. To dobrze. Przekonasz się wkrótce, że jest znacznie lepszym tancerzem ode mnie. A i o wiele bardziej niż ja lubi obracać się w towarzystwie. Będzie dla ciebie miłym kompanem. Ja uchodzę za mruka, z którym trudno wytrzymać.

- Nie sędę, żeby to była prawda - powiedziała Fleur. - Kiedy chcesz, potrafisz być bardzo miły, milordzie. Słodki jak marcepan.

Dominik chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i podszedł do drzwi. Otworzył je na oścież ostentacyjnym gestem i się uklonił.

- Trafisz sama do swojego pokoju?

- Tak, dziękuję. - Kiedy wychodziła, łązy zakręciły się jej w oczach.

Lord Dominik bez słowa zamknął za nią drzwi.

Fleur ruszyła szybko korytarzem i zatrzymała się dopiero przy schodach.

- Chce się mnie pozbyć i podrzucić swojemu bratu - powiedziała sama do siebie. - Zawadzam mu, ale lord Nathan do niczego nie jest mi potrzebny. Dominik tańczy na pewno tak samo dobrze jak on, a może nawet lepiej. I wcale nie jest mrukiem. W każdym razie nie zawsze.

„Słodki jak marcepan"! Skąd jej to określenie przyszło do głowy?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W kaplicy, jak Fleur obliczyła, mogło się pomieścić najwyżej pięćdziesiąt osób, a i to musiałyby się ścieśnić. Szła ostrożnie przez niewielką nawę oświetloną promieniami księżyca. Ona, córka pastora, od małości znajdowała w bożych przybytkach spokój ducha.

Tą samą drogą, którą przebyła kilka dni wcześniej w towarzystwie Blanche, wymknęła się z Heatherly House o wpół do dwunastej i do kaplicy dotarła na tyle wcześnie, by mieć czas się ukryć w mrocznym kątku. Pomysł był ryzykowny, nawet bardzo, ale niezwykle podniecający. Poza tym kto wie, czy Jane Weller nie będzie potrzebowała pomocy?

Tak, podniecenie przygodą to wspaniałe uczucie, szczególnie kiedy dzień do dnia jest tak bardzo podobny; Fleur nudziła się w Heatherly. Oczywiście nie powinna narażać się na niebezpieczeństwo, to

raz, mieszać się w nie swoje sprawy, to dwa. A lord Nathan wspominał, że pośród drzew koło kaplicy mogą czaić się przestępcy, dybiący na życie nieszczęsnego mnicha.

Cóż, lord Nathan to kpiarz, wieczny facecjonista, z wielką wyobraźnią, uspokajała samą siebie. Lubi najwidoczniej snuć opowieści niesamowite o zbirach i zbójcach, od których to historii człowiekowi ciarki chodzą po plecach. Tak, kpiarz i wieczny facecjonista, powtórzyła w myślach Fleur. Nie można brać jego słów na serio.

Miała jeszcze szansę wycofać się i wrócić do domu, zanim ktoś nadejdzie. Położyć się spać, jak przystało grzecznej pannie. Udać, że nic się nie dzieje. Lord Dominik nie potraktował ostrzeżeń brata poważnie i nie wydawał się zbyt martwić o bezpieczeństwo zakonnika. Zapewne roztropniej by uczyniła, gdyby zabrała się stąd precz i nie wtykała nosa gdzie nie trzeba. Wracam do domu, dość brewerii. Z tym postanowieniem Fleur ruszyła do bocznego wyjścia.

W tej samej chwili usłyszała skrzypienie zawiasów. Ktoś był przy głównych drzwiach. Ktoś wszedł do kaplicy. Fleur, spłoszona, zrobiła jeszcze kilka kroków i skryła się za wysokim oparciem ławki przeznaczonej dla rodziny.

Nie mogę się wahać, pomyślała. Muszę podjąć decyzję: albo wyjdę natychmiast, albo będę musiała zostać, bo za chwilę na odwrót będzie za późno.

Mimo wszystko Fleur została. Weszła do ławki i przycupnęła na kamiennej posadzce. W samą porę, bo ledwie się ukryła, rozległy się ciężkie

kroki. Przybyły musiał mieć świecę, bo na ścianach zatańczyło słabe żółte światło.

Popełniała już w życiu różne głupstwa, ale to było największe ze wszystkich. Jeszcze przed sekundą miała jak najlepsze intencje, teraz najlepsze intencje diabli wzięli. Musi tu tkwić niczym w potrzasku i modlić się, żeby nikt jej nie dojrzał.

„Ciekawość, pierwszy stopień do piekła”. Otóż to. Czyż nie pomyślała właśnie, że najlepsze intencje diabli wzięli? Niespodziewanie Fleur przypomniała sobie głos Zinnii, naśmiewającej się z niej, kiedy przed laty zajrzała do jakiegoś pudełka, do którego nie powinna była zaglądać. Że też właśnie teraz, zupełnie nie w porę, musiało wrócić tamto wspomnienie.

„Ciekawość, pierwszy stopień do piekła”.

Teraz pozostawało jej tylko jedno: siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i czekać, aż nocna schadzka dobiegnie końca. Potem podnieść alarm, o ile będą po temu powody, oczywiście. Jeśli tylko przekona się, że Jane Weller nic nie grozi, błyskawicznie wróci do domu, wskoczy do łóżka i już nigdy, przenigdy nie będzie wściubiać nosa w cudze sprawy.

Naprawdę.

Ten ktoś, kto wszedł do kaplicy, powoli zmierzał w stronę ołtarza. Jeśli to Jane Weller... nie, rozmawiać teraz z Jane Weller byłoby bardzo niebezpiecznie. Kolejny szalony pomysł.

Fleur podniosła się i usiadła w osłoniętej kratownicą ławce, w samym rogu. Odwróciła ostrożnie głowę i zerknęła przez drewniane kraty...

Od razu dostrzegła mnicha. Siedział jakieś dzie-
sięć, piętnaście kroków od niej, zakapturzoną głó-
wę pochylił tak, że nie widziała twarzy- zresztą i tak
pewnie by jej nie dojrzała pod kapturem. Świeczkę
ustawił w lichtarzyku koło puszek na ofiary.

Trwał nieruchomo, jakby się modlił w skupieniu.
Papa zawsze powtarzał, że kościół to bezpieczna
przystań bożego ludu.

On gwizdał! Nie może być! Cichutko, ale bez
wątpienia pogwizdywał.

Fleur nadstawiła ucha, usiłując rozpoznać melo-
dię. Ulubiona piosenka Leticii! Jak brzmiał refren?
„Kochaj mnie, kochaj mnie, bo ja bardzo kocham
cię”. Mama uważała, że to frywolne słowa, a melo-
dia w ustach człowieka noszącego habit brzmiała co
najmniej dziwnie.

Fleur usłyszała szybkie, lekkie kroki i wyteżyła
wzrok. Jeszcze bardziej nadstawiła ucha, by nic nie
uronić z rozmowy. Do brata Justa zbliżyła się
niewysoka, szczupła dziewczyna w ciemnej pelery-
nie.

- Dziękuję - szepnęła, zanim jeszcze się za-
trzymała. - Dziękuję za pracę. Pani Lymer uczy mnie
różnych rzeczy, o których nie miałam pojęcia, kiedy
byłam pokojówką przy paniencie Victorii. Pomagam
pani Lymer. Jest już niemłoda, to wyręczam ją
w niektórych obowiązkach.

Mnich zaśmiał się tylko i wstał na powitanie,
wskazał dziewczynie bez słowa miejsce obok sie-
bie, po czym oboje usiedli.

- Zaczyna kobieta, ta pani Lymer, to prawda -
powiedział cicho. - Nie będę cię tu długo trzymał.

Zaraz będziesz mogła wrócić do Domku Wdowy. Bezpiecznie dotarłaś do kaplicy? Nikt cię nie wystraszył?

- Nie. - Dziewczyna machnęła dłonią. - Ja nie z tych bojaźliwych i umiem zadbać o siebie.

- Jakoś nie umiałaś, kiedy cię porwano.

- Nie umiałam, ale on mnie już nie tknie. Wie, że dla niego nic nie jestem warta.

Brat Just zaczął czegoś szukać w fałdach habitu.

- Wyciągnij dłoń - powiedział. - Praliny z miodem i orzechami. Prezent od pewnego Francuza. Sam wszystkiego nie zjem. Co za dużo, to niezdrowo.

Jane Weller aż pisnęła z radości i zaraz się zmitygowała.

- Przepraszam, ale nigdy jeszcze nie miałam w ustach takich pyszności. - Schowała praliny do kieszeni. - Dlaczego brat mi to daje?

- Bo cię lubię - powiedział mnich, nachylając się ku niej. - Chcę ci pomóc, chcę, żebyś była szczęśliwa, ale to może trochę potrwać. Na razie wszystko, co mogę ci ofiarować, to trochę tych słodczy. Cieszę się, kiedy widzę, że i ty się cieszysz.

Jane zachichotała.

- Przypomniałaś sobie coś z tamtego wieczoru, o czym jeszcze mi nie mówiłaś? Zjedz jedną pralinę, a ja zjem jedną, na wzmocnienie pamięci - zachęcił i Jane znowu zachichotała.

- Dziwnie mi jakoś rozmawiać z kimś, kogo twarzy nie widzę.

- To ostrożność, moja panno. Ten łotr nie może mnie rozpoznać, mógłby łącno obrócić się wtedy

przeciwko mnie. Nie mówię, że nie ufam tobie, ale trzeba uważać. W każdej chwili, w każdych okolicznościach, należy mieć się na baczności. Przeworność i ostrożność nade wszystko.

- Długo się zastanawiałam, próbowałam sobie przypomnieć - odezwała się Jane. - Jechaliśmy powozem. Tamtego wieczoru.

- Ale nie on powoził?

- Nie, nie. Chłopak siedział na koźle, a on ze mną, w środku. Głowę mi schylił, żebym nie mogła wyglądać przez okno. Ale wszystko słyszałam. Jechaliśmy przez hałaśliwe ulice. Krzyki słyszałam, nawoływania, turkot powozów, stukot końskich kopyt. Myślę, że on coś wychylił, zajrzał wpierw do butelki, jak to się mówi, bo język mu się trochę plątał.

Panna Weller rozwinęła papierek i wetknęła pralinę do ust.

- Och, jakie to dobre. Jeszcze takich pysznych nie jadłam. - Zwiesiła ramiona. - Nie żebym w ogóle kiedy jadła czekoladki. Ale czasami coś dobrego się trafiało. Kiedy tata jeszcze pracował, to, bywało, przynosił resztki ze dworu, po przyjęciach.

Dziewczyna zamilkła i Fleur ujęło, że brat Just pozwolił jej zatopić się we wspomnieniach, wstrzymując się od zbędnych pytań.

- Kiedy to się zdarzyło? Późnym wieczorem? Tak mówiłaś? - zagadnął w końcu.

- Tak. Było bardzo późno. Wysłałam, bo mnie panienska Victoria posłała.

Brat Just zaplótł dłonie na piersi.

- Samą, późno w noc?

- Trzeba było zanieść bilecik pewnej osobie, która czekała na panienkę. Zamierzała spotkać się z tym panem, ale się rozmyśliła. W ostatniej chwili zmieniła zdanie. Miałam iść tylko na skraj parku, to przecież kilka kroków od domu, dość przejść przez ulicę i już się jest koło parku.

- Mówisz o Hyde Parku. Burnsowie mieszkają przy Park Lane. - Brat Just najwyraźniej nie pochwalał wysyłania dziewczyny z liścikami po nocy. Fleur słyszała dezaprobatę w jego głosie. - Z kim miała się spotkać panna Crewe-Burns?

- Tego nie wiem i nie powiem. Wiem tylko, że nie chciała iść na to spotkanie. To znaczy, z początku chciała, ale potem się rozmyśliła.

- A dostarczyłaś wiadomość, jak ci poleciła? Zdążyłaś?

- Nie, ten pan chyba nie przybył. Powóz za to był i chłopak na koźle, w łachmanach, wystraszony czegoś okropnie. I ten łajdak z wymalowaną twarzą. Zaczaił się na mnie.

- Nie pomyślałaś, że ten, co się zaczaił, i ten, z którym miała się spotkać panna Victoria, to jedna i ta sama osoba? - zapytał mnich.

- Nie. Na pewno nie. Panna Victoria miała się spotkać z młodym panem, ten zdawał się stary. Chociaż... - Jane zawahała się. - Trudno powiedzieć, bo miał wymalowaną twarz, ale na moje oko musiał mieć ze czterdzieści lat. Tak myślę.

- Czterdzieści lat, powiadasz? Taki stary? - W głosie brata Justa zabrzmiało rozbawienie. - Co wydarzyło się potem?

- Potem wciągnął mnie do powozu. Nawet

krzyknąć nie zdążyłam. Pojechaliśmy prosto Park Lane, w dół, jakby do Piccadilly. Najpierw to myślałam, że wjedzie do parku, ale nie. Skręciliśmy w lewo. Wiem, bo aż się przechyliłam na zakręcie.

A więc Jane Weller, wysłana przez swoją panią z listem, została porwana prawie spod domu. Straszne. Fleur aż się wzdrygnęła.

- Chyba skręciliśmy w Piccadilly, bo to musiała być Piccadilly, potem kawałek jechaliśmy prosto, ale później to cały czas już kręciliśmy, w prawo, w lewo. Z Piccadilly musiał chyba skręcić w prawo i wtedy straciłam orientację, wszystko mi się pomieszało.

- Świetnie się spisałaś.

- Och. - Jane podniosła dłonie do twarzy. - Czekolada. Zapach czekolady. Zupełnie zapomniałam z tego wszystkiego. Czułam tamtej nocy zapach czekolady. To był bardzo mocny zapach.

- Myślisz, że z jakiejś kawiarni?

- Nie wiem. W każdym razie czułam zapach czekolady w powozie. Poczułam go, jak już prawie dojeżdżaliśmy na miejsce. - Jane złożyła dłonie. - Zawiązałam mi oczy, żebym nie widziała, gdzie wysiadamy. Jestem już zmęczona. Nic więcej sobie dzisiaj nie przypomnę.

- Nie musisz. I tak dużo sobie przypomniałaś i powiedziałaś. Bardzo mi pomogłaś. Odprowadzę cię do Domku Wdowy. Powiedz mi, posyłasz pieniądze do domu, Jane? - Mnich rzucił pytanie od niechcenia.

- Dlaczego brat mnie o to pyta? - zareagowała Jane ostro.

- Gdy widzieliśmy się po raz pierwszy, mówiłaś, że musisz znaleźć miejsce. Dzisiaj powiedziałaś, że ojciec „kiedyś pracował”. Jeśli stracił zajęcie, w domu może być ciężko. Masz rodzeństwo?

- Trzech młodszych braci. Tata ma krzyż złamany, nie może chodzić. Mama wszystko robi.

Brat Just poklepał Jane po ramieniu.

- Cieszę się, że znów jesteś na służbie i możesz pomóc rodzinie. Chodźmy już.

- Ja tylko nie chcę, żeby był ze mną kłopot, a cały czas nic tylko przysparzam kłopotu. Brat musiał mnie ukryć u pani markizy, wystarał się o miejsce i w ogóle... - Jane urwała, zakłopotana.

- Przydarzyło ci się nieszczęście. Dojdę, kto je wyrządził, zanim ten szubrawiec skrzywdzi kolejną Bogu ducha winną dziewczynę. Nie ty pierwsza padłaś jego ofiarą.

- Och - szepnęła Jane. - Biedactwa. Miałam szczęście, że skończyło się, jak się skończyło. Za mnie nikt nie mógł mu zapłacić, to mnie wypuścił, ale strach pomyśleć, co się stanie, jak porwie pannę z bogatej rodziny, a oni nie będą chcieli dać mu pieniędzy. Może przecież i tak się zdarzyć. Zresztą chyba przecież powiedział, że wtedy zabije dziewczynę.

- Nie martw się - uspokoił ją brat Just. - Jak sobie coś przypomnisz, powiesz mi przy następnym spotkaniu, to wszystko. Ja tymczasem pojedę w okolice, dokąd cię zawiózł. Przekonam się, czy dobrze zgaduję z twoich opisów, gdzie to mogło być. Niedługo znowu się zobaczymy. Pamiętaj, niczym się nie martw - powtórzył.

- Dziękuję. Spróbuję.

Wstali, Jane ruszyła przodem.

- Jane! - zawołał brat Just i dziewczyna się odwróciła. - Chciałem ci jeszcze jedno powiedzieć, a właściwie cię o coś poprosić. Miej cały czas oczy otwarte. Wydaje mi się, że nasz malowany fireyk w białych atłasach to człowiek z towarzystwa, ktoś dobrze znany w Londynie.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Musiał się mylić.

Chciał, żeby tak było. Wolałby nie marnować czasu, a tak musiał niemal biec do swoich pokoi, zrzucić habit, przebrać się błyskawicznie w strój wieczorowy, uczesać się, jeszcze zarzucić pelerynę na ramiona. Niech to kule biją! Tyle ambarasu, zachodu, podchody jakieś, kiedy najchętniej położyłby się teraz do łóżka.

Wyczuwał na miłą obecność człowieka, tak miał wyostrzone zmysły. Było to jego błogosławieństwo, przydatne w nocnych eskapadach, ale i przekleństwo. Wiedział doskonale, głowę dałby sobie uciąć, że w kaplicy ktoś był, ale w obecności Jane nawet nie próbował szukać kryjącego się w mroku intruza. Dziewczyna dość już przeżyła, nie chciał jej jeszcze bardziej wystraszyć.

Chwycił cylinder, rękawiczki i pospiesznie wyszedł na korytarz. Gdyby spotkał kogoś przed

domem albo w sieni, powie po prostu, że właśnie wychodzi.

Miał swoje podejrzenia. Jeśli Fleur usłyszała coś więcej z jego rozmowy z Nathanem, niż chciała przyznać, mogła wpaść na szalony pomysł i zakraść się do kaplicy. To do niej podobne.

Jeśli się mylił, to dobrze, a jednak po południu wyczuł jej obecność we wnęce okiennej korytarza. Intuicja go nie zawiodła. Dokładnie to samo wrażenie ogarnęło go w kaplicy.

„Zapach czekolady”. Cały czas rozbrzmiewały mu w uszach słowa Jane. Zdemaskowanie porywacza, oto czym się powinien zająć w najbliższych dniach, zamiast dla przyjemności szanownej pani matki prowadzić pannę Toogood z jednego balu na drugi.

Dominik zbiegł na pierwsze piętro i przycisnął się na galerii, biegnącej wokół sieni. Jeśli to Fleur, zaraz powinien ją dojrzeć, wracającą z kaplicy.

Usłyszał kroki.

Dobrze wyliczył czas, bo znalazł się na parterze akurat w momencie, gdy Fleur, otulona peleryną z kapturem, stawiała nogę na pierwszym stopniu.

- Na miłość boską, moja panno! - zawołał niby to przerażony i zgorzony jednocześnie. - Skąd wracasz o tak późnej porze?

Poderwała głowę, kaptur zsunął się na ramiona, odsłaniając potargane rude włosy i lekko ubrudzoną twarz.

W pierwszej chwili zaskoczona, Fleur w mgnieniu oka przybrała hardą minę.

- Mogłabym zadać podobne pytanie, ale na to jestem zbyt dobrze wychowana.

- Ja nie wracam, tylko wychodzę, czego, jak widzę, nie zauważyłaś. Poza tym to nie twoja sprawa, co porabiam. Zdumiewa mnie twoje zachowanie. Wychodziłaś? - Podeszedł do Fleur i zmierzzył ją uważnym spojrzeniem. - Coś mi dziwnie wyglądasz. Mina nietęga. Co się stało?

- Lubię przebywać na świeżym powietrzu. Sama rezydencja jest oczywiście wspaniała, ale park też przepiękny. Pomyślałam, że... - Fleur zaniósła się kaszlem, a kiedy udawany atak minął, wyjaśniła: - Chyba nie powinnam wychodzić w taką wilgotną noc. Wybacz, milordzie, pójdę do swojego pokoju się ogrzać.

Dominik chwycił jej dłoń, wsunął sobie pod ramię i poprowadził pannę na drugie piętro, do swoich pokoi. Nie będzie z nią robił zbędnych ceregieli... Co za wścibskie stworzenie.

- Ja mieszkam niżej - zaprotestowała Fleur urażonym tonem.

- A ja wyżej. Wiesz o tym. Usiądziemy sobie wygodnie przy kominku w moim gabinecie i napijesz się gorącej czekolady. Jestem prawdziwym mistrzem w przyrządzaniu czekolady.

Nie zareagowała na aluzję do czekolady, ale Dominik wyczuł wyraźny opór ze strony panny Toogood, która była bez wątpienia osobą stanowczą. Bardzo wścibską i bardzo stanowczą.

- Kiedy zaprosiłeś mnie do siebie po południu, milordzie - zaczęła - jeśli można to nazwać zaproszeniem... Otóż, gdy zaprosiłeś mnie czy raczej wciągnąłeś do swoich pokoi, zdarzył się pewien incydent. Drobnym incydentem, bez większego znaczą-

nia, niemniej coś podobnego więcej nie powinno mieć miejsca. Co do tego obydwójce chyba jesteśmy zgodni.

Dominik lekko przechylił głowę.

- Drobny incydent? Co masz na myśli? Chodźmy. Zajmę się tobą. Matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybyś się przeziębila, panno Toogood. Akurat teraz, tuż przed twoim wielkim wejściem na londyńskie salony. Jest przekonana, że zrobisz wspaniałą konkietę, a ja, muszę przyznać, podzielam jej zdanie.

Fleur skrzywiła się zabawnie i zapytała:

- Tak myślisz?

Dominik zaśmiał się i pociągnął ją na drugie piętro. Lubił pannę Toogood, a niech to! Była ładna, odważna i miała bystry umysł. Co ważne, potrafiła śmiać się z samej siebie. Na nieszczęście była też okropnie ciekawska. Teraz już miał niezachwianą pewność, że usłyszała z jego rozmowy z Nathanem znacznie więcej, niż gotowa była przyznać. Skaranie boskie.

Nie do końca.

Obowiązek, który przyjmował zrazu tak niechętnie, z oporami, zmienił się w nader interesujące wyzwanie. Jak powinien teraz postąpić? Mógł oczywiście zwymyślać pannę Toogood na czym świat stoi, tak że odechciałoby się jej raz na zawsze nocnych eskapad, ale wolał nie ryzykować. Wyrzekłby jedno słowo nie w porę, jedno słowo za dużo i katastrofa gotowa.

W każdym razie jednego mógł być pewien: nie domyślała się, na szczęście, że brat Just i lord Dominik to jedna i ta sama osoba.

- Siadaj w tym zielonym fotelu przy kominku - zaproponował uprzejmie, kiedy weszli do jego pokoju. - Ja tymczasem przygotuję czekoladę, ale najpierw pozwól pelerynę.

- Nie! - Fleur owinęła się szczelniej. - Dziękuję. Zimno mi, a jestem zmarzlakiem. Wolę jej nie zdejmować.

Wolisz jej nie zdejmować, bo chowasz coś pod spodem, moja panno, pomyślał Dominik.

- Siadaj, proszę - powtórzył, zatarł energicznie dłonie i chuchnął. - Sam chętnie napiję się gorącej czekolady. - Zdjął pelerynę i położył na kanapie, razem z cylindrem i rękawiczkami.

Fleur usiadła w fotelu. W blasku płomieni jej twarz okolona rudymi lokami wyglądała ślicznie. Dominik westchnął tęsknie. W innych okolicznościach...

Ba!

Poruszył głównie w kominku, kilka polan dorzucił.

- Całkiem zgrabnie sobie radzisz, milordzie - zauważyła Fleur.

Dominik odwrócił się od kominka i spojrzał na nią przez ramię.

- Domyślam się, że ty też masz zręczne dłonie, panno Toogood - odparł i powiesił kociołek nad ogniem. Na stoliku stał dzbanek z mlekiem i puszka z czekoladą, przygotowane przez zapobiegliwego Merryfielda, dobrego pokojowca, który dbał jak nikt o potrzeby Dominika. - Woda zaraz powinna się zagotować.

- Zanim się zagotuje - głos Fleur zabrzmiał

bardzo stanowczo - zechciej mi powiedzieć, co takiego złego, twoim zdaniem, zrobiłam, milordzie?

- Nadto śmiało sobie poczynasz, moja panno. Jesteś zbyt rezolutna. Masz cięty język, nad którym nie potrafisz zapanować. W ogóle trudno za tobą trafić. Ciągłe czymś mnie zaskakujesz. Podoba mi się to, nie powiem. Lubię niespodzianki. Ostry język świadczy o bystrości. Nawet śmiałość ujdzie, gdy bywa ożywcza, ale daj czasami człowiekowi sposobność powiedzieć, co ma do powiedzenia, nie wyręczaj rozmówcy. - Dominik zdjął surdut i podwinął rękawy koszuli.

- Tak, milordzie?

- Masz wypieki, panno Toogood. Musi być ci gorąco. Wiem, że chowasz coś pod peleryną i za nic nie chcesz, bym to zobaczył, ale teraz to naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

- Owszem, ma znaczenie. Dla mnie w każdym razie. Byłabym zakłopotana.

- Niech zgadnę. Nie masz nic pod spodem?

- Milordzie!

- Ludzie czasami rozdziewają się całkiem, wiesz? Ja sam, na przykład, bardzo lubię zrzucić z siebie ubranie. - Spojrzał na nią przeciągle. - Czasami osłaniać ciało, więzić je w różnych płótnach, barchanach, a choćby i w jedwabiach, to prawdziwy grzech. Grzech i wielka strata, zwłaszcza gdy chodzi o ciało foremne, kształtne, miłe dla oka.

Fleur wyduła lekko wargi, najwyraźniej zdumiona tym nowym dla niej podejściem do spraw cielesności, i to prezentowanym w dodatku przez

mężczyznę. W niebieskich oczach zdecydowanie więcej było jednak zainteresowania niż oburzenia.

- Nic nie powiesz, Fleur? Mogę chyba mówić do ciebie Fleur? Trochę się już poznaliśmy, trochę czasu spędziliśmy razem.

- Tak, tak, mów mi Fleur, milordzie. Cóż mam odpowiedzieć? Stwierdzenia nie wymagają odpowiedzi, ale cieszy mnie, że ludzkie ciało stanowi dla ciebie źródło przyjemności. Ja sama też znajduję je nader zajmującym.

Na szczęście woda się zagotowała i Dominik skupił się na przygotowaniu czekolady. Panna Toogood powiedziała, że znajduje ciało zajmującym? Hm. Podał Fleur filiżankę z gorącym napojem i usiadł w fotelu naprzeciwko.

- Nie żebym chciał się chwalić, ale robię najlepszą czekoladę w świecie. Zaraz będziesz miała okazję sama się przekonać.

Tym razem dostrzegł w oczach Fleur dziwny błysk. Słyszała każde słowo wypowiedziane w kaplicy, teraz był tego pewien. Nie wiedział tylko, jak ją zmusić, by łaskawie trzymała język za zębami.

- Muszę wracać do siebie - oznajmiła raptem. - W ogóle nie powinnam była tu przychodzić.

Miała rację, szkopał w tym, że Dominik nie mógł jeszcze pozwolić jej wyjść.

- Owszem, musisz wracać do siebie, bo żar cię oblewa, doskonale rozumiem, ale za nic nie zdejmiesz peleryny, co już mniej pojmuję.

Oto i znalazł na nią sposób. Fleur zerwała się z fotela, odpięła spiętą pod szyją pelerynę i zrzuciła ją jednym ruchem.

- Nie będziesz się ze mnie naśmiewał - powiedziała, mierząc Dominika złym spojrzeniem. - Robię to, co uważam za stosowane, mój panie.

Wyglądała jak osoba, która uparła się nosić całą swoją garderobę na grzbiecie, zabezpieczając ją w ten sposób przed zakusami złodziei. Spod stanika zapinanej na guziczki brązowej sukni wyzierało białe płótno, spod spódnic natomiast falbany i koronki.

Usiadła na powrót z godnością i upiła łyk czekolady.

- Masz rację, robisz najlepszą w świecie czekoladę - przyznała szczerze.

Dominik wybuchnął serdecznym śmiechem. Pomimo wysiłków nie zdołał się powstrzymać. W końcu jednak się opanował i wykrztusił:

- Masz pod suknią koszulę nocną. - On sam jeszcze przed chwilą krył ubranie wieczorowe pod habitem, tyle że pod tym ostatnim znacznie łatwiej coś nosić niż pod suknią.

- Bardzo jesteś spostrzegawczy, milordzie. Tak się ubrałam, żeby po powrocie móc szybko zrzucić suknię i natychmiast położyć się do łóżka. To nowe rzeczy, od pani markizy. Bardzo ładne same w sobie, ale... - W tym momencie guziczek przy staniku nie wytrzymał naporu materiału, ściśniętego pod spodem, i poleciał na podłogę. - Mówię, zdaje się, o rzeczach oczywistych.

- Większość z nas mówi nazbyt wiele, gdy czuje zakłopotanie - zauważył Dominik, starając się nie zwracać uwagi na przedziwne zestawienie: ciężkie, czarne trzewiki z grubej skóry, wyglądające spod sutych koronek.

- Nie jestem zakłopotana, milordzie - oznajmiła Fleur, po czym wstała, by podnieść guziczek i w tej samej chwili zgubiła następny. - Okropność - syknęła. - Pomóż mi, proszę, poluznić suknię.

Dominik podszedł do Fleur jak w transie i rozwiązał pasek sukni.

- Może będziesz miała szczęście i reszta guzików teraz się zachowa - mruknął.

- Nic z tego - odparła Fleur ze złością. - Wszystko się przysięgło przeciw mnie, tak żebym wyszła na idiotkę. Ta suknia zaraz ze mnie spadnie, ale pod spodem mam bardzo przyzwoitą koszulę, tylko, proszę, nie naśmiewaj się, milordzie.

Powiedziawszy to, zdjęła suknię i została w białej koszuli, niezwykle sutej, ozdobionej różyczkami z atłasu i obszytej koronkami u dołu.

Dominik uśmiechnął się, ale zmitygował się natychmiast i na wszelki wypadek zasłonił usta dłonią.

- Nie śmieję się, przysięgam. Pomyślałem tylko o tym, jaką przyjemność musi sprawiać matce zaopatrywanie w stroje panny, która zaczyna pierwszy sezon. Jest przejęta twoim debiutem, jakby wprowadzała w świat własną córkę. Dba o twoje stroje, nawet nie zapomniała o nocnym przyodziewku.

Fleur zrobiła jedną z marsowych min, które z takim uporem ćwiczyła przed lustrem.

- Przyprowadziłeś mnie tutaj, bo chciałeś mnie upomnieć z jakiegoś powodu, milordzie. Upominaj szybko i pozwól wracać do siebie.

Najchętniej usiadłby z Fleur przy ogniu, objął ją

i przytulił do piersi. Coś niedobrego dzieje się z tobą, Elliot. Myśleć o takich niewinnych zajęciach? W towarzystwie kobiety?

- Gdzie chodziłaś dzisiaj wieczorem? - zapytał surowo. - Tylko nie próbuj mi wmawiać, że postanowiłaś zażyć krótkiego spaceru przed snem. Myślę, że byłaś na schadzce.

- Ty... ty niegodziwcze! Z kim miałabym się spotykać w środku nocy?

- Właśnie to chciałyby wiedzieć. - W rzeczywistości chciał, by przyznała się, gdzie była, i dała mu tym samym sposobność powiedzenia jej, że ma trzymać język za zębami. - Czy twoje nocne wyjście miało coś wspólnego z tym, czego jakoby nie usłyszałaś z mojej rozmowy z bratem? Dobrze zgaduję?

Splonęła się uroczo.

- Fleur?

- Dobrze. Przyznam się. Słyszałam, jak rozmawiałaś z lordem Nathanem o schadzce w kaplicy: że niejaki brat Just spotka się tam z panną Jane Weller, która mieszka w Domku Wdowy.

- A ty od razu uznałaś, że koniecznie powinnaś być przy tym spotkaniu i jeszcze podsłuchiwać? Ot tak, po prostu, z czystej, bezinteresownej ciekawości świata i ludzi.

- Jesteś podły, milordzie. - Fleur wstała i oparła dłonie na biodrach. - W twoich ustach wszystko staje się takie... plugawe. Lord Nathan mówił o Jane tak, jakby nikt jej tu nie chciał, jakby przeszkadzała. Zrobiło mi się żal dziewczyny. Wiem, jak to jest być ledwie tolerowaną. Miałam nadzieję, że może uda

mi się zamienić z nią słowo, pomóc jej jakoś, jeśli przyjdę wcześniej do kaplicy. Nie sądzę, byś potrafił mnie zrozumieć - ciągnęła. - Oczekuje się po mnie tylko jednego: mam myśleć o balach, herbatkach, strojach, stać w kącie i czekać, aż jakiś mężczyzna się nade mną zlituje i zaprosi do tańca albo przyniesie szklankę lemoniady. Powiem ci, że na moje wyczucie cały ten londyński sezon, o którym tyle się mówi, musi być przeraźliwie nudny.

- Jest - przyznał szczerze Dominik. - To pewien rytuał, któremu wszyscy się podporządkowują, ty też zgodziłaś się wziąć w nim udział. Na tym polegają rytuały: nikt ich nie lubi, ale też nikt przeciw nim nie ośmiela się wystąpić, chyba że jaki rewolucjonista albo błąźnierca, albo jedno i drugie.

- Nie dla... - Fleur straciła wątek, rzecz u niej niezwykajna. - Tak, zgodziłam się - przytaknęła. - Zgodziłam się, żeby pomóc mojej rodzinie, i jak na razie nie sprawiłam się najlepiej. Przysparzam sobie tylko kłopotów, choć nie mam złych intencji.

Powiedzieć jej, że wcale nie jest złym człowiekiem, byłoby zbyt proste.

- Wracajmy do rzeczy. Rano dowiem się od Nathana, jak przebiegła rozmowa między bratem Justem a Jane Weller. Zdecydowanie wolałbym nie wspominać mu o twojej nocnej eskapadzie do kaplicy.

Fleur uśmiechnęła się.

- Zatem nie wspominaj, milordzie. Już sobie obiecałam i słowa zamierzam dotrzymać, że nigdy, za nic, pod żadnym pozorem nie będę się mieszać w nie swoje sprawy - zadeklarowała żarliwie. - A do

kaplicy poszłam. Stało się. Teraz bardzo tego żałuję. Nie mogłam pomóc Jane, a sama lekkomyślnie wystawiłam się na niebezpieczeństwo.

- Chciałaś dobrze - stwierdził nieoczekiwanie dla samego siebie Dominik. Zaczarowała go chyba ta panna. - Słusznie, unikaj podobnych sytuacji w przyszłości. Ja i Nathan mamy uzasadnione podstawy sądzić, że dzieje się coś niedobrego, i uczynimy wszystko, by dopomóc bratu Justowi w powstrzymaniu szerzącego się zła.

- Mówisz o uprowadzeniach, prawda, milordzie?

Dominik wziął głęboki oddech.

- Tak. Proszę cię, nikomu, ale to nikomu ani słowa o tym, co usłyszałaś. Ktoś może cię pytać. Nie wiem jeszcze, kto by to mógł być, ale sprawa jest niezwykle poważna. Jeśli powiesz jedno nieopatrzone słowo niewłaściwej osobie, może zdarzyć się kolejne nieszczęście. - Fleur sama może paść ofiarą porywacza, dodał Dominik w myślach.

Milczała, zacisnęła dłoń.

- Nie chciałem cię wystraszyć.

- Nie boję się, tylko martwię. Nikomu nic nie powiem, myślę o tym, że ten potwór znowu uczyni coś okropnego. Człowiek bez sumienia, który czyha na bezbronne dziewczęta, który zmusza jakiegoś biednego chłopca do udziału w przestępczym działaniu, nie powinien chodzić na wolności i być postrachem dla ludzi.

- Masz całkowitą rację.

- Jeśli tylko będę potrafiła, pomogę wam. Wystarczy, żebyś poprosił, milordzie.

- Dziękuję - odrzekł Dominik, mając nadzieję, że zabrzmiało to *szczerze*. - Najbardziej pomożesz, pozwalając mi działać wedle planu. Trzymaj się z dala od tej sprawy, żebym nie musiał się martwić, czy ci znowu jakaś szalona myśl nie wpadnie do głowy.

Fleur najwyraźniej miała ochotę powiedzieć mu w krótkich i niezbyt miłych słowach, co sądzi o jego opinii na jej temat.

- Nie będziesz musiał się martwić - wycedziła i nachyliła, by zebrać swoje rzeczy.

Dominik zerwał się z fotela.

- Nie odchodź jeszcze - poprosił.

- Już nazbyt długo cię zatrzymałam, milordzie. Jesteś umówiony i na pewno bardzo się spieszysz.

Wbiła wzrok w podłogę, usta wygięły się w podkówkę. O co chodzi? Znowu ją czymś uraził, obraził? Bez przerwy ją urażał i obrażał. A niech to!

- Nigdzie nie wychodzę, zmieniłem zamiary. Zrobiło się późno, nie chce mi się ruszać z domu.

- Nie ma to jak w domu - stwierdziła Fleur sentencjonalnie. - Ja podobno jestem domatorką, przynajmniej tak mówi mama.

Czy to możliwe, żebym się nią interesował? - zadał sobie w duchu pytanie Dominik. Nieważne. Jakie to ma znaczenie? Lubi niebezpieczne życie, pewnie nigdy się nie ustatkuje. Nie chce tego, najzwyczajniej w świecie. Dawno to sobie powiedział, nie odkrywa teraz Ameryki. Co innego Nathan.

Tak, Nathanowi niewątpliwie przydałby się ktoś, kto by studził jego gorącą głowę, temperował tego

postrzeleńca. Fleur ze swoją stanowczością by to potrafiła. Nathan nie myślał o tak zwanym dobrym ożenku, który wzmocniłby pozycję rodziny, bo ta już była wystarczająco mocna, bez żadnych paranteli. Gorsza sprawa, że Nathan w ogóle nie myślał o ożenku. Gdyby jednak uległ urokowi Fleur, nie trzeba by pętać się po balach w poszukiwaniu dla niej męża i kłopot sam by się rozwiązał.

Dominik podał jej pelerynę.

- Schowaj suknię - poradził.

- Dziękuję - mruknęła Fleur tak markotnie, że przyjrzał się jej uważnie.

- Nie jesteś tu szczęśliwa, prawda?

Próbowała odwrócić wzrok, ale ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Heatherly to piękne miejsce - bąknęła bez przekonania.

- Ale?

- Nie nawykłam do wielkich rezydencji, do przepychu. Nieswojo mi się robi, kiedy pomyślę o tych wszystkich balach i rautach, które mnie czekają. A przecież powinnam być wdzięczna pani markizie za jej dobroć i starania. Muszę też myśleć o swojej rodzinie, o tym, że ode mnie teraz zależy ich powodzenie.

- Od tego, czy zrobisz dobrą partię?

- Tak. Tyle że ja nie zrobię żadnej partii, marnuję tylko wasz czas - odparła Fleur.

Dominik, zapiąwszy jej pelerynę, nie cofnął dłoni, tylko położył na ramieniu Fleur.

- Dlaczego uważasz, że nic z tego nie wyjdzie?

Przekonasz się, że pod koniec sezonu będziesz zaręczona. Nie przesądź z góry.

- Nigdy nie znajdę odpowiedniego kandydata. To niemożliwe.

- Skąd wiesz? - W głosie Fleur zabrzmiało mocne przekonanie, które wcale mu się nie spodobało.

- Bo... bo dla mnie pewne sprawy są ważne... Mężczyzna musi spełniać określone warunki. Nie chcę przeżyć całego życia u boku kogoś, z kim nie będę szczęśliwa. Wyobrażasz sobie coś takiego, milordzie?

Czy sobie wyobraża? Nigdy jeszcze nie prowadził z nikim podobnej rozmowy.

- Bardzo mądre założenie, ale czy aż tak trudno cię zadowolić?

- Tak. - Na rzęsach Fleur zalsniło coś, co podejrzenie przypominało łzy.

Dominik dotknął leciutko ustami jej czoła. W zamierzeniu miał być to serdeczny, przyjacielski gest. Nic niestosownego. A może?

Zamiast się obruszyć, zaprotestować, zwymyślać go, Fleur powiedziała:

- Jesteś niezwykle miłym człowiekiem, milordzie. Masz też zapewne wiele innych zalet, których nie będzie mi dane poznać. Cokolwiek się wydarzy za mojej tutaj bytności, zachowam cię w pamięci jako... kogoś w rodzaju dobrego wujka.

A niech to! Dobry wujek?

Tego tylko brakowało! Czy ta dziewczyna naprawdę nic nie rozumie, czy też kpi sobie z niego w żywe oczy? Jakiż wujek odczuwałby takie podniecenie? Poruszenie zmysłów było tak silne, że

Dominik zaczynał poważnie powątpiewać, czy będzie w stanie towarzyszyć Fleur w jej wyprawach na rozliczne bale i odgrywać rolę opiekuna.

Uniósł raz jeszcze jej brodę i spojrzał głęboko w oczy. Wiedział doskonale, co Fleur dojrzy w jego spojrzeniu, nawet jeśli nie zrozumie do końca targających nim porywów. Nie dbał o to. Wszystko jedno. Niech sobie myśli, co chce, tylko niech go, na Boga, nie uważa za dobrego wujka!

Pocałował ją ponownie w czoło i znowu zajrzał jej w oczy.

Sprawdzał reakcje.

Podniecenie - dobrze. Zmieszanie - dobrze. Oczekiwanie - doskonale.

Refleksy płomieni błyskały na rzęsach, migotliwy cień brody kładł się na szyi i Dominikowi przemknęło przez głowę, jak też Fleur wyglądałaby naga w blasku bijącym od kominka. Musnął wargami jej ucho.

- Mój panie...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Fleur zadrżała. Położyła dłoń na jego piersi, wsunęła pod kamizelkę, wbiła palce w ciało, nie wydając przy tym żadnego odgłosu.

Dominika ogarnęła namiętność.

To, co właśnie zrobił, było nie do wybaczenia. I nie do zapomnienia. Oto miał przed sobą niewinną pannę, która szykuje się do małżeństwa. Gdyby ją teraz uwiódł, okazałby się człowiekiem najpodlejszym z podłych, skończonym łotrem. A jednak pocałował ją znowu... w policzek.

Wyprostował się i położył jej dłonie na ramio-

nach. Nie wiedział, co powinien powiedzieć, jak się zachować. Jedno było pewne - należy czym prędzej położyć kres niewczesnym karesom.

- To było wspaniałe - stwierdziła Fleur - ale muszę ci coś szczerze wyznać.

Dominik czekał na zniewagę. Po Fleur wszystkiego mógł się wszak spodziewać. Była jak żywioł, nad którym człowiek nie ma kontroli.

- Mam ochotę znowu się z tobą pocałować. Całować się i całować. Powinnam jednak zastanowić się nad swoimi odczuciami.

- Cóż to za odczucia, nad którymi musisz się zastanawiać? - Uśmiechnął się ostrożnie.

- Nie mogę o nich mówić, nie rozpatrzywszy się w nich. Zupełnie nowe odczucia, o których wcześniej nie miałam żadnego wyobrażenia. Nieznane. Nie wiem, czy nie będę musiała prosić, byś pomógł mi rozeznąć się w tym nowym świecie. O ile zechcesz poświęcić mi trochę czasu, oczywiście.

Co on wywołał?

- Jak mam ci pomóc?

Fleur uśmiechnęła się i cofnęła o krok.

- Chciałam, taki był pierwotny mój plan, zapoznać cię z wymogami, jakie stawiam przyszłemu mężowi, tak byś z góry mógł wyeliminować tych, którzy owym wymogom nie sprostają. Teraz jednak, kiedy pokazała się namiętna strona mojej natury, musisz koniecznie nauczyć mnie, jak nad nią panować. Domagam się tego. Masz doświadczenie, będziesz moim przewodnikiem.

Sam się prosił o kłopot, ale czy mógł przewidzieć podobną reakcję?

- Czujesz niejakie pomieszanie, bo znalazłaś się z dala od domu, zdana tylko na siebie. Pokazałem ci, że chcę być twoim przyjacielem, a twoja reakcja to tylko wdzięczność, nic więcej. - Dominik próbował się wykręcić, zbagatelizować powstałą sytuację.

- Nic nie rozumiesz. Jesteś wielkoduszny, dobry, okazałeś mi dzisiaj prawdziwą serdeczność, a ja cię niegodziwie wykorzystałam. Dzięki tobie doświadczyłam, co to jest żądza cielesna. Wybacz, że twoim kosztem pogłębiłam swoją wiedzę.

R S

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czarny ekwipaż markiza Granville'a zatrzymał się na podjeździe Heatherly House, kiedy słońce skłaniało się już ku zachodowi.

Fleur, przejęta, stała obok Elliotów, oczekując na spotkanie z młodą markizą Granville i jej przybraną córką, małą Chloe. Po obu stronach stopni, wiodących do domu, w dwóch karnych szeregach ustawiła się służba.

Nigdy w życiu Fleur nie czuła się tak bardzo nie na miejscu jak w tej chwili. Już wcześniej lord Nathan zauważył jej zaszępioną minę i tak długo wypytywał o powody, aż mu opowiedziała o trapiących ją wątpliwościach: czy powinna uczestniczyć w rodzinnym powitaniu. Nathan, zamiast odpowiedzieć, chwycił ją w ramiona, wyściskał i postawił na ziemi dopiero wtedy, gdy zaczęła się śmiać.

- Teraz lepiej. Wiedziałem, że mój sposób po-
skutkuje. Pamiętaj, że lady Granville przyjeżdża tu

specjalnie dla ciebie i bynajmniej nie dlatego, że musi, tylko dlatego, że chce. W tej sytuacji jak najbardziej powinnaś ją witać razem z nami wszystkimi. Koniec, kropka.

Fleur polubiła lorda Nathana. Był obdarzony zielonymi oczami, w których można się było zatracić, choć ich spojrzenie było mniej intensywne niż u lorda Dominika. Lord Nathan był miły, pogodny, przystojny. Miał przy tym taki sposób bycia, że człowiek czuł się przy nim od razu swobodnie.

Tego ranka poszedł z nią na śniadanie do Domku Wdowy. Bała się, że będzie jej wyrzucił wczorajszą samowolę, ale nie wspomniał ani słowem o nieprzemyślanej nocnej wyprawie do kaplicy, co oznaczało, że Dominik dochował tajemnicy i nic mu nie powiedział.

Wysoki, chudy i niezwykle dostoyny stangret w okularach ściągnął z fasonem cugle, unosząc wysoko ręce, i karę konie stanęły posłusznie w miejscu, co służba przyjęła pełnym uznania chóralnym pomrukiem.

- Cały Albert Parker, nic a nic się nie zmienił. Popisuje się jak zawsze - zauważył lord Nathan szeptem. - Urodzony aktor.

- Pełni też rolę sekretarza i osobistego lokaja Johna - dodał Dominik. - Doprawdy niezwykła kombinacja jak na służącego. Dziw prawdziwy, że nie pojechał z Johnem do Wiednia.

Nathan dał bratu kuksańca w bok.

- Żaden dziw, kiedy dobrze się zastanowisz, Dominiku. John strzeże Hattie i Chloe jak źrenicy oka, a nikomu nie ufa tak jak Albertowi. Zatem

komu miał powierzyć dwie najdroższe sobie istoty jak nie właśnie jemu?

Fleur słuchała tej wymiany zdań z żywym zainteresowaniem.

Stangret zsiadł z kozła, wysunął stopnie przy drzwiczkach powozu, otworzył te ostatnie, zajrzał do wnętrza i w prześwicie pojawiła się dziewczynka z czarnym kotem w ramionach, ubrana w pomarańczowy paltot, w kapelusiku, spod którego spływały kasztanowe aneglezy. Albert chwycił ją wpół i postawił na ziemi. Mała zaczęła podskakiwać i machać rączką do witających.

- Chloe świetnie się chowa, prawda, mamó? - zwrócił się Dominik do lady Granville.

- To zasługa Hattie i Johna. Biedactwo straciło oboje rodziców. Trzeba wiele serca, żeby dziecko wróciło do siebie po takiej tragedii, ale John bez wahania przyjął na siebie obowiązki ojca, a kiedy Hattie została jego żoną, stworzyli Chloe prawdziwy dom.

Fleur dotąd była przekonana, że markiza i markiz są naturalnymi rodzicami dziewczynki. Miała ochotę zapytać starszą lady Granville, jakie nieszczęście spotkało tych prawdziwych, ale zabrakło jej odwagi.

Stangret pomógł wsiąść lady Granville, osobie, jak się Fleur wydawało, niewiele, jeśli w ogóle, starszej od niej samej.

Młoda markiza uśmiechnęła się promiennie, ucałowała się z teściową, ze szwagrami.

Fleur stała skromnie z boku i obserwowała scenę powitania.

Wreszcie lady Granville zwróciła się ku niej, wyciągając obydwie dłonie. Fleur odwzajemniła uścisk, dygnęła i powiedziała:

- Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca, milady.

- Ani trochę. Jesteś śliczna, moja droga, niczym świeży kwiat. Wzbudisz swoją niepospolitą urodą powszechny zachwyty. - Spojrzała na markizę wdowę, a swoją teściową. - Jestem tego pewna, proszę matki. Prawdziwie oryginalna dziewczyna. Te wspaniałe rude włosy... Niczym stare złoto. Pozazdrościć.

- Nie bądź taka skromna, moja droga - odezwał się Dominik, biorąc Chloe na ręce. - Zachwycasz się włosami Fleur, zresztą słusznie, ale ty też jesteś prawdziwą pięknnością.

Komplement Dominika ucieszył Fleur bardziej niż powinien, ale przyznawała mu w pełni rację, kiedy składał hołd urodzie lady Granville.

Ta ujęła Fleur pod ramię i od razu zjednała sobie pannę bezpośrednio obejścia. Przez szpaler służby ruszyły po stopniach do drzwi frontowych. Osobno stali w niewielkiej grupce: rządca Heatherly, pan Lawrence, obok głównego ogrodnika, pani Chambers, gospodyni, pani Skinner, kucharka, a także pierwszy kamerdyner, McGee.

McGee i pani Chambers wystąpili do przodu, aby powitać młodą markizę. Rodzina wśród śmiechów, wymieniając żartobliwe uwagi i przekrzykując się nawzajem, wkroczyła do sieni.

- Lawrence? - Lady Granville, ciągle trzymając

Fleur pod ramię, odwróciła się do rządcy. - Mąż prosił, żebym porozmawiała z tobą o dzierżawcach.

- Nie mogę na nich złęgo słowa powiedzieć, milady. - Lawrence, choć jeszcze młody, a już siwowłósy, o ogorzałej twarzy, należał do najbardziej cenionych pracowników w majątku.

- Nikt aby nie choruje? - pytała dalej lady Granville.

Lawrence uśmiechnął się.

- Wszyscy zdrowi, o ile mi wiadomo. Czy mogę im powtórzyć, że milady pytała?

Lady Granville skinęła głową i cała rodzina przeszła do salonu. Chloe usadowiła się z kotem na kolanach Dominika i szeptała mu coś do ucha.

- Miło cię widzieć, McGee - zwróciła się młoda markiza do kamerdynera.

- Dziękuję, milady. - McGee skłonił głowę, po czym znieruchomiał w wyczekującej pozie. - Bagaże już przenoszą do pokoi milady. Milady ma specjalne polecenia czy chciałaby teraz odpocząć?

- Najpierw herbata, McGee - zadysponowała markiza, siadając na kanapie obok teściowej. - Ciastka, sandwicze, placek, co tam tylko macie. Panowie będą na pewno chcieli wypić po szklaneczce czegoś mocniejszego, ale mogą obsłużyć się sami.

- Coś podobnego! Już szósta jak bum cyk cyk - zauważył lord Nathan. - Trochę za późno na herbatę.

- Wyrażaj się - syknął Dominik. - Cóż za gminne powiedzonka.

- Jak bum cyk cyk - powtórzyła Chloe, zainteresowana nowym brzmieniem.

Nathan uśmiechnął się szeroko, a jego matka z dezaprobatą pokręciła głową.

- Coś jeszcze, milady? - zapytał McGee z niezmaconą powagą.

- Uhm. - Lady Granville potarła palcem czoło, jakby próbowała zebrać myśli. - Chyba żeby pani Skinner znalazła w kredensie trochę marcepana.

Fleur spojrzała na Dominika i parsknęła śmiechem. Przypomniała sobie, jak go nazwała „słodkim jak marcepan”, kiedy kazał jej porównywać siebie i Nathana. Dominik uśmiechnął się pod nosem.

Wszyscy raptem zamilkli. Rozejrzała się po zaciekawionych twarzach i oblała rumieńcem. Towarzystwo przyglądało się uważnie jej i Dominikowi.

Okropność.

- Zobaczę, czy jest marcepan. - McGee skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Fleur poczuła się okropnie niezręcznie. Nie chciała, by Elliotowie pomyśleli, że ma z Dominikiem wspólne sekrety.

Wyczuwając jej zakłopotanie, Dominik na oczekaniu zmyślił, jak to ostrzegał Fleur przed słodyczą brata i porównał go do marcepana. Sprowokował swoją historyjką okrzyki oburzenia, że śmiał za plecami oczerniać niewinnego.

- Właśnie, że Nathan jest słodki, a z ciebie prawdziwy złośliwiec - zauważyła Hattie, po czym zwróciła się do Fleur: - Mam do ciebie prośbę. Stań, proszę, tak, bym mogła obejrzeć cię dobrze, jeśli cię to nie peszy, ma się rozumieć.

Nie, wcale mnie to nie peszy, dlaczego? - zirytowała się w duchu Fleur. Jednak głośno powiedziała:

- Oczywiście.

Stała przed lady Granville.

- Hm. Wybornie, moja droga. Muszę powiedzieć, że masz doskonałą postawę i pięknie się poruszasz. Szczęśliwa jesteś. Pamiętam, ile ja się natrudziłam, zanim nauczyłam się ładnie i wytwornie chodzić.

Fleur nie mogła sobie wyobrazić, by markiza, uosobienie doskonałości, musiała dokonywać jakichkolwiek korekt w swej prezencji.

- Dziękuję, milady.

- Wystawiasz się gładko i przychodzi ci to bez wysiłku, samo z siebie. Ze mną było inaczej. Mówiłam gwarą. Bardzo długo brałam lekcje wymowy, żeby nie przynosić rodzinie wstydu. - Skinęła na Fleur, a kiedy ta się zbliżyła, szepnęła jej na ucho: - Ludzie tego nie słyszą albo udają, że nie słyszą, ale ja wiem dobrze, iż nie do końca pozbyłam się akcentu z East Endu.

Kiedy Fleur odstąpiła o krok, markiza uśmiechnęła się wesoło i dodała:

- Cieszę się, że jestem, kim jestem. Mój ojciec był piekarzem na East Endzie, a matka mu pomagała. Teraz, dzięki mojemu Johnowi, mieszkają w Bath, niedaleko nas i hodują piękne, egzotyczne róże.

- Jakie to miłe - szepnęła Fleur. Jak widać, markiza nie zapomniała, skąd się wywodzi, a ponadto dokonała tego, co było marzeniem Fleur: pomogła swojej rodzinie.

Starsza lady Granville, która dotąd milczała i z uśmiechem na twarzy obserwowała swoich najbliższych, przemówiła:

- Fleur jest drugą z kolei córką mojej serdecznej przyjaciółki, którą odwiedziłam kilka miesięcy temu. Zaproponowałam, by Fleur przyjechała do nas i obiecałam urządzić jej sezon w Londynie. Cieszę się, że jej rodzice wyrazili zgodę. Będzie musiała wiele się nauczyć, ale jest pojętna i tak, jak mówisz, Hattie, ma w sobie coś, co czyni ją niepowtarzalną.

Chloe zeszła z kolan Dominika i wyciągnęła się na dywanie.

- Zdrzemniemy się, Raven - powiedziała do swojej kotki i Fleur dopiero teraz miała okazję usłyszeć, że mała mówi z wyraźnym francuskim akcentem.

Dominik serdecznie współczuł Fleur, choć musiał przyznać, że cokolwiek myślała o takich oględzinach i ocenach, zniosła je dzielnie, a Hattie była bez wątpienia jedyną osobą, która mogła jej pomóc ominąć rafa, jakie ją czekały w trakcie sezonu.

- Jutro przed południem pojedziemy na Bond Street, do modystki - oznajmiła właśnie, zwracając się do Fleur. - Madame Sophie robi najładniejsze kapelusze w całym Londynie. Kupimy też kilka par pantofelków. Floris! Jakże mogłam zapomnieć o Floris? Powinnyśmy nabyć wody kolońskiej, perfumy i szczotkę do włosów z kościaną rączką.

- Hattie - odezwała się Chloe, która najwyraźniej zrezygnowała z drzemki. - Nie jestem głodna. Mogę wyjść do ogrodu?

Hattie uśmiechnęła się do małej.

- Zostaw Raven z nami i idź. Tylko pamiętaj włożyć kapelusz i rękawiczki.

Dominik spojrział na Nathana i przywołał go do siebie.

- Co powiesz na łyk czegoś mocniejszego? - zagadnął półgłosem.

- Doskonały pomysł. Nasza Fleur to prawdziwa piękność, nie sądzisz?

Dominik nalewał już whisky do szklaneczek.

- „Nasza” Fleur?

- Nasza, bo jest trochę tak, jakbyśmy ją zaadoptowali, więc nasza, a ty, to wiem, zrobisz wszystko, żeby ją wprowadzić w świat.

Dominik przybrał cierpienniczą minę.

- Gdyby Hattie nie zgodziła się przyjechać, umyłbym ręce od całej tej awantury.

Nathan łypnął na brata spod oka, ale ten udał, że nie widzi jego powątpiewającego spojrzenia.

- Dziwnie prawisz, staruszkule - skwitował zarzekania się Dominika.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i służba zaczęła wnosić jedzenie w ilościach, którymi można by wykarmić niewielką armię.

Dominik odwrócił się plecami do towarzystwa.

- Nie wiesz nawet, jak dziwnie się czuję - wyjaśnił bratu. - Też byś się tak czuł na moim miejscu. Pocałowałaś kiedyś kobietę, której nie masz prawa całować? No to wyobraź sobie, całujesz taką, choć nie masz najmniejszego prawa, a ona jeszcze przeprosza cię za to, że znalazła owo zajęcie całkiem przyjemnym?

- Słucham? - Nathan miał wyraźne kłopoty z domknięciem ust.

- Ostrzegam cię. Dość jestem rozsierdzony, nie

igraj ze mną, bawiąc się moim kosztem. Dobrze słyszałeś, co właśnie powiedziałem. Zostawmy ten temat, nieważne. Najwyższa pora, żebyś się ożenił.

Nathan zakrztusił się whisky i Dominik musiał uderzyć go kilka razy w plecy.

- Nathanie, Dominiku - przywołała synów markiza. - Chodźcie do nas, zjedzcie coś. Mamy pyszny biszkopt, tak delikatny, że rozpływa się w ustach.

- Już idziemy, proszę matki. - Nathan nie ruszył się, nie odrywając spojrzenia od twarzy Dominika. Zniżył głos. - Co się z tobą wyprawia, panie bracie? Co cię napadło, żeby mnie raptem, ni stąd, ni zowąd żenić? Co ty masz do tego, za przeproszeniem?

- Po prostu konstatuję fakt. Matka i John myślą tak samo jak ja. Najwyższa pora, żebyś znalazł sobie odpowiednią pannę i wreszcie się ustatkował. Żona weźmie cię w ryzy.

- Weźmie w ryzy? Ty... ty...

- Zasmarkany zadufku? To chciałeś powiedzieć? Coś podobnego! Sam widzisz, mam rację. Reagujesz jak niedorostek na moje dobre rady. Powiadam, czas, żebyś wreszcie przestał być dzieckiem i pomyślał o własnych. Będziesz doskonałym ojcem i dobrym mężem. Obiecuj, że się nad tym zastanowisz.

Nathan nie odpowiedział: wychylił jednym haustem to, co zostało w szklaneczce, i nalał sobie ponownie, nie szczędząc trunku.

- Zaraz zaczniesz ci się kurzyć ze łba - przestrzegł go Dominik. - Nie godzi się o tej porze, przy damach...

- Milcz.

- Co złego w tym, żeby mieć miłą żonkę, która

będzie czekać na ciebie co wieczór w sypialni? A w dzień zadba o wszystkie twoje inne potrzeby? Urodzi ci potomków, dziedziców nazwiska?

Nathan opadł ciężko na kanapę i skinął na brata, by usiadł obok niego.

- Wróćmy do całowania panien, których całować nie masz prawa i do ich przeprosin - zaproponował. - Dręczy cię myśl o jakiejś damie, więc nie zmieniaj tematu i nie czepij się mnie. Ty sam też nie palisz się do ożenku.

- Bo ja nigdy się nie ożenię - oznajmił Dominik kategorycznie, zamilkł i po chwili dodał: - Być może wstąpię do zakonu. Jeszcze nie teraz, ale rozważam taką możliwość.

- Brednie.

- Nie takiej oczekiwałem po tobie reakcji. - Nie powinien był dodawać, że to tylko luźny plan.

Nathan rozsiadł się wygodnie.

- Jak zwykle zmieniasz temat.

- Ależ skąd! - obruszył się Dominik. - Wiesz, myślałem, że Hattie przyjedzie tylko z Chloe i stangretem. Chociaż, że zabierze Śnieżynkę, tego się mogłem właściwie spodziewać. Przepada za tą gadułą i strojnisią, sam nie wiem dlaczego.

- Pewnie dlatego, że obydwójce Parkerowie są bardzo oddani rodzinie.

- Tej kobiecie brak piątej klepki - stwierdził Dominik. - Zatrzymała się w rozwoju umysłowym mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przestała rosnąć.

Śnieżynka Parker, żona Alberta Parkera, wślizgnęła się do salonu i stanęła niepewnie koło drzwi,

czekając, aż Hattie ją dostrzeże. John miłośiernie nazywał ją „osobą z charakterem”, ale wedle Dominika była raczej osobą zupełnie nieprzewidywalną, irytującą i upartą.

- Chodź tu, Śnieżynko - powiedziała Hattie. - Napij się herbaty.

- Nie śmiałabym, milady. - Śnieżynka skromnie pochyliła głowę. Miała kruczoczarne, gładko ściągnięte włosy, upięte w koronę przystrojona białymi kwiatami.

Dominik i Nathan wymienili znaczące spojrzenia.

- Popatrz na jej suknię. Widział kto, żeby niania tak się ubierała?

- Bony często noszą się na szaro - zauważył Nathan.

- Chcesz powiedzieć, że chodzą w szarych akсамitach wykończonych białym atłasem? Do tego pantofelki z mięciutkiej szarej skórki i kwiaty we włosach?

- Mów ciszej - zmitygował brata Nathan. - Dominiku, wściekasz się, bo coś cię gryzie. Podziel się z bratem swoimi kłopotami, zwiierz się. Może ci trochę ulży.

- Nie.

- Parker świata nie widzi poza Śnieżynką i chce, żeby się nosiła jak dama. - Nathan nie wiedział już, jak rozmawiać z bratem: każdy temat okazywał się niebezpieczny.

- Szata nie czyni damy - burknął Dominik.

- Jesteś w tak podłym humorze, że nie sposób ci dogodzić.

Dominik potoczył wzrokiem po zebranych, za-

trzymał wzrok na dekolcie Fleur, która stała za Hattie, jęknął, po czym wsparł łokcie na kolanach, pochylił się i wbił spojrzenie w czubki swoich trzewików.

Kiedy milczenie Nathana zaczęło się przeciągać, co u niego było reakcją niezwykłą i nienormalną, Dominik zerknął na brata spod oka.

- Jesteś pewien, że naprawdę nie chcesz mi się zwierzyć? - zapytał ten spokojnie. - Nie mam, oczywiście, na myśli, twoich pomysłów z wstępowaniem do zakonu - zastrzegł się od razu.

- Nie będę ci się zwierzał. Nie mam ci nic do powiedzenia - żachnął się Dominik.

- Zawróciła ci w głowie jakaś panna, jak nigdy dotąd. To pewne.

- Banialuki! A teraz zamilcz, bo panna Toogood idzie w naszą stronę.

Nathan odwrócił się, spojrzął na zbliżającą się Fleur i mruknął z podziwem:

- Cudowna. Matka ma doskonałe oko.

Zanim Dominik zdążył odpowiedzieć, Fleur stała już przed nimi.

- Przyniosę wam coś do jedzenia - zaproponowała. - Wszystko tak smacznie wygląda. Podam wam trochę tego i tamtego.

- Nie - prychnął Dominik, zreflektował się i dodał: - Dziękuję.

- Lordzie Nathanie? - zapytała Fleur.

- Posuń się - powiedział Dominik do brata, a potem zwrócił się do Fleur: - Siadaj z nami. Może w twoim towarzystwie humor mi się poprawi, bo coś dzisiaj jestem w kiepskim usposobieniu.

Fleur zawahała się, w końcu usiadła między braćmi. Bardzo dobrze. Niech Nathan napawa się jej widokiem. Niech mu panna zawróci w głowie, i to jak najszybciej. Gładszej nigdzie nie znajdzie. Tak rozmyślał Dominik, a w głowie mieszało mu się do cna. Fleur uważała, że wyświadczył jej przysługę pocałunkiem, „poszerzył jej wiedzę”, jak to określiła, a nie miała pojęcia, jak ważne to było doznanie dla niego samego. Można śmiało powiedzieć, wstrząsające doznanie.

- Zastanawiam się, dlaczego nie wspomniałeś lordowi Nathanowi o wczorajszym wieczorze, chociaż moje zachowanie musiało cię mocno zirytować - wypaliła Fleur bez zbędnych wstępów.

Dominik pokręcił głową, ale nic nie powiedział i modlił się w duchu, by zachowała dla siebie szczegóły ich wczorajszego *tete a tete*.

- Och, wiem, jesteś dżentelmenem, więc nie będziesz się na mnie skarżył - ciągnęła niezrażona. - Nie chcę być dla was ciężarem. Postaram się sprawiać jak najmniej kłopotów, ale muszę to powiedzieć wprost, lordzie Nathanie. Słyszałam prawie całą waszą rozmowę, wczoraj, na korytarzu. - Uczyniwszy to wyznanie, Fleur opowiedziała następnie, z detalami, a jakże, o swojej nocnej wizycie w kaplicy: jak to ukryta w ławce dla rodziny wysłuchiwała, co mieli sobie do powiedzenia brat Just i panna Weller.

Skończywszy relację, przeprosiła raz jeszcze za swoje zachowanie.

Dominik odchylił się do tyłu i zaplótł ręce na

karku. Odetchnął z ulgą. Fleur najwyraźniej zamierzała na tym poprzestać.

Nathan spojrział na brata.

- Mamy tu prawdziwy skarb, dziewczynę uczciwą jak kryształ.

Dominik uśmiechnął się pod nosem.

- Znam wiele uczciwych i szczerych kobiet - zachnęła się Fleur. - Prawdę mówiąc, nie wiem, czy spotkałam w życiu jedną nieuczciwą.

- Powiniennem opowiedzieć ci o kilku damach, które miały zwyczaj mówić to, co im akurat było wygodne, nie zważając na prawdę.

- Proszę, oszczędź nam swoich opowieści. - Dominik uśmiechnął się, widząc już oczyma wyobraźni, jaką minę zrobiłaby Fleur, gdyby musiała teraz wysłuchiwać o damach, z którymi Nathan miał w życiu przyjemność... Były dwie możliwości: albo nie posiadałaby się ze zgorzenia, albo by ją Nathan zanudził na śmierć.

- Wspomnę tylko o jednej - uparł się Nathan. - Pamiętasz Isabellę, którą trzeba było ukrywać przed jakimś łajdakiem? Na drugi dzień po tym, jak ją bezpiecznie ulokowałem w niewielkiej willi w St. John's Wood, oznajmiła mi, że ukradziono jej całą garderobę pod moją nieobecność i teraz koniecznie potrzebuje nową. Powitała mnie w drzwiach tak jak...

- Bardzo zabawna anegdota - przerwał bratu Dominik. - Kiedy indziej ją nam dokończysz. Albo wcale. Też nic się nie stanie. Niedługo kolacja, a ja chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie Fleur. Bardzo lubię Cotswolds.

Starsza lady Granville, niespiesznie popijając herbatę, obserwowała z daleka Dominika, Nathana i Fleur. Widać było gołym okiem, że panna czuje się doskonale w towarzystwie braci: ożywiona, z uwagą przysłuchiwała się ich słowom.

Nie chcąc wydać się niegrzeczną czy natrętną, markiza odwróciła wzrok, ale już po chwili uległa ciekawości i zerknęła znowu, by ujrzeć, jak Nathan nachyla się do Fleur, opowiada jej coś z przejęciem i... ależ tak, muska palcami jej kark.

Widziała też reakcję Dominika: oczy mu pociemniały, zacisnął usta.

Oto cały Nathan, pomyślała zirytowana. Zawsze niepoprawny lekkoduch. Z każdą panną musi flirtować, do każdej się umizgać. Tymczasem ona miała swoje plany względem Fleur i Dominika, tym więcej uzasadnione, że jej najmłodszy syn najwyraźniej zamierzał resztę życia spędzić w stanie bezżennym, czemu należało zdecydowanie, acz subtelnie, przeciwdziałać.

Kiedy w czasie pobytu w Sodbury postanowiła zaprosić córkę przyjaciółki do Londynu, a potem gdy powierzyła ją opiece Dominika, działała z rozmysłem, prawie pewna sukcesu.

Czyżby coś źle wykalkulowała? Czyżby gdzieś się pomyliła, snując swoją intrygę?

Być może.

W każdym razie tego, że obydwoj synowie mogą zakochać się w pannie Fleur Toogood, nie przewidywała.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Augusta Arbuthnot nie mogła sobie wybrać bardziej nieodpowiedniej pory. Dominik, chociaż targający nim najróżniejsze emocje, nad którymi nie do końca panował, doskonale się czuł w towarzystwie Fleur i Nathana i wcale nie chciał ich opuszczać, ale McGee szepnął mu dyskretnie, że w gabinecie czeka gość.

Dominik zapukał, wszedł, nie czekając na odpowiedź i umyślnie nie zamknął drzwi za sobą.

- Witaj, Dominiku - przywitała go Gussy z nieszczęśliwą miną. - Przepraszam, że przeszkadzam w spotkaniu rodzinnym, ale nie wiedziałam, że Hattie dzisiaj przyjedzie.

Dominik nie miał najmniejszej ochoty widzieć się z Gussy Arbuthnot. Skoro się zjawiała, liczył trochę na to, że panna może, sama o tym nie wiedząc, udzielić mu ważnych informacji.

- Nie patrz na mnie tak żałośnie. Mów, z czym przychodzisz, a ja obiecuję, że jeśli będę mógł ci pomóc, zrobię to. - Jakby nie wystarczyło, że w najbliższych tygodniach miał ją widywać prawie codziennie, dodał w myśli.

- Jesteś taki roztropny. Nie znam rozsądniejszego człowieka od ciebie - zaczęła Gussy. - Nie zasługujesz na półprawdy. Ostatnim razem nie byłam z tobą całkiem szczerą. Przychodzę teraz, żeby to naprawić. Powinnam była od razu powiedzieć ci wszystko, ale obiecałam rodzicom, że będę milczeć.

- Może w takim razie nie powinnaś łamać danej obietnicy.

Gussy z dramatycznym westchnieniem usiadła w głębokim skórzanym fotelu.

- Nie mam wyboru. Rzecz dotyczy nie tylko mnie. Muszę koniecznie ostrzec dziewczęta, które są w niebezpieczeństwie, a sama pozostać w cieniu. Jeśli wyjdzie na jaw, co mi się przytrafiło, stracę reputację. Będę skończona. Dominiku, kilka tygodni temu zostałam uprowadzona. Wróciłam do domu dopiero wtedy, gdy rodzice zapłacili okup. Musieli to zrobić, ponieważ porywacz groził, że rozpuści wieść, iż spędziłam noc w towarzystwie mężczyzny. Jakbym nie dość miała zmartwień. Los jest wobec mnie okrutny.

- To okropne, co mi opowiadasz. - Dominik dołożył wszelkich starań, by wydać się wstrząśniętym, jakby pierwszy raz słyszał o działaniach Kota. - Na jakiej podstawie przypuszczasz, że ten łotr zrobi to znowu?

- Od samego początku wiedziałam, że tak właśnie będzie. Powiedział mi, że nie jestem ostatnia. Teraz mam pewność. To chory, obłąkany człowiek. Staje się coraz bardziej szalony.

- Chory?

Opis porywacza podany przez Gussy zgadzał się dokładnie z opisem Jane Weller.

- Widziałam go jeszcze potem - wyznała, ocierając łzy. - Dzisiaj po południu, w naszym ogrodzie. Byłam sama i wtedy on pojawił się znienacka. Chciał mi pokazać, jakie to dla niego łatwe, zaskoczyć ofiarę w jej własnym domu. Powiedział, że znowu mnie porwie, jeśli nie rozgłoszę wieści o Jedwabistym Kocie. *Le Chat Soyeux*, Jedwabisty Kot, pod takim imieniem chce występować, tak mi się przedstawiał. Rodzice młodych panien mają się go strzec. Skrada się w ciemnościach, porywa dziewczynę i dopóty trzyma ją w pazurach, dopóki nie dostanie okupu. To kazał mi powtarzać.

- Dlaczego żąda od ciebie rozgłaszania informacji na własny temat? - Biały fircyk najwyraźniej zmienił metodę działania. Nie podobało się to Dominikowi. - Dotąd się ukrywał, teraz chce wzniecić panikę. Rodziny będą się miały na baczności. Sam sobie utrudniałby zadanie?

- Chyba podoba mu się myśl o przerażeniu, jakie wywoła, dlatego każe rozgłaszać wieści o groźbach. Podnieca go to, tak mi się wydaje.

- Nie wiem, jak to sobie wyobrażasz, Gussy. Chcesz, żebym rozpowiadał, dobrze. Ale właściwie o czym? Że Kot zamierza porywać? Muszę mówić, że już się na to ważył, inaczej nikt nie przejmie się

pogrózkami - powiedział Dominik. - Spełnię twoją prośbę, ale żeby to miało skutek, powinienem dodać coś o twoim uprowadzeniu. Wiem, że to trudne dla ciebie, lecz ludzie muszą wiedzieć, do czego jest zdolny się posunąć, inaczej cała rzecz nie ma sensu.

- Nie! - Gussy wyprostowała się w fotelu. - O tym, co zdarzyło się wcześniej, ani słowa. Wszyscy zaczną zadawać pytania, w końcu wyda się, kto padł jego ofiarą, i żadna z nas nigdy już nie znajdzie męża.

- Was?

- Och! - Gussy zerwała się, chwyciła Dominika za rękę. - Widzisz, już się zapomniałam. Powiedziałam coś, czego nie wolno mi było mówić.

- Były zatem inne ofiary poza tobą? - Dominik chciał, by Gussy myślała, że jedyne informacje, jakie posiada, biorą się od niej. W najbliższym czasie zamierzał, bardzo oględnie i ostrożnie, porozmawiać z Victorią Crewe-Burns, która skądinąd straciła cały jego szacunek, nie mając odwagi wstawić się za Jane Weller, i pozwoliła, by dziewczynę wyrzucono ze służby.

Gussy pokręciła głową. Ładna, pomyślał Dominik, ale zbyt banalna jak na mój gust.

- Gussy?

- Tak, były - przyznała w końcu. - Nie pytaj mnie o nazwiska. Przyrzekłyśmy sobie nawzajem dochować sekretu, chociaż... powiem ci, że moje i jej położenie to dwie zupełnie różne sprawy.

Owszem, Vicky nie została porwana: zły los spotkał nie ją, tylko jej pokojówkę.

- Obiecałem, że ci pomogę. Musimy oboje za-
stanowić się, jak cię uchronić przed nieopatrzny-
mi zwierzeniami. Nie możesz się zdradzić. Ilekroć ktoś
przy tobie wspomni o porwaniach, kręć głową,
jakbyś nie posiadała się ze zgrozy, że coś podob-
nego mogło się przytrafić jakieś nieszczęsnej istocie.
Słuchaj, rób przerażoną minę, ale nie odzywaj się
ani słowem.

- Tak, Dominiku.

- Poproszę Nathana, żeby mi pomógł. Ufam mu
bez zastrzeżeń.

- Nie! - Gussy znów chwyciła Dominika za rękę
i mocno je ścisnęła. - Błagam cię, ani słowa Na-
thanowi. Och, Dominiku, sama nie wiem, co robić.
Może w ogóle nie powinnam byia do ciebie przy-
chodzić, ale jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Nathan też potrafi być lojalny.

- Nie chcę, by o czymkolwiek wiedział. -
W oczach Gussy zalśniły łzy, widomy znak, że miała
ciągle słabość do Nathana.

Dominik posadził ją na powrót w fotelu i się nad
nią nachylił.

- Nathan nigdy nie wykorzysta tej wiedzy prze-
ciwko tobie.

Gussy zmarszczyła czoło.

- Co mnie właściwie obchodzi, co sobie Nathan
o mnie pomyśli?

- A jednak cię obchodzi, inaczej nie zaprotes-
towałabyś tak gwałtownie, kiedy wspomniałem, że
się do niego zwrócę. Zależy ci na nim, choć nie
najlepiej go potraktowałaś. Nathan zapewne nie
domyśla się nawet, co do niego czujesz.

Gussy ukryła twarz w dłoniach.

- Damie nie przystoi zdradzać się ze swoimi afektami. Wcale źle się z nim nie obeszałam, to on postąpił ze mną niegodziwie. Kiedy mógł mnie prosić do tańca, uśmiechał się tylko, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że o mnie nie dba, a potem szedł z inną na parkiet, do mnie nawet się nie zbliżywszy.

To znaczy, że Nathan też czuje słabość do Gussy, na pewno, uznał Dominik. Co za para!

- Jeśli tak, to głupek z niego i fujara. Nie przejmuj się jego zachowaniem.

Wolał nie ciągnąć tematu. Jeśli tych dwoje rzeczywiście miało się ku sobie, jego plan wyswatania Nathana z Fleur diabli wezmą.

Nie przypuszczał w najśmielszych wyobrażeniach, że brat tak żywo zareaguje na wdzięki panny Toogood, tymczasem Nathan zdawał się spijać każde słowo z jej ust. Dominik nie pamiętał, by ten szalaławiła kiedykolwiek tak się zachowywał jak przy Fleur.

Kto wie, być może należało tylko delikatnie im „dopomóc”, tak by obydwójce dojrzeli moc wzajemnego przyciągania? Fleur nie ukrywała, że miłe jest jej towarzystwo Nathana.

- Dobrze się czujesz? - zainteresowała się Gussy, trochę zaniepokojona.

Dominik drgnął, wyrwany z zadumy.

- Oczywiście. - Odwrócił się i podszedł powoli do okna.

Nie, niech to wszyscy diabli, nie czuł się wcale dobrze. Był zły, miał mętlik w głowie. Furda wszyst-

kie plany. Jeśli zobaczy, że Nathan smali cholewki do Fleur...

No dobrze, może nie stłucze, ale wyjaśni temu lowelasowi, temu Casanovie od siedmiu boleści, że to jemu matka powierzyła pieczę nad panną, jej szczęściem oraz bezpieczeństwem.

Nie, jednak stłucze. To rozwiąże sprawę definitywnie.

Ten pocałunek... Był skończonym łajdakiem, wykorzystał niewinną dziewczynę. Co gorsza, nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia.

Jak nie tęsknił specjalnie za Johnem, tak w tej chwili wiele by dał, żeby brat wrócił z Wiednia i pojawił się w Heatherly. John, ze swoim trzeźwym umysłem, na pewno udzieliłby mu dobrej rady.

- Dominiku? - usłyszała za plecami nieśmiały głos Gussy. - Pójdę już. Widzę, że wzięłaś sobie do serca moją prośbę. Niech cię Bóg błogosławi. Jak sądzisz, co powinnam teraz robić?

Pozbieraj się, człowieku, bo bardzo marnie z tobą, skarcił się w duchu Dominik i odwrócił się do swojego gościa z wymuszonym uśmiechem na ustach.

- Dziękuję ci za zaufanie, droga Gussy. Nic nie rób. Kiedy ktoś pierwszy raz wspomni przy tobie o Jedwabistym Kocie, zapewne poczujesz się nie-swojo, będziesz zdenerwowana, ale pamiętaj, kręć tylko głową i nie odzywaj się ani słowem.

- Rozumiem, rozumiem - przytaknęła skwapliwie. - Może jutro będziemy mieli okazję porozmawiać podczas wieczoru muzycznego.

- Z całą pewnością. Pozwól, że odprowadzę cię do wyjścia.

Powóz Gussy czekał na podjeździe. Dominik zszedł z nią i pomógł jej wsiąść. Gussy była miłą, zacną dziewczyną i szczęśliwy ten, kogo żoną zgodzi się zostać. On, Dominik, postara się jej dopomóc w znalezieniu odpowiedniego kandydata.

Ledwie to pomyślał, wzniosł oczy do nieba. „Postara się dopomóc” - a jakże, postara się. Dlaczego akurat los upodobał go sobie na swata różnych nieszczęśliwych panien? Dlaczego właśnie do niego się garną? Zgoda, Fleur nie była nieszczęśliwą panną, po prostu zamierzała wyjść bogato za mąż. Trudno powiedzieć, żeby się do niego garnęła. Raczej przeciwnie.

Za dużo, zdecydowanie za dużo spada na moje barki, uznał Dominik.

Kiedy w takim oto, nie najlepszym usposobieniu wszedł z powrotem do domu, w sieni od razu podbiegła do niego Śnieżynka. Dominik spojrzał na nią, potem na McGee, na którego twarzy malowało się coś na podobieństwo przerażenia.

- Śnieżynko?

- Pomocy, milordzie - wydyszała Śnieżynka. - Nie chcę wiele mówić, bo to akurat nie moja sprawa, w każdym razie tyle powiem - trajkotała. - Otóż lady Granville ostatnio słabuje i nie można jej niepokoić, a tutaj takie nieszczęście i sama już nie wiem...

- Na litość boską, Mówże krótko i treściwie, kobieto, o co chodzi. Co się stało? - Dominik ponownie zerknął na McGee. - Wiesz coś, prawda?

McGee skinął głową.

- Służba została postawiona w stan gotowości - oznajmił krótko.

- Słucham?! Że jak?! W stan gotowości?! - Dominik wykrzyczał pytania.

Śnieżynka przestępowała z nogi na nogę.

- Chodzi o Chloe. Poszła bawić się do ogrodu. Miała przykazane, żeby nie odchodziła od oranżerii, a nie ma jej tam. Szukaliśmy wszędzie, zniknęła bez śladu.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

McGee wszedł do salonu i ściszym głosem powiedział kilka słów do lorda Nathana. Fleur dosłyszała, że lord Dominik prosi brata na zachodni taras, i to natychmiast, ponieważ wyniknęły pewne kłopoty.

Lord Nathan pobladł, podniósł się i wyszedł z pokoju w ślad za kamerdynerem.

Korzystając z tego, że obie panie Granville zagrożone są w rozmowie, Fleur wyślizgnęła się z pokoju, bąknąwszy od drzwi, że „zaraz wraca”.

Nie miała pojęcia, co mogło się stać, o jakich „kłopotach” mówił McGee, ale wiadomość pochodziła od Dominika, co oznaczało, że najmłodszy z Elliotów ma jakieś problemy.

Szła szybkim krokiem w stronę oranżerii. Bracia bez wątpienia zirytują się na jej widok, ale Fleur postanowiła nie zwracać na to uwagi. Uważała się za osobę sprytną. Za taką, która potrafi poradzić

sobie w trudnych i skomplikowanych sytuacjach. Pastor uczył córki być silnymi, walczyć z przeciwnościami.

Dochodząc do oranżerii, zobaczyła lorda Nathana; właśnie otwierał drzwi prowadzące na taras. Odetchnęła z ulgą, na szczęście nie spóźniła się za bardzo.

Wokół lorda Dominika zebrali się: Śnieżynka, Albert Paker, McGee i jeszcze kilkoro służby. Dominik mówił coś do kamerdynera, wskazując dom. Kamerdyner ruszył spiesznie w stronę oranżerii i Fleur ukryła się za posągami rozpaczliwie skąpo przyodzianej nimfy.

Kiedy McGee zniknął, Fleur niepostrzeżenie wmiszała się między służbę.

- Rozbijcie się na dwójki - komenderował Dominik - i rozejdźcie po całym ogrodzie. Część zaczyna stąd, druga od wschodniego tarasu. Posuwajcie się szybko, ale nie za szybko, bo gotowicie nie zauważyć panienki Chloe. Albo się zgubiła, albo gdzieś schowała i teraz boi się wyjść. Zaczyna zmierzchać. Musimy ją odnaleźć, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

Chloe zaginęła. Fleur poczuła, że oblewa ją zimny pot. Ruszyła z grupą, która miała zacząć poszukiwania od wschodniego tarasu, kiedy poraziła ją straszliwa myśl. Brat Just i Jane Weller rozmawiali o uprowadzeniach, ale chyba ten okropny człowiek nie mógł przecież porwać małej Chloe, dziecka!

- Fleur, zatrzymaj się!

Usłyszała ostry, rozkazujący głos Nathana i stanę-

ła jak wryta, po czym się odwróciła. Bracia wpatrywali się w nią jak w zbrodniarkę. Co za głupcy! Dlaczego uważają, że nie może być równie przydatna jak służące, które wysłali na poszukiwania? Albo tak samo inteligentna i zdeterminowana jak mężczyźni, jeśli już o to chodzi?

- Pójdę z drugą grupą - oznajmiła zdecydowanie. - Musimy się pospieszyć.

- Wracaj do domu i nie wychodź na krok ze swojego pokoju - polecił lord Dominik tonem nieznoszącym sprzeciwu. - I to natychmiast.

- Nie zabieraj nam cennego czasu. - Lord Nathan wykonał taki gest, jakby ją przeganiał. - Przypadkiem nie powiedz nic naszym paniom.

Fleur, bez słowa, okręciła się na pięcie i weszła do domu.

Przeszła przez oranżerię, salony recepcyjne i opuściła rezydencję od drugiej strony. Rozejrzała się bacznie na wszystkie strony, nie chcąc znowu natknąć się na swoich despotycznych gospodarzy.

Służba właśnie rozpraszała się po ogrodach i Fleur poszła za dwójką sług, zmierzającą w kierunku rosarium i Domku Wdowy.

Postanowiła zacząć poszukiwania od swojego ulubionego zakątka, lasku iglastego, oddzielającego ogrody od łąki, na której pasły się owce i gdzie czasami puszczano wolno konie.

Za węglem domu ujrzała Lawrence'a, zmierzającego prosto w jej stronę.

- A niech to - mruknęła pod nosem, a kiedy się zbliżył, dygnęła grzecznie, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Rządca, wyraźnie zaskoczony, zatrzymał się i ukłonił.

- Witam - powiedział, mierząc Fleur przenikliwym spojrzeniem.

- Witam - odparła, pewna, że zaraz usłyszy, iż powinna wracać do domu.

- Mam nadzieję, że miło panienka spędza czas w Heatherly, panno Toogood - zagadnął uprzejmie Lawrence.

Wiedział, kim ona jest.

- Bardzo miło. - Fleur chciała jak najszybciej go pożegnać i zacząć szukać Chloe.

- Zmierzcha, panienko. Na miejscu panienki nie zapuszczałbym się zbyt daleko.

Czy powinnam go prosić, by nic nie mówił Nathanowi i Dominikowi, że widział mnie w ogrodzie? - zadała sobie w duchu pytanie Fleur.

- Nie zamierzam zapuszczać się daleko - odparła. Uznała, że oczywiście nie może go prosić, by nie wspominał o ich spotkaniu.

Uśmiechnęła się, skinęła głową i ruszyła w stronę lasu, czując na sobie spojrzenie pana Lawrence'a. Nie odwróciła jednak głowy. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy usłyszała oddalające się kroki rządcy.

Dotarła do lasu po kilku minutach szybkiego marszu. Na szczęście została wychowana na wsi i przywykła do pieszych wędrówek. Od czasu do czasu słyszała nawoływania: „Chloe, gdzie jesteś”? „Chloe, wyjdź, pokaż się. Nie masz się czego bać”.

- Żadnych psów! - rozległ się w pewnym momencie pełen irytacji okrzyk lorda Nathana i Fleur

omal nie wpadła na drzewo. Obiema dłońmi chwyciła się pnia. Psy? Na Boga, tylko nie to! Chloe na pewno się znajdzie. Po co tak radykalne środki?

Zrobiła kilka kroków i zatrzymała się na widok lorda Dominika. Przykucnęła, ostrożnie wychyliła głowę zza krzewu; stał w grupce robotników, pracujących przy zakładaniu ogrodu skalnego i wyjaśniał im pokrótce, co zaszło.

- Kiedy zniknęła? - zapytał wysoki, dobrze zbudowany, ogorzały mężczyzna z kręconymi włosami. Mówił z poprawnym akcentem, sporządzał przy tym jakieś notatki, a w dłoni trzymał lunetę.

- Nie wiemy dokładnie, Noelu - odpowiedział lord Dominik. - Mniej więcej godzinę temu wyszła bawić się do ogrodu. Miała powiedziane, żeby trzymała się w pobliżu domu.

Mężczyzna wytarł dłonie chusteczką.

- Niedawno przyjechałem, ale nigdzie nie widziałem małej. Moi ludzie chętnie pomogą w poszukiwaniach.

- Dziękuję ci, Noelu. - Lord Dominik już miał odejść, ale odwrócił się jeszcze. - Moja bratowa jest bardzo zadowolona, że podjąłeś się dokonać zmian w ogrodach Heatherly. - Przemilczał taktownie, że on sam jest znacznie mniej zadowolony z tego powodu. - Szczególnie spodobał się jej ciekawy projekt skalnego ogródka, nad którym właśnie pracują twoi ludzie.

- Tak, chcę wydzielić tę przestrzeń. - Architekt zatoczył szeroki krąg ręką, wskazując połąć, którą miał na myśli. - To ma być prezent markiza dla żony.

Noel oddalił się ze swoimi ludźmi, a Dominik wszedł na pryzmę kamieni, rozglądając się wokół w nadziei, że zauważy zaginioną Chloe.

Fleur obserwowała go zza krzewów, ponieważ nie mogła się oprzeć. Nie powinna interesować się Dominikiem, to niestosowne, naganne i niepotrzebne, ale czy można odmienić bieg myśli lub stłumić uczucia?

Dominik, kiedy tak stał na wzniesieniu, z dłońmi wspartymi na biodrach, w promieniach zachodzącego słońca, przypominał jej kapitana korsarzy, czujnie obserwującego widnokrąg z mostku swojego żaglowca. Uśmiechnęła się i na powrót skryła za krzewem jałowca.

Odczekawszy kilka minut, wyszła z lasu. Zapadał zmierzch, bez latarni szukać małej wśród drzew nie było sensu, nic by nie dojrzała. Wróciła do tak zwanego ogrodu holenderskiego, założonego na przejrzystym geometrycznym planie, ze starannie, w architektoniczne formy przystrzyżonymi krzewami. Postanowiła jeszcze zajrzeć do „ogrodu malowniczego” i do nieuczęszczanej, stojącej na uboczu altany.

Kolejne miejsce Fleur eliminowała, nie znajdując Chloe. Nadwerężyła nogę w kostce, ale niezmodowanie wędrowała dalej, w stronę oczka wodnego za altaną.

Wszedł już księżyc, srebrny blask kładł się na trawie, w zaroślach słychać było szelesty przemycających zwierząt, od czasu do czasu furkot ptasich skrzydeł, a w oddali przyjaźnie jaśniały światła Heatherly.

Ktoś podśpiewywał.

Fleur nadstawiła ucha i zaczęła nasłuchiwać. Tak, nie pomyliła się. Rzeczywiście cienki, okropnie fałszujący głosik, dochodził znad stawu za altaną.

Fleur osunęła się na kolana i zaczęła czołgać w stronę głosu w wilgotnej trawie. Biedna pani Neville nie posiadałaby się z oburzenia, gdyby widziała, jak traktowana jest jedna z jej pięknych sukien. Fleur dotarła do murku, okalającego staw, i ostrożnie wychyliła głowę.

Na ziemi, nad samym stawem, leżała Chloe. Dłonie miała złożone przy ustach i coś szeptała. Fleur mocno musiała wyteżać słuch, wreszcie usłyszała:

- Nie chcę wcale. Nie chcę wcale cię całować. Brzydki jesteś.

Fleur podczołgała się jeszcze trochę, a kiedy znalazła się za plecami Chloe, jednym susem pokonała murek i usiadła między dziewczynką a brzegiem stawu. Kto wie, jak jest głęboki...

- O, Fleur - ucieszyła się Chloe. - Ty jesteś śliczna. Najładniejsza ze wszystkich.

- Dziękuję. Ty też jesteś śliczna, moja mała, ale zrobiło się już ciemno i zimno. Nie chciałabyś przypadkiem wrócić do domu?

Chloe wypuściła powietrze z płuc i Fleur aż się skrzywiła. Czyżby poczuła alkohol? Nie, to niemożliwe... Jakim sposobem dziecko miałoby skosztować wysokoprocentowego trunku?

- Jestem zmęczona - oznajmiła Chloe. - Dzisiaj będę spała tutaj.

Fleur podniosła ją z ziemi i dziewczynka natychmiast osunęła się jej na kolana.

- Nie dam rady zanieść cię, ale spróbuję zaprowadzić do domu.

- Jestem zmęczona - powtórzyła Chloe. - Ropuch uciekł. Nie będzie księciem.

Fleur usłyszała ciche kroki i podniosła głowę. Nie mogła w mroku dojrzeć twarzy, ale sylwetkę Dominika rozpoznałaby wszędzie. Sama siedziała w świetle księżyca. Wskazała bez słowa na Chloe, ostrzegając, by nie wystraszył dziewczynki.

- Co ty piłaś? - zapytała i kątem oka dojrzała, że lord Dominik nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

- Ja? Nic nie piłam. Nie, troszkę piłam. On powiedział, że mam nikomu nie mówić. To było bardzo smaczne. Dał mi odrobinę, bo było bardzo gorąco. A potem... jemu było chyba smutno, bo ja się wystraszyłam... On chciał mi pokazać różne rzeczy w ogrodzie i wziął mnie na ręce, bo ja mówiłam, że nigdzie mi nie wolno odchodzić.

- I tutaj cię zostawił?

- Tak. Żebym sobie odpoczęła. On powiedział, że mogę tu zostać...

- Chloe, co ty masz na buzi? - zawołała cicho Fleur.

Mała dotknęła policzka i zachichotała.

- On miał taki słoiczek i mnie pomalował. Zrobił mi koci pyszczek. Śmieszne, prawda? On cały był okropnie śmieszny. Ludzie się śmieją na przyjęciach... jak on przychodzi na przyjęcia. Klaun. Tak się nazywa. Klaun. Śmiesznie ubrany.

Dominik cicho strzelił palcami na znak, że chce podejść.

- Wujek Dominik tu jest, widzisz? Wujek przy-
szedł i zanieś cię do domu.

Dominik przykucnął i pocałował Chloe w poli-
czek, a Fleur posłał wściekłe spojrzenie.

- Pamiętasz, Chloe, co jeszcze mówił ten śmiesz-
ny klaun?

- Niecee... - Mała zmarszczyła czoło, chwilę się
zastanawiała. - A, już wiem. Powiedział, że zna
różne sztuczki. Na przykład osoby znikają, ale
powiedział, że ja nie zniknę. Teraz nie zniknę.
Powiedział, że aż na drugi raz może zniknę.

Lord Dominik odebrał Chloe od Fleur i w trójkę
ruszyli w stronę domu.

Kiedy Chloe zasnęła, odezwał się:

- Musimy porozmawiać. Powiem Śnieżynce, że-
by poprosiła cię później do moich pokoi. Czas,
żebyś pokazała mi swoją listę. Im prędzej będziemy
to mieli za sobą, tym lepiej.

- Tak jest, milordzie - odpowiedziała Fleur
oficjalnym tonem.

- Może to nie najlepsza pora, ale muszę znaleźć
sposób, żebyś mi zaufała. I robiła to, co powiem.
Przede wszystkim nie nazywaj mnie milordem.
Mów mi po prostu Dominik.

- Ależ to brak szacunku.

- Nie, kiedy o to proszę.

Fleur lekko zakręciło się w głowie.

- Dobrze, będę zwracała się do ciebie po imie-
niu w stosownych okolicznościach. Jesteś bardzo
dla mnie miły, milordzie. Dominiku...

Bardzo miły, po prostu nadzwyczajnie miły. Jeśli
nie będzie się miała na baczności, zmieni ją w cał-

kowicie powolną sobie istotę, wykonującą wszystkie jego polecenia. Nigdy!

- W każdych okolicznościach możesz zwracać się do mnie po imieniu, nie dbam o to, co ludzie sobie pomyślą i co powiedzą. Jesteś niezwykle przedsiębiorczą kobietą, zaradną i zupełnie nie dbającą o własne bezpieczeństwo. Chciałbym móc nazywać cię przyjaciółką.

- Dziękuję. - Szczęśliwie w mroku nie mógł widzieć, że się zarumieniła po korzonki włosów. - Jak myślisz, kim jest ten klaun? Mógł wyrządzić Chloe wielką krzywdę. Właściwie wyrządził... Zostawił ją nad stawem. Mogła stoczyć się do wody i utonąć.

- Wiem.

- Nikomu nie powiem, że wy jesteście przyjaciółki - mruknęła Chloe sennie i Fleur parsknęła śmiechem, a Dominik jej zawtórował. - Jedwabny Kot nie zrobił mi krzywdy. On się tak nazywa, Jedwabny Kot. *Le Chat Soyeux*. - Mała bezbłędnie wymówiła francuskie słowa. Fleur nie znała dokładnie jej historii, ale Chloe mówiła z francuskim akcentem i musiała kiedyś, zapewne jeszcze ze swoimi rodzicami, mieszkać we Francji. - Mówił, że mogę opowiedzieć o nim Hattie i babci - kończyła swoją relację - i że grzeczne dzieci powinny opowiadać o wszystkim dorosłym.

- Tak ci powiedział? - odezwał się Dominik.

Doszli właśnie do domu i Dominik otworzył drzwi, przepuszczając Fleur.

- Przyślę po ciebie Śnieżynkę. Ostrzegam, nasza rozmowa nie będzie przyjemna. Poważnie naduży-

łaś mojej cierpliwości. To musi się skończyć. Ale widzę, że jesteś silna. Jest nadzieja, że jeszcze wdrożysz się w dyscyplinę.

- Jak to miło z twojej strony, że o mnie myślisz i że się o mnie troszczysz.

- Bez sarkazmu, przyjaciółko. Trzeba uczynić wszystko, by podnieść twoją wartość na rynku matrymonialnym, to ważna sprawa dla mojej matki i stąd moje starania.

RS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Jaśnie pani wie dokładnie, kogo i o co ma prosić i co kto ma robić - wyjaśniała Śnieżynka Blanche, wyganiając dziewczynę z pokoju. - Teraz ja będę przy pannie Fleur, kiedy będzie mnie potrzebować.

- Jakbym to ja nie potrafiła chodzić koło panienki - zachnęła się Blanche, zdmuchując kosmyk z czoła. - A Śnieżynka niech lepiej pilnuje tej... Chloe.

- Ty się nie martw o Chloe - odparowała Śnieżynka. - Idź już, lady Granville czeka. - Zamknęła energicznie drzwi za Blanche, omal nie uderzając dziewczyny w plecy, po czym podeszła do stolika pod oknem, wstawiła do wazonu bukiet wiosennych kwiatów, z którym przyszła, i spojrzała pytająco na Fleur.

- Tak będzie dobrze?

Fleur, ubawiona sceną, która rozegrała się przed jej oczami, skinęła głową.

Śnieżynka wsparła się pod boki, cofnęła o krok i energicznie kiwnęła głową.

- Tak się cieszę, że teraz ja będę panience usługiwać. Już ja się postaram, jak umiem najlepiej, żebyśmy obie były zadowolone.

- Dziękuję - bąknęła Fleur, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Dlaczego zmieniono jej ni stąd, ni zowąd pokojówkę?

- To lady Granville wymyśliła, żebym była przy panience i że ze mną panience będzie raźniej, a lord Nathan od razu się zgodził. Niech panienka źle nie myśli o lordzie Dominiku, on już taki jest, poważny, i siebie bierze poważnie. To dobry człowiek i powiadają, że wiele dobrego robi dla ludzi.

- Co masz na myśli? - zapytała Fleur i natychmiast pożałowała, że otworzyła usta.

Śnieżynka, a cerę miała jaśniutką jak... śnieg, wysunęła szpiczastą brodę i popadła w zadumę.

- W szczegółach to panience nie powiem, bo wszystkiego nie wiem, ale na pewno bardzo troszczy się o takich, co to los się z nimi źle obszedł.

Wyjaśnienia Śnieżynki niewiele Fleur dały.

- Przyszłaś, jak rozumiem, żeby zaprowadzić mnie do Dominika... lorda Dominika.

- Jeszcze nie czas - powiedziała Śnieżynka, wygładzając spódnice szarej aksamitnej sukni. - Piękna suknia, nieprawdaż? Mój Albert sam wybierał materiał, z pomocą jaśnie pani, ma się rozumieć. Mój Albert lubi, żebym się ładnie ubrała, jaśnie pani to najlepsza w świecie osoba, po moim Albercie, ma się rozumieć. A pan John, znaczy się markiz, pozna go panienka... prawdziwy z niego pan.

- Bardzo chciałabym go poznać - przytaknęła Fleur, usiłując dociec prawdziwych powodów in-

wazji Śnieżynki. - Chodzi o to, jak rozumiem, by Blanche nie wiedziała, gdzie się wybieram wieczorem, i plotki nie rozeszły się wśród służby, ale Blanche i tak przecież pojawi się u mnie, zanim pójdę spać...

- Nie, nie. - Śnieżynka podeszła do Fleur. - Biedactwo z panienki. Tyle panienka przeszła. Lord Nathan strasznie jest zły na siebie, że nakrzyczał na panienkę tam, koło oranżerii.

Fleur poderwała głowę, uświadomiła sobie zaraz, że ma szeroko rozdziawione usta, i szybko je zamknęła.

- Powiedział, że to dobry pomysł, żebym ja panience usługiwała, dopóki panienka mieszka w Heatherly. Lady Granville będzie miała nad wszystkim pieczę, ma się rozumieć. Ja teraz będę przy panience, a Blanche przy mojej pani.

- Chloe...

- Chloe trzeba pilnować jak oka w głowie - rzekła Śnieżynka spiesznie. - Lady Granville musiała aż odpocząć, tak się zdenerwowała, kiedy usłyszała, co zaszło, ale teraz złość ją straszna wzięła i zaraz cały plan ułożyła. Wyszło na to, że mój Albert będzie pilnował Chloe w dzień, a w nocy pod jej drzwiami będzie warował lokajczyk Butters, dryblas, że aż strach. Panienka go może już widziała?

- Tak. - Fleur widziała dryblasa Buttersa, ale w żaden sposób nie mogła się skupić na opowieściach Śnieżynki. Cały czas myślała wyłącznie o czekającym ją spotkaniu z Dominikiem, nieprzyjemnym spotkaniu, jak zapowiedział.

- Panienka powinna się tak długo uśmiechać, aż

lord Dominik przestałby się uśmiechać. Nie żeby znowu miał powody się uśmiechać, bo rozsierdzony, że strach, ludzi po kątach rozstawia, wszystkie klucze w domu kazał posprawdzać, kto do czego ma niby dostęp. Powinna była panienska słyszeć, jak zmył głowę pani Chambers i panu McGee. Lista ma być sporządzona, każdy będzie się wpisywał, gdzie idzie, kiedy, po co. I nikogo do domu wpuszczać nie wolno, chyba że on sam pozwoli albo lord Nathan lub lady Granville albo starsza pani.

Trajkocząc, wyjęła kilka sukien z szafy i rozłożyła je na łóżku.

- Nie muszę chyba się przebierać? - zagadnęła Fleur. - Jak tylko lord Dominik ze mną skończy, wracam do siebie i kładę się spać.

- Skończy z panienką? Takem sobie właśnie pomyślała. Nastraszył panienkę.

- Skądże - odparła Fleur z godnością. - Nie pozwoliłabym mu na to.

Śnieżynka prychnęła na tę deklarację.

- To się panience tylko tak wydaje. Niech mi panienska powie, wywraca się panience żołądek?

Fleur westchnęła głęboko. Owszem, od kiedy wróciła do pokoju, „wywracał się jej żołądek”.

- Rzeczywiście - przyznała - ale to przez dzisiejsze wypadki. Przeraziłam się, kiedy Chloe zniknęła.

- Teraz nic jej nie będzie. - Śnieżynka uniosła brwi i spojrzała na Fleur z niejaką wyższością. - A co jeszcze panienkę trapi, pomijając Chloe?

- Ja... - Najbardziej dokuczała jej samotność. - Powiem ci, ale jak komu powtórzysz, wszystkiego

się wyprę. Lord Dominik dziwnie się zachowuje. Powiedział mi, że... Jest dla mnie miły, ale potrafi być irytujący jak nikt. No, teraz już wiesz.

- Biedactwo - ulitowała się Śnieżynka. - Teraz już panienka nie musi się denerwować ani nic w ogóle, bo ma panienka przyjaciół do pomocy. - Śnieżynka przestała się krzątać i poklepała Fleur po dłoni. - Niech to, a niech to, siano mam chyba w tej swojej głowie. To przecież dla panienki. Z kwiatami. - Wyjęła z kieszeni kopertę i zajęła się na powrót przeglądaniem garderoby.

Na kopercie dużymi literami było wykaligrowane imię i nazwisko Fleur. Inicjały NE na odwrocie nic jej nie mówiły, choć powinny powiedzieć, gdyby się chwilę zastanowiła. Wyjęła powoli bilecik i przeczytała co następuje:

Nie miałem racji, że nakrzyczałem na Ciebie. Uniosłem się. Źle uczyniłem. Zechciej mi wybaczyć. Odwagi, Fleur. Jesteś wyjątkową osobą i zasługujesz na serdeczne przyjęcie. Pamiętaj, że ze wszystkim możesz zwrócić się do mnie.

Nathan Elliot

Wzruszona do łez ciepłymi słowami, Fleur we-
tknęła bilecik między kwiaty.

- Takiej to jeszcze nie widziałam, jak żyję - dziwowała się Śnieżynka. Trzymała w dłoniach jedną z sukienek, które Fleur przywiozła ze wsi. - Teraz już będę wiedziała, co znaczy przywoita suknia dla przywoitej panny: podchodzi pod samą szyję, że udusić się można, a falban tyle, żeby, broń Boże, kto

nie dojrzał, czy kibić kształtna, czy też niekoniecznie.

Fleur roześmiała się wesoło.

- Musisz wiedzieć, że moja matka szyła ją dla mnie sama, własnoręcznie. To jej ulubiona sukienka.

Śnieżynka przyłożyła sukienkę do siebie i okręciła się kilka razy na środku pokoju.

- Ja myślę! Jak ją włożyć, każdemu kawalerowi amory od razu wywietrzeją z głowy. Chyba żeby wiedział, co kryje się pod spodem. Niech ją panienka włoży.

Propozycja wydała się kusząca, pomimo to Fleur postanowiła zostać w tym, co miała na sobie.

- We własnym pokoju panienka może być sobą i robić, na co żywnie przyjdzie ochota - wykladała Śnieżynka. - Jak panienka wróciła tutaj wieczorem, przebrała się w domową suknię, bo w niej czuje się pewniej. A jeśli lordowi Dominikowi nie spodobałoby się... Gdyby miał coś do powiedzenia względem tej sukni, niech wie, że starsza pani chce, żeby panienka czuła się w Heatherly szczęśliwa. I pani markiza tak samo. I lord Nathan. A on myli się mocno, jeśli myśli, że panienka ma tylko śliczną buzię, ale pusto w głowie.

Nie. Powiedział przecież wyraźnie, że uważa ją za osobę zaradną, przedsiębiorczą, prosił zwracać się po imieniu i zaofiarował jej swoją przyjaźń, uświadomiła sobie Fleur.

- Chyba tak nie myśli. - W dodatku pocałował ją. Zupełnie jak kobietę.

- Hattie... jaśnie pani, znaczy, mówi, że panien-

ka musi mu przypomnieć, gdzie jego miejsce i dlaczego panienka przyjechała do Londynu. I że panience niepotrzebna wcale eskorta w jego osobie, bo sama panienka potrafi o siebie zadbać.

Fleur miała kompletną pustkę w głowie.

- Powie dzisiaj panience, że musi mu się panienka opowiadać z każdego ruchu i jeszcze, że w razie potrzeby nie będzie panienki odstępował nawet na krok - wyjaśniła Śnieżynka. - To ja już nie wiem, jak on sobie to wyobraża.

- Nie zgadzam się - oznajmiła Fleur, czując wzbierającą złość. - Czemu tak troszczy się o moje bezpieczeństwo?

- Z powodu porwania, ma się rozumieć. - Śnieżynka zasłoniła usta dłonią, czarne oczy zrobiły się wielkie jak filizanki. - Ależ ze mnie papla skończona. Mówię i wcale nie myślę. Jaśnie pani o wszystkim ze mną rozmawia, ale gniewałaby się strasznie, gdyby doszło jej uszu, że panienkę wystraszyła.

- Wcale mnie nie wystraszyłaś, Śnieżynko. Powiedziałaś mi prawdę, a szczerść należy cenić w każdej sytuacji. Nie ma tylko potrzeby niepokoić się o moje bezpieczeństwo. Ten okropny Jedwabisty Kot najwyraźniej zmienił zamiary względem Chloe, chociaż rodzina zapłaciłaby mu każde pieniądze, jakich by zażądał, byle tylko odzyskać małą.

Śnieżynka, przejęta okropnie, mięła w dłoniach suknię Fleur.

- Zrobił to, bo chciał nas uwiadomić. Po cóż innego zakradałby się do ogrodów?

- Może ogarnęły go wyrzuty sumienia? Moi

rodzice nie mają pieniędzy, nie mogliby zapłacić okupu, zatem lord Dominik niepotrzebnie się o mnie martwi. Kot interesuje się wyłącznie bogatymi. - Fleur urwała. Uprowadził przecież Jane Weller i wypuścił na wolność. Ktoś musiał zapłacić za dziewczynę. Może Dominik popełnił jeden z tych swoich dobrych uczynków? Fleur dowiedziała się, że było powszechnie wiadomo, że pomaga ludziom w potrzebie. Może więc Kot raz jeszcze wybierze na ofiarę dziewczynę niemającą? Kot musi znać Dominika. Może nawet mieszka tu, w Heatherly? Może to ktoś z domowników?

Pomyślała o Jane Weller i przebiegł ją dreszcz. Jane widziała tego człowieka. Być może przyjdzie po nią, kiedy się dowie, gdzie się schroniła. Albo od dawna czai się w rezydencji i czeka tylko, by znowu napaść na biedną dziewczynę?

Śnieżynka chrząknęła i Fleur drgnęła.

- Pokaże mu panienka, gdzie jego miejsce?

- Z pewnością, ale do tego nie muszę się przebierać. Chcę już się z nim widzieć.

Śnieżynce mina się wyciągnęła.

- Szkoda, byłaby zabawa. Chciałabym go widzieć, jakby panienka wparadowała w tej swojej sukni do jego pokoi. I w tym. - Pokazała suto zdobiony kokardami czepek z białego atłasu. - Nic dodać, nic ująć.

Fleur parsknęła śmiechem.

- Będziemy jeszcze miały okazję do żartów. - Odwróciła się do lustra i poprawiła włosy. Markiza ofiarowała jej kremowy szal z delikatnego jedwabiu

i Fleur zarzuciła go na ramiona, udrapowała wokół szyi, starannie zasłaniając dekolt.

- Trafiała kosa na kamień. Nie pójdzie lordowi Dominikowi z panienką łatwo, oj nie, już to widzę. Dostanie nauczkę, przekona się, że kobieta też potrafi być silna i mieć swoje zdanie. Jak zobaczy panienkę w tym szalu, taką zakutaną, dopiero się zezłości, bo lubi popatrzeć na kobiece ciało. - Ucisnęła Fleur. - Chodźmy zatem, panienko.

Że też mężczyźni muszą być tacy wrażliwi na kobiece wdzięki, pomyślała Fleur z irytacją.

- Śnieżynko, bądź tak dobra i odwróć się na moment - poprosiła.

Śnieżynka natychmiast się odwróciła, na wszelki wypadek zasłoniła jeszcze oczy dłońmi, a Fleur szybko wydobyła swój pamiętnik spod materaca, po czym wyszły obie z pokoju, kierując się na drugie piętro.

- Dobry wieczór, Fleur. Niezmiernie jestem rad, że w końcu zdecydowałaś się przyjść. - Dominik z trudem krył irytację, że tak długo kazała mu na siebie czekać.

Śnieżynka wspięła się na palce i szepnęła Fleur coś do ucha. Ta skinęła głową i powiedziała głośno:

- Śnieżynka chce sprawdzić, czy lady Granville jej nie potrzebuje, ale przyśle...

- Nie musi przysyłać nic i nikogo. - Co za niezdolna kobieta, pomyślał Dominik. - Zechciej uprzejmie poinformować lady Granville, że musimy uradzić, jak mamy jechać jutro do Herbertów na ich wieczór muzyczny. Po drodze trzeba zabrać jeszcze

Gussy Arbuthnot i rzecz wymaga omówienia. A o Fleur nie musisz się martwić, zostawiasz ją pod dobrą opieką i moja w tym głowa, żeby czas w Londynie spędziła przyjemnie i z pożytkiem dla siebie.

- Ale...

- Wszystko w porządku, Śnieżynko - powiedziała łagodnym tonem Fleur, chociaż Dominik wolałby, żeby odprawiła ją ostrym słowem.

- Doskonale. - Śnieżynka ukłoniła się od niechcienia Dominikowi, a Fleur pocałowała w policzek. Parweniuszka, pomyślał z niesmakiem. - Gdyby mnie panienka potrzebowała, wystarczy zadzwonić - dodała bezczelnie. - O każdej porze. Dość pociągnąć za sznurek przy kominku. Jeśli nie, przyjdę do panienki rano.

- Straszna niewiasta - sarknął Dominik, gdy Śnieżynka wreszcie wyszła. - Uważaj na nią i nie dopuszczaj do poufałości, inaczej wejdzie ci na głowę i jeszcze ci wmówi, że żyje wyłącznie dla ciebie oraz dla rodziny.

- Z tego, co widzę, chyba rzeczywiście jest wam oddana.

Dominik już nie słuchał, miał większe zmartwienia. Musiał uczynić coś, by Fleur i Nathan zbliżyli się do siebie, to rozwiązałyby wiele jego problemów. I znowu byłby wolny.

Chciał być wolny.

W jego życiu nie było miejsca dla kobiety. Absolutnie nie. Żadnej szczelinki, w którą jakaś mogłaby się wślizgnąć.

- Chciałeś mnie widzieć, milordzie. Uprzedziłeś,

że spotkanie nie będzie przyjemne. Przyszłam, skoro prosiłeś, ale czuję się zmęczona. Możemy omówić, co jest do omówienia, i mieć to już za sobą?

Dominik założył ręce na plecach, głowę wysunął do przodu i podszedł powoli do Fleur.

- Siadaj, proszę.

- Wolę stać.

Zapowiadała się trudniejsza przeprawa, niż przypuszczają.

- A stój, siadaj, rób, co chcesz, mnie tam bez różnicy. - Odwrócił się do niej plecami. - Uparłaś się robić mi na przekór? Chcesz mnie zezłościć?

- Bo nie siadam?

Jej głos nie brzmiał wcale zbyt pewnie. Bardzo dobrze.

- Bo stajesz się pospolita. Nie podoba mi się, kiedy usiłujesz zachowywać się jak osoba niskiego stanu, pozbawiona manier.

- Jestem niskiego stanu, ale nie brak mi manier, w przeciwieństwie do ciebie. Próbujesz mnie obrazić, dać mi do zrozumienia, że nie jestem godna być tutaj i nie zasługuję na twoją uwagę.

Dominik odwrócił się ku niej na powrót.

- Na dodatek arogantka. Zdumiewasz mnie.

Zaniepokoiła go bladość Fleur, zroszone potem czoło. Jeśli jest niedysponowana, rozmowa może poczekać.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze, milordzie.

- Mówiłem ci, żebyś nazywała mnie Dominiem! - ryknął i wciągnął głęboko powietrze, dla

uspokojenia. - Fleur, ustaliliśmy przecież, że będziesz zwracała się do mnie po imieniu.

- Ustaliliśmy, to prawda, ale ty ciągle na mnie krzyczysz, a ja nie mam pojęcia, z jakiego powodu tak się na mnie złościś.

Łzy zakręciły mu się w oczach, zapiekły pod powiekami. Do kroćset, co się z nim dzieje? Fleur wpatrywała się w niego, mnąc w palcach koniuszek szala, którym zupełnie niepotrzebnie, jak dla niego, się okryła. A pod pachą ścisnęła ten swój przekłety pamiętnik.

- Powiedz, dlaczego się na mnie złościś? - powtórzyła cicho.

Dominik podszedł do Fleur i wziął ją w ramiona.

- Nie złości się na ciebie. Jestem zły... na siebie. Mam taki chaos w głowie. Proszę, jeśli nie przez wzgląd na mnie, to chociaż na moją matkę, nie wystawiaj się więcej na niebezpieczeństwo. Kazałem ci wrócić do domu, myślałem, że mnie posłuchałaś. Nie miałem pojęcia, że błąkasz się po ogrodach, samopas, po ciemku.

- Wcale się nie błąkałam. Ułożyłam sobie bardzo precyzyjny plan, gdzie mam szukać Chloe, i szukałam. To jeszcze dziecko. Martwiłam się o nią. Znalazłam ją. Gdybym posłuchała ciebie i lorda Nathana, Chloe być może całą noc spędziłaby nad stawem.

- Odnalazłbym ją. Byłem już blisko.

- Może byś znalazł, a może kierowałeś się moim głosem.

Nie próbowała uwolnić się z jego objęć. Dominik zastanawiał się chwilę nad tym, co powiedziała.

- Słyszałem wasze głosy, twój i Chloe, ale szedłem już w tamtym kierunku.

Fleur zacisnęła dłonie.

- Nie zrobiłam nic złego. Nie możesz przyznać, że dzięki mnie poszukiwania skończyły się szybko i szczęśliwie?

Niech to! Wiele go to kosztowało.

- Zgoda, nie zrobiłaś nic złego, ale zastanowiwszy się nad twoim postępowaniem, doszedłem do wniosku, że nie wolno ci poruszać się samej po posiadłości. Cały czas będzie ktoś nad tobą czuwał, z każdego kroku musisz się opowiadać. Jeśli będziesz wychodziła z domu, nawet w towarzystwie Hattie, masz mi o tym mówić. I zawsze jakiś mężczyzna powinien być przy tobie.

- Dobrze - przystała po bardzo, bardzo długiej chwili.

- A na przyjęciach, balach, herbatkach zawsze masz trzymać się mnie. Jeśli ktoś poprosi, żebyś wyszła z nim na taras, do ogrodu, odmawiaj. I tak zapewne byś odmawiała, ale nie zawadzi przypominieć. Jeśli ktoś zaproponuje, byś podeszła z nim do bufetu, mów, że jesteś zmęczona. Odmawiaj, cokolwiek, ktokolwiek ci zaproponuje, odmawiaj. A jak ktoś cię poprosi do tańca, Nathan albo ja zawsze będziemy w pobliżu.

Fleur wyprostowała się z zaciętą miną.

- O co chodzi? - zdziwił się.

- Nie możesz trzymać mnie na uwieczni... Dominiuku. Będę ostrożna, ale jeśli zaczniesz robić przedstawienie z sobą w roli strażnika, nie zniosę tego.

Wiem, że to dla mojego dobra, że się o mnie troszczysz, lecz nie dam rady wytrzymać.

Marna to była gałązka oliwna, ale ją przyjął. Powinien wypuścić Fleur z objęć, zanim się zorientuje, jak bardzo mu się ta bliskość podoba.

- Zrobię wszystko, żebyś nie musiała czuć się zakłopotana - obiecał i cofnął się o krok. - Rozumiem, że to twój pamiętnik, a w nim lista, o której mówiłaś - powiedział, wskazując na kajet.

Fleur otworzyła zeszyt na odpowiedniej stronie, podała go Dominikowi, po czym usiadła przy kominku, a on zaczął czytać, przechadzając się po pokoju. Na jego twarzy z każdym przeczytanym słowem pojawiała się coraz większe zdumienie. W końcu doznał do końca listy, zamknął kajet i wlepił we Fleur uważne spojrzenie.

Czyżby naprawdę wierzyła, że po świecie chodzi ideał zdolny sprostać jej wymaganiom?

Dominik przysunął sobie fotel, usiadł naprzeciwko Fleur i zajął jej głęboko w oczy.

- Nie zimno ci? - Należy być uprzejmym. Obchodzić się z nią grzecznie, łagodnie, upomniał się w duchu Dominik.

- Nie.

- Myślałem, że może zimno, skoro opatuliłaś się grubym szalem.

- Wcale nie jest gruby. To najcieńszy jedwab. Bardzo miły.

„Miły”. Niech i tak będzie.

- Bardzo dobrze. - Ponownie otworzył kajet i położył sobie na kolanach. - Bardzo szczegółowa lista.

- Dziękuję. Lubię porządek. Jestem zorganizowaną osobą.

- „Mężczyzna, który zechce mnie poślubić” - taki dałaś tytuł, po czym przechodzisz do tak zwanych pytań.

- To są pytania.

Musi mieć ostatnie słowo w każdej kwestii. Irytująca kobieca cecha.

- Przeczytam je:

- „1. Czy zaakceptuje i pokocha moją rodzinę?
2. Czy jego rodzina będzie szanowała moją rodzinę i zaakceptuje moją osobę?
3. Czy lubi koty?
4. Czy lubi psy?
5. Czy nie okaże się zarozumiałcem?
6. Czy stawia mężczyzn wyżej od kobiet?
7. Czy kocha mnie najbardziej na świecie, jak żadną inną?
8. Czy liczy się z moim zdaniem i przywiązuje do niego wagę?
9. Jak zareaguje, kiedy go poproszę, by wyszedł ze mną na spacer w deszczową noc? (uwaga dla mnie: czy odmówi, kiedy poproszę, byśmy położyli się na mokrej trawie i wystawili twarze na deszcz?).
10. Jak będzie się odnosił do dzieci? Czy będzie dobrym, cierpliwym ojcem?
11. Czy będzie delikatny, czy też w małżeńskim łożu wyjdzie z niego zwierzę?”.

Dominik zatrzymał się dla nabrania oddechu. Spojrzał na Fleur, chciał dać jej jakoś do zrozumienia, że jej oczekiwania są nierealne, ale ona wbiła wzrok w przestrzeń, zakładając ręce na piersi.

- Czytam dalej - mruknął.

- „12. W czym będzie sypiał? I czy będzie sypiał ze mną, czy tylko mnie odwiedzał dla dopełnienia małżeńskich obowiązków? Mama mówi, że będzie zapewne wracał do siebie. Tak właśnie zachowują się niektórzy mężczyźni. Kiedy żona im już wygodzi, znikają. Ja na to nie pozwolę”.

- Właśnie, w czym zwykli sypiać mężczyźni? W czym ty sypiasz?

Dominik omal nie parsknął śmiechem. Fleur nie przestawała go zaskakiwać.

- Niektórzy sypiają w nocnej koszuli. Ja nic nie wdziewam do łóżka.

Przechyliła głowę i popadła w głębokie zamyślenie, potem zmierzyła Dominika uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

- Rozumiem. Dziękuję, że zechciałeś odpowiedzieć na moje pytanie. Chyba nie spodobałyby mi się koszule.

Jeszcze trochę, a zwariuje z tą dziewczyną.

- „13. Czy będzie mnie wprowadzał w swoje sprawy, dzielił się swoimi problemami i słuchał moich rad?

14. Czy będzie potrafił miarkować się w picciu?

15. Czy będzie przepędzał czas na hulankach w towarzystwie innych mężczyzn oraz kobiet swobodnych obyczajów?”

Dominik przesunął palcem po wewnętrznej stronie fularu.

- „16. Czy zdoła mnie przekonać, że nie utrzymuje kobiety dla wygody?

17. Czy będzie rozumiał moją potrzebę miło-

ści i bliskości? I czy spodoba mu się, że jestem istotą zmysłową, bo już wiem, że jestem?

18. Czy będzie chciał odkrywać ze mną nowe, nieznane sposoby uprawiania miłości? Słyszałam, że takie istnieją i przypuszczam, że bym w nich zagustowała. I on też powinien".

Dominik zamknął kajet nadzwyczaj ostrożnie, tym ostrożniej, że miał nieprzewartą ochotę zatrzaskać go z impetem i cisnąć precz, po czym położył go na kolanach.

- Czy zastanawiałaś się, jak mężczyźni będą reagować na twoje pytania?

- Jeśli będzie chciał lepiej mnie poznać, odpowie - oznajmiła Fleur z przekonaniem. - Zanim dwoje ludzi zwiąże się na całe życie, powinni lepiej się poznać, żeby później nie żałować decyzji. Ty jesteś mężczyzną, jak zareagowałeś?

Pomysł, by powiedzieć Fleur, że najbardziej przypadła mu do gustu zachęta do pomnażania figur miłosnych, nie był najszcześniejszy.

- Wiele z twoich pytań to nie są pytania, tylko żądania. Twarde żądania. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie odpowie na nie, nie przedstawiając ci pierwej własnych.

- Im będą bardziej podobne do moich, tym lepiej, nie sądzisz? - zapytała z rozbijającym uśmiechem.

- Oczywiście, ale ty chciałabyś dowiedzieć się o sprawach bardzo intymnych. Jestem zaskoczony, że potrafiłaś swoją dociekliwość ubrać w słowa.

Fleur sięgnęła po kajet, otworzyła go i wyjęła kopię listy.

- Proszę, to dla ciebie. Będę nieskończenie wdzięczna za wszelkie uwagi oraz wskazówki. Chętnie usłyszę, w którym miejscu zbyt swobodnie sobie poczynam. O co jeszcze powinnam pytać. Liczę na ciebie.

Dominik odrzucił kartkę i poderwał się z fotela. Dawno nikt nie przyprawił go o taką wściekłość. Nie panował nad sobą. Okropne rzeczy się z nim działy.

Fleur, widząc do jakiego stanu go doprowadziła, wstała pospiesznie, jakby nagle ujrzała przed sobą potwora.

- Wracaj do siebie, moja droga. Odprowadzę cię, poczekam, aż wejdiesz do pokoju, i powiesz mi, że wszystko w porządku.

Trzymał się kilka kroków za nią. Nie doszedł jeszcze do jej drzwi, gdy zawołała „dobranoc”, zatrzasnęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku.

Przejrzał jej intrygę. Lista tak zwanych pytań była przeznaczona wyłącznie dla niego. To jasne. Z jakiego innego powodu sporządzałaby kopię? Nie dość miał się na bacności, ot i cały problem.

Popełnił wielki błąd. Zapomniał się. Dał jej poznać, że nie jest mu obojętna. Nie dość miał się na bacności? A to dobre! Do diaska, on w ogóle nie miał się na bacności. Obejmował ją, całował, tulił, cieszył się jej bliskością...

Zgoda, czuł do niej słabość, lubił ją, ale Bóg mu świadkiem: nie da się schwytać w sidła pannie, co potrafi bez problemów układać tak prowokujące pytania.

Niezwykłe prowokujące pytania.

Tak rozmyślał, wspinając się powoli po schodach. „Czy będzie z nią odkrywał nowe i nieznane sposoby uprawiania miłości?” Czy tak myśli niewinna dziewczyna? Nie, z całą pewnością nie.

Najwyższa pora, by poddał pannę Toogood kilku próbom.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gospodarze wieczoru stali na niewielkim podwyższeniu, na którym wcześniej zajął miejsca kwartet smyczkowy. Sir Toby Herbert podniósł ręce, prosząc o uwagę zebranych tłumnie gości.

- Panie i panowie, moi drodzy, oto wielka kłeska. Prawdziwa katastrofa.

Lady Herbert zrobiła wielkie oczy i zasłoniła usta dłonią, jakby była przerażona.

- Nasz wieczór będzie wielką klapą sezonu.

W sali balowej rezydencji o wdzięcznej nazwie Rose Place, mieszczącej się przy Berkeley Square, rozległy się stłumione chichoty.

Fleur, ubrana w połyskliwą złotą suknię, uszytą przez panią Neville na wyraźne życzenie lorda Dominika, schowała się za rozłożystą egzotyczną roślinę. Czując na sobie spojrzenie Dominika, potulnie skinęła głową. Cały dzień ją prześladował, chodził za nią krok w krok, upewniał się, czy jest

bezpieczna. Szczęśliwie, od poprzedniego wieczoru nie zamienili ze sobą ani słowa.

- Otóż, moi drodzy - ciągnął sir Toby - sprawa przedstawia się następująco: nasz sławny baryton monsieur Vilepain, niezadowolony z akompaniatorów, których dla niego zaprosiliśmy, a których, to muszę podkreślić, sam król przedkłada nad innych muzyków, otóż monsieur Vilepain na znak niezadowolenia odmówił występu.

Na te słowa zza chińskich parawanów, udających kulisy, wyłonił się nie kto inny, jak sam śpiewak, monsieur Vilepain, ubrany w długą, czarną pelerynę. Zszedł z podium i torując sobie przejście wśród gości, odrzucił wystudiowanym gestem niesforny lok z czoła. W progu pokoju muzycznego zatrzymał się jeszcze, odwrócił i rzekł, wykonując przy tym zamaszty gest dłonią, w której trzymał cylinder:

- *Au reooir*. Mam łzy w oczach, że nie dostarczę wam dzisiaj uniesień, których się spodziewaliście, ale trudna rada. Tak już jest, że najlepszy może występować tylko z najlepszymi.

Zniknął za drzwiami, a Fleur pożegnała go wzgardliwym prychnięciem, znacznie głośniejszym, niż zamierzała wydać.

Lady Granville zaśmiała się i prychnęła dokładnie tak samo. Natychmiast ze wszystkich stron rozległy się utrzymane w jednym tonie wzgardliwe prychnięcia.

- Wyjątkowo dopisało ci szczęście - szepnął Dominik, stając za plecami Fleur. - Następnym razem będziesz stała na środku sali, sama ze swoimi

nieprzemyślanymi reakcjami. Dlaczego nie włożyłaś naszyjnika, który pożyczyła ci moja matka?

Fleur dotknęła broszy przypiętej do aksamitki na szyi.

- To mój pierwszy wieczór w towarzystwie. Chciałam mieć coś, co będzie mi przypominało mamę.

- Powinnaś szukać męża, a nie oddawać się sentymentom. Brylanty i szafiry byłyby znacznie odpowiedniejsze niż skromna broszka.

- Zapomniałaś dodać: spluń przez lewe ramię i połam nogi na szczęście - syknęła Fleur i odwróciła się, chcąc odejść, ale Dominik ją przytrzymał.

- Uspokój się. Nasi gospodarze znaleźli się w kłopotliwym położeniu.

- W rzeczy samej. A ty mogłabyś grzeczniej się wyrażać, milordzie.

- Służba zaraz usunie fotele - oznajmiła lady Herbert. - W zamian wieczoru muzycznego proponujemy tańce i towarzyskie konwersacje.

Wspaniale, pomyślała Fleur. Będzie musiała tańczyć i gawędzić o niczym z jakimś kawalerem, usłużnie podsuniętym jej przez Dominika.

- Będzie szampan i truskawki - pocieszał gości sir Toby, uśmiechając się promiennie - oraz gorąca czekolada. Chyba potraficie tańczyć bez karnecików.

Zebrani przyjęli żart stosownym śmiechem, muzycy zaczęli grać i po chwili na parkiecie ustawiły pierwsze pary do kadryla. Gussy Arbuthnot, ubrana w suknię z brązowej tafty, kręciła we wszystkie

strony głową, desperacko rozglądając się za partnerem do tańca.

Fleur zerknęła z ukosa na Dominika. Niemal wszystkie damy kierowały ku niemu spojrzenia, a już młode panny szczególnie; każda liczyła na to, że to ją zaprosi do kadryla. Dominik jednak tkwił na swoim miejscu nieruchomy i wyniosły niczym posąg. A może pochłonięty myślami, poprawiła się Fleur w duchu.

Na parkiet wyszli witani okrzykami i oklaskami gospodarze. Kiedy Fleur oderwała wreszcie wzrok od mieniącej się w blasku świec tęczowymi refleksami sukni lady Herbert, nie dojrzała już Dominika. Nie było go wśród tłumu gości.

Zniknął. Ot tak, po prostu.

Do pań zbliżył się wysoki, chudy jegomość. Skłonił się przed Fleur i powiedział:

- Fritz Mergatroyd. - Następnie zwrócił się do Hattie: - Poznaliśmy się zeszłego roku w Soamses.

- Pamiętam - przytaknęła Hattie bez wielkiego entuzjazmu. - Dobry wieczór.

- Mogę zatańczyć z pani podopieczną? - zapytał pan Mergatroyd i Fleur przeszedł dreszcz odrazy.

- Aaa... - Hattie rozejrzała się w poszukiwaniu Dominika, a nie widząc go nigdzie, skinęła przyzwalająco głową i powiedziała surowo: - Tylko proszę się nią dobrze opiekować.

Pan Mergatroyd okazał się okropnym partnerem. Przez cały czas bez skrępowania wpatrywał się w dekolt Fleur i co chwila wycierał wielką chustką pot z czoła.

- Mergatroydowie to stara rodzina - oznajmił

w pewnym momencie. - Bardzo stara. Cieszymy się doskonałą opinią, od trzech z górą pokoleń paramy się handlem towarami.

Przygarnął Fleur bliżej, nadepnął jej na palce i wydał z siebie głośne „Auuu”.

- Interesujące - powiedziała Fleur. - Wolno wiedzieć, cóż to za towary? - Zaintrygowały ją też „trzy z górą pokolenia”, ale to dziwaczne sformułowanie litościwie puściła mimo uszu.

Mergatroyd uczynił tyleż szeroki, co nieokreślony gest dłonią.

- Różne, najróżniejsze. Za długo by wymieniać. Mięso peklowane, na ten przykład. W każdym domu znajdzie pani Weki Mergatroyda.

Fleur akurat nigdy nie słyszała o wekowanych mięsach Mergatroyda. Kiedy muzyka umilkła, ruszyła zdecydowanie do Hattie. Jej partner się nie sprzeciwił.

- Mogę złożyć pani wizytę w Heatherly? - zagadnął obcesowo.

- Cóż...

- Proszę powiedzieć, że mogę. Dopraszam się tej łaski. Nie przeżyję odmowy.

Fleur spojrzała z wahaniem na lśniąca od potu twarz potomka „trzech z górą pokoleń”.

- Na to nie mogę w żadnym wypadku pozwolić. Proszę nas odwiedzić, oczywiście - odparła, ale w duchu błagała: Nie przyjeżdżaj, nie przyjeżdżaj.

Pan Mergatroyd zarżał niczym koń. Uradowany koń, rzecz jasna.

- Zasłużyłaś na medal - szepnęła Hattie, kiedy Fleur do niej podeszła. - Usiądźmy z paniami. -

Wskazała kilka dam. - Przedstawię cię. Nie raczą mnie akceptować, ale poza tym są całkiem miłe.

- Dlaczego nie akceptują? Ciebie?! - oburzyła się Fleur.

- Nie legitymuję się dobrym pochodzeniem - odparła lady Granville z uśmiechem. - Starają się jednak ukrywać swoje lekceważenie, ponieważ czują respekt przed Johnem.

- W takim razie nie usiądziemy z nimi - orzekła stanowczo Fleur. - Mają czelność uważać się za lepsze od ciebie?! Wynosić się, zadzierać nosa?

- Nie są wcale lepsze ode mnie i wszystko mi jedno, co myślą - powiedziała lady Granville bez troskim tonem.

Kiedy podeszły do stolika, pogrążone w rozmowie, damy natychmiast zamilkły i wszystkie trzy, jak na rozkaz, rozpląnęły się w uśmiechach.

- Hattie. - Jak z pod ziemi pojawił się Dominik w towarzystwie młodego, przystojnego dżentelmena o gęstych jasnych włosach. - Pamiętasz Franklina Besta? Zeszłej jesieni gościliśmy u jego rodziców, w ich posiadłości w Surrey.

- Pamiętam doskonale, jakżeby nie. Miło cię widzieć, Franklinie.

Wymieniono uprzejmości, po czym Dominik przedstawił pana Besta Fleur.

- Franklin jest bankierem, jak jego ojciec - poinformował panie Dominik, na co lady Graiville rzekła:

- I to pamiętam. Ojciec bardzo cię chwalił, utrzymywał, że jesteś mu wielką pomocą.

- Ojcowie zwykle bywają bezkrytyczni - odparł

Franklin z szerokim uśmiechem. - Prawdę mówiąc, chciałbym zostać rejentem. Pieniądze to najnudniejsza rzecz w świecie.

Fleur zaśmiała się.

- Zapewne, jeśli się je ma.

W tym momencie twarz Dominika przestała wyrażać cokolwiek, a lady Granville objęła Fleur i uściśnęła serdecznie.

- Ty, moja droga, masz coś, czego nie można kupić za żadne pieniądze: lojalne serce.

- Przepraszamy - powiedziała Gussy trochę za głośno i zbyt dobitnie, tak by wszyscy mogli usłyszeć. - Idziemy z Nathanem zatańczyć. - Biedaczka drżała wprost z podniecenia i radości.

- Za pozwoleniem lorda Dominika, panno Toogood? - Franklin Best wyciągnął dłoń, a Fleur wpatrywała się w nią bez ruchu i bez słowa. - Zatańczy pani ze mną? - uściślił propozycję Franklin.

Lady Granville popchnęła lekko Fleur, ta w końcu przyjęła dłoń Franklina i wyszli na parkiet.

Miły jest, pomyślała i - jak zwykle popędliwa - musiała mu zaraz powiedzieć, że jest panną bez grosza, bez posagu, biedną jak mysz kościelna. Franklin, młodzieniec rzeczywiście bardzo sympatyczny, wcale nie zdawał się mieć jej za złe tej ostentacji.

W jednej z figur tanecznych pochwyciła spojrzeń jakiegoś dżentelmena naprzeciwko, po swojej lewej. Rosły mężczyzna o ogorzałej twarzy pochylił głowę, ale cały czas obserwował ją spod oka. Odwróciła szybko wzrok.

Poruszała się na parkiecie lekko, w takt muzyki, niczym we śnie. Bo też wszystko, cały wieczór wydał się Fleur jednym snem. Kiedy mijali się w kolejnej figurze, Franklin szepnął:

- Jesteś urocza, panno Toogood.

Fleur rozpromieniła się, ale zaraz powiedziała sobie, że pan Best najpewniej prawi podobne dusery każdej damie, z którą zatańczy.

Znowu znalazła się naprzeciwko mężczyzny o ogorzałej twarzy i ciemnych oczach. Uśmiechnął się, pochylił głowę, ale tak się obracał, by nie stracić jej z oczu. Miał długie, kładące się na kołnierzu, kręcone włosy, a kiedy się uśmiechał, w policzkach robiły się dołki.

- Jesteś daleko myślami, panno Toogood - zauważył Franklin.

- To mój pierwszy proszony wieczór w Londynie - usprawiedliwiła się Fleur. - Jestem córką wiejskiego pastora, zupełnie nieobytą w świecie. Ta sala, muzyka, ci dobrze urodzeni ludzie... wielki świat. Czuję się onieśmielona tak imponującym, wspaniałym otoczeniem.

- Przy tobie blednie cały urok wielkiego świata. Albo powiem inaczej: dla ciebie żadne otoczenie nie jest dość wspaniałe. - Tu Franklin Best ujął dłoń Fleur i ucisnął.

Na wiejskich tańcach, na których bywała i gdzie wszyscy znali się od dziecka, nie prowadziło się takich gładkich rozmów.

Znowu pochwyciła spojrzenie mężczyzny o ogorzałej twarzy i ciemnych oczach.

Gdzieś, kiedyś już go widziała.

- Zapewne panna Fleur Toogood - odezwał się, kiedy w kolejnej figurze zbliżyli się do siebie. - Podopieczna markizy Granville. Zrobi pani furorę w Londynie.

Nie wiedziała, jak zareagować na te słowa.

- Jestem Noel DeBeaufort. Wyrodny syn swoich rodziców. Nie mogą mi wybaczyć, że postanowiłem się poświęcić architekturze pejzażu, idąc w ślady wielkich projektantów ogrodów.

To z nim rozmawiał Dominik poprzedniego dnia w ogrodach Heatherly, uprzytomniła sobie Fleur.

- Widziałam pana wczoraj w posiadłości.

- Zgadza się - przytaknął z uśmiechem. - Zejdźmy z parkietu, strasznie tu gorąco. Napije się pani szampana?

Fleur, zdumiona, że architekt tak bezceremonialnie, bez słowa odebrał ją partnerowi, nie zdążyła odpowiedzieć, gdy obok pojawił się jej anioł stróż i DeBeaufort grzecznie usunął się z pola widzenia.

- To nie jest odpowiedni mężczyzna dla ciebie - stwierdził autorytatywnie Dominik.

- Który? - zapytała Fleur na wszelki wypadek, choć doskonale wiedziała, o kim mowa.

- Noel DeBeaufort. Poluje na zlecenia, ale mało kto go zatrudnia. Powiadają, że żyje głównie z apañaży wyznaczonych przez ojca, który marzy tylko o tym, żeby syn rzucił swój zawód. To raz, dwa, Noel zna już prawdopodobnie wszystkie, nawet najbardziej egzotyczne figury miłosne, nie musi ich odkrywać z tobą.

- To wstrętne - oznajmiła Fleur.

- W rzeczy samej - przytaknął Dominik, udając,

że zupełnie inaczej zrozumiał komentarz, niż Fleur zamierzyła. - Chodźmy do Hattie.

Z wahaniem przyjęła ramię Dominika.

- Dlaczego ona nie tańczy? Mówię o lady (Jrenville. Panowie ją zapraszają, a ona odmawia.

- Hattie zwykła tańczyć tylko z Johnem. Czasami ze mną albo z Nathanem, jeśli Johna nie ma.

- Ciężkie masz zadanie - zauważyła z uśmiechem. - Tyle kobiet pod opieką.

- Ba! - To była cała odpowiedź, na jaką Dominik się zdobył.

- Skoro już musisz ze mną bywać na tych wszystkich przyjęciach, wieczorkach i balach, powinieneś wykorzystać czas z pożytkiem dla siebie. Poszukamy ci żony. Myślałeś kiedyś o tym, jaka ona powinna być?

Dominik nachylił się do ucha Fleur i wydał cichy dźwięk przypominający jako żywo pomruk dzikiego zwierza. Fleur najpierw spojrzała na niego zdumiona, po czym parsknęła śmiechem.

- Och, grają walca - zawołała, spoglądając na pierwsze pary, które wyszły na parkiet.

Dominik objął ją mocniej.

- Niestosowny taniec dla par, które dopiefo się poznają - orzekł stanowczym tonem i w tej samej chwili podszedł do nich Franklin Best.

- Lordzie Dominiku, czy mogę prosić pannę Toogood do tańca?

Fleur puknęła lekko Dominika w plecy, wymuszając na nim w ten sposób zgodę.

- Możesz, Best, tylko miej na nią baczenie-

- Będę jej pilnował jak oka w głowie, milofdzie.

- Zachowuje się, jakby był moim ojcem - zauważyła Fleur, gdy znaleźli się na parkiecie.

- Ojciec byłby mniej surowy niż lord Dominik. Tak panią strzeże, że nikt podejść nie śmie. Boją się albo myślą, że... - Franklin przerwał i zrobił się czerwony jak burak. - Wybacz, panno Toogood.

- Mów mi, Fleur. I nie przepraszaaj. To zabawne, co powiedziałaś, a właściwie chciałaś powiedzieć.

Objął ją i w tej samej chwili nogi odmówiły Fleur posłuszeństwa.

- Dobrze się czujesz?

- Nigdy nie tańczyłam walca - bąknęła. - Czyż nie jestem głupia?

Uśmiech Franklina bez wątpienia oznaczał, że jest nią zachwycony.

- Tańczysz doskonale. Poprowadzę cię i zaraz się przekonasz, jaki walc jest łatwy.

Wirowali przez chwilę unoszeni muzyką, śmiejąc się i spoglądając sobie w oczy, gdy wtem Franklin zatrzymał się gwałtownie; obok niego pojawił się Dominik.

- Odbijany, przyjacielu - oznajmił z uroczym uśmiechem. - Inni też chcieliby zatańczyć z naszą drogą Fleur.

Franklin mruknął coś pod nosem i odszedł, starając się ukryć rozczarowanie. Fleur zaczęła teraz wirować z Dominikiem: niby tak samo jak z Franklinem, a jednak inaczej.

- Tańczyłaś już walca - odezwał się po chwili. - Doskonale znasz krok.

- Owszem, tańczyłam walca. Z Franklinem Bestem, ale nam przerwał.

- Nie możesz przestawać zbyt długo z jednym mężczyzną. - Dominik przechylił lekko głowę i przyglądał się Fleur uważnie. - Żałujesz, że zająłem jego miejsce? Mogę go zawołać.

Nie znała sztuki uwodzenia, tych wszystkich subtelnych gier i zwrotów, ale była pojętna i szybko się uczyła.

Dominik przytulił ją mocno do piersi, spojrzał w oczy i uśmiechnął się lekko.

- Wszyscy mężczyźni patrzą na ciebie. Nie ma w tej sali jednego, który nie chciałby być na moim miejscu. Jaśniejiesz na tle innych panien niczym gwiazda na firmamencie.

- Wybacz. - Nathan ujął dłoń Fleur. - Moja kolej, braciszku.

Dominik odsunął się i teraz Nathan porwał Fleur do walca. Odwróciła jeszcze głowę, ale Dominik już zniknął w tłumie, zdążyła tylko dojrzeć utkwione w niej, poważne spojrzenie Noela DeBeauforta, a potem, kiedy obrócili się w tańcu, dojrzała wytwornie odzianego, niewysokiego dżentelmena, zajadającego coś z talerza podsuwanego mu przez lokaja.

- A niech to... - mruknął Nathan. - Książę regent we własnej osobie. Kto by się spodziewał, że zaszczyci swoją obecnością tańce u Herbertów?

- Podaruj chwilę biedakowi. - Koło Fleur pojawił się DeBeaufort i zastąpił w tańcu Nathana. - Umarłbym chyba, gdybym nie mógł z panią zatańczyć.

- Chwila musi ci wystarczyć - oświadczył zaraz potem Dominik i uśmiechnął się do Noela. - Jeszcze będziesz miał okazję - dodał, obejmując Fleur.

Ledwie oddalili się od Noela, muzyka umilkła i Dominik odprowadził Fleur do Hattie, siedzącej w znacznie teraz większym gronie dam, niż kiedy Fleur ją zostawiła, wychodząc na parkiet. Panie na jej widok zniżyły głosy do szeptu, jedna drugiej mówiła coś na ucho, w największym sekrecie.

Zbliżyła się Gussy, ciągnąc za rękę wytwornie ubraną pannę.

- Fleur, poznaj Victorię Crewe-Burns, moją najlepszą przyjaciółkę. Vicky, to Fleur Toogood, w gościnie u markizy Granville.

Vicky ostrożnie podała dłoni Fleur.

A więc to jest panna, która wysłała Jane Weller z liścikiem owego feralnego wieczoru, po czym nie wstawiła się za biedną dziewczyną, kiedy wyrzuciono ją ze służby?

Fleur była jednak zbyt pochłonięta własnymi problemami, by myśleć teraz o Vicky i Jane. Może i była prowincjuszka, ale nie idiotką. Coś niecoś wiedziała o wielkim świecie i zdawała sobie sprawę, że Dominik zrobił z niej pośmiewisko.

Coś dziwnego działo się wśród pań, pomiędzy którymi siedziała Hattie, i sądząc z porozumiewawczych spojrzeń wymienianych przez markizę i Dominika, ten był wtajemniczony w sprawę.

Tak wyprowadziło to Fleur z równowagi, że najchętniej wyszłaby natychmiast od Herbertów.

Tymczasem jeden po drugim zaczęli podchodzić do niej panowie. Każdy, nie wiedząc czemu, czuł się w obowiązku przywitać z nią i przedstawić. Panie obserwowały ją spod oka, kręcąc głowami.

- Nie zwracaj na nie uwagi - szepnęła Gussy,

odciągając Fleur na stronę. - Widzę, że czujesz się nieswojo, bo dziwnie na ciebie patrzają, ale to z czystej zazdrości. Zrobiłaś dzisiaj prawdziwą konkiętę.

- To prawda - przytaknęła żywo Vicky. - Nie mogę się doczekać, kiedy pojawisz się przy Grosvenor Square. Tam towarzystwo będzie znacznie liczniejsze, a do tego czasu wszyscy, którzy liczą się w świecie, zdążą już o tobie usłyszeć. Pytanie tylko, kto pierwszy zacznie się ubiegać o twoją rękę.

- Będziesz mogła wybierać wśród najbogatszych - zapewniła Gussy.

- I najprzystojniejszych - dodała Vicky.

Gussy zrobiła zmartwioną minę.

- To mój trzeci sezon, Fleur, i jeszcze żaden kawaler mi się nie oświadczył. Jak tak dalej pójdzie, będę siała rutkę.

- Jesteś taka ładna - powiedziała Fleur. - Zabawna, pełna życia. Mężczyźni są głupi. W końcu trafisz na właściwego, musisz być tylko cierpliwa. Kiedy wszyscy się dowiedzą, że nie mam grosza, żaden nie zechce się ze mną ożenić. I bardzo dobrze.

- Co takiego?! - zawołały chórem Vicky i Gussy.

- Nie mów, że będziesz zadowolona - zaprotestowała Vicky. - Kiedy dziewczyna jest tak urodziwa jak ty, nie musi mieć pieniędzy. Widziałaś księcia regenta? Omal nie zemdlałam z wrażenia na jego widok.

Fleur uznała, że będzie lepiej, jeśli nie podzieli się z nowymi przyjaciółkami swoimi spostrzeżeniami na temat królewskiego gościa.

- Gdzie jest lord Nathan? - zainteresowała się Vicky. - Wydawało mi, że miał tu być.

- Jest - powiedziała Fleur. - Tańczył z Gussy.

- Dlaczego ja nic o tym nie wiem? - zwróciła się Vicky do przyjaciółki z pretensją w głosie, na co Gussy machnęła dłonią.

- Bo to nieważne. Dziwię się, że Olivii dzisiaj tu nie ma. - Wspięła się na palce i potoczyła spojrzeniem po tłumie. - Wiem, że była zaproszona. Zapewniała, że przyjdzie, bo chciała się spotkać z pewnym oficerem, który bardzo się jej podoba.

- Wiesz, że się z nim potajemnie zaręczyła? - szepnęła Vicky. - Jest taka bogata, że mogłaby znaleźć znacznie lepszą partię.

- Nie zdradzaj cudzych sekretów. - Gussy chwyciła Vicky za ramię. - Nie myślisz chyba, że Olivii przytrafiło się...

Vicky pokręciła stanowczo głową.

- Na pewno nie. Po prostu musi mieć zły nastrój. Zajrzę do niej jutro rano. A to chyba ten jej oficer, prawda?

- Tak, to on. - Gussy skinęła na ciemnowłosego kawalera w pięknym mundurze. - Co uczyniłeś z Olivią, kapitanie? - zagadnęła.

Młodzienciek zrobił niepewną minę, jakby nie wiedział, czy ma podejść do panien, czy uciekać.

- Prosimy, śmiało - zachęciła go Gussy. - Nie gryziemy. Nie trzeba się nas bać.

- Olivia w ostatniej chwili źle się poczuła - wyjaśnił kapitan i Fleur zrozumiała, dlaczego nieznana jej panna straciła dla niego głowę. - Też zamierzałem nie przyjść, ale umówiłem się z ciotką.

Gussy ujęła go pod ramię.

- Cieszę się, że przyszedłeś, kapitanie. Odwiedzę jutro Olivie, zawiozę jej coś na wzmocnienie. Na pewno zaraz dojdzie do siebie.

Rozległa się muzyka, Gussy spojrzała na kapitana z nadzieją, ten odchrząknął i począł się rozglądać za przyzwoitką panny.

Gussy trąciła lekko palcem Dominika w bok.

- Ten pan ma do ciebie słowo.

Kapitan zrobił się purpurowy jak wyłogi jego munduru.

- Czy mogę zatańczyć z panną Arbuthnot?

- Uważaj tylko na nią - odparł Dominik, odprowadzając parę wzrokiem.

- Przepraszam. - Vicky dołączyła do pań zebranych wokół lady Granville.

- Oto dlaczego tak ciężko wydać Gussy za mąż - powiedział Dominik, zostając sam na sam z Fleur. - Za bardzo lubi rządzić. Nie daje mężczyźni szansy na podjęcie decyzji.

- Chcesz powiedzieć, że onieśmiela kawalerów swoim zachowaniem?

Dominik zasepił się.

- Owszem. Do ciebie też się to odnosi. Działasz paraliżująco na większość mężczyzn.

- To dobrze - stwierdziła Fleur. - Nie darzę sympatią większości mężczyzn. Mają pusto w głowach, a wynoszą się nad innych, jakby wszystkie rozumy pozjadali.

- Tak uważasz?

- Tak uważam. Czy moglibyśmy już wracać do domu? Proszę...

Nathan, który właśnie podszedł, usłyszał ostatnie słowa.

- Za dużo wrażeń jak na jeden wieczór, a ty nawykłaś do spokoju, Fleur, i trzeba się z tobą obchodzić delikatnie. Odwiozę cię do domu, a ty, Dominiku, zaopiekujesz się Hattie i Gussy, dobrze?

Fleur u żadnego mężczyzny nie widziała bardziej wściekłej miny. Dominik obrzucił brata iście morderczym spojrzeniem.

RS

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przynajmniej jedna Hattie była zachwycona sukcesem, jaki panna Toogood odniosła u Herbertów. Kiedy Dominik pół godziny po wyjściu Fleur oznajmił, że i oni wracają do domu, przyjęła to z niejakim rozbawieniem.

- Bardzo poważnie traktujesz poruczone ci obowiązki - zauważyła. - To musi być niezwykle trudne, szukać męża dla panny, która ani trochę cię nie obchodzi.

W pierwszej chwili Dominik pomyślał, że Hattie sobie z niego kpi, ale zdawała się mówić najzupełniej poważnie. Bardzo dobrze. Za nic nie chciał, by jego bratowa odgadła, że miotają nim sprzeczne odczucia. Był zarazem wściekły na Fleur Toogood i nią zafascynowany do tego stopnia, że czasami nie był w stanie logicznie myśleć.

Powinien powiedzieć sobie szczerze, że Fleur jest jednocześnie nieznośna i pociągająca. Poprzed-

niego wieczoru doprowadziła go niemal do szewskiej pasji, bo wydało mu się, że usiłuje wybadać, czy byłby dobrym materiałem na męża. Niewyobrażalne!

Musi położyć kres tym zabawom. Najpierw jednak sam zada pannie kilka pytań.

Odwieźli Gussy, a po powrocie do domu Dominik odprowadził Hattie do jej pokoi, po czym poszedł do siebie i nalał sobie dużą brandy, czekając, aż dom pograży się we śnie. Chciał jeszcze przed snem złożyć wizytę bratu, wybadać, czy Nathan ma poważne zamiary wobec panny Toogood. Jeśli tak, sprawa się wyjaśni, ku pożytkowi Fleur, Nathana, a w końcu i jego samego. Nie, jego przede wszystkim.

Nie powinien był tańczyć z nią walca.

Tak, musi położyć kres zabawom, postanowił stanowczo.

Uśmiechnął się do siebie mimo woli. Naturalna, zabawna i dzielna, oto jaka jest panna Toogood. W dodatku wcale nie czuła przed nim lęku. To ostatnie być może się zmieni.

O czym on myśli? Zbierz się w sobie, człowieku. Liczy się to, jak Fleur traktuje Nathana. Dominik zauważył, że tego wieczoru całkiem dobrze bawiła się w jego towarzystwie, w dodatku Nathan przeszedłby jej test śpiewająco.

W drodze powrotnej Hattie wyjawiała mu, że krążą pogłoski o porwaniach i że w towarzystwie zapanował strach. Nie potrafiła sobie przypomnieć, która z pań pierwsza podjęła ten temat, ale wkrótce wszystkie już szeptały o czyhającym niebezpieczeń-

stwie. Dopóki Jedwabisty Kot harcuje, dopóty żadna młoda panna nie może żyć spokojnie, powtarzały ze zgrozą.

Dominik, przekładając papiery na biurku, rozmyślał o przeciwniku. Nadęty błazen, uznał. Przybrał imię, które ma sugerować, że jest szybki i cichy. Wydaje mu się, że jego sztuczki ujdą mu płazem.

Z łatwością mógł uprowadzić Chloe. Dominikowi na tę myśl pot wystąpił na czoło. Tego człowieka zdecydowanie nie można lekceważyć. Skoro raz zmienił metodę działania, z łatwością może za chwilę uczynić to samo.

Dominik nie rozumiał, dlaczego Kot wybrał Chloe. Wyglądało to na ostrzeżenie: nikt w Heatherly nie może czuć się bezpieczny. Z jakiego innego powodu Kot zakradałby się do posiadłości i napoił małą dziewczynkę alkoholem?

Dominik odsunął fotel od biurka i założył ręce na piersi. Jedwabisty Kot był groźny. Wszystko wskazywało na to, że porwania mu nie wystarczą i że następną ofiarę gotów zamordować. Prawdę mówiąc, tą ofiarą mogła stać się Chloe. Mało brakowało, by usnęła nad stawem, sturlała się z brzegu do wody i utopiła.

Należało koniecznie odnaleźć chłopca, o którym wspominała Jane Weller. Dominik miał niedobre przeczucia, bał się, że chłopcu może stać się coś złego. Pójdzie do Nathana i wspólnie naradzą się, gdzie i jak rozpocząć poszukiwania.

Podniósł się, wetknął do kieszeni listę Fleur na wypadek, gdyby jej potrzebował, i ruszył do samotni brata. Doprawdy dziwne wybrał sobie miesz-

kanie. Zajmował dwa skromnie urządzone pokoje w wysokiej wieżyczce, skąd miał widok na całą posiadłość. Kiedyś rezydował tu jeden z przodków, który uważał się za malarza. Rzeczywiście przez większość dnia światło było tu niezrównane, jak nigdzie w Heatherly - z wyjątkiem pracowni matki, jeśli Dominik miał wierzyć znawcom zagadnienia.

Nathan nie malował.

Nathan lubił samotność.

Dominik stanął pod drzwiami i zapukał lekko.

Brat się nie odezwał. Musiał spać jak zabity.

Dominik wszedł do pokoju i zbliżył się do łóżka.

- Obudź się. Musimy poważnie porozmawiać.
O dwóch sprawach.

Nie dojrzał sylwetki brata w pościeli, choć w blasku księżycy widział dość dobrze. Zmarszczył czoło i przeszedł do sąsiedniego pokoju: pusto, ciemno, głucho.

Nathan widać wybrał się w towarzystwie Bertiego Crewe-Burnsa do jednego z tych zatraconych domów gry.

Dominik zapalił świecę, rozejrzał się po pokoju, przeszedł z lichtarzem do sypialni, zajrzał do garderoby. Brat dawno nie był w swoim mieszkaniu, o czym świadczył wygasły ogień, bo Nathan zawsze sam rozpalał w kominku. Wszedłby przecież na chwilę do siebie, kiedy odwiózł Fleur do domu, a zanim wyruszył na nocną eskapadę.

- A niech to! - Cały Nathan, zawsze nieprzewidywalny, tyle Dominik mógł się spodziewać. Dlaczego tego najbardziej nieprawdopodobnego nie wziął pod uwagę? Wybiegł z pokoi brata i ruszył

pospiesznie na pierwsze piętro. - Dopadnę cię -wygrażał pod nosem nieobecnemu. - Przysięgam, że będziesz tego żałował - zaperzył się. - Gorzko pożałujesz tego, coś zrobił dzisiejszego wieczoru.

Cicho podszedł do drzwi sypialni Fleur. Przez szparę nad progiem sączyło się słabe światło.

Jak przytulnie, pomyślał z sarkazmem. Czuł obrzydzenie do samego siebie za to, co za chwilę miał uczynić, ale nie pozostawiono mu wyboru. Musi przyłapać pannę i Nathana w kompromitującej sytuacji, a jeśli Nathan będzie próbował wykręcić się od odpowiedzialności, to Dominik zagrozi, że rzecz dojdzie do uszu matki. Potrząsnął uniesioną pięścią. W najlepszym razie stłucze braciszka na kwaśne jabłko.

Zawahał się, walcząc z targającymi nim emocjami. Wyrzucał sobie, że zawstydzi Fleur, która nic tu nie była winna, ale nie miał wyjścia, jeśli chciał zmusić Nathana do honorowego zachowania. Małżeństwo musi zostać zawarte natychmiast, a w razie gdyby nicpoń wziął... Dominik zamknął oczy. Nie chciał o tym myśleć. I nic nie pomogła świadomość, że Fleur jego, Dominika, brała pod uwagę jako potencjalnego kandydata na męża. Widać doszła do przekonania, że przejrzał jej zamiary, i teraz może pomyśleć, że jego wtargnięcie oznacza chęć przekreślenia jakichkolwiek planów, jakie mogłaby względem niego czynić.

Biedna Fleur, jakie niewinne w gruncie rzeczy były jej knowania.

Poruszył klamką i zawołał „Nathanie” na tyle głośno, by usłyszano w pokoju.

Zamknięte na klucz. Oczywiście, mógł się tego spodziewać. Przyłożył usta do szpary między drzwiami a futryną.

- Otwieraj natychmiast albo cały dom postawię na nogi.

Słyszał, jak klucz po drugiej stronie upadł na podłogę, ktoś go musiał podnieść, bo zaraz rozległ się chrobot, szcęk otwieranego zamka i w progu stanęła Fleur w złotej sukni, z czarną aksamitką na szyi, tak jak była ubrana u Herbertów.

Przynajmniej zdążył na czas, zanim ten baran, przyszedłszy, zdążył uczynić jej despekt.

- Gdzie on jest? - zapytał Dominik, starając się, by pytanie zabrzmiało grzecznie. To nie jej wina, że padła ofiarą wytrawnego lowelasa.

Fleur cofnęła się.

- Kto? Czy ktoś na mnie dybie? Tu nie dotarł, na szczęście.

Dominik mógł mieć tylko nadzieję, że jego braciszek doceni, jakim skarbem będzie wierna i uczciwa żona.

- Nathanie, nie chowaj się za spódnicami tej biednej dziewczyny, pokaż się. - Zamknął cicho drzwi za sobą. - Wychodź.

- Dominiku, nie ma tutaj lorda Nathana - wyjaśniła Fleur. - Co by tu robił?

- Dobrze znam swojego brata i..

- Nie zajrzał nawet do domu, kiedy mnie odwiózł. Ktoś na niego czekał. Ja weszłam, a oni zaraz gdzieś pojechali.

Dominik odczuł tak ogromną ulgę, że nie spieszyła go absurdalność własnego zachowania.

- Chciałem się upewnić - oznajmił surowym tonem. - Nie wiesz przypadkiem, kto na niego czekał?

- Nie. Pierwszy raz widziałam tego człowieka. Lord Nathan zwracał się do niego „Bertie”.

Dominik przemaszerował przez pokój i usiadł w fotelu.

- Pozwolisz? - spytał trochę za późno.

- Proszę - mruknęła nieszczerólnie uprzejmie Fleur.

- Mogłem się domyślić, że braciszek coś kombinuje, tak spieszno było mu wyjść od Herbertów.

Fleur uśmiechnęła się ironicznie.

- Chcesz powiedzieć, że spieszył się nie przez wzgląd na mnie? Nie dlatego, by mnie odwiedzić do domu i spędzić kilka chwil sam na sam ze mną? Czuję się ogromnie zawiedziona.

Niech ją diabli! Panna ma cięty języczek, nie pierwszy raz uświadomił sobie Dominik. W dodatku najwyraźniej nic jej nie obchodzą motywy Nathana, kiedy idzie o jej osobę.

Spojrzał na przywiedły bukiet, stojący w wazonie na stoliku. Pomiędzy kwiatami tkwił bilecik, na którym widniało kilka słów skreślonych charakterem pisma brata. Rozpoznał je bez trudu. Nie wiedział oczywiście, kiedy Nathan przesłał Fleur bukiet, ale sądząc po stanie kwiatów, musiał to uczynić przed dwoma, trzema dniami.

Nathan posyła kwiaty Fleur... Hm... To oznaczało, że jest nią zainteresowany.

- Dlaczego przypuszczałeś, że Nathan jest u mnie? - zainteresowała się panna Toogood.

Należało się jej wyjaśnienie. Gdyby Dominik w ogóle brał pod uwagę ewentualność ożenku i założenia rodziny, Fleur bez wątpienia byłaby godną kandydatką na żonę. I z tego to powodu obraz Fleur, idącej do ołtarza z Nathanem, wbrew temu co sobie Dominik postanowił i co miało mu oszczędzić zachodów, doprowadzała go do szaleństwa. W ogóle wizja Fleur, wychodzącej za mąż za kogokolwiek, była nie do przyjęcia.

Stała teraz przed nim, spojrzała mu w oczy i trochę niezgrabnie poklepała po ramieniu.

- Wiem, nie chciałeś mieć ze mną do czynienia, ale jesteś człowiekiem honoru, obiecałeś matce, że się mną zajmiesz, i teraz będziesz starał wywiązać się jak najlepiej z obowiązku. Przepraszam, że pokazałam ci moją listę i wtajemniczyłam w swoje sprawy.

Nie cofnęła dłoni, a Dominik ujął jej palce.

- Możesz być spokojny o Nathana. Nie jestem w jego typie, chociaż nie miałby pewnie nic przeciwko... flirtowi. - Fleur odwróciła wzrok. Dominik widział, że rozmowa przychodzi jej z trudem. - Nie pozwoli sobie na żadne niestosowności w obawie przed matką.

Dominikowi, sam nie wiedział dlaczego, lżej zrobiło się na sercu.

- Zdziwiasz mnie - rzekł. - Wpadłem tutaj wściekły jak wszyscy diabli, a ty zareagowałaś tak spokojnie, racjonalnie. Potrafisz postępować rozsądnie, kiedy chcesz, i cała złość od razu minęła.

- Phi! - Fleur uśmiechnęła się tak rozkosznie, że Dominik nie mógł oderwać wzroku od jej ust.

- Porozmawiaj ze mną - powiedział, pociągnął ją i posadził sobie na kolanach. Nie powinien był tego robić, ale nie mógł odmówić sobie przyjemności.

Fleur chciała wstać, niezbyt zręcznie trafiła, próbując się odepchnąć i zaszokowana skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie przystoi, żebym siedziała u ciebie na kolanach.

- Nie przystoi, ale nie jest ci niemiłe?

- Nie jest - przytaknęła, nie patrząc mu w twarz.

- Zatem nie widzę nic złego w tym, że dwoje ludzi czuje się dobrze ze sobą.

- Ja nie jestem dzieckiem, a ty wykorzystujesz sytuację. - Puknęła gó palcem w pierś. - Wpadłeś tu, hipokryto, rycząc z wściekłości, pewien, że twój brat właśnie mnie kompromituje.

- A ja cię kompromituję?

Fleur musiała rozważyć pytanie Dominika.

- Zdecydowanie tak. Zresztą nie pierwszy raz. Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, moja reputacja ległaby w gruzach, co jest niesprawiedliwe, bo twoja też powinna. Nie mogę pogodzić się z tym, że kobiety oceniane są wedle innych standardów niż mężczyźni.

- Tak, coś tu jest nie w porządku, zgadzam się, ale o czym innym chciałem rozmawiać. Powiedz mi, lubisz Nathana?

- Owszem, jest dla mnie miły, pomógł mi kilka razy. Jest zabawny. Najwyższy czas, żeby się ożenił. Jeśli pokocha pannę, będzie dobrym mężem, a dzieci będą za nim przepadać.

Oto prawdziwa pochwała. Tyle że nie z ust kobiety zakochanej.

- Myślałam o Vicky Crewe-Burns - ciągnęła. - U Herbertów pytała o Nathana, rozglądała się za nim. Być może coś do niego czuje.

Dominik objął Fleur, jakby to było najnaturalniejsze w świecie.

- Wczuwasz się w rolę swatki, koniecznie chcesz żenić Elliotów. - Spojrzał na jej dekolt i szybko musiał zająć czymś myśli. - Jutro mamy trzy rauty, nie mylę się? - zagadnął.

- Trzy rauty, zgadza się. Śnieżynka opowiadała mi co to takiego, brzmiało okropnie.

- Rauty są okropne, ale jakoś podołamy, jeśli będziemy trzymać się razem. Tak, musimy trzymać się razem, szczególnie teraz. - Jej usta były tak blisko; z łatwością mógł ją pocałować, nic prostszego... Nieraz już sobie pozwolił, uległ pokusie, teraz musi zachowywać się przyzwoicie. Miała rację, wytykając mu, że z niego hipokryta, a jednak nie zamierzał jej puścić z kolan, chyba że będzie musiał.

- Martwię się o tego chłopca, który czekał na Jane przy wejściu do Hyde Parku - mówiła. - To podobno biedne dziecko, tak opowiadała bratu Justowi. Kto wie, czy mu coś nie grozi.

- Bardzo możliwe. Gdyby tak można było mu pomóc, jemu i tysiącom innych bezdomnych małych. To musi się zmienić. Chciałbym... - Dominik urwał. Fleur nie włączy się przecież w akcje, jakie zamierzał podjąć na rzecz pokrzywdzonych dzieci.

- Chcesz coś zrobić dla takich jak on, prawda? Może byłabym ci przydatna? Chętnie pomogę.

- Jeszcze nie pora, ale dam ci znać, jeśli będziesz mogła być mi w czymś pomocna. - Czy rzeczywiście? Wszystko zależy od tego, jak się potoczą wypadki.

- Znasz pannę o imieniu Olivia? - zapytała.

- Znam niejedną Olivię - odparł, stropiony nieco nagłą zmianą tematu.

- Ta, o której mówię, miała być dzisiaj u Herbertów, ale się nie pojawiła. Przyszedł za to jej adorator, oficer, śliczny jak malowanie.

- Ach, ten, z którym tańczyła Gussy. Mówisz o Olivii Prentergast. Miła dziewczyna. Dlaczego o nią pytasz?

- Rozmawiałam z dwiema pannami, dziwiły się, że nie przyszła. Domyśliły się, że pewnie źle się poczuła, i uznały, że trzeba by odwiedzić ją jutro. A potem nagle zamilkły i znacząco na siebie spojrzały, jakby doszły do przekonania, że Olivia wcale nie jest chora. Odniosłam wrażenie, że dobrze wiedziały, gdzie jest, ale nie chciały tego głośno powiedzieć.

- Chodzi ci o Vicky Crewe-Burns i Gussy?

- Tak. To na pewno bez znaczenia, ale ja wiem, że panna Crewe-Burns ma za sobą niemiłe doświadczenie.

Dominik postawił Fleur, sam wstał. Pożądanie łatwo się budzi, nie powinien dawać mu do siebie przystępu i tak na zbyt wiele sobie pozwalał.

- Pojadę rano do Prentergastów pod byle jakim pretekstem. Nie dam poznać Olivii, że coś mnie zaniepokoiło. Teraz cię pożegnaj. - Nie miał ochoty rozstawać się z Fleur, ale czekała go jeszcze wyprawa do miasta.

- Myślisz, że Gussy lubi lorda Nathana? - zapytała jeszcze. - Bo mnie się wydaje, że bardzo go lubi.

Dość tego. Fleur nie posiadałaby się ze zdumienia, gdyby jej powiedział, że jedyną kobietą, która go zajmuje, jest ona sama, i że sercowe problemy innych panien nic go nie obchodzą.

- Udaje, że wcale o niego nie dba, ale widać gołym okiem, że coś do niego czuje. Tylko tak mówi, żeby zmylić ludzi.

- Możliwe - przytaknął zamyślony Dominik. Matka miała swoje plany wobec niego, miała nadzieję, że syn się ożeni... Lubiła Fleur, to prawda, ale niemożliwe, by chciała za synową córkę wiejskiego pastora. Chyba że z Fleur ożeniłby się Nathan, wtedy co innego. Takie rozwiązanie markiza przyjęłaby z radością, zakładając, że pod wpływem roztropnej żony Nathan wreszcie by się usatkwował. Tak, panna Toogood byłaby idealną żoną dla Nathana. Wszystko jeszcze przed nimi. Fleur i Nathan z pewnością zakochają się w sobie.

- Dominiku - odezwała się cichym głosem. - Widać zapomniałeś o sprawie i mogłabym do niej nie wracać, ale byłabym tchórzem, gdybym nie zapytała...

- Czy zastanawiałem się nad listą, którą dałaś mi wczoraj? Owszem, zastanawiałem się. - Powinien powiedzieć jej wprost, co myśli. Niech Fleur wie, na czym stoi i czego ma się trzymać.

- Rozumiem, że dałaś mi kopię listy, bo chciałaś wiedzieć, czy się nadam na męża.

Fleur cofnęła się o krok. Na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

- Pomysł powiadomienia mężczyzny, czego się po nim oczekuje, uważam za całkiem dobry, ale ja nie zostanę twoim mężem, panno Toogood.

- Niczego takiego nie dałam ci do zrozumienia - zaprotestowała Fleur. - Jak możesz tak mnie upokarzać?

- A pomyślałaś, jak ja się czułem, kiedy wręczyłaś mi swoje żądania matrymonialne, z których większość brzmi zresztą absurdalnie. Możesz zupełnie szczerze powiedzieć, że nie zagięłaś na mnie parolu?

Fleur z okrzykiem oburzenia odwróciła się do niego plecami.

- Owszem, mogę zupełnie szczerze powiedzieć, że nie mam wobec ciebie żadnych planów. Jesteś pozbawionym wrażliwości arogantem, jakiego świat nie widział. Mam tego dość! Wyjdź, proszę. Spakuję się i jutro wracam do domu.

- Ani się waż! - Zabrzmiało to ostro, choć" Dominik czuł się mocno zakłopotany i daleko mu było do stanowczości. - Obiecałaś coś swoim rodzicom. Masz zobowiązania wobec mojej rodziny. Hattie specjalnie dla ciebie przyjechała z Bath. Ja zgodziłem się opiekować tobą i poszukać ci odpowiedniego kandydata na męża, więc przestań się oburzać i rób, co mówię.

- Popełniłam błąd, biorąc cię za doświadczonego człowieka, który potrafi być pomocny w zupełnie dla mnie nowej sytuacji. Dobrze, będę posłuszna i będę wam wszystkim niezmiernie wdzięczna, jeśli znajdę męża. Jeśli wrócę do domu bez pierścionka zaręczynowego na palcu, też nic się nie

stanie. Postaram się być pomocna mojej rodzinie, jak tylko stara panna może być użyteczna.

- Przyrzekam ci, że nie wrócisz do domu bez pierścionka zaręczynowego na palcu.

- Nie kłopotcz się mną, proszę. Teraz chcę zostać sama, ochłonać. Będę okazywać wam wdzięczność, nie tylko wdzięczność, za waszą łaskę.

- Naprawdę nie myślałaś o mnie jako o przyszłym mężu?

- Nie. Znam swoje miejsce.

Dominik uwierzył słowom Fleur. Poczuli się podle.

- Wobec tego przyjmij moje przeprosiny. Myślałem... sądziłem. Postaram się pomóc ci, nadal będę się tobą opiekował.

Nie odwróciła się.

- Wiem, że może za wcześnie pytać, ale czy ktoś zwrócił już twoją uwagę, wzbudził zainteresowanie dzisiaj wieczorem u Herbertów? - Zabrzmiało to tak, jakby chodziło o wybór pieska pokojowego. - Franklin to miły chłopak. Noel DeBeaufort też ma swoje dobre strony, ale jest zbyt światowy.

- Tak, Franklin Best zrobił na mnie dobre wrażenie, ale nie kłopotcz się już moimi sprawami. - Głos jej drżał. - Jeśli pisane mi spotkać kogoś odpowiedniego, to go spotkam.

- Kogoś, kto spełni twoje wymagania, to chciałaś powiedzieć?

Fleur odwróciła się gwałtownie.

- Nie powinnam była pokazywać ci swojej listy. Wydawało mi się, że będziesz mógł mi doradzić. Okazuje się, że byłam w błędzie.

Dominik wyjął przekłętą listę z kieszeni i potrząsał nią. Nie mógł zdzierżyć, że Fleur tak źle go oceniła.

- Bardzo chętnie udzielię ci stosownych porad. Powiedzmy, że jestem mężczyzną, któremu byłabyś skłonna oddać rękę.

- Proszę, nie.

- Tylko nie mów, że zabrakło ci odwagi. Zobaczmy. „Czy zaakceptuje i pokocha moich rodziców”? Oto pytanie, jakie musi zadać dobra córka. Owszem, pokochałbym twoich rodziców, tak myślę, a już na pewno bym ich szanował. Następne: „Czy jego rodzice będą szanować moich i czy zaakceptują moją osobę”? Może inny odpowiedziałby inaczej, choć wątpię. Ja odpowiadam bez wahania - tak. Lubię także psy i koty. Nigdy też nikt mi nie zarzucił, że jestem zarozumiałcem, choć, szczerze wyznam, potrafię być trudny.

Fleur uśmiechnęła się nieznacznie i powiedziała, nie patrząc na Dominika:

- Każdemu zdarza się czasami być zarozumiałym. Możesz skończyć. Rozumiem już, jaka byłam niemądra, sporządzając tę listę.

- Niemądra będziesz, jeśli odstąpisz od zasad, które tak skrupulatnie tu wyłożyłaś. Są sprawy, w których mężczyźni górują nad kobietami, i takie, do których w ogóle nie powinni się zabierać, zostawiając je kobietom.

Fleur uniosła głowę.

- Jakie? Przewijanie dzieci i karmienie chorych kleikiem?

- Między innymi. - Ta dziewczyna nigdy się nie podda.

- Jestem dobra w arytmetyce - powiedziała. - Prowadzę ojcu księgi parafialne. W domu dbam, żeby nam na wszystko starczało.

- Wcale mnie to nie zdziwi. „Czy kocha mnie najbardziej na świecie, jak żadną inną”? Powinien, bo na to zasługujesz. A co do twoich opinii, hm, niewątpliwie brałbym je pod uwagę.

Fleur ukryła dłonie w fałdach spódnicy, spojrzała na Dominika, ale szybko odwróciła wzrok.

- A jeśli idzie o spacer w deszczową noc, myślę, że by mi się spodobał. - Widział już w wyobraźni moką od deszczu, ożywioną, roześmianą twarz Fleur, niemal słyszał jej wesoły głos. Sam niewiele miałby do powiedzenia. - Musisz mnie kiedyś zaprosić na taką przechadzkę, to się przekonamy. I jeszcze jedno: dzieci to największy dar. Umacniają wzajemną miłość rodziców, są naszym przedłużeniem, naszą nadzieją na przyszłość.

- Proszę. - Fleur uniosła dłoń. - Już mi pokazałeś, jak mężczyzna może odpowiedzieć na moje pytania: uczciwie, po zastanowieniu. Wybacz mi moją poufałość.

- Nie ma nic do wybaczenia. Byłbym czułym i uważnym kochankiem. I oczywiście chciałbym dzielić z tobą łożę. Miarkuję się w picciu, od hulanek w wesołej kompanii stronie, chociaż, przyznam szczerze, czasami i mnie zdarzają się szaleństwa.

Fleur przechyliła głowę.

- Szczęśliwa ta, która zostanie twoją żoną, Dominiku. Mam nadzieję, że zada ci podobne do

moich pytania, dla samej przyjemności usłyszenia twoich odpowiedzi.

Serce mu się ścisnęło na te słowa.

- Nie zdradzałbym cię i nie utrzymywał kochanki - zapewnił, ujmując dłoń Fleur. - Acz skłamałbym, gdybym powiedział, że w moim życiu nie było kobiet i że nie wiem, co to rozkosz.

Może Fleur była kapłanem w przebraniu? To zadziwiające, jak jej obecność zachęcała do zwierzeń.

- Mężczyzna, kiedy zakochany, pragnie od żony wzajemności, to zrozumiałe - ciągnął Dominik, zerkając na listę. - Codziennie powinien dziękować losowi, że ma zmysłową, powabną żonę.

Fleur chciała się cofnąć, ale on mocno trzymał ją za rękę.

- „Czy będzie chciał odkrywać ze mną nowe, nieznane sposoby uprawiania miłości”?

- To niemądre - mruknęła.

- Wspaniałe - zapewnił. - Miesza mi się w głowie, Fleur. Nie przypuszczałem, że oto pojawi się w naszym domu ktoś taki jak ty. - No proszę! Jeszcze chwila, a wyzna, że jej pragnie.

- Jestem dla ciebie ciężarem, wiedziałeś, że tak będzie, ale przez uprzejmość nie śmiałeś odmówić pomocy.

Dominik, wiedząc, że wkracza na niebezpieczny grunt, nachylił się i zaczął całować jeden po drugim palce Fleur.

Co mógł jej ofiarować oprócz swoich pieniędzy? Zasługiwała na znacznie, znacznie więcej, a on miał tyle różnych powinności, że z pewnością nie byłby dla niej dobrym mężem.

- Szczęśliwy, kto wprowadzi cię w świat namiętności. Dopilnuję, byś znalazła godnego siebie męża.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem, który w magiczny sposób rozładował napięcie między nimi.

- Pora na mnie. - Dominik wyjął zegarek z kieszonki kamizelki. Stanowczo zbyt długo zabawił u Fleur, dawno powinien był wyjść.

Drzwi otworzyły się z impetem, aż klamka uderzyła o ścianę.

W progu stał Nathan, z rozwianym włosom, rozgorączkowanym spojrzeniem.

- Ty łotrze! - syknął przez zęby. - Ty uwodzicielu niewinnych. Nie powinienem być ruszać się z domu. Mogłem się domyślić, że po powrocie od Herbertów złożysz wizytę Fleur.

Niewinna ofiara uwodzicielskich zakusów łotra Dominika parsknęła śmiechem.

- Coś ty jej zrobił? Mów zaraz! - pienił się Nathan. - Dziewczyna ma atak hysterii.

Fleur zaśmiała się w głos, a Dominikowi niebezpiecznie zadrgały wargi.

- Zrobię z ciebie miazgę - zagroził Nathan, zbliżając się do brata. - Zobaczymy, czy i wtedy będzie ci do śmiechu, ty, ty...

- Uwodzicielu - podsunął usłużnie Dominik.

Z szelestem spódnic Fleur zagroziła drogę obrońcy pohańbionych.

- Dominik wpadł tutaj tak samo rozsierdzony, jak ty teraz, milordzie - wyjaśniła, z trudem hamując śmiech. - Szukał ciebie, przekonany, że czyhasz na moją cnotę.

- Szukał mnie? - sapnął Nathan.
- Nie zastałem cię po powrocie... - Dominik czuł się śmiesznie.
- Ani ja ciebie - odparował Nathan.
- Czy kiedy mężczyzna nie jest u siebie, to znaczy, że musi być u damy? - zainteresowała się Fleur.

RS

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Fleur nie zdołała powstrzymać śmiechu. Lord Nathan zrobił komiczną minę, gdy usłyszał, że Dominik przyszedł do niej, sądząc, że zastanie tu dybiącego na jej dziewczęcą cześć brata.

Obaj ją zadziwili. Kiedy już się uspokoili, śmiali się w najlepsze z samych siebie.

Dominik powiedział jeszcze przed wyjściem:

- Zamknij się na klucz i nie otwieraj nikomu, chyba że poznasz po głosie, że to ktoś z domowników.

Lubił komenderować, to pewne.

Fleur nie mogła przestać o nim myśleć. Potrafił doprowadzić człowieka do furii. Prawił jej rzeczy, za które powinna nie raz i nie dwa się obrazić. Oznajmił dobitnie, że nie bierze jej pod uwagę jako kandydatki na żonę. Taka myśl nawet nie przyszła mu do głowy, chociaż ona ani słowem, ani jednym gestem nie dała mu do zrozumienia, że chciałyby go na męża.

- Pragnę cię. Sprawileś, że cię pragnę. - Pilnuj się, dziewczyno, panuj ze nad sobą, skarciła się w duchu Fleur. Gdyby Leticia i Rosemary były świadkami, że ich ukochana siostra mówi do siebie, wpadłyby w popłoch.

Wspaniale, Fleur kontynuowała wewnętrzny monolog, zakochałam się bez wzajemności w człowieku, który bez mała spełniał wszystkie jej wymagania. Kiedy odpowiadał na pytania, miała łzy w oczach. Powiedział, że przyszły starający się powinien sporządzić własną listę, czyż nie tak? Bardzo chciałyby wiedzieć, jakie pytania zadałby Dominik pannie, którą wybrały na żonę.

Fleur chodziła po pokoju, kiwając głową w rytm kroków.

- Wyznałeś, że byłbyś delikatnym, czułym kochankiem. - Zacisnęła dłonie. Zupełnie jakby naprawdę chciał być na miejscu owego wymyślanego kochanka. Co za ambaras.

Dominik wychodził od niej niechętnie, czuła to, ale wzywały go jakieś tajemnicze obowiązki. Pamiętała, jak sprawdzał, która godzina, a kiedy wspomniła o Olivii Prentergast, zapowiedział, że następnego ranka złoży jej wizytę, dowie się, dlaczego nie była u Herbertów. Być może już teraz ruszył w miasto w poszukiwaniu odpowiedzi na swoje pytanie, zamiast czekać do rana?

Fleur przerażała myśl o nocnej wyprawie Dominika. Bała się o niego, chciałyby mieć pewność, że jest bezpieczny, dotknąć go, upewnić się, że nic mu nie grozi.

Był dla niej kimś ważnym, wyjątkowym i wątpliwa, by miało się to zmienić.

Nieszczęsna przygoda Chloe wytrąciła go z równowagi. Fleur przypomniała sobie, że wypytując małą, Dominik wspomniał coś o Vauxhall Gardens. Wiedziała, gdzie to jest. Kiedy jechały do Herbertów, Hattie poprosiła Alberta, żeby skierował powóz właśnie tamtędy. Chciała pokazać Fleur znane publiczne ogrody, miejsce spotkań londyńczyków, zawsze pełne gwaru i muzyki, a nocą, jak mówiła, bardzo niebezpieczne. Kto wie, czy nie tam wybrał się Dominik.

Musi sprawdzić, czy wyszedł z domu. Nic to oczywiście nie zmieni, ale przynajmniej będzie wiedziała, czy ma czuwać i wyczekiwać jego powrotu.

Fleur wymknęła się na korytarz, cicho zamknęła drzwi za sobą i spiesznym krokiem ruszyła ku głównemu korpusowi rezydencji, gdzie znajdowały się schody, wiodące na drugie piętro.

Tutaj zatrzymała się zakłopotana. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jeśli spotka Dominika, nie będzie wiedziała, jak wytłumaczyć się z tego, że wbrew obietnicy wyszła w środku nocy ze swojego pokoju.

Szukam chusteczki, którą chyba gdzieś tutaj zgubiłam? Ciekawe, jak by zareagował na takie tłumaczenie. Chciałam sprawdzić, czy kwiaty w korytarzu nie potrzebują wody? Żałosne.

Jeśli się na niego natknie, trudno, powie mu prawdę. Przemknęła szybko koło drzwi, prowadzących do pokoi Dominika. Trochę dalej stała ogrom-

na szafa, pusta. Fleur wiedziała, że ogromna i że pusta, bo zdążyła już wcześniej to sprawdzić, z natury wścibska, wszystkiego ciekawa.

Usiadła w środku, podciągnęła kolana pod brodę i zamknęła drzwi, modląc się, by mocny zapach kamfory wewnątrz szafy nie wywołał ataku kichania.

Skąd pewność, że nie opuścił domu od razu, pożegnawszy się z nią? Nie, musiał wrócić do siebie po wierzchnie okrycie.

Nawet jeśli, to dawno już mógł wyjść.

Spieszył się na spotkanie z damą. Na pewno.

Ktoś taki jak Dominik z pewnością miał przyjaciółkę, a może metresę. Fleur zrobiło się gorąco. Sama sobie winna. Gdyby pilnowała swoich spraw, nie oblewałby jej teraz żar na myśl o miłosnych przygodach Dominika.

Wielkie nieba, Dominik jest zakochany - wyobrażnia Fleur funkcjonowała na najwyższych obrotach.

Nie może poślubić ukochanej, coś stoi na przeszkodzie do szczęścia tych dwojga. Fleur łyzy zakręciły się w oczach. Jakie to smutne, jeśli tak rzeczywiście jest. Kto wie, może kochankowie pogodzą się z losem, gdzie indziej lokując uczucia, i w końcu każde z nich znajdzie swoją drugą połówkę i będą szczęśliwsi, niż byliby razem.

Noga jej zdrętwiała i Fleur zmieniła ostrożnie pozycję.

- Pospiesz się, z łaski swojej. - To lord Nathan. Wszędzie poznałaby jego głos. To znaczy, że bracia wychodzą razem. Lżej się jej zrobiło na sercu.

Dominik nie odpowiedział, ale usłyszała kroki, zmierzające w kierunku szafy, a nie schodów. Byli tuż obok, czuła ich obecność. Wstrzymała oddech.

Kroki oddaliły się i Fleur ostrożnie uchyliła drzwi szafy, robiąc maleńką szparkę.

Omal nie krzyknęła na cały głos.

Nieopodal, przy podokiennej ławce-skrzyni stał lord Nathan ze świecą w dłoni, a brat Just podnosił wieko. Lord Nathan uniósł trochę świecę, a wtedy mnich włożył jedną nogę do skrzyni, potem drugą; skrzynia musiała maskować" dostęp do sekretnych schodów.

- Trzymaj się zaraz za mną i natychmiast zamknij wieko - powiedział brat Just.

- Niech cię diabli. Potrafisz być irytujący - sarknął lord Nathan, wprawiając Fleur w zdumienie, że tak bezceremonialnie zwraca się do osoby duchownej. - Myślisz, że nie leży mi na sercu los Olivii tak samo jak tobie?

Brat Just zatrzymał się. Teraz ze skrzyni wystawała mu tylko głowa.

- Myślę, że na swój sposób dalej jest ci bliska, i gdyby tylko skinęła palcem, natychmiast byś do niej pobiegł.

Lord Nathan pokręcił głową, spoglądając w noc za oknem.

- Nie byłaby z nas dobrana para. Nie byłem gotowy do zawarcia małżeństwa. Olivia ma teraz swojego oficera i tak może jest lepiej.

- Kiedy się zapomni, dalej patrzy na ciebie z uczuciem. - Brat Just uniósł głowę. - Dość tego, nie mamy czasu na pogawędkę. Muszę jechać do

Prentergastów. Pamiętaj o naszej umowie. Postępujemy i zachowujemy się tak jak zawsze. Czekasz w powozie, nie pokazujesz się nikomu. Nie zbliżaj się do domu.

Fleur zasłoniła usta dłonią. Przecież to charakterystyczny, rozkazujący głos Dominika. Żaden brat Just, tylko Dominik w habicie zakonnym, pod fałszywym imieniem. Dominik na tropie Jedwabistego Kota. Nathana bierze ze sobą tylko w charakterze towarzysza, obstawy.

Co za lekkomyślność! Ten człowiek nie rozumie chyba, na jakie niebezpieczeństwo się naraża.

Ona musi mu koniecznie pomóc.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Nie zapytasz, gdzie zdobyłem to dziwo? - Nathan postawił kołnierz i schował brodę.

- No dobrze, i tak mi powiesz, ale zapytam. Gdzie zdobyłeś to dziwo?

- Zobaczyłem wózek na łące, cały w błocie, bez jednego koła. Odnalazłem farmera i zapytałem, czy nie sprzeda bryczki. Zgodził się, dodał koło...

- Od innego wehikułu - wpadł mu w słowo Dominik.

- Dodał koło, które sam założyłem, i się naśmiewał, jaki to ze mnie głupiec, kiedy zaprzęgałem swojego wierzchowca.

- I dzięki temu, oczywiście, nie rzucamy się w oczy - zauważył z przekąsem Dominik. - Mogłeś mnie jednak uprzedzić, że będziemy jechać kulawym gospodarskim wózkiem na warzywa, a nie bryczką.

- Nie powiedziałem, ponieważ nie chciałem cię rozczarować.

- Olivia jeszcze o tym nie wie, ale powinna się cieszyć, że nic już do niej nie czujesz. - Wózek zakołysał się tak gwałtownie na bruku jednej z uliczek Mayfair, że Dominika zatchnęło na moment. Chwytał się z całych sił ławeczki. - Jesteś nienormalny, braciszku. Sprawia ci przyjemność katowanie ludzi.

- Jak ci się nie podoba nasz pojazd, to sam wynajduj na każdą eskapadę coraz to inny. Ustaliliśmy, że wehikuł ma być jak najbardziej niepozorny.

- Auu! Tym razem przeszedłeś samego siebie. Zatrzymasz się na Charles Street przy rogu Grosvenor, dalej ten kawałek pójde pieszo. O ile jestem jeszcze w stanie chodzić.

- Dzięki, że mi przypominasz. - Nathan prychnął. - Bez ciebie nie wiedziałbym, co robić. Cicho tu jakoś dzisiaj i spokojnie - zauważył. - Żadnych przyjęć, ulice całkiem puste.

- Może pogłoski o Jedwabistym Kocie rozeszły się szybciej, niż przypuszczaliśmy, i miasto ogarnęła panika, a ludzie zamknęli się w domach.

Rzeczywiście na ulicach nie było ruchu, żadnych powozów, a w oknach domów i przed domami rzęsistego oświetlenia wskazującego, że gdzieś odbywa się spotkanie towarzyskie.

- Za chwilę dojedziemy na miejsce - powiedział Nathan. - Wiesz, wolałbym czekać na ciebie gdzieś bliżej, nie na Charles Street. Czułbym się znacznie spokojniejszy...

- Nie, zostaniesz na Charles Street. Tak będzie bezpieczniej.

- Nie dla ciebie, do diabła! Wolę stanąć w po-

blizu domu Olivii, widzieć cię. Gdyby coś poszło nie tak, będę pod ręką.

Dominik położył dłoń na ramieniu brata.

- Dziękuję. Jestem ci naprawdę wdzięczny za wszystko, co robisz, ale nie jest to najlepszy pomysł. Będzie, jak wcześniej ustaliliśmy, czyli zaczekasz w bezpiecznej odległości. Koniec dyskusji.

- Trudno - rzekł Nathan. - Muszę się zgodzić, ale cały czas będę się o ciebie niepokoił. Chcesz wejść po nocy do cudzego domu? Jakim sposobem? Ktoś ze służby jeszcze cię postrzeli, jeśli trzymają pistolety, albo da w łeb, nie czekając, aż powiesz: Dobry wieczór, to ja. Właśnie przechodziłem obok i zająrzałem, ot tak sobie.

Dominik zwinnie zeskoczył z wózka i podszedł do brata.

- Nie mogę wejść frontowymi drzwiami, to wiadomo, ale muszę się tam jakoś dostać. Nie mógłbym spać spokojnie, nie wiedząc, co się dzieje z Olivią. Życz mi powodzenia i czekaj tutaj. - Powiedziawszy to, ruszył szybko w stronę Grosvenor Street i domu Prentergastów.

Wiedział już, jak się tam dostanie.

Wystarczyło minąć żelazne ogrodzenie od strony ulicy i zejść po schodach do wejścia kuchennego w przyziemiu trzypiętrowej rezydencji.

Zatrzymał się jeszcze w cieniu przed bramą i uważnie zlustrował fasadę. Gospodarze z pewnością nie wydawali tego wieczoru przyjęcia, ale w większości okien paliły się światła: w jednym dojrzał sir Malcolma Prentergasta. Sir Malcolm wy-

glądał na ulicę, ale co chwila nerwowo odwracał głowę. Najwyraźniej z kimś rozmawiał.

Przecucie mnie nie myliło, pomyślał Dominik. Jednak stało się coś złego.

Zszedł szybko do przyziemia, przywarł do ściany i zajrzał do kuchni. Nad stołem, na którym leżała sporych wymiarów kartka, pochylał się ochmistrz w wytwornej liberii, a wokół karnie zebrała się chyba cała służba. Starszy, godnie wyglądający pan rzucał krótkie zdania do lokajczyków. Jeden odchodził, w jego miejsce do stołu zbliżał się następny, tak po kolei. Kucharka niespokojnie krążyła po kuchni, podkuchenne miały mocno nietęgę miny.

Drzwi frontowe otworzyły się, na ulicę wybiegli mężczyźni i Dominik cofnął się w najciemniejszy kąt. Niemal równocześnie pod dom podjechały jeden po drugim trzy powozy, zabrały lokai i szybko odjechały.

Dominik odczekał moment, po czym zapukał do drzwi kuchennych. W progu pojawił się kamerdyner o nabiegłej krwią twarzy.

- O co chodzi? - burknął, gotów zatrzaskać drzwi intruzowi przed nosem.

- Nie znajdzie się coś w spiżarni dla biednych mnichów od świętego Franciszka? - zapytał Dominik cicho. - Bieda w klasztorze, przeor przysyła mnie do was. Mówił, że w tym domu mogę znaleźć wsparcie.

- O co się rozchodzi? - Koło kamerdynera stanęła korpulentna kucharka. - Czego chcesz?

- Przepraszam, że naprzykrzam się o tak późnej

porze, ale braciszki nie mają co jeść i... - Urwał z wahaniem.

Kobieta obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Niech brat wejdzie i sobie siądzie. - Cofnęła się od drzwi. - Tutaj, z boczku. Coś przygotuję, a brat niech się pomodli za szczęśliwy powrót panienci Olivii, którą jakiś nicpoń porwał.

- Och, pomodłę się z całego serca, moja dobrodziejko.

Pochylił głowę i złożył dłonie.

- Uciekła, jak nic uciekła - odezwała się jedna ze służących.

- Uciekła? - zdziwiła się inna.

- Nie bądź głupia. Pewnie, że uciekła z tym swoim oficyjerm. Znaczy się, wymknęła się do niego, nockę z nim spędzić. Głowę dam sobie uciąć. To całe gadanie o porwaniach to jedna wielka bujda.

- Mamy przykazane, żeby poza domem buzię na kłódkę trzymać, ani pary z ust - włączyła się trzecia. - Lepiej uważajcie, co i do kogo mówicie, bo będziecie musiały wnet nowej roboty szukać.

Ciekawe, czy sir Malcolm zapłacił okup, zastanawiał się Dominik. Prentergast był człowiekiem twardym i odważnym, mógł się nie ulęknąć pogroźek.

Dominik gotów był już opuścić kuchnię, zrzucić habit i wrócić frontowymi drzwiami. Wyjaśniłby, że doszły go słuchy o zniknięciu Olivii, przekonał sir Malcolma, że najrozsądniej będzie jednak zapłacić okup. Uznał jednak, że wtedy rozniosłoby się po całym Londynie, że wie więcej o poczynaniach

Jedwabistego Kota, niż powinien, więc się pohamował.

W drzwiach stanęła kucharka z koszykiem wypełnionym jedzeniem. Dobra dusza. Dominik znał ludzi, którzy ucieszą się z każdego kęsa chleba.

- Wróciła! Wróciła! - Do kuchni wpadł zadyszany chłopak na posyłki. - Właśnie... właśnie wchodzi... do domu.

Dominik nie czekał. Wziął koszyk, serdecznie podziękował kucharce i wybiegł na poziom ulicy. Jakaś postać spiesznie przemykała w mroku w stronę jedyne go powozu stojącego na Grosvenor Street, dobrych kilkadziesiąt kroków od domu Prentergastów. Dominik z zalem odstawił kosz, zakasał habit i rzucił się biegiem w tamtą stronę. Jeśli tamten go usłyszy, spostrzeże, trudno. Być może to jedyna szansa, by schwytać łotra.

Mężczyzna wskoczył na kozioł obok stangreta. Powóz ruszył natychmiast i skręcił w Charles Street, zanim Dominik zdążył dobiec do skrzyżowania. Krzyknął w głos do Nathana, by ruszał, i jednym susem znalazł się na wózku.

- Zabijesz się, człowieku - sarknął Nathan.

- Nie gadaj i jedź za tym powozem. Pewnie nas zauważą, ale spróbujemy się dowiedzieć, dokąd zmierzają. Olivia wróciła do domu, ale jestem prawie pewien, że Kot miał ją w swoich łapach. Odwiózł ją. Człowiek, którego gonimy, to on.

Nathan zaklął i skierował wózek bliżej krawężnika.

- W ten sposób może nas nie zobaczą.

- Jeśli nie dowiemy się, gdzie mieszka, nie

będziemy w stanie go powstrzymać. W domu przy dybiemy go niczym w pułapce. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Niech mnie, dobrze zgadywałem. Tak sądzę. Pamiętasz, wspominałem ci o zapachu czekolady? Kieruje się chyba w stronę St. James Street. Jeśli tak, wiemy, czego możemy się spodziewać.

Nathan skinął głową.

- Tak jest. Krawiec White, Lock kapelusznik, introligator J. Lobb i złotnik Wirgman - wyrecytował listę znanych sklepów i nachylił się, popędzając konia. - Coś jeszcze?

- Sklepy z czekoladą. Wszędzie wokół zapach czekolady.

- Zgadza się - przytaknął Nathan. - Rzeczywiście kieruje się na St. James Street.

- Błagam, tylko go teraz nie zgub!

- Nic mu nie możesz zrobić. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Masz rację - przyznał Dominik. - Dzisiaj nie, ale któregoś dnia przyłapię go na gorącym uczynku. Już wkrótce... - Nie zdążył dokończyć zdania. - Nathanie, patrz! Ktoś spadł z kozła.

- Albo został zrzucony. Jeśli się zatrzymamy, zgubimy ich.

- Musimy się zatrzymać. Nie rusza się. A powóz skręca w St. James Street. Przynajmniej wiemy, gdzie szukać. Stań.

Wózek nie zdążył jeszcze wyhamować, gdy Dominik zeskoczył na bruk, lądując koło jakiegoś stworzenia w łachmanach.

- Wszystko w porządku. Spokojnie - powie-

dział, nachylając się nad wychudzonym wyrostkiem, wcale nie przekonany, czy rzeczywiście wszystko jest w porządku. - Pomożemy ci.

- Odejdź. - Ofiara wypadku albo złej woli w jednej chwili odzyskała animusz i zaczęła wywijać pięściami. - Poszedł, bo zabije! Zabieraj się!

Dominik chwycił chłopca za ramiona i odczekał, aż ten się uspokoi.

- Widzieliśmy, jak spadłeś z kozła. Bardzo się potłukłeś?

- Zostawcie mnie, już! Przez was jeszcze mi się dostanie.

- Nie obawiaj się. Nikomu nie wyjawię, że ci pomogłem. Powiedzmy, że w ogóle cię nie widziałem.

Nathan zsiadł z wózka i stanął obok brata.

- Bardzo z nim źle?

- Nie wiem. W każdym razie języka sobie przy upadku nie odgryzł, to ci mogę powiedzieć na pewno, bo aż za dobrze nim obraca. Możesz wstać, mały?

- Pewnie, że mogę. - Z pomocą Dominika chłopak się podniósł. Wysoki, chudy, mógł mieć jakieś trzynaście lat. - Patrzcie no, braciszek. Podziękować za waszą fatygę. Już jestem jak nowy.

Dominik spojrział na Nathana, uniósł brwi. Mieli oto przed sobą małego Harry'ego, o którym wspominała Jane Weller.

- Odprowadzimy cię do domu, Harry. Musimy się upewnić, że nic ci się nie stało.

Chłopak wrzuszył ramionami i bez słowa ruszył

ulicą, kuśtykając. Nathan i Dominik zrównali się z nim, biorąc chłopca między siebie.

Szli pełną eleganckich sklepów, pachnącą czekoladą St. James Street, gdy w pewnym momencie wyrostek się zatrzymał.

- A dlaczego nazywacie mnie Harry?

- Wydawało mi się, że tak wołał do ciebie ten drugi, z którym jechałeś - zaryzykował Dominik.

Chłopak zmrużył oczy.

- Nieprawda. Nie powiem wam, jak mnie wołają, bo wam nic do tego. Idźcie sobie, obydwaj! - Chłopiec przyspieszył, na ile mógł, obejrzał się jeszcze i Dominik dojrzał wyraz przerażenia na jego twarzy.

- Niech myśli, że zostawiliśmy go w spokoju - powiedział Dominik. Po chwili ruszyli za chłopcem, przemykając pod murami, kryjąc się we wnękach przed wejściami do sklepów, ale nie tracąc małego ulicznika z oczu.

- Ma na imię Harry - odezwał się Nathan - i jest śmiertelnie wystraszony.

- Tak, ale doprowadzi nas na miejsce. Przyspieszmy, bo go zgubimy.

Harry skręcił właśnie w prześwit między domami. Kiedy tam dotarli, zdążył już zniknąć bez śladu. Dominik dał znak bratu, by czekał, sam zaś zanurzył się w mrok zaułka.

Usłyszał jakieś skrzypnięcie. Zaułek wychodził na biegnącą równoległe do ulicy alejkę, przy której zwyczajowo w droższych dzielnicach mieściły się stajnie, powozownie i mieszkania dla służby. Dominik skręcił, podążając za dźwiękiem, i zobaczył zamykającą się drewnianą furtkę.

Poczuł czyjaś dłoń na ramieniu i odwrócił się gwałtownie, unosząc pięści. Nathan cofnął się o kilka kroków.

- To tylko ja - powiedział uspokajająco i wskazał na furtkę. - Tutaj wszedł.

Dominik podszedł do płotu i spróbował dojrzeć coś przez szparę w sztachetach. Niczego nie zobaczył poza ścianą jakiegoś budynku.

- Chcesz dalej go śledzić? - zapytał Nathan bez wielkiego entuzjazmu. - Próbuje nas zgubić, ale jeśli go złapiemy, może uda nam się zdobyć jego zaufanie i coś z niego wydobyć. Boi się, to jasne, ale dlaczego nie szuka pomocy, ochrony?

- Nie ma sensu za nim iść. Będzie kluczył, wodził nas za nos, a zna tutaj, to widać, każdy kąt, każdy kamień.

- Kapitulujemy?

- W żadnym wypadku. Musimy zdobyć wskazówki, a panny, które porwał Kot, nie chcą mówić, nie chcą się ujawniać. Może Jane coś sobie jeszcze przypomni. Może Gussy rozwiąże się język. Powinniśmy dotrzeć do innych ofiar Kota, a nie znamy nawet ich nazwisk, nie wiemy, ile ich było. - Dominii zsunął kaptur na tył głowy. - Niech to diabli, nic nie wiemy, przed nami same znaki zapytania.

Ruszyli w stronę St. James Street.

- Ktoś gwizdnął nam wózek - zawołał Nathan. - Łajdak! Oby wszystkie koła pogubił!

- Niech go Bóg błogosławi - stwierdził Dominik spokojnie. - Aczkolwiek ktoś, kto kradnie taki wrak, powinien siedzieć w domu dla obłąkanych.

Wózek zniknął, ale konik czekał spokojnie, po-

żywiąc się ligustrowym żywopłotem. Dominik podszedł do niego, chwycił za wodze, zakasał habit i dosiadł konia. Nathan ulokował się za bratem i ruszyli w drogę powrotną do Heatherly.

- Nie wolno nam się zniechęcać - odezwał się w pewnym momencie Nathan. - Musimy być wytrwali.

- Wytrwałość, rzecz najważniejsza, to samo powiadam - zgodził się Dominik. - A że droga długa przed nami, możemy zająć się tym, co najważniejsze.

- Myślałem, że właśnie się zajmujemy.

- Chodzi o inne najważniejsze. Widziałem, jak się uniosłeś, kiedy mnie ujrzałeś w pokoju Fleur.

Nathan długo milczał, zanim zdecydował się cokolwiek powiedzieć.

- Co prawda, nie mnie matka prosiła, żebym wprowadzał pannę w świat, ale czuję się za nią odpowiedzialny.

- Lubisz ją?

- Bardzo - przyznał Nathan. - A ty nie?

- Ujdzie.

Nathan parsknął śmiechem.

- Jest uparta i bardzo niezależna. „Ujdzie” to wymijająca ocena, nie oddaje Fleur sprawiedliwości. U Herbertów wszystkie oczy kierowały się na nią. Jest śliczna i ma rozum. Hattie mówi, że jest niezwykła. Przyznaję jej rację. To najczystszy brylant.

Dominik słuchał zachwytów Nathana i zadawał sobie pytanie, czego właściwie chce. Czy naprawdę nie był stworzony do małżeństwa? Zamierzał przejść przez życie, pozostając kawalerem?

- Milczący jakiś jesteś - zauważył Nathan.

Dominik westchnął, spojrział w rozgwieżdżone niebo i powiedział:

- Tylko się nie rzucaj i dobrze przemyśl moje słowa. Uważam, że Fleur Toogood byłaby idealną żoną dla ciebie.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W tydzień po uprowadzeniu Olivii Dominik i Nathan zaprosili Fleur na popołudniową herbatkę do lady Granville. Panna Toogood była bardzo zadowolona. Kto by się nie cieszył na spotkanie w sympatycznym gronie i w miłym otoczeniu?

- Co z wami? - zainteresowała się lady Granville, widząc miny synów.

Nathan i Elliot siedzieli w dwóch przeciwnych końcach kanapy, udając, że nie dostrzegają się nawzajem.

- Ładnie wyglądasz - zwróciła się lady Granville do Fleur. - Widać, że wiele przebywasz na świeżym powietrzu, zażywasz ruchu. - Mówiła do dziewczyny, ale co chwila popatrywała na posepnych synów.

- Lubię spacerować - powiedziała Fleur. - Dni są takie piękne. Ten salon wygląda cudownie, cały skąpany w słońcu...

Lady Granville uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Szkoda, że większość przyjęć w ostatnim tygodniu odwołano, ale byłaś u Crewe-Burnesów, potem na wieczorku u Franklina Besta i na raucie Butterworthów. U tych ostatnich zawsze jest bardzo wesoło.

- Ziało pustkami - wtrącił Nathan. - Okropność. Ani interesujących panien, ani stolików karcianych.

- Była Fleur - odezwał się Dominik. - A Fleur jest interesującą panną.

Dominik miał taki sposób prawienia komplementów, że Fleur nie wiedziała, czy tego typu uwagi powinna tak właśnie traktować.

Nathan uśmiechnął się szeroko.

- Ma się rozumieć, że Fleur jest interesującą panną, ale jedna interesująca panna to trochę za mało na duże towarzyskie zgromadzenie.

- Ja uważam, że wieczór był bardzo udany - wtrąciła Fleur, gotowa zmienić kierunek rozmowy. - Poznałam tyle przemiłych osób.

- Chcesz powiedzieć, że dobrze się czułaś, otoczona gronem zabiegających o twoje względy dżentelmenów, całkiem zresztą niedorzecznych. - Dominik nie spojrzął nawet na Fleur, wygłaszając tę uwagę.

- Nie...

- Tak nie można, Dominiku - zaoponował Nathan. - Na razie Fleur uczestniczyła w kilku przyjęciach i świetnie potrafi znaleźć się w towarzystwie. Skąd ma raptem wiedzieć, raz spojrzawszy, który kawaler jest godny zabiegać o jej względy, jeśli w ogóle jakiś jest tego godzien.

- Co znaczy, jeśli w ogóle? - natarł na brata Dominik. - Oczywiście, że jest taki i obaj dobrze o tym wiemy, prawda? Moim zdaniem Fleur przypadł do gustu Franklin Best. Poprosił rodziców i naprędce zorganizował wieczorek, specjalnie dla Fleur.

- To ty przedstawiłeś Fleur Franklina - przypominał Nathan, ale Dominik jakby go nie słyszał.

- Zauważ, że Noel nie był zaproszony.

- Noela rzeczywiście nie było, co wcale nie znaczy, że...

- Owszem, znaczy. Nie był zaproszony - powtórzył Dominik. - Best nie zaprosił żadnego dżentelmena, z którym warto by zamienić słowo.

- Rodzice pana Besta nie zamierzali urządzać wielkiego przyjęcia. Chcieli po prostu wypełnić pewną lukę, kiedy się okazało, że kilka spotkań odwołano - wtrąciła Fleur, zrywając się z fotela. Dominik doprowadzał ją do szału. Potrafił być niegodziwy. - Rozmawiałam z wieloma panami i wszyscy wydali mi się bardzo sympatyczni. W ogóle wieczorek u Bestów przebiegł w bardzo miłej atmosferze. Byłam zachwycona muzyką... Hattie zresztą też. - Hattie prosiła, by Fleur zwracała się do niej po imieniu.

- Muzyką i Bestem - dokuczał jej Dominik. - Jeszcze nie słyszałem, żeby w czasie jednego wieczoru grano jeden po drugim prawie same walce. A ty cały czas tańczyłaś z Franklinem. Wydawało mi się, że ostrzegałem cię przed natrętnymi zalotnikami.

- Pan Best wcale się do mnie nie zalecał - zaprotestowała Fleur.

- Nie, nie zalecał się - poparł Fleur Nathan. - A ty, bracie, powinieneś dobrze się zastanowić, skąd w tobie tyle złości. Mógłbym ci to bez trudu wyjaśnić.

- Dość tej gadaniny! - rzekł ostro Dominik i zwrócił się do lady Granville: - Dlaczego mama chciała nas widzieć?

- Nie pamiętam, żebyście tak skakali sobie do oczu - skonstatowała lady Granville. - Powinniście się wstydzić. Szczególnie ty, Dominiku. A z tobą, Nathanie, chciałabym porozmawiać na osobności. Dominiku, pobladłeś mi jakoś. Zabierz Fleur na spacer. Pokaż jej Green Park. Odprężysz się, uspokoisz. Powinieneś też dopilnować robót w ogrodach. Dzierżawcy się skarżą, że robotnicy robią sobie na ich działkach wysypisko.

- W takim razie od razu muszę się tym zająć - podchwycił Dominik. - Wezmę ze sobą Lawrence'a, a niech Nathan zaproponuje Fleur przejażdżkę.

- Dzierżawcy mogą poczekać. - W głosie lady Granville zabrzmiała ostra nuta. - Poprosiłam cię, żebyś pospacerował z Fleur, bo chcę porozmawiać z Nathanem.

Fleur zawiązała wstążki kapelusza i sięgnęła po woreczek z delikatnej plecionki.

- Nikt nie musi się mną opiekować - oznajmiła, starając się, by zabrzmiało to w miarę grzecznie. - Mam już plany na dzisiejsze popołudnie, pozwoli zatem milady, że się pożegnam. - Tu dygnęła z wdziękiem.

Nie zdążyła wyjść, gdy w salonie pojawiła się

Śnieżynka, a krok za nią Chloe z czarną kotką w ramionach.

Dziewczynka rozsiadła się wygodnie, a Fleur odwróciła się do Śnieżynki i zapytała bezgłośnie: I co?

- Ach, panienko, przyniosłam już materiał. Bardzo twarzowy kolor, ślicznie w nim będzie paniencie. Przepraszamy - bąknęła i wyprowadziła Fleur do holu, ale jeszcze wetknęła głowę do salonu. - Miałam jaśnie pani powiedzieć, że jaśnie pani siostry zjeżdżają jutro do nas - zakomunikowała i po chwili obie siedziały bezpiecznie na ławeczce pod oknem, na podeście schodów, prowadzących na piętro.

- Zielony jedwab. Gdyby kto pytał. - Spojrzała znacząco na Fleur i przeszła do rzeczy: - Mamy szczęście, lord Dominik w tym tygodniu nie wypuszczał się w miasto nocami.

- Niedługo trzeba będzie czekać. - Fleur zniżyła na wszelki wypadek głos. - Podśluchałam, jak mówił do lorda Nathana, że musi koniecznie porozmawiać z Olivią Prentergast sam na sam i że zamierza przeszukać okolice St. James Street.

- Kiedy?

- W sobotę w nocy, po balu. Wymyśliłaś przebranie dla mnie, żebym niezauważona mogła wyjść na ulicę?

- Tak, ale jak kto z rodziny się dowie, że paniencie pomagam, to mi chyba głowę ukręca. Musimy bardzo uważać, żeby się rzecz nie wydała.

- Ty zostaniesz w domu - oznajmiła Fleur stanowczym tonem. - Nie próbuj się ze mną kłócić, już postanowiłam Powiedz mi tylko, co mam robić.

- Powinna panienska udawać, że jest nikim, że sobie mocno podchmieliła oraz, że uprawia najstarszy zawód tego świata.

Fleur spojrzała na Śnieżynkę pustym wzrokiem.

- O jakim ty zawodzie myślisz?

Śnieżynka przewróciła oczami.

- W Biblii nawet o nich piszą, to chyba panienska powinna wiedzieć. Wszetecznicze, nałożnicze, niewiasty bez czci i wiary.

- Chce zrobić ze mnie dziewczkę uliczną - szepnęła Fleur i zaniemówiła z wrażenia.

- Tak jest. Wzięłam suknie od czeladnych i trochę je ustroiłam. Doszyłam wstążki, spódnice z przodu podmarszczyłam od dołu dla pokazania kostki. Muszki do przyklepienia na twarz nawet zdobyłam i całe pudełko pudru ryżowego i trochę pomadki czerwonej. Karminowe usteczka sobie zrobimy.

- Śnieżynko, przecież jak tak się pokażemy na ulicy, mężczyźni będą nas zaczepiać. Cóż to za kamuflaż? Już lepiej iść, jak jesteśmy ubrane. Mniej będziemy rzucać się w oczy.

- Tak iść nie możemy, a dziewczkom na ulicy nikt dziwił się nie będzie.

- Ty nigdzie nie idziesz - przypomniała Fleur sobie i zmyślnej subretce.

Śnieżynka zrobiła niewinną minę.

- W takim razie będę musiała nauczyć panienskę, jak się powinna zachowywać. Znałam taką jedną, często ją widywałam.

Wszystkiego Fleur mogła się spodziewać, ale nie tego, że będzie dziewczką uliczną. Jednak Śnieżynka

miała rację: nikt nie będzie dziwił się, widząc „taką” na ulicy.

- Chyba że przebierze się panienka za chłopca, jak wcześniej radziłam.

- Wykluczone. To głupie.

- Zgadzam się.

- Dzisiaj przychodzi pani Neville wziąć miarę, a potem możemy zamknąć się w moim pokoju i pokażesz mi, co przygotowałaś. Po sobotnim balu przebiorę się i będę śledzić Dominika. Być może wcale mu nie pomogę, ale nigdy nic nie wiadomo. Zaryzykuję. Wszystko jasne?

Śnieżynka milczała. Minę miała tak żałosną, jakby oczekiwała najgorszego.

Służąca westchnęła dramatycznie, założyła ręce na piersi, a wzrok wbiła w ziemię.

- Pytam, czy zrozumiałaś?

- Jeśli pani markiza się dowie, to już po mnie. Nigdy mi nie wybaczy.

- Hattie - zaczęła Fleur ostrożnie - robi wrażenie osoby, która zna życie.

- O, tak, to prawda - przytaknęła Śnieżynka. - Różnie się jej działo. Omal nie umarła, ale pan markiz, lord Nathan i lord Dominik ją uratowali.

- No widzisz.

- Zgoda, ale to szalony pomysł. Trudno, pokażę panience, jak się zachowywać.

- Potrafię obchodzić się z pistoletem - oznajmiła Fleur. - Mój ojciec to łagodności człowiek, ale uważa, że jego córki powinny umieć się bronić przed niebezpieczeństwem, i nauczył nas strzelać.

Chociażby na wypadek, gdyby ktoś próbował dostać się do domu pod jego nieobecność.

Śnieżynka miała tak osłupiały wyraz twarzy, że Fleur omal nie parsknęła śmiechem.

- Tylko ciotek nam tu brakuje, z ich wtrącaniem się do wszystkiego - doszedł z salonu podniesiony głos Dominika. - Wybacz mama, to mamy siostry, ale nie wiem, dlaczego mama nagle postanowiła je zaprosić, kiedy tak długo całkiem dobrze bez nich się obchodziła. Akurat teraz przyjadą, jakbyśmy mieli mało gości.

O mnie mówi, pomyślała Fleur.

- Kochane ciotki nie będą nam przeszkadzać, przeciwnie, w wielu rzeczach pomogą - wtrącił Nathan.

- Dobrze to ująłeś - zgodziła się z synem lady Granville. - Poza tym nie sądzę, bym potrzebowała twojej zgody, Dominiku, kiedy mam ochotę zaprosić do siebie własne siostry.

- Ciocia Enid i ciocia Prunella - pisnęła Chloe, zachwycona. - Jak w domu. One zawsze się śmieją i ja się śmieję.

- Fleur, gdzie jesteś? - Dominik wyszedł do holu. - Ach, tutaj się schowałeś. - Spojrzał w kierunku półpiętra. - Śnieżynko, pilnuj panienki Chloe. Na krok nie odstępuj. A my chodźmy - zwrócił się do Fleur.

- Tak jest, milordzie. - Śnieżynka dygnęła i mrugnęła do Fleur.

- Nigdzie daleko się nie wybieram, pospaceruję tylko po ogrodzie - oznajmiła Fleur, gdy wyszli z Domku Wdowy. - Nie musisz iść ze mną.

- Kiedy wychodzisz gdziekolwiek poza obręb domu, ktoś powinien ci towarzyszyć - oznajmił Dominik, po czym zmienił temat: - Rzeczywiście masz plany na popołudnie? - upewnił się. - Dlatego nie chciałaś jechać do Green Park?

- Tak, mam pewne plany, dlatego odmówiłam.

- Rozumiem. Prowadź tedy.

Inspirująca wymiana zdań, doprawdy, pomyślała Fleur, nie wiedząc, jak mogłaby pozbyć się Dominika.

- Dokąd idziesz? - zapytał, gdy dotarli na skraj łąki. - Powiedziałaś, że chcesz pospacerować po ogrodzie.

- Lubię tu przychodzić. Wolę otwarte przestrzenie od ogrodowych ścieżek. Tyle tu słońca, powietrza i dzikie trawy pachną inaczej niż ogrodowe... Czasami zdarza mi się nawet upleść wianek ze stokrotek.

Minęli bramę prowadzącą na łąki.

- Wolny i niezależny duch z ciebie, prawda, Fleur?

- Dlatego, że wolę otwarte przestrzenie?

- Dlatego, że masz serce i żywą wyobraźnię - odparł Dominik, kiedy wchodzili na szczyt pagórka, skąd roztaczał się widok na całą posiadłość.

Wątpił w to?

- To musi być niezwykle uczucie, stać tutaj, podziwiać widoki i wiedzieć, że wszystko wkoło należy do ciebie.

- Niezupełnie - sprostował Dominik - Posiadłość należy do Johna, ale to mój dom. Tu się urodziłem, wychowałem. I ja, i Nathan mamy swoje

majątki ziemskie, ale rzadko w nich bywamy, zdając na rządców prowadzenie gospodarstwa.

- Rozumiem. Jeśli chcesz, wracaj do domu. Możesz zostawić mnie samą, znam drogę.

- Nie, nie zostawię cię samej i nigdzie się nie spieszę - oznajmił uparcie Dominik.

Fleur zdjęła z głowy czepkę, wystawiła twarz do wiatru i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, napotkała uważne spojrzenie Dominika.

- Czy jesteś w stanie zrozumieć, jak bardzo skomplikowane potrafi być nasze życie? - spytał. - Pojmujesz, że nie zawsze otrzymujemy to, czego pragniemy, bo mamy zobowiązania, które musimy wypełnić?

- Nie jestem pewna. - Fleur oparła się o kamienny murek. - Powinno się zachować równowagę. Jeśli będziemy odmawiać sobie wszystkich przyjemności, w końcu zrujnujemy sobie zdrowie.

- Baniałuki.

- Masz prawo mieć własne zdanie. - Zasmuciło ją, że Dominik boi się przyznać do ludzkich słabości.

- Śpisz w czepku? - niespodziewanie zapytał, zdradzając, że bywa ciekawski.

Fleur uśmiechnęła się.

- Nienawidzę czepków. Lubię naciągać kołdrę na głowę. - Dominik milczał, nie potrafiła zgadnąć, o czym myśli. - Według mnie Kot wkrótce zacznie zdradzać imiona swoich ofiar - zmieniła temat. - Tylko patrzeć, jak rozpuści pogłoski, jakiej to panny już nie miał w swoich łapach, i będzie się cieszył, że okrywa je wstydem.

Dominik przechylił lekko głowę.

- Tak - przytaknął. - Tego właśnie się spodziewam i obawiam. Jak zwykle mnie zadziwiasz. Odnoszę wrażenie, że myślisz bardziej jak mężczyzna niż kobieta.

- Bo widzę rzeczy takimi, jakie są, i nie unikam tego, co „niemiłe”, co niektórzy czynią, żeby nie psuć sobie obrazu świata? Nie wiesz, jak myślę, nie masz o tym najmniejszego pojęcia - odparła zirytowana wątpliwym komplementem.

- Może nie mam, a może mam. Zastanawiam się nad jednym: jeśli Kot zacznie zdradzać imiona ofiar, nie będzie mógł już żądać okupu, ponieważ rodziny nie będą miały powodu mu się opłacać.

- Będą się opłacać, jeśli zacznie grozić, że zabije ofiarę, gdy nie otrzyma pieniędzy.

Dominik zerknął na Fleur z ukosa.

- Zgadza się. Jesteś bez serca?

- Bo nie uciekam przed prawdą? Znowu to samo.

- Intryguję cię, jestem dla ciebie wyzwaniem, ale mnie nie lubisz.

Nie spodziewała się takiego stwierdzenia.

- Nie musisz mnie lubić, Fleur. Wystarczy, żebyś mnie słuchała. Jeśli coś ci mówię, to tylko przez wzgląd na twoje dobro.

- Dlaczego mnie prowokujesz? - natarła na niego. - Dlaczego muszę słuchać twoich przykrych uwag?

- Ja nie...

- Owszem, tak, mój panie. Pokazujesz swoje humory, nie próbujesz nawet ich ukrócić. Jestem

zdana na waszą łaskę. Twoim zdaniem godzi się napadać na bezbronnego człowieka? Wiem, że podjąłeś się opieki nade mną, bo matka cię o to prosiła, ale najchętniej pozbyłbyś się tego przykrego obowiązku. To ty mnie nie lubisz, nie ja ciebie. Dłużej tego nie zniosę. Gotowa jestem wyjechać, nie bacząc na to, po co tutaj przybyłam! - Fleur nie kryła oburzenia.

Dominik delikatnie położył jej palec na ustach.

- Możesz zamilknąć? - zapytał cicho. - Nie uwierzysz w to oczywiście, ale obchodzi mnie twój los i chcę, żebyś była szczęśliwa. - Pogłaskał ją po policzku, dotknął rozwiewanych wiatrem włosów. - Wolałbym robić to, co mi serce dyktuje. Chciałbym być wolny.

Pod Fleur ugięły się kolana.

- Jesteś wolny - powiedziała niepewnie.

- Niezupełnie. Wpadłem w pułapkę. Nie wiem, czy będziesz w stanie kiedykolwiek to zrozumieć. Zobowiązania, o których wspominałem, sprawiają, że nie mogę czynić, co bym chciał, bo okazałbym się samolubny. Poza tym byłoby to niebezpieczne, nie dla mnie, dla innych.

Dominik był pewien, że Fleur nie domyśla się, o czym on mówi, a przecież jego słowa były aż nadto czytelne.

- Lubię cię - wyznała, nie patrząc mu w twarz. Tylko tyle, nic więcej. Powie o jedno słowo za dużo i będzie tego gorzko żałować.

- Nawykłem do samotności. Wiele czasu spędzam we własnym towarzystwie. Nigdy z rozmysłem nie zaniedbałbym kogoś, kto jest dla mnie

ważny, ale czasami mógłbym zapomnieć, że obok jest druga osoba. - Położył jej dłoń na karku. - Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że starający się o twoją rękę konkurent powinien sporządzić własną listę oczekiwań, czy też pytań, które chciałby ci zadać, odpowiedziawszy na twoje?

- Tak, a ja powiedziałam, że to dobry pomysł, i nadal tak uważam.

- Czy mógłbym zadać ci kilka pytań, a ty spróbujesz na nie odpowiedzieć? Niech to będzie coś w rodzaju ćwiczenia.

- Tak - zgodziła się Fleur. - Pytaj.

- Czy wyszłabyś za kogoś, kto nie okazywałby miłości do ciebie?

- Nie, nie wyszłabym.

- Czy potrafiłabyś nie kwestionować decyzji twojego męża?

- Nie, nie potrafiłabym.

- Czy mogłabyś wychowywać dzieci sama, bez żadnego albo z niewielkim udziałem męża?

- Nie.

- Czy będziesz mu winna miłość, szacunek i posłuszeństwo?

- Miłość i szacunek - zawsze, posłuszeństwo już rzadziej.

- Czy dzieliłabyś łóżko z mężczyzną, który czasami by cię zaniedbywał?

Dominik znalazł sposób, by zniszczyć w zarodku wszelki afekt, jaki mogła do niego żywić.

- Nie.

Patrząc jej prosto w oczy, zanurzył palce w jej włosy i zadał kolejne pytanie:

- Gdybyś wiedziała, że twój wybranek cię kocha, ale nie może ofiarować ci się bez reszty, czy wyszłabyś za niego?

- Znęcasz się nade mną - szepnęła.

- W takim razie każ mi przestać.

Fleur pokręciła głową, Dominik nachylił się i zamknął jej usta pocałunkiem.

- Pragnę cię - powiedział po chwili, położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

- Przestań.

Odsunął się i skłonił głowę.

- Wybacz, nie powinienem.

- Nie masz za co przepraszać. - W głosie Fleur zabrakło przekonania.

Poprawiła potargane włosy i włożyła na powrót czepek.

- Smutno mi. Chyba mam złamane serce. Cóż, jesteś taki, jaki jesteś, nie zmienisz się, a ja jakoś przeżyję zawód. - Nieprawda. Nigdy już nie dojdę do siebie, nie zapomnę, dodała w myślach.

- Straciłem panowanie nad sobą - wyjaśnił, jakby coś tu trzeba wyjaśniać.

Fleur walczyła ze łzami.

- Szczerze odpowiedziałas na moje pytania - ciągnął. - Jesteś gotowa ofiarować wszystko mężczyźnie, którego pokochasz, i będziesz oczekiwała tego samego od niego. I tak być powinno.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Gdzie Fleur?

Obie lady Granville, starsza i młodsza, siedziały w pokoju Fleur. Ze zdziwieniem popatrzyły na stojącego w progu i nasrożonego Dominika.

- Nie ma jej - odpowiedziała starsza lady Granville. - Przymiarka zakończona, ale tak nam tu dobrze, że jeszcze nie wyszliśmy.

Odprowadziwszy Fleur do domu, Dominik przeszedł się jeszcze raz tą samą drogą, którą przemierzali razem, a potem stanął, jak stał z nią, na szczycie wzgórza. Czy to możliwe, by w tym czasie przymiarka mogła dobiec końca?

- Coś się stało? - zapytała Hattie.

Koło Dominika precyzyjnie się służyła z tacą. Ustawiła zastawę do herbaty na stoliku i wycofała się bezszelestnie.

- Nic się nie stało. - Dominik wszedł do pokoju i się rozejrzył. - Gdzie ona jest?

- Wybrała się na przejażdżkę konną - poinformowała go Hattie.

- Przecież ona nie umie jeździć konno.

Hattie podniosła się i stanęła koło fotela.

- A pytałeś ją, czy umie? - chciała wiedzieć matka.

- Nie.

- Sam widzisz. To ja ci powiem, że Fleur umie jeździć konno i za moją zgodą wybrała się na przejażdżkę do Hyde Parku.

- Możesz mi wyjaśnić, o co tu chodzi? - zwrócił się Dominik do bratowej.

- Pojawił się pan Mergatroyd - wyjaśniła Hattie - Fleur zgodziła się go przyjąć, a mama pozwoliła, by zabrał naszą pannę na przejażdżkę. Neville zdążyła jej już uszyć dwie amazonki.

- Mergatroyd?

- Pan Mergatroyd - przytaknęła Hattie.

- Indywiduum, które rży jak koń, kiedy próbuje się śmiać?

Starsza lady Granville dała Hattie znak, by na powrót usiadła.

- Tak, ten sam - powiedziała. - Bardzo gładki młodzieniec.

Dominik założył ręce na piersi.

- On się poci - wycodził.

- Jak większość ludzi - zauważyła Hattie całym rzeczowo.

Dominik rzucił jej nieprzyjazne spojrzenie.

- On się bardzo poci.

- To ty przedstawiłeś Fleur pana Mergatroyda podczas wieczoru u Herbertów. W każdym razie tak mi się wydawało - odezwała się lady Granville.

To już wszyscy się sprzysięgli przeciwko niemu? Nawet rodzona matka?

- Nie, to było tak. - Hattie pokręciła głową. - Pan Mergatroyd zapytał mnie, czy może zatańczyć z Fleur, a ja się zgodziłam.

- A niech to. - Dominik rozłożył ręce bezradnym gestem. W ogóle wykonywał zbyt dużo gwałtownych i całkiem niepotrzebnych ruchów. - Cóż, może to nauczy Fleur, jakiego pokroju ludzi powinna unikać. Spotka kilka ciemieg, to doceni prawdziwy... hm, klejnot, kiedy taki pojawi się na horyzoncie.

- Tylko tobie coś podobnego mogło przyjść na myśl, synu.

- Mergatroyd nie jest klejnotem - stwierdził Dominik z mocą.

- Ale nie jest też potworem - wstawiła się Hattie za rżącym dżentelmenem.

- A jeśli to Kot? - Dominik pochwyił spojrzenie bratowej i zasepił się. Nigdy nie wspomniał przy matce ani słowem o Kocie, tymczasem lady Granville nie wydawała się ani trochę zaskoczona.

- Uspokój się - powiedziała, wprawiając go w jeszcze większą irytację. - W ogóle nie myślisz. Jeśli Kot i Mergatroyd to jedna i ta sama osoba, jakże miałyby porwać Fleur, kiedy wszyscy wiemy, że pojechała z nim na przejażdżkę?

- Którego konia wzięła?

- Pan Mergatroyd okazał się przewidujący i przyprowadził ze sobą drugiego konika, w razie gdyby Fleur zgodziła się z nim pojechać.

- Nie wierzę własnym uszom. - Dominik nie krył

irytacji. - Pozwoliłyście jej pojechać z zupełnie obcym człowiekiem na cudzym wierzchowcu? Powinnyście były przynajmniej wymóc na niej, żeby wzięła konia z naszych stajni. I posłać z nią kogoś ze służby.

- Owszem, Albert Parker pojechał za nimi - uspokoiła szwagra Hattie. - A ty, Dominiku, zachowujesz się co najmniej dziwnie.

- Co jest subtelnym sposobem wyrażenia obawy, że zwariowałeś - dodała lady Granville na wszelki wypadek, gdyby syn nie zrozumiał, co chciała powiedzieć Hattie.

Fleur pochyliła się i poklepała Lolly, ślamazarną kasztankę, po karku.

- Dobra klaczka, tylko przyspiesz trochę, bo pan Mergatroyd zaraz zniknie nam z oczu.

Fleur po raz pierwszy była na Rotten Row, chociaż wiele słyszała o tym miejscu spotkań eleganckiego świata. Wolałaby usiąść na trawniku i przyglądać się spacerowiczom, niż bezskutecznie przekonywać klaczkę, żeby energiczniej przebierała kopytami.

Koń pana Mergatroyda wysforował się do przodu i równie dobrze mogłaby być w parku sama.

Nie, właśnie pan Mergatroyd zreflektował się, że odjechał za daleko, i zawrócił. Był całkiem miły, ale nie miał absolutnie nic do powiedzenia.

- Dlaczego zostajesz w tyle, panno Toogood? - zawołał, podjeżdżając.

- Lolly nie może się równać z pańskim znakomitym wierzchowcem.

Fleur przyjęła zaproszenie pana Mergatroyda tylko przez wzgląd na starszą lady Granville. Nie chciała jej sprawiać przykrości. A przy okazji mogła pokazać Dominikowi, jak szybko ochłonęła po ich ostatniej rozmowie, w czasie której, bądź co bądź, złamał jej serce.

- Niewiele chyba miałaś okazji jeździć konno, panno Toogood.

Fleur ostatecznie pozbyła się złudzeń. Mężczyzna jej marzeń nigdy nie będzie do niej należał.

- Panno Toogood?

Cóż za natręt! - uznała w duchu Fleur.

- Miałam wiele okazji, ale nigdy w damskim siodle.

- Nie w damskim siodle? Prawda, wychowała się pani na wsi. - Pan Mergatroyd zarzął swoim zwyczajem i puścił do Fleur oko. - Najwyższa pora, żeby nauczyła się pani jeździć po damsku - oznajmił, po czym skwapliwie zaczął pokazywać, na czym sztuka polega.

Okropny człowiek.

Biedna Lolly, smagnięta przez Mergatroyda pejczem, poniosła. Siodło lekko się przesunęło, leciutko, ale to wystarczyło. Fleur straciła panowanie nad klaczą, wypuściła wodze z dłoni, przywarła do końskiego grzbietu i chwyciła Lolly za kark. Przerażona, nie mogła wydać z siebie głosu, by wezwać pomoc.

- Tylko spokojnie, Fleur. Wszystko w porządku. Zaraz osadzę ją w miejscu - usłyszała za sobą wołanie i po chwili Dominik zdejmował ją z siodła.

- Trzymasz klacz, Parker? - zwrócił się do stangreta i sekretarza Johna w jednej osobie.

- Tak, milordzie.

- Możemy wracać do Heatherly? - zapytała Fleur, która miała serdecznie dość przejażdżki.

Dominik nie odpowiedział.

- Mergatroyd! - zawołał. - Zatrzymaj się i zsiadaj z konia. Natychmiast.

Mergatroyd usłuchał z niejakim ociąganiem, podjechał do Dominika, po czym zeskoczył na ziemię.

- To zabrzmiało jak pogrożka, milordzie - powiedział i znowu zarżał.

Fleur przesunęła się ostrożnie bliżej Alberta Parkera.

- Oni się pobiją - szepnęła.

- Tak jest, panienko. Niech się panienka lepiej pomodli. Za pana Mergatroyda oczywiście.

Dominik właśnie stanął naprzeciwko niego w groźnej pozie.

- Jak śmiałeś zabrać pannę na przejażdżkę, dać jej nieodpowiedniego konia i wystawić na takie niebezpieczeństwo, Mergatroyd? - zapytał ostrym tonem. - A co najgorsze, nawet nie próbowałeś jej pomóc, kiedy klacz poniosła.

- Ależ panie Toogood nic się nie stało. Chciałem jej właśnie pomóc, kiedyś nadjechałem, milordzie. Narobiłeś takiego rabanu, że klacz jeszcze bardziej się spłoszyła. Ot i całe nieszczęście.

- Parker! - zawołał Dominik. - Sprawdź siodło, w którym jechała panna Toogood.

- Popręg jest obluzowany. Gdyby był ściągnięty jak należy, siodło nie miałoby prawa ani trochę się przesunąć - zameldował Albert.

- Powinienem łeb ci ukreć. — Dominik posłał Mergatroydowi wściekłe spojrzenie. - Specjalnie naraziłeś pannę Toogood na niebezpieczeństwo, żeby ją uratować. Chciałeś, żeby zobaczyła w tobie swojego zbawcę i padła ci w ramiona, tak?

Wokół zaczęli gromadzić się spacerowicze zaintrygowani gwałtowną sceną.

- Może jakoś powstrzymasz milorda? - zwróciła się Fleur do Alberta.

- Nie da rady, panienko. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak rozsierzonego.

W tym momencie Mergatroyd popełnił wielki błąd. Zaniósł się tym swoim przypominającym rzenie śmiechem. Fleur najchętniej zamknęłaby oczy, ale nie mogła oderwać spojrzenia od Dominika.

- Zwracasz się do panny Toogood po imieniu, a i ona ciebie nazywa Dominikiem - odezwał się Mergatroyd, kiedy atak śmiechu minął. - Wiesz, co ludzie o tobie mówią, Elliot? Niby to wprowadzasz pannę Toogood w świat, przedstawiasz jej kawalerów, ale zachowujesz się jak zaborczy ojciec... albo kochanek.

Fleur wstrzymała oddech.

- To koniec - mruknął Albert.

- Jesteś skończonym łajdakiem, panie. - Dominik rzucił rękawiczkę na ziemię. - Możesz już myśleć o sekundantach.

Mergatroyd zbladł. Wpatrywał się w rękawiczkę z otwartymi ustami.

- Wybór broni należy oczywiście do ciebie - stwierdził nonszalancko Dominik.

- Mam słabe serce - wyjąkał Mergatroyd. - Jestem chorym człowiekiem - dodał i na dowód prawdziwości swoich słów osunął się bez czucia na ziemię.

Wśród gęstwy gapiów przeszedł pomruk przerażenia. Dominik przyklęknął, dotknął szyi pana Mergatroyda, szukając pulsu.

- Nic mu nie będzie, to tylko omdlenie - stwierdził spokojnie. - Niech ktoś zabierze go do domu.

Fleur podbiegła, chwyciła rękawiczkę Dominika i wróciła do Alberta.

- Nie powinna panienska mieszać się w takie sprawy - rzekł z dezaprobatą Parker.

- Co tam, nie powinienam - burknęła. - Mężczyźni zachowują się czasami zupełnie bezrozumnie i wtedy trzeba ich hamować wszelkimi sposobami.

Kilku mężczyzn przeniosło Mergatroyda do powozu, jego wierzchowca ktoś uwiązał z tyłu.

- Dobrze postąpiłeś, Elliot, że nie puściłeś zniewagi płazem - odezwał się ktoś spośród zebranych, rozległy się też oklaski. - Dałeś błaznowi nauczkę. Będzie wiedział, że nie wolno bezkarnie obrażać damy. Obroniłeś honor swojej przyjaciółki.

- Och, nie - jęknęła Fleur i odwróciła głowę. - Zaraz zacznie się następna awantura. Dominikowi z pewnością nie spodobała się ta uwaga.

Albert wolał powstrzymać się od komentarzy.

- Zajmij się kłaczą, Parker - odezwał się Dominik. - Zabieram Fleur do domu, a i ty zaraz wracaj.

Albert bez słowa skinął głową i odszedł.

Dominik uniósł Fleur, posadził w siodle, sam usiadł za nią i ruszyli w drogę do Heatherly.

Fleur łązy cisnęły się do oczu. Była wytrącona z równowagi i jednocześnie wściekła. Kto to wymyślił, żeby mężczyźni, te koguty przy byle okazji skaczące sobie do oczu, rządzą światem?

- A więc już o nas plotkują - odezwał się w końcu Dominik.

- Nie mają o czym plotkować, to wzięli nas na języki. O Kocie nic ostatnio nie słyhać. Tak sobie myślę, czy mu się przypadkiem nie znudziło. Zebrał na pewno sporą sumę. Może się wycofał?

- Niedługo da o sobie znać. Jest niebezpieczny, ty też tak uważasz. Będę pewien, że nie zaatakuje ponownie, kiedy go złapiemy, nie wcześniej.

- Wolałabym, żebyś trzymał się od tej sprawy z daleka. Dla własnego bezpieczeństwa. - Ledwie Fleur wypowiedziała tę uwagę, zrozumiała, że popełniła błąd.

Dominik ściągnął wodze i zatrzymał konia.

- Posłuchaj mnie uważnie. To moje sprawy i nie waż się wtrącać. A dlaczego plotkuje się o nas, tego nie wiem i nie potrafię zrozumieć.

Miała ochotę wypomnieć mu, że nie powinien dziwić się plotkom, skoro na balach i przyjęciach nie odstępował jej na krok, i jest chory ze złości, widząc ją z kimś innym w tańcu. Nic dziwnego, że w towarzystwie zaczęto szeptać na ich temat.

- Widzę, że postanowiłaś milczeć. Trudno, twoja decyzja.

- Owszem, moja decyzja. Irytujesz mnie swoją zuchwałością, arogancją.

- Zuchwałością, powiadasz? - W głosie Dominika zabrzmiała ironiczna nuta. - Tego jeszcze nikt mi

nie zarzucił. Lepiej trzymaj język za zębami, moja panno. Zapomniałaś, gdzie twoje miejsce.

- Owszem, mam siedzieć potulnie w kąciku i we wszystkim ci przytakiwać. Dziękować ci, że dostępuję łaski twojego towarzystwa i powtarzać, jaki to jesteś ważny. Oooch!

- Ty nie wiesz, co to zdrowy lęk. Każda inna na twoim miejscu zamilkłaby przezornie.

- Nie boję się nikogo, więc ty mnie też nie zaszczysz. - Wreszcie usłyszała prawdę. Wcale się go nie bała, no, może trochę. Nadęty zarozumialec! Wstrętny arogant!

Dominik zmrużył oczy w słońcu i uśmiechnął się.

- Tak? Postaram się, żebyś wkrótce zmieniła zdanie w tej kwestii. Oboje wiemy, że w plotkach na nasz temat jest jednak ziarno prawdy - powiedział z westchnieniem.

Fleur nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego hardo.

- Masz ogniste włosy - stwierdził, najwyraźniej zadowolony z własnej spostrzegawczości.

- Dziękuję. Tylko my dwoje wiemy, że zawiązała się między nami większa poufałość, niż to przystoi.

- Tak mówisz? - Dominik przechylił głowę. - Chyba rzeczywiście. W każdym razie nie budzę w tobie lęku, jeśli to ma być oznaką poufałości.

- Wracajmy do Heatherly, proszę. - Do domu, gdzie będzie mogła zamknąć się w swoim pokoju i rozpaczać. - Kłamałam. Nie jestem nieulękła, jestem przytłoczona. Muszę zastanowić się nad swoim położeniem i zdecydować, co powinnam robić dalej.

- Oczywiście. - Dominik spiął konia i ruszyli w stronę posiadłości. - Matka i Hattie nie powinny zgodzić się na przejażdżkę z Mergatroydem. To nie jest kandydat dla ciebie.

Minęli bramę Heatherly i skierowali się w stronę domu.

- Kto, twoim zdaniem, byłby odpowiednim kandydatem dla mnie?

- Nie powinnaś była podnosić mojej rękawiczki.

- Kto, według ciebie, byłby odpowiednim kandydatem dla mnie?

- Nie wiem, u licha!

- Przypuszczam, że nie wiesz. - Niech ją rani i znieważa, ale ona i tak uczyni wszystko, by go chronić przed jego własną brawurą. Śnieżynka na pewno przyniosła wszystko, o co Fleur prosiła, i czeka już na nią, a w sobotę po balu...

- Wróciłem na szczyt wzgórza, Fleur - odezwał się Dominik. - Stanałem w tym samym miejscu, gdzie we dwoje się zatrzymaliśmy.

Tchu jej w piersi zabrakło, a serce zaczęło bić szybciej.

- Muszę pomyśleć. To, co się zdarzyło... było piękne, ale nie wolno mi było tak się zachować. Wykorzystałem twoją niewinność. Ja, który miałem cię strzec.

- Sama muszę się strzec - powiedziała z determinacją. - Nie żałuję niczego, co zaszło między nami.

- Jesteś bardzo namiętna, a ja wiem, jak rozbudzać namiętność w kobiecie.

Kiedy zbliżyli się do rezydencji, ze stajni wybiegł chłopiec stajenny, gotów zabrać konia.

- Myślałem, że przymiarka jeszcze się nie skończyła - mówił Dominik. - Poszedłem do twojego pokoju, ale zastałem tam tylko matkę i Hattie.

- Są wobec mnie takie serdeczne.

- Budzisz w ludziach serdeczne uczucia. - Dominik się uśmiechnął, a jej zdało się, że czuje jego usta na swoich wargach. - Za dwa dni twój bal. Urządzamy go specjalnie dla ciebie, żeby dać ci najlepszą oprawę, na jaką zasługujesz. Przyrzekam zachowywać się nienagannie. Lubisz Nathana?

Znowu to samo pytanie.

- Bardzo lubię Nathana - zapewniła. - Wasi rodzice spłodzili wspaniałych synów. Nathan jest przemiły i potrafi śmiać się z samego siebie, a to wielka zaleta. Jestem pewna, że markiz też jest człowiekiem pełnym zalet.

- Tak - przytaknął Dominik, zsadzając Fleur z konia. - Wybacz, jeśli w czymkolwiek ci uchybiłem. Nie chcę, żebyś źle wspominała pobyt w Heatherly.

Tak właśnie postępują mężczyźni, zalecają się, flirtują, uwodzą, a potem przepraszają, oczekując, że kobieta przyjmie ich przeprosiny i zapomni o wszystkich uczuciach, które się w niej obudziły.

- Wybaczam.

- Fleur, nie rób tego. Nie mów mi „wybaczam” takim tonem, jakbyś chciała powiedzieć, że nigdy nie wybaczysz. Naprawdę mi przykro.

- Może gdyby nie było ci tak przykro, nie czułabym takiej pustki w sercu.

Zostawiła go, wbiegła do domu i zatrzymała się dopiero w swoim pokoju.

Śnieżynka na jej widok zrobiła wielkie oczy i otworzyła ramiona.

- Co się stało panience? Twarz cała we łzach, amazonka brudna. Och, jakiś wypadek?

- Tak, straszny wypadek, ale zaraz dojdę do siebie - powiedziała Fleur, siląc się na spokój. - A to jakim sposobem się tu znalazło? - Wzięła do ręki leżący w nogach łóżka wianek ze stokrotek.

- Myślałam, że panienka go zrobiła.

- Nie miałam czasu pleść wianków. - Fleur odwróciła twarz, by ukryć rumieniec.

Dominik powiedział, że wrócił na wzgórze, a potem przyszedł do jej pokoju.

A więc to on upłócił wianek i go przyniósł tutaj. Dla niej...

Fleur na moment zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, Śnieżynka prezentowała jej kremową suknię przybraną żółtymi i czerwonymi wstążkami oraz mnóstwem koronek pośledniego, trzeba przyznać, gatunku. Na fotelu leżało jeszcze kilka innych, równie wyzywających, jak można było się domyślić, toalet.

- Sama doszyłam wstążki i koronki - pochwaliła się Śnieżynka, ale spoglądała na Fleur z zatroskaniem w oczach. - Mamy wszystko, czego nam trzeba. Jeśli, oczywiście, panienka nadal zamierza iść w sobotę w nocy za lordem Dominikiem.

- Nie zmienię zdania - oznajmiła Fleur stanowczo. - On mnie nie chce, ale ja mam silną wolę. Postanowiłam być jego aniołem stróżem i nim będę. Przymierzę te suknie, coś wybiorę i w sobotę, zaraz po balu, zmienię się w uliczną dziewczę.

Śnieżynka pokręciła bezradnie głową.

- Stało się. Panienska się w nim zakochała, jak amen w pacierzu. Tego obawiałyśmy się z Hattie od samiuteńkiego początku.

Fleur nic nie powiedziała, ucałowała wianek ze stokrotek i położyła go na poduszce w głowach łóżka.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gazety przynoszono z samego rana i McGee sam je potem zaniósł do pokoju śniadaniowego, nie pozwalając tknąć ich żadnemu z lokai.

W czepku na głowie, jednym z tych, których serdecznie nienawidziła, w perkalowej sukni porannej, Fleur o bladym świcie zeszła na śniadanie. Musiała koniecznie zajrzeć do „London Ladies' Voice”, zanim ktokolwiek inny otworzy gazetę.

Odpowiadając na powitania zajętej sprzątaniami służby, przeszła szybko przez salon i skierowała się do pokoju śniadaniowego. Nigdy tu nie jadała; Śnieżynka codziennie przynosiła tacę ze śniadaniem na górę.

- Dzień dobry, panno Toogood. - Jak spod ziemi wyrósł przed nią McGee. - Uhm... Czym mogę służyć panience?

Zachował kamienną twarz, ale Fleur była pewna, że za chwilę cała służba będzie mówić o tym, że

panienkę widziano o świcie na dole, w nocnym czepku na głowie. Czy to jej wina, że nie mogła znaleźć porannego czepka? Nie wiedziała nawet, czy ma *coś* takiego w swojej garderobie.

Uśmiechnęła się i wysoko uniosła głowę.

- Idę do pokoju śniadaniowego, McGee. - W końcu w Sodbury Martyr mieli tylko jedną służącą, która nie zanosila nikomu śniadania do łóżka. Cała rodzina co rano spotykała się przy wspólnym stole.

- Tak, rozumiem, nie możemy spać - powiedział McGee. - Niech panienska jednak pamięta, że lord Dominik nie byłby zadowolony, że wychodzi panienska sama z pokoju, w dodatku o tej porze.

- Tak?

- Przyślę paniencie do pokoju gorącego mleka z miodem. Zaraz wydam odpowiednie dyspozycje w kuchni i ktoś przyniesie paniencie co trzeba.

- Tak?

- Whisky, że ośmielę się zaproponować. Odrobina whisky dodana do gorącego mleka. Po tym panienska powinna usnąć jak dziecko.

- Dziękuję, McGee. - Chciał się jej pozbyć, wyekspediować na powrót do pokoju, to oczywiście. - Idę do pokoju śniadaniowego.

- To nie jest... Chciałem powiedzieć... Naturalnie, to przedni pomysł, panienko. Ma panienska jakieś szczególne życzenia?

Tylko zdobyć „London Ladies' Voice” i umknąć z powrotem na górę, zanim ktoś zejdzie na śniadanie, odparła w duchu Fleur, a głośno powiedziała:

- Kawę, poproszę. Ale nie musisz się spieszyć.

Przejrzę gazety. - Wspaniale. Teraz będzie wiedział, kto zabrał „Voice”, zanim pokojówka mogła zanieść go Hattie.

Trudno. Pożyczyć sobie gazetę to żaden grzech. To Hattie pierwsza wspomniała, że incydent na Rotten Row może znaleźć się w „Voice”.

Fleur weszła energicznym krokiem do pokoju śniadaniowego, poczuła aromat świeżo parzonej kawy i... zobaczyła Dominika, siedzącego spokojnie przy stole, z „Timesem” w rękę.

- A ty co tutaj robisz? - zapytała bez namysłu nieco napastliwie.

Dominik powoli odwrócił wzrok od gazety. Po raz pierwszy widziała go w samej koszuli, rdzawej kamizelce, bez fulara.

- To ja powinienem chyba zapytać, co ty tutaj robisz, Fleur. Jesz śniadanie w swoim pokoju, jak wszystkie panie. Jest piąta rano. Dlaczego kręcisz się o tak niezwykłej porze po domu?

Fleur rozejrzała się w poszukiwaniu „Voice”. Na pomocniku stała zastawa do kawy i kilka przykrytych półmisek: budzący głód widok.

- Fleur! Dziwnie się zachowujesz. To pewnie skutek wczorajszych przeżyć. Pozwól, odprowadzę cię do pokoju. Połóżysz się, a ja każę przysłać na górę filiżankę gorącej czekolady. A może grzanek? Czekolada wzmacnia i znakomicie uspokaja nerwy.

- Już to od ciebie słyszałam. Czuję się doskonale, dziękuję, i nie mam ochoty wracać do łóżka. - Wcale nie czuła się dobrze. Po wczorajszej niefortunnej przejażdżce wszystko ją bolało. - W domu często wstaję o tej porze. - To już bezczelne kłamstwo!

Dominik potrząsnął gniewnie gazetą, a może Fleur tylko się wydawało, i wrócił do czytania.

A to klops.

- Lepiej wyglądasz bez czepka - mruknął zza gazety. - Zdejmij go, daj włosom odetchnąć.

Fleur wyprostowała się, schowała kilka niesfornych kosmyków pod czepkę i podeszła do pomocnika.

- Podobasz mi się dzisiaj, Dominiku. Wyglądasz fascynująco. Trochę jak... korsarz. Tak, zdecydowanie przypominasz mi groźnego korsarza z południowych mórz...

- Fleur Toogood, ty zawsze prędzej powiesz, niż pomyślisz. Korsarz?!

- Jestem impulsywna, to zapewne miałeś na myśli. Papa często to powtarza. - Fleur podniosła ciężki dzbanek z kawą i postawiła go ostrożnie na stole.

Dominik chwycił dzbanek i nalał jej kawy.

- Dlaczego się męczysz, zamiast jak człowiek poprosić o pomoc?

- Dałabym sobie doskonale radę, nie jestem kaleką - obruszyła się Fleur.

- Hm.

Raptem przerażająca myśl zaświtała jej w głowie.

- Nie stajesz chyba do pojedynku z panem Mergatroidem? - zapytała zdławionym głosem. - Proszę, powiedz mi zaraz, że to nieprawda. - Pojedynek mógł być powodem, dla którego Dominik tak wcześnie zszedł na śniadanie. - Mówię poważnie. Pojedynki to zupełny nonsens. Mężczyźni ośmieszają się, traktując je serio. Te wszystkie na-

puszone rytuały, sekundanci, odmierzanie kroków. Jak tokujące gołębie. Jedna wielka fanfaronada. Poza tym pojedynki są zakazane prawem.

- Dziękuję, że byłaś łaskawa podzielić się ze mną swoją opinią. Nie przypuszczałem, że tyle wiesz o obyczajach godowych gołębi. Oto podziękowanie za to, że bronię twojego honoru.

- Bzdura. Najmniej tu chodziło o mój honor. Byłeś zachwycony, że możesz wystawić pierś do przodu, rzucić rękawiczkę i potoczyć wokół gniewnym wzrokiem. Popisywałeś się przed gapiami. Chciałeś pokazać, jaki jesteś męski i nieustraszony.

- Siadaj, pij kawę i spróbuj zapanować nad językiem. Może kawa wzmocni ci umysł. Mergatroyd nie przyjął wyzwania, tchórz.

- Oczywiście - ciągnęła Fleur - jestem ci niezmiernie wdzięczna, że przyszedłeś mi na ratunek. Gdybym nie była tak bardzo wystraszona, pewnie wpadłabym w zachwyty. Było w tym coś baśniowego. Powinieneś przybyć w złotym napierśniku i hełmie. Do tego rajtuzy i pluderki, najlepiej dwukolorowe, w jaskrawe paski.

- Nie wiedziałem, że mężczyźni tak się stroili, spiesząc na ratunek damom w nieszczęściu. Jesteś prawdziwą kopalnią wiedzy.

Gdzie podział się „Voice”? - zaniepokoiła się Fleur.

- Pomyślałeś o tym, że Kot może się pojawić na jutrzejszym balu? - zagadnęła.

Dominik odłożył gazetę.

- W głowie mi się kręci. Nagle przeskakujesz od dżentelmenów w rajtuzach do balu i Kota. Weź pod

uwagę, że u mnie procesy myślowe przebiegają znacznie wolniej niż u ciebie.

- Przepraszam. Na przyszłość będę się starała mówić wolniej. - Fleur usiadła i nałała sobie śmietanki do kawy. Nie ma wyjścia: musi przystąpić do ataku.

- Jedzenie pięknie pachnie. Myślisz, że mogę sobie coś nałożyć?

- Nikt chyba nie zauważy, jeśli uszczkniesz odrobinę - powiedział łaskawie. - To solidne, obfite męskie śniadanie.

- Naprawdę? Mam nadzieję, że znajdę coś poza surowym, krwistym mięsem.

Dominik zaśmiał się.

- Och, Fleur. Co byśmy poczęli bez ciebie? Umarlibyśmy chyba z nudów.

Czy powinna wspomnieć o wczorajszym prezencie? Intuicja podpowiadała jej, że ten, który wczoraj zbierał stokrotki i plótł wianek, skrył się na powrót w bezpiecznej skorupie i raczej nie ucieszyłaby go wzmianka o chwili słabości.

Igra z nią cały czas.

Wstała i podeszła z talerzem do pomocnika.

- Cynaderki! Uwielbiam cynaderki. I śledzie wędzone. Pycha. - Nałożyła sobie ogromną porcję i zadowolona wróciła do stołu.

Cynaderki były doskonałe. Fleur posmarowała masłem kilka grzanek, jedną ugarniowała jajecznicą. Gdyby mama ją teraz widziała, zbeształaby jak nic za taki sposób jedzenia, ale szczęśliwie nie widziała. A Dominik nie zwracał uwagi. Fleur zatopiła zęby w grzance i w ostatniej chwili chwyci-

ła spadający kawałek jajecznicy. Położyła go z powrotem na chlebie, po czym spożyła z apetytem.

- Gratuluję. Bardzo zgrabnie łapiesz spadające jajka.

Fleur przechyliła lekko głowę, naśladując Dominika, i uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Aaa... przepraszam, że zawracam ci głowę, ale nie widziałeś gdzie drugiej gazety?

- „Post” leży tutaj. - Dominik wskazał na krzesło obok siebie i chciał sięgnąć po dziennik.

- Nie, dziękuję. Myślałam raczej o „London Ladies' Voice”. Wiem, że to głupi brukowiec, ale interesują mnie ogłoszenia.

- Dzień dobry, Fleur. - Do pokoju wszedł Nathan, ubrany jak brat, w samej koszuli, bez fulara. - Co cię tu sprowadza o tak wczesnej porze?

- Zapytaj lepiej, co w ogóle ją sprowadza? - podpowiedział Dominik, nie patrząc na brata. - To samo pytanie odnosi się do ciebie. Myślałem, że uda mi się zjeść śniadanie spokojnie, w samotności.

- Urocze powitanie. - Nathan nałożył sobie kilka plastrów indyka, jajka, szynkę, po czym spojrzął na Fleur i uśmiechnął się szeroko. - Nie wiem, dlaczego tak wczesnie wstałaś, ale cieszę się, że cię widzę. Wyglądasz ślicznie. Jeszcze spowita snem. Aż bierze chęć, by cię przytulić, wybaczyć śmiałość. - Znowu się uśmiechnął rozbrajająco i nalał sobie kawy.

- Miło to powiedziałaś - odparła Fleur. Nathan wiedział, jak wprawić ją w dobry nastrój.

Zapadło milczenie. Zaniepokojona Fleur zerknęła w stronę Dominika. Przez chwilę mierzył Nathana

ponurym spojrzeniem, a kiedy brat wzruszył ramionami, wycelował w niego wskazujący palec, ale nie wyrzekł słowa.

- Litości, a to co takiego! - zawołała Fleur. - Gradowe spojrzenia, wygrażanie. Paskudne zachowanie.

- Ten osioł wykorzystuje twoją naiwność - oznajmił Dominik pouczającym tonem.

- Nathan niczego nie wykorzystuje - stanęła w jego obronie Fleur. - Robi wszystko, żebym czuła się w Heatherly jak w domu.

- Owszem, owszem - sarknął Dominik. - Zechcesz poświęcić mi chwilę po śniadaniu, Nathanie?

- Znowu? - Nathan nabił na widelec kawałek indyka i podsunął Fleur. - Dobrze, prawda? - ucieszył się, kiedy przyjęła podany kasek.

- Bardzo dobre.

Z miejsca, gdzie siedział Dominik, ponownie powiało chłodem. Zacisnął dłonie tak, że knykcie mu pobielały. Fleur tylko czekała, żeby znowu cisnął rękawicę.

- Chciałem przejrzeć gazety - powiedział Nathan.

Dominik pchnął w jego stronę poranną „Post”, Nathan ją rozłożył, ale zaczął się rozglądać, jakby i on szukał „Voice”. Fleur na ten widok o mało nie parsknęła śmiechem.

W tym momencie do pokoju weszła Hattie. Zatrzymała się w progu, zdziwiona, że o tej porze zastaje przy stole tak liczne grono.

- Przyszłam po swoją gazetę - oznajmiła i zaraz zapytała, nie mogąc powściągnąć ciekawości: - Czemu tak wcześnie jecie śniadanie?

- Nie pytaj - poprosiła Fleur. - Wyjaśnienia zaczynają być nudne. Wszyscy przychodzą po gazetę. Z wyjątkiem Dominika, który zamierzał w spokoju zjeść śniadanie.

- Mówiąc wprost, każdy chce sprawdzić, czy wczorajszy incydent w parku został odnotowany - podsumowała Hattie, jedyna odważna w tym towarzystwie.

- Wcale nie! - zaprzeczył żywo Dominik.

- Mnie chodziło o wiadomości w dziale handlu z koloniami - wyjaśnił Nathan.

- Gdzie „Voice”? - zapytała Hattie. - Zaraz się przekonamy.

- Ja też zeszłam po „Voice” - wyznała Fleur w nagłym i niespodziewanym przypływie szczerości. - Mam nadzieję, że nic nie napisali i miłosiernie oszczędzili nam wstydu.

- Czego tu się wstydzić? - W głosie Dominika zabrzmiała jawna uraza. - Że uratowałem cię od niechybnej śmierci na Rotten Row?

Hattie westchnęła.

- Zadzwoń na McGee. On będzie wiedział, gdzie jest poszukiwana przez nas gazeta.

- Widziałem ją, kiedy wszedłem - powiedział Dominik pospiesznie, zbyt pospiesznie, jak się wydawało Fleur. - Musi gdzieś tu leżeć. Poszukaj, Nathanie.

- Już się robi. - Nathan wyciągnął z dłoni Dominika rozłożonego „Timesa”, zza którego wyłoniło się, mniejszego formatu, poranne wydanie „Voice”.

- Dominiku! - zawołała chórem cała trójka.

- Z dobroci serca chciałem wam oszczędzić niepotrzebnych emocji.

- Kłamca! - mruknął Nathan.

Hattie odebrała mu „Voice” i stanęła, bezpiecznie, obok pomocnika.

Nathan zerwał się z krzesła.

- Siadaj, Hattie, moja droga. Należę ci kawy. Co byś zjadła?

- Nic. Poproszę tylko o filiżankę kawy. - Zajęła miejsce i podniosła dłoń. - Na pierwszej stronie - oświadczyła i głos uwiązł jej w krtani.

- Co piszą? - chciała wiedzieć Fleur. - Tak to źle brzmi?

- Przeczytam wam - zaofiarował się Dominik. - Nie wdając się oczywiście w szczegóły, tylko to, co najważniejsze.

Hattie odsunęła gazetę tak, by po nią nie sięgnął.

- To, co najgorsze, chciałeś powiedzieć. Od tytułu począwszy: „Czy są jeszcze dziewicami?”.

- A niech to! - zawołał Nathan, stawiając przed Hattie filiżankę z kawą. - Znalazł się jakiś usłużny informator.

- Nie musimy teraz tego czytać - próbował ostudzić temperaturę Dominik.

- Nie musimy, ale przeczytamy. - Hattie nie odrywała wzroku od artykułu na pierwszej stronie. - „Koniecznym jest, aby do publicznej wiadomości doszło, iż młode panny w naszym mieście nie mogą czuć się bezpiecznie”.

- Być może ofiary Kota w rzeczy samej nie są już dziewicami - podsunął Nathan. - W końcu mężczyzna jest tylko mężczyzną i...

- Milcz! ->wybuchnął Dominik. - Rusz głową, baranie.

Hattie czytała dalej, jakby nie słyszała braci.

- „Do waszego kornego żurnalisty dotarły niepokojące wieści. Po długim wahaniu uznał on, że powinien podzielić się ich treścią z szanownymi czytelniczkami. Znalazł na swoim biurku list, który nieznamy osoba zostawiła tam pod jego nieobecność, nie potrafi przeto powiedzieć, ani kim jest autor, ani czy należy dawać mu wiarę. Każdy sam we własnym rozumie musi to rozsądzić”

- Inaczej mówiąc, pan Agathon Mercury sugeruje nam, że porwane panny nie wróciły do domów nietknięte - stwierdził Dominik, zaplatając dłonie na karku.

- Słuchajcie dalej, oto sam list - kontynuowała Hattie. - „Najwyższy czas, by oddać szacunek rodzinom, które tak hojnie mnie wsparły- Pokazując, w jak wysokiej estymie mają dziewictwo swoich córek, dały przykład rodzicielskiej troski i miłości godny naśladowania. Ja ze swej strony dołożę dalszych starań, by i inni mogli się równą troską, miłością i szczodrością wykazać”.

- No to ładnie - jęknął Nathan.

- Barbarzyńca obleśny. - To był komentarz Dominika.

- Obrzydliwe. Potworne - oburzyła się Hattie. - Oto co pisze Mercury, jakoby nadal przytaczając list podrzucony do redakcji: „Lady Sylvia Srynthe, panna Augusta Arbuthnot, panna Constance Fitzgerald, panna Olivia Prentergast i lady Wilhelmina Soams powróciły do domów całe i zdrowe, jak wyszły.

Brawo, moje panie. Pewna rodzina, powątpiewająca, czy jestem poważnym człowiekiem, omal nie dostała zwrotnej przesyłki w stanie uszkodzonym. Ja też mam swoją cierpliwość. Gdyby ktoś w przyszłości śmiał powątpiewać w moje słowa, nie powinien spodziewać się zwrotnej przesyłki".

- Tak mi przykro, że wymieniono wszystkie panny z nazwiska. - Fleur westchnęła. - To okropne! Grozi, że następnym razem zabije, jeśli nie dostanie żądanych pieniędzy.

Hattie nie musiała przypatrywać się szwagrom, by odgadnąć, że coś knują. Mogła tylko żałować, że John nie wrócił jeszcze z Wiednia. On potrafiłby przemówić braciom do rozumu i ustrzec ich przed pakowaniem się kabałę.

Zerknęła na Fleur - wpatrywała się w Dominika. Kolejny kłopot, bo panna się zadurzyła. Dominik też najwyraźniej stracił dla niej głowę, tyle że uparł się nigdy nie żenić, tymczasem Fleur jak najszybciej powinna znaleźć męża. A jeszcze był Nathan. Kto wie, co myśli i czuje? Miał słabość do Fleur, to pewne, i starsza lady Granville zaczynała się już obawiać, czy bracia nie skoczą sobie do oczu z powodu kobiety.

Przypomniała sobie o porannej poczcie, którą zabrała z holu.

- Są trzy listy do ciebie, Fleur. Śnieżynka mówi, że często dostajesz listy z domu. To miłe.

- Dziękuję. - Fleur niemal porwała korespondencję z rąk Hattie. - Od Leticii, Rosemary i od mamy. Tak się cieszę. Kocham czytać ich listy.

Skąd zatem ta zasepiona mina? - zastanawiała się Hattie.

- „Lorda Dominika Elliota udział w zajściu na Rotten Row” - przeczytał Nathan, zrećznie podkradając gazetę Hattie.

- Nie skończyłam czytać - zaproponowała bratowa. - Chciałabym zabrać „Voice” do pokoju. Dam ci go później.

- Hattie, pozwól, przeczytam ten artykuł, zanim zabierzesz gazetę - poprosiła Fleur.

- Ty? - zdziwił się Dominik. - Zdawało mi się, że o mnie tu piszą.

Hattie nie miała serca trzymać dłużej Fleur w napięciu, skazanej na domysły, czy i jej nazwisko zostało wymienione w najbardziej poczytnej londyńskiej gazecie dla kobiet.

- Dobrze - ustąpiła z westchnieniem i otworzyła ponownie gazetę. - Podtytuł: „Straszliwe zamieszanie w Hyde Parku. Czy to miłość?”.

Dominik odstawił gwałtownie filiżankę.

- Dobry Boże!

- Bóg jest dobry, ale wątpię, czy obchodzą go twoje awantury - odparła Hattie.

Nathan wybuchnął śmiechem. Wcześniej jednak zdążył odsunąć się na bezpieczną odległość od Dominika.

- „Wczoraj późnym popołudniem na Rotten Row zdumieni spacerowicze byli świadkami ostrej potyczki na słowa między żyjącym na uboczu lordem Dominikiem Elliotem i panem Fritzem Mergatroydem. Mówi się, że lord Dominik wyzwiał nawet pana Mergatroyda na pojedynek, ale pan Mergatroyd rękawicy nie podjął, straciwszy przytomność. Potem w zamieszaniu nikt nie umiał znaleźć rękawiczki”.

- Naprawdę wyzwalałeś go na pojedynek, Dominiku? - zapytała Hattie. - Jeśli tak, to postąpiłeś bardzo nierozważnie.

- Ten tchórz udał, że mdleje - oznajmił Dominik z godnością, ale lekko się zaczerwienił.

- Dominik mnie uratował - wstawiła się za swoim rycerzem Fleur i też się zarumieniła. - Gdyby się nie pojawił w parku, pewnie już bym nie żyła.

- Mogłabyś nie żyć - sprostował Nathan. - Ciekaw jestem, co stało się z rękawiczką.

- Nie mogłam jej przecież tam zostawić - szepnęła Fleur, a Hattie pospiesznie podjęła czytanie:

- „W gościnie u markizy Granville przebywa niejaka panna Fleur Toogood, przybyła do Londynu z rozpoczęciem sezonu. Wczorajsze nieporozumienie miało miejsce w czasie, gdy panna Toogood zażywała przejażdżki po parku w towarzystwie pana Mergatroyda. Koń panny Toogood poniósł i tylko dzięki szybkiej interwencji lorda Dominika Elliota, który wyratował pannę, nie doszło do nieszczęśliwego wypadku”.

- Jakie to romantyczne - mruknął Nathan.

Dominik zrobił taki ruch, jakby chciał się podnieść, ale spojrzenie Hattie osadziło go na miejscu.

Ona też uważała, że zachował się bardzo romantycznie, a sarkastyczna uwaga Nathana była zupełnie niepotrzebna.

Fleur oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach.

- Skończę czytać i zapomnijmy o sprawie - zaproponowała Hattie. - „Lord Dominik wziął na siebie miły obowiązek towarzyszenia pannie Too-

good we wszystkich wydarzeniach towarzyskich rozpoczynającego się sezonu. Panna Toogood zrobiła na salonach błyskawiczną konkietę i wielu młodych kawalerów zabiega o jej względy (rodzice jednego z owych dżentelmenów wydali nawet przyjęcie na cześć młodej damy), a wszystko to pod troskliwym okiem lorda Dominika i jego bratowej, obecnej markizy Granville. Z relacji z incydentu na Rotten Row, jakie do nas dotarły, wnosimy, iż lord Dominik wziął sobie głęboko do serca roz-taczanie pieczy nad panną Toogood dopóty, dopóki u jej boku nie pojawi się odpowiedni kandydat na męża. Chyba że idzie tu o coś zupełnie innego..."

Zapadła cisza, w końcu pierwszy odezwał się Nathan.

- Oni sugerują, że chcesz Fleur dla siebie, rozumiesz? - wyjaśnił usłużnie na wypadek, gdyby Dominik nie mógł zrozumieć prostej insynuacji.

Ten wstał i ruszył ku drzwiom, ale w progu odwrócił się jeszcze do Nathana.

- Mamy kilka spraw do omówienia. Teraz muszę widzieć się z Lawrence'em, ale za pół godziny oczekuję cię w gabinecie.

Hattie czekała niecierpliwie, żeby bracia się wynieśli i by mogła zająć się pocieszaniem Fleur.

Tymczasem, ku jej zdumieniu, Dominik cofnął się od drzwi, usiadł obok Fleur, położył jej dłoń na ramieniu i przemówił łagodnie:

- To miasto żyje plotką, ale po jednym dniu zapomina o wczorajszych sensacjach, łowi następne i nimi się emocjonuje.

- Jesteś bardzo miły - szepnęła Fleur, nie odrywając dłoni od twarzy - ale najlepiej będzie, jak wrócę do domu choćby dzisiaj.

Dominik przytulił Fleur, poklepał ją po plecach, uśmiechnął się do Hattie, Nathana traktując jak powietrze.

- Nawet o tym nie myśl, moja panno. Czy ci się to podoba, czy nie, zaistniałaś w Londynie. Twoje imię jest już na wszystkich ustach. Nathan i ja będziemy musieli odganiać od ciebie tłumy wielbicieli. Mam rację, bracie?

- Prawie zawsze - przytaknął Nathan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Od dnia, gdy przyszedł pierwszy, Fleur prawie codziennie dostawała list z domu. Dzisiaj otrzymała aż trzy, wszystkie tak samo datowane. Pełna obaw, czy aby nie przydarzyło się co złego papie, jako pierwszy zdecydowała się przeczytać list Leticii, najbardziej bezpośredniej z sióstr, która niczego nie owijała w bawełnę.

„Najdroższa Fleur!

Obiecałam sobie, że nie będę Ci pisać o swoich kłopotach, ale jak mam dotrzymać danej obietnicy, kiedy nigdy przed Tobą nie miałam tajemnic, jak i Ty przede mną.

Stało się coś strasznego, coś, co mnie zatrwożyło.

Najpierw jednak niech spytam, co u Ciebie, siostrzyczko? Wiem, jak się wzdragałaś jechać do Londynu, ale pomimo wszystko wierzę, że bawisz się dobrze. Miej głowę i serce otwarte, a na pewno

zjawi się ten, który Ci będzie miły. Z pewnością już podbiłaś londyńskie salony, wiem to".

- Cała Leticia - mruknęła Fleur. Siostra najpierw oznajmiała, że coś ją trapi, a potem zajmowała się wszystkim i wszystkimi, o sobie zapominając.

„Tak bardzo żałuję, że Cię tutaj nie ma, ale trudna rada. Idzie o Christophera i o mnie, a właściwie, jak chce to widzieć Christopher, tylko o niego. Papa zły. Rzecz to tak niezwykła, że całkiem do siebie przyjść nie mogę, ale muszę pamiętać, jak bardzo kocha mamę. Nie mógłby znieść, gdyby kto jej w czym uchybił, tym bardziej że odwróciła się od własnej rodziny, żeby wyjść za niego".

- Jestem im potrzebna. Muszę natychmiast wracać do domu. - Fleur łyzy spływały po policzkach.

„Oto w czym rzecz. Jak wiesz, jaśnie pan dziedzic Pool ma nie byle jakie aspiracje, a pani Pool to osoba bezpośrednia i zawsze okazująca mi serdeczność. Prawdę mówiąc, ma mnie niemal za córkę i nieraz dawała mi do zrozumienia, że chce mnie widzieć w rodzinie".

Fleur ogarnęło wzruszenie. Najwyraźniej Leticia i Christopher zaręczyli się, a co dalej, już zgadywała. Jaśnie pan dziedzic zawsze ją irytował. Jeśli Leticia przez niego choćby jedną łzę uroni, pan Pool będzie miał do czynienia z „wygadana smarkuła", jak zwykł nazywać Fleur.

„Długo się wahałam i zwlekałam. Może źle uczyniłam, ale nie chciałam psuć Ci pobytu w Londynie, a i liczyłam na to, że w końcu burza ucichnie. Dziedzic ani słyszeć o tym nie chce, żeby jego jedynak żenił się z córką ubogiego pastora, i teraz robi wszystko, by doprowadzić do zerwania zaręczyn.

Fleur, Christopher chce, żebyśmy uciekli, wyjechali gdzieś, byle dalej. Raz mówi o Indiach, gdzie zatrudniłby się w charakterze wojskowego kartografa przy naszej armii, to znowu wspomina o Ameryce Południowej.

Jesteś jedyną, której mogę się zwierzyć. Dziedzic nic nie wie o planach Christophera. Szczerze mówiąc, nie uśmiecha mi się wyjeżdżać na drugi koniec świata, ale jeśli będzie trzeba, jeśli tylko tak będę mogła być z moim ukochanym, pojedę.

Dziedzic powiada, że nie dość jestem dobra dla Christophera i że jego syn powinien ożenić się z panną pochodzącą ze znacznego rodu. Zaczął nawet wydawać „wieczorki” we dworze, na które sprasza, kogo tylko się da, z wyjątkiem mnie, ma się rozumieć.

Christopher w takie dni opuszcza dom, nocuje wtedy w naszej stodole. Jeśli papa go tam zobaczy, mogę sobie wyobrazić, w jaką złość wpadnie.

Droga Fleur, poradź proszę, co robić.

Twoja kochająca siostra

Leticia”

Indie? Ameryka Południowa? Leticia nie wytrzymałaby długo w takim klimacie. Fleur miała nad

czym myśleć. Christopher był zdolnym kartografem, tak mówiono. Zrozumiałe, że chciał uwolnić się spod władzy autokratycznego ojca, ale w Anglii też mógłby objąć dobre stanowisko w swoim fachu, w czym Pool nie mógłby mu przeszkodzić, jednak znalazłby sposoby, żeby uprzykrzyć życie młodej parze.

Chciał, żeby jedynak poślubił pannę z zamożnej, poważanej rodziny, tymczasem powinien całować ziemię, po której stąpa Leticia, i dziękować Bogu, że będzie miał taką synową.

Następny w kolejności był list od Rosemary, a ten od matki na ostatku.

Fleur wiedziała, że przy liście Rosemary uśmieje się serdecznie. Dzierlatka znowu będzie pisać, jak to nie może się wprost doczekać, kiedy spotka „swojego wymarzonego, tego jedyne”. List od mamy, która była rodzinną ostoją rozsądku, winien rozjaśnić nieco Fleur w głowie i ukoić skołatane nerwy.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Śnieżynka z rozpuszczonymi włosami, sięgającymi jej do kolan, w zdumiewającej porannej kreacji morelowego koloru, przystrojonej koronkami na łokcie.

- Dzień dobry, panienko. Lord Dominik powiedział, że panienska źle spała dzisiejszej nocy i prosił przynieść panience...

- Gorącą czekoladę na wzmocnienie.

Obydwie parsknęły śmiechem.

- Tak właśnie powiedział. Jest czekolada na wzmocnienie, jest grzanka z miodem. Dzisiaj trzeba przy panience skakać, chuchać i dmuchać, tak się wyraził.

Fleur przyszło do głowy, że gdyby wydała się za kogoś takiego jak Dominik, ze starej, utytułowanej rodziny, dziedzic Pool z pewnością nie miałby nic przeciwko małżeństwu Leticii z Christopherem.

- Panienko? - zagadnęła cicho Śnieżynka, widząc, że Fleur popadła w zamyślenie. - Ja panience dopomogę, jak tylko umiem. Hattie mówi, że teraz będzie panience potrzebne nasze wsparcie.

- Dlaczego? - Zabrzmiało to ostrzej, niż Fleur zamierzała.

Śnieżynka oblała się rumieńcem.

- Ja nie wiem. Jedno mogę powiedzieć. Hattie widzi rzeczy, których inni nie widzą. My jesteśmy z panienką i nie dopuścimy, żeby panienkę jaka krzywda spotkała albo zawód, no ten, miłosny.

Fleur popijała czekoladę i ani trochę nie czuła się wzmocniona.

- Teraz niech panienka jeszcze sobie pośpi, odpocznie, ja przyjdę później, pomogę się panience ubrać, ułożyć włosy. Dzisiaj to musi panienka wyglądać jak z obrazka.

Fleur odstawiła filiżankę na tacę i ponownie zapytała:

- Dlaczego?

- Ma się rozumieć panienka zawsze ślicznie wygląda, ale dzisiaj to już szczególnie powinna, bo dzień będzie ciężki.

Jakby każdy dzień nie był ciężki.

- Nic nie rozumiem. Zechciej wytłumaczyć, o czym mówisz.

Śnieżynka odchrząknęła, wygładziła brzoskwińowe fałdy sukni i rzekła:

- Mój Albert mi ją kupił.

- Twój Albert kupuje ci piękne rzeczy, dba o ciebie, rozpieszcza. Jest z ciebie dumny i chce widzieć cię szczęśliwą.

- To prawda. Zupełnie jak lord Nathan i lord Dominik chcą widzieć panienkę szczęśliwą. - Śnieżynka, przerażona, że za dużo powiedziała, zasłoniła usta dłonią i zastygła w tej pozie.

Fleur uznała, że bezpieczniej będzie puścić mimo uszu niebaczną uwagę gadatliwej sługi.

- Dlaczego mam się dzisiaj stroić jakoś szczególnie?

- Ach, panienka widać zapomniała. Ciotki dzisiaj przyjeżdżają. Znaczą się siostry jaśnie pani starszej. Panna Enid i panna Prunella Worth. Są bardzo miłe, ale... jak kiedy co powiedzą... Panienska nie powinna brać sobie do serca ich słów, bo czasami mówią, byle mówić, a myślą całkiem inaczej.

- Rozumiem. - Wybierając się do Londynu, Fleur nie przypuszczała nawet, jak wyboistą drogę ma przed sobą. - Do ich przyjazdu zostało nam jeszcze kilka godzin, prawda, Śnieżynko?

- Tak jest, panienko. To ja już pójdę, a panienska niech jeszcze sobie pośpi.

Kiedy zamknęły się za Śnieżynką drzwi, Fleur sięgnęła po list od Rosemary.

„Kochana Fleur!

Szczerze Ci powiem, żem zielona z zazdrości, kiedy pomyślę, jak fruwasz po Londynie. Tu bal, tam wieczorek muzyczny, znowu raut albo herbat-

ka, a Ty pięknie wystrojona, wokół Ciebie tłum galantów, każdy albo hrabia, albo lord, albo inny błękitnokrwisty arystokrata.

Może znalazłabyś jednego albo dwóch dla mnie. Po prawdzie to potrzebuję tylko jednego, ale chciałabym mieć z czego wybrać".

Fleur wyobraziła sobie, jak jej młodsza siostra chichocze, pisząc trzy po trzy para piętnaście, i uśmiechnęła się pod nosem.

„Mam do Ciebie wielką, wielką prośbę, siostrzyczko, tylko zaklinam Cię, ani słowa mamie i papie, bo źli byliby na mnie okropnie. Myślisz, że mogłabym przyjechać do Londynu i być choćby na jednym przyjęciu? Tylko na jednym. W Heatherly, oczywiście? Nigdzie nie musiałybyś mnie zabierać. Obiecuję, że zaraz następnego dnia wróciłabym do domu. Umieram wprost z ciekawości i taka jestem podniecona, jak sobie pomyślę, że mogłabym być na prawdziwym londyńskim przyjęciu. Przyglądałabym się tylko z kącika wszystkim tym światowym osobom i mogłabym przenocować w Twoim pokoju i w ogóle nie byłabym Ci ani trochę zawadą".

I tak dalej, i tak dalej, w tym samym tonie, przez kilka stron...

Fleur odłożyła list. Była rozdarta: z jednej strony, nic bardziej by jej nie uszczęśliwiło niż przyjazd siostry do Londynu, z drugiej strony, nie chciała i nie śmiała prosić gospodarzy, którzy tyle już dla niej uczynili, o dodatkowe fawory.

Do wieczora zdecyduje, co zrobić, i wyśle odpowiedź.

List od matki był bardzo krótki i wprowadził Fleur w prawdziwe pomieszenie.

„Kochana Fleur!

Wątpię, by Leticia chciała Ci pisać, jak się fatalnie z Poolami ułożyło. Twój ojciec nie posiada się z oburzenia, że ktoś śmie uważać jedną z jego ukochanych córek za gorszą, niegodną szlacheckiego gniazda. Jeśli o mnie idzie, ludzka małość nie przestaje mnie zadziwiać, ale nie wpadam w złość ani nie desperuję, bo wierzę w siłę miłości. Akurat ja mam po temu pełne prawo.

Zastanawiam się, na jakie poświęcenia gotów jest Christopher. Rodzinna presja zniszczyła niejedną jakoby to wielką miłość. On świata poza Leticją nie widzi, ale czy waży się zerwać z ojcem, a jeśli tak, to czy zdoła zapewnić byt rodzinie? Przeraza mnie myśl, że mieliby wyjechać Bóg wie dokąd. Leticia zawsze była słabego zdrowia. Mam w głowie mnóstwo pytań, na które nie znajduję odpowiedzi. A Ty, mój skarbie, nie zapominaj, czego żądasz od życia, i jeśli masz wyjść za mąż, to tylko za tego, kogo naprawdę pokochasz. Los naszej rodziny nie spoczywa na twoich barkach.

Twoja kochająca mama"

Fleur położyła się płasko i naciągnęła kołdrę na głowę. Owszem, los rodziny spoczywał na jej barkach, o swoich żądaniach i wymaganiach mogła zapomnieć.

Ach, gdyby tak mogła wyjść za kogoś, kogo pokocha i kto potrafi odwzajemnić jej uczucie.

Znowu rozległo się pukanie, tym razem już natarczywe, głośne.

- To ja, Dominik. Mogę wejść? - Drzwi lekko się uchyliły.

- Jestem zmęczona, chciałam jeszcze pospać. Coś się stało?

- Szukam Śnieżynki - oznajmił, wparadowując do pokoju.

Szuka Śnieżynki. Mamy pretekst, pomyślała Fleur.

- Wyszła kilka minut temu. Masz sprawę do niej czy do mnie? Chciałeś mi może przypomnieć, że przyjeżdżają twoje ciotki? - zapytała z przekąsem, którego jednak Dominik nie wychwycił.

- Absurd. Jakbyśmy nie mieli dość na głowie. Poczekaj, aż je zobaczysz. Każda po sto lat z okładem. Absorbujące. O wszystkim wyrażają własną opinię. Zdecydowały się ruszyć z Bath, bo muszą koniecznie sprawdzić, dlaczego Hattie do nas przyjechała.

Fleur spojrzała niepewnie na Dominika.

- Chyba mają trochę mniej niż po sto lat?

- Trochę mniej, ale niewiele. Przygotuj się na trudne chwile. Uważają, że wszyscy ludzie są równi, ale najpierw muszą ci dać odczuć twoją niższość.

- Wszystko jest takie skomplikowane. - Fleur westchnęła bezradnie.

- I będzie się komplikować jeszcze bardziej, to ci mogę obiecać - pocieszył ją na swój sposób Dominik.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W południe pojawił się pan Best. Chciał zabrać Fleur na lunch do rodziny, ale Dominik, co było łatwe do przewidzenia, nie wyraził zgody. Dla złagodzenia odmowy pan Best dostał zaszczytu zjedzenia lunchu z panną Toogood w Heatherly, pod okiem Hattie, dyskretnie siedzącej z boku, z robótką w dłoni.

- Pani markiza ma doprawdy doskonałą kucharkę. - Pan Best uniósł kęs szynki do ust i korzystając z tego, że siedzi plecami do Hattie, zrobił tak komiczną minę i przewrócił oczami, że Fleur parsknęła śmiechem.

Pan Best nachylił się ku niej.

- Jesteś czarującą osobą, panno Toogood, i masz rację, rytuały potrafią być bardzo męczące.

- Ja niczego takiego nie powiedziałam - szepnęła Fleur.

- Nie musiałaś - odszepnął pan Best. - Wystar-

czy, że widzę twoją twarz. Nie powinnaś nigdy siadać do kart, panno Toogood, w każdym razie nie wtedy, gdy gra idzie na pieniądze.

- To prawda. - Fleur z każdą chwilą coraz bardziej lubiła pana Besta. - Moja twarz żyje własnym życiem. Powinieneś widzieć, panie Best, jak długo musiałam ćwiczyć marsowe oblicze.

- Proszę mi pokazać to marsowe oblicze - poprosił z uśmiechem pan Best.

- Nie potrafię. - Fleur zerknęła na Hattie. Siedziała pochylona nad robótką.

- A więc ćwiczenia nie na wiele się zdały? Jestem zawiedziony.

Fleur odłożyła powoli widelec i wbiła w pana Besta najbardziej srogie ze swoich najbardziej srogich i poważnych spojrzeń.

- Niech to, jest pani niesamowita! - Pan Best aż zakrzuszył się ze śmiechu, otarł łzy z kącików oczu i sięgnął po kieliszek.

W tej samej chwili w progu pojawił się Dominik, przemaszerował przez pokój bez słowa, skinął tylko Hattie głową i zniknął w drzwiach, prowadzących do gabinetu osobliwości, w którym markiza eksponowała swoją kolekcję muszli.

- Jak smakuje pani indyk? - zapytał pan Best z rozbawieniem w oczach, ale tonem najpoważniejszym w świecie.

- Wyborny - odparła Fleur.

Teraz z kolei w pokoju pojawiła się Chloe ze swoją kotką, a w ślad za nią Śnieżynka. Obie podeszły prosto do Hattie

- Zastąpimy cię - oznajmiła głośno dziewczyn-

ka. - Od teraz Śnieżynka będzie udawać, że wyszywa.

- Proszę się tylko nie śmiać - ostrzegła szeptem Fleur pana Besta. - Chloe jest bardzo bezpośrednim dzieckiem.

- Szczerym, chciałaś powiedzieć, panno Toogood - dodał pan Best. - Cieszę się, że lord Dominik pozwolił mi zjeść lunch w pani towarzystwie. Chciałem z panią o czymś porozmawiać.

Hattie podeszła do stołu, pożegnała się i wyszła z pokoju.

Śnieżynka, osoba rozsądna, zamiast udawać, że wyszywa, zaczęła bawić się z Chloe.

- Czy to nie uroczy pokój? - zagadnęła Fleur, pełna lęku, co też może usłyszeć od pana Besta.

- W istocie, uroczy.

- W Sodbury Martyr mieszkamy bardzo skromnie, na plebanii, oczywiście. Okna w pokojach są takie maleńkie, że w zimie wydajemy majątek na świece.

- Panno Toogood?

- Chciałabym mieć pokój pełen kwiatów i drzewek, jak ten. - Fleur plotła, co jej ślina na język przyniosła - To działa kojąco.

- Na mnie pani towarzystwo działa kojąco - oznajmił pan Best. - Jest pani dla mnie bardzo ważną osobą, panno Toogood, i nie mogłaby pani być ważniejszą, nawet gdyby była pani najbardziej posażną panną w całym kraju.

Fleur żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła do głowy.

- Chciałem się dzisiaj z panią spotkać, poza

przyjemnością widzenia cię, żeby przeprosić, panno Toogood. Powody, dla których moi rodzice urządzili wieczorek, stały się aż nadto oczywiste. Moja wina, nie ich. Uczynili to dla mnie, na moją wyraźną prośbę, bo pragnąłem gościć panią u siebie.

- Pana rodzice to bardzo mili ludzie. Przypominają mi moich. Nie musi pan przeproszać. Wieczorek był bardzo udany i bawiłam się doskonale.

Pan Best uśmiechnął się.

- Byłbym zaszczycony, mogąc poznać pani rodzinę.

- Zostałby pan przyjęty z otwartymi ramionami. Rodzice uwielbiają gości, a moje siostry z pewnością zamęczyłyby pana pytaniami.

- Jeśli choć trochę przypominają panią, z radością dałbym się zamęczyć.

- Mój Boże! - Fleur wbiła w pana Besta nieruchome spojrzenie. - Właśnie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł, chociaż nie powinnam nawet pomyśleć o czymś podobnym, a co dopiero mówić.

- Nalegam, by mi pani powiedziała, co to za pomysł.

Jest tak miły, że każda panna mogłaby zadurzyć się w nim na zabój, tylko nie ja, pomyślała Fleur.

- Nie mogę. Niepotrzebnie wspomniałam, że przyszedł mi do głowy jakiś pomysł. Nieważne. Znana jestem z tego, że prędzej mówię, niż myślę. Proszę się poczęstować owocami, panie Best.

- Nie, nie. Chcę usłyszeć, co to za pomysł. Muszę usłyszeć. Inaczej mogę umrzeć z ciekawości i będzie mnie pani miała na sumieniu, panno Toogood.

- Nie zniosłabym takiego ciężaru. Dobrze, w takim razie powiem, ale proszę pamiętać, że chciałam się wycofać. Moja siostra Rosemary, która ma osiemnaście lat, jest tak samo ciekawa świata jak ja. Pisze mi, że bardzo chciałaby być na przyjęciu w Londynie. Tylko na jednym przyjęciu, to jej marzenie. Doprawdy szalony pomysł, prawda?

- Nie, wcale nie taki szalony. - Pan Best sięgnął po kiść winogron. - A pani pytanie, panno Toogood? Jeszcze go nie usłyszałem.

- Gdyby Rosemary rzeczywiście przyjechała do Londynu na swoje wymarzone przyjęcie, zaprosiłby ją pan do tańca, panie Best? Musiałoby to być przyjęcie z tańcami, bo Rosemary uwielbia tańczyć.

- Tak, zaprosiłbym ją do tańca tyle razy, ile tylko by zechciała. Mógłbym nawet przetańczyć z nią cały wieczór.

- Pytania nie było. Nie mogę żądać od pana takiej przysługi.

- Jeśli pani siostra przyjedzie, chętnie się nią zajmę.

Pan Best byłby doprawdy idealnym mężem, takim, który czerpie przyjemność z samego faktu, że może sprawić radość żonie.

- Dziękuję. To bardzo miłe. - Fleur położyła rękę na dłoni pana Besta. - Nie sądzę, by tak się stało, ale jeśli Rosemary przyjedzie, dam panu znać. Wystarczy, że zatańczy pan z nią raz, najwyżej dwa razy, nie więcej.

Rozległo się chrząknięcie informujące, że w pokoju znowu pojawił się Dominik. I tym razem przeszedł, nie zatrzymując się. Dojrzał jednak dłoń

Fleur na dłoni pana Besta, rzucił pannie wiele mówiące spojrzenie i zniknął.

- Ciekawe, czego obawia się lord Dominik - powiedział pan Best. - Mamy przecież przyzwoitkę, wokół pełno służby...

- Lord Dominik bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki - wyjaśniła Fleur, mocno zasmucona zachowaniem Dominika. - Och, na pewno czytał pan dzisiejszy „Voice”, panie Best. Musiał pan czytać. Dlatego przyjechałeś, stąd te przeprosiny.

- Matka zwróciła mi uwagę na notkę w „Voice” - przyznał pan Best. - Najważniejsze, że nic się pani nie stało, panno Toogood. To musiało być straszliwe przeżycie, a pana Mergatroyda należałoby postawić za coś takiego pod pręgierzem. Poza tym chciałem panią zapewnić, że wzmianka w gazecie z pewnością w niczym pani nie zaszkodzi, wręcz przeciwnie, uczyni panią jeszcze bardziej pożądaną osobą w londyńskich salonach.

- Jest pan przemiłym człowiekiem - powiedziała Fleur prosto z serca.

- A pani jest zachwycająca, panno Toogood. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, ale chciałem zwrócić uwagę na jedną rzecz i teraz, kiedy znalazłem się tutaj, jestem jeszcze bardziej przekonany, że powinienem to uczynić, bez względu na wszystko. Może pani oczywiście puścić mimo uszu moje pytanie, ale może też się nad nim zastanowić. Czy lord Dominik naprawdę pragnie, by znalazła pani męża? A jeśli nie, to dlaczego?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTA CZWARTY

- Należało zapytać mnie pierwszej o pozwolenie.
- Słucham?- Powinien był wiedzieć, że kobiecie nie wolno pozwalać na zbyt wiele. Popęłnił błąd. - Nie zamierzam pytać cię o pozwolenie nigdy, w żadnej sprawie, Myszo.

Nie odrywając od niego oczu, zdjęła czepek, potem peliszkę.

- Zapominasz, że to był mój pomysł. Mnie zawdzięczasz to, że stałeś się bogatym człowiekiem. I nie nazywaj mnie Myszą. Już ci mówiłam, że dla naszych potrzeb jestem Sową.

- Kot i Mysz. To brzmi znacznie lepiej.

- Londyn drży przed tobą, jesteś poszukiwany. Będziesz mnie teraz potrzebował bardziej niż do tej pory. Nie popełnij błędu i nie próbuj działać samopas.

- Myszka pokazuje ząbki? - On i tak będzie górą. - Wszystko idzie po mojej myśli. Odkąd w „Voice” ukazał się mój list, nie mogą już udawać, że nie istnieją i że są bezpieczni.

- Phi! Niektórzy mówią, że jesteś fikcją, wygodnym usprawiedliwieniem dla pańien, gustujących w potajemnych schadzkach. Ci ludzie są jak niektóre zwierzęta. Zamykają oczy i myślą, że są niewidzialni. Pogróżki w gazecie nikogo o niczym nie przekonują.

- Już niedługo uderzę znowu, a tym razem będzie to bardzo, bardzo mocne uderzenie. Oto mój plan.

- Twój plan? Podejmujemy decyzje razem, zapomniałeś? Od samego początku ci powtarzam, że musimy czynić wszystko, tak działać, tak manewrować, żeby ci głupcy poważnie traktowali nasze pogróżki.

- Ja już zdecydowałem, jak działać. Nie trzeba mi twoich rad.

Była zła.

To dobrze, bardzo dobrze. Taką właśnie lubił ją najbardziej. Wtedy go podniecała. Nie zdążyła uskoczyć, kiedy chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie, unosząc fałdy spódnicy.

- Przestań natychmiast!

- Kot chodzi własnymi drogami i robi, na co mu przyjdzie ochota. - Podciągnął spódnice jeszcze wyżej. - A że mamy wiele do omówienia, dlaczego nie mielibyśmy uprzyjemnić sobie czasu? Mam podzielną uwagę, ty zapewne też. - Przełożył sobie Mysz przez kolano i dał jej klapsa w nagą pupę, na co krzyknęła, niby oburzona, a już podniecona. - Musimy dobrze się przygotować do następnego uderzenia, bo może być to nasze ostatnie.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, za co tak nienawidzisz londyńskiej socjety.

- Nieważne. Przeszłość się nie liczy, tylko przyszłość.

- Pozbądź się chłopaka - sapnęła Mysz, siadając mu okrakiem na udzie. - Niedobrze mi się robi na jego widok. Ma parchy, roznosi chorobę.

- Harry nie roznosi żadnej choroby. - Kot rozerwał stanik jej sukni, odsłaniając piersi. - Nie wspominaj więcej o chłopaku.

- Coś ty zrobił? Dlaczego? Panuj nad sobą. Jak ja się teraz wytłumaczę w domu? - W jej głosie zabrzmiała udawana zgroza.

- Potrafisz kłamać jak nikt, moja droga - rzucił lekceważąco.

- Wybrałam już następną ofiarę - powiedziała ze śmiechem, zdejmując z niego jedwabny szlafrok. - Tym razem wszystko odbędzie się inaczej. Naprawdę wzbudzimy panikę. Jest inna niż wszystkie inne panny i to, co ją spotka, nie spotkało jeszcze żadnej z tych, które wpadły w nasze ręce.

Nie, on tu decyduje i on będzie mówił, co mają robić.

- Jeszcze trzy ofiary i koniec.

- Tylko jedna - nie ustępowała. - Tym razem ja też wkroczę na scenę.

Kot zacisnął usta.

- Tylko jedna i cały Londyn przekona się, że nie ma z nami żartów.

Z nami? Nie było żadnych „nas”. Mógłby ją teraz zabić i nikt nigdy nie znalazłby ciała.

- Ta dziewczyna to Fleur Toogood. Jutro wydają bal w Heatherly, to najlepsza pora.

- Za wcześnie.

- *Jutro!*

- *Musiłaabyś zażądać okupu od Elliotów. Jej rodzina nie ma pieniędzy.*

- *Zażądamy pieniędzy nie od Elliotów, tylko od rodziny, jak czyniliśmy do tej pory.*

- *Skoro nie mają grosza, zwrócą się do starej Granville albo do lorda Dominika.*

Mysz wyciągnęła się kanapie, oparta brodę na udzie Kota.

- *List będzie krótki: jeśli nie zapłacą okupu w ciągu dwunastu godzin...*

- *... dziewczyna przestanie być dziewicą - dopowiedział.*

- *Jeśli chcesz.- Mysz jakby się obraziła.- W każdym razie musi się to stać jutro. Nie zamierzam czekać.*

- *Rzecz trzeba starannie przygotować. Jeśli zdążymy do jutra, proszę bardzo. Jeśli nie zdążymy, należy rzecz odłożyć.*

- *Jutro, powiadam.*

- *Ja tu decyduję. - W głosie Kota zabrzmiała twarda nuta.*

- *Rodzina zbyt późno otrzyma nasz list, by szukać pieniędzy. Nie mieszkają w Londynie. Kiedy się dowiedzą, będzie już po wszystkim.*

- *Granville'owie zapłacą.*

- *Nie napiszemy do Granville'ów - powtórzyła Mysz. - Będą jej oczywiście szukać, ale nie będą mieli pojęcia gdzie.*

Kot wzruszył ramionami.

- *Jeśli tego pragniesz. Ranisz mnie. Myślałem, że chcesz mieć mnie tylko dla siebie.*

- Ty pierwszy rzekłeś, co uczynimy z dziewczyną. Też mogłabym czuć się zraniona. Zgwałcisz ją. Napiżemy o tym w naszym liście. Dwanaście godzin, a potem... Kiedy dostaną list, dwanaście godzin dawno minie i Fleur Toogood nie będzie już pośród żywych.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Chciałbym powiedzieć coś i ledwie się ważę, milordzie - zaczął Lawrence niepewnie, kiedy jechali we dwóch z Dominikiem do dzierżawców, by wyjaśnić sprawę wysypiska ziemi, które na działkach tych poczciwców urządzili sobie robotnicy Noela DeBeauforta.

- Zawsze przecież mówisz mi prosto w oczy, co myślisz, nigdy się nie wzdragasz - zachęcił go Dominik. - Cenię sobie twoją szczerłość, nawet jeśli czasami bywa nieprzyjemna.

- Tym razem jest inaczej. To delikatna sprawa. Chodzi o Jane Weller... i o Kota. - Lawrence zamilkł skonfundowany.

- Skąd wiesz o Jane, na miłość boską? - Dominik przeraził się nie na żarty. - Kto ci powiedział? Moja matka?

- Nie, to panienka Chloe. Przez czysty przypadek. Poszedłem któregoś dnia do Domku Wdowy,

żeby sprawdzić stan okien. Lady Granville mnie wezwała. Do pokoju wbiegła Jane, nie wiedziała, że kogoś zastanie, i od razu, spłoszona, uciekła na mój widok, a że Chloe była akurat przy mnie i lubi mnie, to i niepytana wypaplała, kim jest Jane. To zacna dziewczyna, Jane.

- Nie rozumiem. - Dominik próbował uporządkować fakty, które jakoś nie składały mu się w całość. - Wbiegła, wybiegła i od razu wiesz, że „zacna”? Tego chyba już Chloe ci nie wypaplała.

Lawrence zaczerwienił się lekko.

- Jak już wydało się niechcący, że Jane mieszka w Domku Wdowy, milady opowiedziała mi jej historię i poprosiła, żebym czasami zabrał ją na spacer, dla zdrowia, bo biedaczka ciągle siedzi w zamknięciu. Chodziliśmy po ogrodach, miałem okazję lepiej ją poznać. Potem za zgodą lady Granville zacząłem zapraszać ją do siebie. Siadamy w bawialni, rozmawiamy. Pożyczam jej książki. Jane bardzo lubi czytać, zna się na matematyce. Szkoda, żeby taki bystry umysł miał się marnować. Lady Granville powtarza mi tylko, żebym nie nadużył zaufania dziewczyny, bo spotka mnie straszliwa kara. - Uśmiechnął się wesoło i Dominik parsknął śmiechem.

- Zapewne.

- A teraz chciałbym prosić o pozwolenie milord, bo chcę się o Jane starać.

- Zdaje się, że już się starasz, bez mojego pozwolenia. - Dominik wyprostował się w siodle. - Nie jestem ani ojcem, ani krewnym panny, ale czuję się za nią odpowiedzialny, dopóki mieszka pod

dachem mojej matki. Jeśli doszedłeś do wniosku, że ona jest dla ciebie, mogę tylko życzyć wam szczęścia. Ale uważaj, kiedy jest z tobą, jej bezpieczeństwo i życie są w twoich rękach.

- Tak jak życie i bezpieczeństwo Fleur Toogood w rękach milorda - szepnął Lawrence. - Żaden z nas nie popełni błędu.

- Nie, żaden z nas tego nie robi - przytaknął z namaszczaniem Dominik.

Lawrence, spłoniony i uśmiechnięty, wyglądał o dobre kilka lat młodziej niż zwykle. Zdawał się znacznie młodszy od Dominika, choć był jego równolatkiem.

- Wiem o uprowadzeniu Jane - podjął. - Widziałem bliznę na jej brodzie. Chciałem prosić, żeby jutro była obecna na balu, pośród służby i...

- Nie - uciał Dominik. - Co za pomysł? To zbyt niebezpieczne.

- Wiem, sam się o nią boję, ale Jane nie może ukrywać się w nieskończoność. Póki Kot nie zostanie ujęty, będzie dla niej zagrożeniem. Ona chce to zrobić dla siebie i dla innych.

Dominik pokręcił głową.

- Masz rację, oczywiście. Jane nie może czuć się bezpieczna, dopóki ten łotr czai się gdzieś w Londynie, ale nie możemy ryzykować jej życia.

- Kot jest mistrzem charakteryzacji, żadna z pańien nie potrafiłaby go rozpoznać. Trzeba znaleźć sposób, żeby się zdradził, ujawnił. Jeśli Jane pojawi się na balu, być może ją dostrzeże, straci głowę, uczyni jakiś nierozważny ruch. Będziemy obserwować...

- A jeśli uda mu się znowu porwać Jane i uciszyć ją na dobre?

- Będziemy czujni. Ty, milordzie, lord Nathan. Ja mogę przebrać się za lokaja, niezauważony wmieszać się między gości. Dość nas będzie, żeby strzec Jane i ani na chwilę nie spuszczać z niej oka.

- Nie dość. - Dominik jeszcze się wahał. - Chyba że... Mam przyjaciół, którym ufam całkowicie i którzy z ochotą nam pomogą.

- Jest jeszcze McGee i Butters, obydwaj oddani rodzinie.

- O nich nie pomyślałem, ale masz rację. Dodaj jeszcze Parkera, Śnieżynkę.

- Franklin Best - podpowiedział Lawrence i Dominik skrzywił się w odruchu zazdrości, ale zaraz się zreflektował.

- Oczywiście, Best i Noel DeBeaufort. To ludzie honoru i żaden z nich nie odmówi pomocy. A jeszcze kapitan Sommerfield, narzeczony Olivii Prentergast, który z rozkoszą pomści krzywdę wyrządzoną jego narzeczonej.

- A Bertie Crewe-Burns?

- Chyba żeby na tę okazję wytrzeźwiał. - Dominik machnął ręką. - Zapytam Nathana, co o tym myśli, ale przekonałeś mnie. Zbierzemy dość sił, żeby strzec Jane. Czeką nas ciężka praca, musimy się przygotować przed balem. Jedź sam do dzierżawców, powiedz, że jutro pojawię się osobiście, zajrzę do każdego domu.

- Będą szczęśliwi. Panie szczególnie - mruknął Lawrence.

- A niech cię, żartownisiu. - Dominik parsknął

śmiechem, zawrócił konia i ruszył z powrotem w kierunku rezydencji.

Przekląty Noel, kłął w duchu DeBeauforta. Jego sztuka najważniejsza. Nie liczy się dobro dzierżawców, nie liczą się nawet życzenia zleceniodawcy.

- Właśnie o tobie myślałem! - zawołał Dominik na widok architekta, który zbliżał się od strony rozrastającego się w straszliwym tempie ogrodu skalnego.

- Wiem wszystko - uprzedził ewentualne wyrzuty ze strony Dominika. - Wiem, skąd wracasz. Chciałem jak najszybciej zakończyć roboty, dlatego zrobiłem wysypisko na terenie, należącym do dzierżawców. To tylko kawałek łąki. Skończę ogród i moi ludzie uprzątną wszystko. Nie masz się o co pieklic.

- Owszem, mam. Co prawda, to nasze włości, ale powinieneś liczyć się z dzierżawcami. Na tej łące bawią się ich dzieci. Każ swoim ludziom już dzisiaj zrobić porządek. Nie będą pracowali przy twoim ogrodzie, póki nie wywiozą ziemi z łąki koło domów dzierżawców.

- Jak chcesz - powiedział Noel, nie okazując irytacji. - Zaraz ich tam wyślę.

- Będziesz jutro na balu? - Dominik zmienił temat i Noel, niefrasobliwa dusza, uśmiechnął się szeroko.

- Jakże mógłbym nie być na balu w Heatherly, szczególnie kiedy jest wydawany na cześć uroczej panny Toogood?

- Po co ja w ogóle pytam - odparował Dominik lekko, ale wcale nie podobał mu się pełen aprobaty

ton, jakim Noel mówił o Fleur. Prawdę mówiąc, jeśli idzie o Fleur, to niczyja aprobata nie była mu w smak. - To dobrze. Mogę liczyć na twoją pomoc w pewnej delikatnej sprawie?

Noel wiedział o Kocie i o liście z pogrózkami, który ukazał się w „Voice”. Zgodził się przyłączyć do „straży”.

- Trzeba pomyśleć, co zrobimy, jeśli coś złego się wydarzy - zauważył Noel. - Powinniśmy przygotować plan działania.

- Natychmiast ruszać na pomoc Jane Weller - powiedział Dominik. - Przede wszystkim nie spuszczać jej z oka ani przez chwilę. Będę rozmawiał ze wszystkimi, którzy mają jej pilnować.

- Poradzimy sobie - zapewnił Noel i odjechał szukać swoich ludzi, a Dominik ruszył w kierunku stajni. Zaraz miał się spotkać z Nathanem, a potem powinien porozmawiać z Fleur i wytłumaczyć jej, że nigdy dość ostrożności, zważywszy na zagrożenie.

Usłyszał tętent kopyt i między drzewami, oddzielającymi ogród Heatherly od reszty gruntów, pojawił się Nathan.

- Pomyślałem, że wyjadę ci na spotkanie, bo jak ciotki przestąpią próg domu, nie będzie czasu porozmawiać. Niedługo powinny tu być, tylko ich patrzeć.

Dominik skinął głową.

- Nie są takie złe - ciągnął Nathan. - Lubię przyglądać się im, kiedy są z matką. To ona zachowuje się jak najstarsza, najstateczniejsza z całej trójki.

Dominik pokrótce zrelacjonował bratu swoją rozmowę z Lawrence'em.

- Powiadasz, że się w niej zakochał? Jedyne raz, kiedy ją widział, to jak kazałeś mi ją wyprowadzić z domu. Ależ głupca ze mnie wtedy zrobiłeś. Nie miałem okazji za dobrze się jej przyjrzeć, ale na pierwszy rzut oka ładna dziewczyna. Może nadto poważna, ale miła i ma inteligentne spojrzenie. Całkiem ładna.

Dominik nie zamierzał omawiać z Nathanem zalet urody i umysłu Jane Weller.

- Cieszę się, że pochwalasz gust Lawrence'a. Wiesz, co mamy jutro robić?

- Tak, i chociaż uważam, że nie powinniśmy wystawiać dziewczyny na niebezpieczeństwo, przyłączam się do was. Możesz na mnie liczyć.

- Cieszę się. - Dominik poklepał brata po plecach. - A teraz druga sprawa...

- Jaki ja byłem głupi, licząc, że zapomniałeś.

- Fleur szanuje cię i podziwia.

- Zawsze wiedziałem, że ma doskonały gust.

Dominik skrzywił się. Irytowała go sowizdrzałska wesołkowatość Nathana.

- Przepraszam - zreflektował się tamten. - Powinieneś wiedzieć już, że lubię pleść byle co. Ja też bardzo szanuję Fleur.

- Tak? Ona naprawdę cię lubi. Skłania się ku tobie. Śmieje się serdecznie z twoich błazeństw i nigdy nie powiedziała o tobie jednego złego słowa. Wiem, że zaniósłeś jej kwiaty, kiedy ją zwymyślałeś, jak Chloe zniknęła.

- Kto ci o tym powiedział?

- Nikt. Widziałem bukiet. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek jakiegokolwiek kobiecie ofiarował kwiaty. Dziwisz się, że wyciągam wnioski?

- Nie.

Dominik czekał, że Nathan rozwinie zdanie, ale brat milczał jak zakłęty.

- Ona jest naprawdę bardzo miła - podjął więc. - Wykształcona. Potrafi się znaleźć w towarzystwie. Podziwia cię, ty ją podziwiasz. Oboje darzycie się nawzajem sympatią. Ona potrzebuje męża, a ty, chociaż może jeszcze o tym nie wiesz, potrzebujesz żony. Bylibyście doskonałą parą.

Nathan spojrział Dominikowi prosto w oczy.

- Matka obarczyła nas trudnym zadaniem, a ty chcesz wywiązać się z niego moim kosztem. Modlisz się, żebym ożenił się z Fleur.

Cóż Nathan może wiedzieć o jego modłach? - pomyślał Dominik.

- Sam czujesz słabość do Fleur, Dominiku. Kiedy zbliża się do niej jakiś mężczyzna, zachowujesz się tak, że wszyscy musimy się za ciebie wstydzić. Dlaczego się do niej nie zaczniesz zalecać? Oświadczyć się jej. Ja nigdy nie sprostam jej wymaganiom.

- Aha. - Dominik złapał brata za słowo. - Pokazała ci swoją listę, tak? To znaczy, że myśli o tobie poważnie.

- Listę? Nie pokazywała mi żadnej listy. Po co?

- Nieważne. Zapytaj Fleur, a na pewno chętnie ci ją pokaże.

- Owszem, Fleur zawróciła mi w głowie, może się w niej trochę zadurzyłem - przyznał Nathan - ale

ty jesteś w niej zakochany po uszy, na poważnie. Nie wykręcaj się. Kochasz ją i nie wiem, czemu nie zabiegasz o jej względy. Powiedz mi dlaczego?

Powoli zaczęło się ściemniać, w powietrzu czuło się przedwieczorny chłód. Dominik z nikim nie zamierzał rozmawiać o swoich uczuciach, nawet z Nathanem, ale był mu winien bodaj krztynę prawdy.

- Kilka dni temu brat Just znowu spotkał się w kaplicy z Jane Weller. Tym razem powiedziała mi znacznie więcej. Wybrałem się też na St. James Street. Liczyłem, że chłopak opowiedział Kotu o spotkaniu z mnichem, i byłem ciekaw, czy postać w habitie, węsząca po okolicy, ściągnie na siebie uwagę. Nikt mnie nawet nie zaczepił, z czego wniosek, że Harry słowem o nas nie wspomniał.

- Wystawiałeś się na niebezpieczeństwo i nic mi nie powiedziałaś. Jak myślisz, co teraz czuję?

- Gdybym ci się przyznał, uparłbyś się jechać ze mną i tylko mi przeszkadzał.

- Naprawdę? - Pytanie ociekało ironią. - To bardzo zajmujące. Mówiliśmy, zdaje się, o tobie i Fleur.

- Zamierzam dalej prowadzić śledztwo. Co więcej, rozmawiałem z bratem Cadwinem, który obiecał wyjednać mi posłuchanie u samego przeora. Chcę wstąpić do zakonu.

Nathan chwycił brata za ramię.

- Przeklęty tchórz! - krzyknął. - Teraz mam niezbity dowód, że kochasz Fleur. Kochasz i boisz się własnej namiętności, przeraża cię. Kiedyś już kochałeś, myślałeś może nawet o ożenku i spotkał

cię bolesny zawód. Teraz próbujesz ukryć serce pod habitem. Jasne, próbuj, ale przyrzekam, będę cię prześladował na każdym kroku, nie dam chwili spokoju.

Dominik nigdy jeszcze nie widział Nathana aż tak wzburzonego, zdumiała go gwałtowna reakcja starszego brata.

- Mylisz się. Nigdy nie kochałem. Jeśli mówisz o moim afekcie dla lady Vivian Simpson, to ci powiem, że byliśmy wtedy obydwój młodzi i głupi. Nigdy nie myślałem o niej poważnie.

- Wszystko jedno. - Nathan machnął ręką. - Nie chcę słyszeć, że wybierasz się do zakonu. Więcej o tym przy mnie nie wspominaj. Nigdy.

Dominik nic nie odpowiedział. Nie chciał przeciągać sprzeczki z bratem. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co myśleć.

- Czy to matka? - Nathan wyprostował się w siodle, próbując coś dojrzeć. - Tak, matka. Idzie tutaj. Obawiam się, że to nas szuka.

Dominik podrapał się po brodzie.

- Czego może od nas chcieć, jak ci się wydaje?
- Ciotki - zawołali bracia chórem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Lady Granville przystąpiła do Dominika z jednej strony, jej synowa z drugiej.

- Spróbuj przybrać inny wyraz twarzy - poradziła, zanim sprawdziła, jaką minę ma Nathan. - Nie ma powodów krzywić się i boczyć. Bierz przykład z małej Chloe, z jaką niecierpliwością wyglądała przyjazdu moich sióstr. Hattie i ja też się cieszymy, że są z nami.

Fleur zerknęła na młodszą lady Granville, ale nie zauważyła, by ta promieniała szczęściem.

Hattie pochwyciła spojrzenie Fleur.

- Niezwykłe, wspaniałe damy. A jednak nie potrafię się cieszyć. Niepokoję się innymi sprawami, jak my wszyscy.

Wróciwszy do domu, wszyscy rozsiedli się w salonie, czekając, kiedy zostaną wezwani przed oblicza ciotek.

- Miss Prunella Worth prosiła powtórzyć, że

wizyta jaśnie państwa nie może trwać dłużej niż kwadrans - oznajmił McGee zbolałym tonem, najwidoczniej zakłopotany treścią posłania. - Tylko panna Chloe i Raven mogą pozostać tak długo, jak będą chciały. Już są na górze u starszych pań - dodał.

- To dobrze - bąknęła Hattie bez wielkiego entuzjazmu.

- Panna Prunella jest bardzo kontenta z menu na kolację - dodała pani Skinner. - Szczególnie pochwaliła wybór jagnięciny, pod warunkiem, że będzie krucha. Znowu panna Enid najbardziej ucieszyła się na dziką gęś. Powiada, że jedzenie w ich własnym domu zależy od humoru kucharki, pani Whipple, jeśli mnie pamięć nie myli, i ma nadzieję, że w Heatherly będzie inaczej. A do buduaru, na przyjęcie rodziny, panie kazały podać wywar z ziółek, które przywiozły ze sobą, i ciasteczka, duży wybór ciasteczek, także przywiezionych z Bath, i nic więcej, żeby zostawić miejsce na kolację, jak się wyraziły.

- Och. - To był jedyny komentarz, na jaki zdobyła się starsza lady Granville.

- Wszystko w najlepszym porządku, milady - meldował McGee. - Na kolację podamy też turbota, wedle życzenia panny Enid, i homara, jak chce panna Prunella. Będą i jajka siewki w auszpiku. Szczęśliwie dostawcy spisali się znakomicie i mamy w kuchni, co trzeba. Jeszcze jakieś dyspozycje, milady?

- Skinner, zdążysz przygotować pudding z melasy? - zagadnęła Hattie nieśmiało. - Ciotki markiza za nim przepadają.

Pani Skinner skinęła skwapliwie głową.

- Tak jest, milady.

- I sernik. Nikt nie robi lepszego niż ty. A także koktajl na soku truskawkowym.

- Tak jest, milady.

- Co za wymagania. - Starsza lady Granville westchnęła, gdy pani Skinner i McGee wyszli z salonu. - Powiedz mi, Hattie, bo ty jedyna regularnie widzisz moje siostry, bardzo się zmieniły?

- Ani trochę.

- W niczym? - zainteresował się Nathan.

Hattie puściła jego pytanie mimo uszu.

- Ciekawam, kiedy po nas poślą.

- Uff! - prychnęła zawsze dbająca o maniery starsza lady Granville. - Daję im pięć minut, po czym powiem im przez McGee, że spotkamy się przy kolacji. Zachowują się jak dwie impertynentki i wiek ich nie usprawiedliwia. - Wyglądała ślicznie, ale była tak zirytowana, że lada chwila gotowa była wstać i wrócić do Domku Wdowy. - Byłam późnym dzieckiem. Mój ojciec zwykł nazywać mnie „wypadkiem”. Bo też przyprawiłam rodziców o niemąły wstrząs, pojawiając się na świecie dwadzieścia pięć lat po Prunelli. Nic dziwnego, że obie siostry traktowały mnie bardziej jak swoje dziecko niż siostrę, I dalej tak traktują. Najwyższy czas to zmienić.

- Brawo, pani matko! - zawołał Nathan.

- Co z tobą, Fleur? - zagadnął Dominik. - Powiedz, co się dzieje? Chora jesteś?

Fleur jakby ocknęła się ze snu na to pytanie, zamrugała kilka razy powiekami i potarła czoło.

- Lady Granville zrobiła wspaniałego marsa. Muszę koniecznie poćwiczyć podobną minę.

Całe napięcie prysło w jednej chwili i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nathan śmiał się najgłośniejszym, a Dominik spoznał na Fleur z najwyższym i nieskrywanym podziwem. Zupełnie nie rozumiała tego wspaniałego mężczyzny. Gubiła się w jego rozmaitych reakcjach.

- Jesteś tak rozkosznie, tak uroczo spontaniczna, Fleur - odezwała się lady Granville. - Bezpretensjonalna. Prawdziwy skarb z ciebie. Twój przyszły mąż będzie doprawdy szczęśliwym człowiekiem.

Fleur skromnie pochyliła głowę i spłoniła się na te pochwały. W tym momencie obydwaj Elliotowie zawołali chórem:

- Prawda, prawda!

Zmieszanie Fleur sięgnęło szczytu.

- Przyjdzie jeszcze poczekać, zanim ciotki wezwą nas do siebie - orzekła Hattie. - Musi minąć trochę czasu, zanim ziółka się zaparzy i „duży wybór ciasteczek” zawędruje z kuchni do buduaru - dodała, dobrze znając zwyczaje starszych pań, po czym zwróciła się do Fleur: - Czy już wiesz, że zajęły pokoje tuż obok ciebie, w tym samym korytarzu?

- Fleur to ma szczęście - zauważył z przekąsem Dominik.

W holu rozległy się pospiesznie i liczne kroki - bez wątpienia sznur służących niósł na górę tace z ciasteczkami.

- I pomyśleć, że takie zamieszanie powstaje z powodu dwóch starych kobiet. - Nathan westchnął i podkreślił: - Bardzo starych kobiet.

Fleur bardzo spodobały się „dwie bardzo stare kobiety” o bystrych, żywych oczach, które zdawały się bardzo dużo zauważać. Mało tego, niczego nie przegapiać.

- Starość to skarbnica wspomnień - powiedziała, spoglądając na Nathana, ale zwracając się do wszystkich zebranych. - Ogniwko, łączące nas z przeszłością. Jeśli ciasteczka podtrzymują żywotność obu pań i żywość umysłu, dajmy im wszystkie ciastka, jakie dać można... To jest... chciałam powiedzieć... są kultury, które czczą... swoich starców... bo...

- Młoda filozofka - rzekł Dominik, ale w jego głosie nie było nawet krzty kpiny. Natomiast w jego spojrzeniu Fleur dostrzegła coś, co kazało jej natychmiast pomyśleć o wielkim drapieżniku, który żarłocznie przygląda się potencjalnej ofierze.

- Mój syn jest cynikiem - stwierdziła lady Granville z niejaką rezygnacją.

- Przeciwnie - odezwał się Dominik. - Żywię dla Fleur ogromny szacunek. Podoba mi się, że ona z kolei czuje szacunek dla starych ludzi. Muszę przyznać, że dopisało nam wielkie szczęście, że mama zaprosiła Fleur i możemy ją gościć w Heatherly oraz wprowadzić w świat.

Fleur nie spodziewała się takiej apologii własnej osoby z ust Dominika.

- Zgadzam się z tobą całym sercem - przytaknął bratu Nathan.

- John bez wątpienia będzie tego samego zdania, kiedy wreszcie pozna Fleur - wtrąciła Hattie.

Adresatka tych pochwał była ogromnie zakłopotana. Gdy już doszła do siebie, powiedziała:

- Jesteście wyjątkową rodziną, najmiłszą, jaką znam, mojej, oczywiście, nie licząc, ale nie dam się zwieść pięknym słówkom, Nathanie i Dominiku, bo z was dwaj nicponie.

Lady Granville uśmiechnęła się, najwyraźniej zachwycona odpowiedzią Fleur.

- Czuję się śpiąca - oznajmiła niespodzianie Hattie. - Muszę odpocząć i się zdrzemnąć.

Fleur spojrzała na nią bacznie. Milady uczyniła to samo i obu zaświtała ta sama myśl w głowie. Przez ostatnie dni Hattie prawie nic nie jadła, piła tylko koktajle truskawkowe i odżywiała się sernikiem. A teraz nagle oznajmia, że musi odpocząć i podrzemać. W oczach lady Granville zabłyśły łzy, szybko odwróciła głowę, po czym wstała i, ku zdumieniu zebranego towarzystwa, nalała sobie kieliszeczek sherry.

- Fleur, Hattie? - zapytała, odwracając się i unosząc karafkę.

- Ja poproszę - ośmieliła się Fleur.

Hattie podziękowała.

Gdzieś z holu dobiegł odgłos kroków i podniesione głosy.

- Nie na pokojach - uciszył rwetes McGee. - Wszyscy wracają do kuchni, ale już. Zaraz tam przyjdę, rozmówię się z wami.

Wrzawa ucichła, kroki oddaliły się i nasrożony McGee po chwili pojawił się w salonie.

- Co się dzieje? - zapytał Dominik.

McGee skłonił głowę.

- Nic wielkiego, milordzie. Mała zmiana planów. Panny Worth postanowiły wypić popołudniową

herbatkę w samotności. To jest w towarzystwie panienki Chloe i kotki. Prosiły powtórzyć, że zejdą na kolację za półtorej godziny i że mają liczne pytania, na które oczekują odpowiedzi.

- Niech mnie kule biją - zachnął się Nathan. - Cholerna inkwizycja.

- Wyrażaj się - syknął Dominik i Nathan półgębkiem przeprosił. - Kochane cioteczki, zawsze te same. Za półtorej godziny. Cóż, niech i tak będzie. Zasiądziemy do stołu o oznaczonym czasie, a jeśli nie zejdą, będą musiały jeść same.

- Dominiku! Trochę szacunku dla starszych - upomniała go Fleur.

- Tobie mógłbym powiedzieć to samo. Jestem starszy od ciebie - odparował Dominik.

Fleur chciała coś powiedzieć, ale lady Granville ją powstrzymała.

- Uspokójcie się wszyscy. Zostawcie mnie samą, mam sporo do przemyślenia. I idźcie do swoich pokoi. Odpocznijcie i pomódlcie się, żeby kolacja przebiegła w miarę spokojnie.

McGee przestąpił z nogi na nogę.

- O co chodzi? - zapytała lady Granville.

- Chciałbym, jeśli można, porozmawiać na osobności z lordem Nathanem i lordem Dominikiem - powiedział, rzucając naglące spojrzenia w stronę braci.

- Chodzi o moje siostry? - dociekała lady Granville. - Jeśli tak, ze mną powinieneś mówić.

- Teraz? Tutaj? - McGee jeszcze się wahał, nikomu nie chcąc uchybić.

- Owszem. Jesteśmy w rodzinnym gronie. - Mi-

lady spojrzała na Fleur. - Ciebie też wliczam - dodała.

- Dobrze. W takim razie powiem. Otóż panna Prunella odbyła ze mną rozmowę na osobności. To jest, niezupełnie, bo panna Enid była przy tej rozmowie obecna. - McGee odchrząknął. - Mam mówić dalej?

- Absolutnie - upewniła go markiza.

- Obawiam się, że tylko panowie rozumieją, co mam do powiedzenia.

Na ustach Hattie pojawił się domyślny uśmiešek, natomiast Fleur odniosła wrażenie, że zaraz pęknie z ciekawości.

- Och, nie myślisz, że... Chyba nie... - Nathan wstał, podszedł do brata, szepnął mu coś do ucha i obydwaj parsknęli śmiechem.

- Mów wreszcie, McGee, cokolwiek masz do powiedzenia. - Milady spojrzała na synów z wyrażonym niesmakiem. - Dość tych wstępów.

- Panny Worth pragną odwiedzić Jackson's Rooms - oznajmił McGee dobitnym głosem, jakby ogłaszał Dzień Sądu. - Chcą zobaczyć boks, a nawet posunęły się do tego, że gotowe obstawić walkę.

Lady Granville zrobiła wielkie oczy.

- Musiałeś się chyba przestyszeć albo ja się przestyszałam.

- Nie sędzę, proszę mamy - powiedział Dominik, a Fleur miała na tyle przytomności umysłu, by powściągnąć uśmiech. - Uważam, że przez ciotki przemawia zupełnie niewinna i nieszkodliwa ciekawość. Poza tym niech mama pamięta, że to właśnie

rozmaite zainteresowanie i hobby pomagają nam zachować młodość.

- Hobby? - Głos milady zabrzmiał dziwnie słabo. - Bijatyka na pięści i hazardowanie się w Jackson's Rooms nazywasz hobby?

- Przynajmniej nie zaproszą zwycięzcy do swoich pokoi jak...

Ostatnie słowa Nathana zostały zagłuszone przez zgodny chór głosów, a Dominik zrobił gest oznaczający, że zaraz udusi błaznującego brata.

- Wstydz się, Nathanie - skarciła szwagra Hattie, ale kąciki ust niebezpiecznie jej drgały.

- Uhm... - chrząknął McGee. - Co mam odpowiedzieć pannom Worth? Spieszę dodać, że życzą sobie, by pan Jackson urządził walkę wyłącznie dla nich, chcą obstałować prywatny pojedynek, że tak się wyrażę.

- Zupełnie niepotrzebnie zwróciły się z tym do ciebie - rzekł Dominik. - Zapomnij o ich prośbie. Jeśli jeszcze raz wspomną coś na ten temat, przychodź prosto do mnie.

McGee potoczył po zebranych niepewnym wzrokiem i z godnością wycofał się z salonu. W drzwiach dodał jeszcze:

- Proszę nie zdradzać, że ośmieliłem się przekazać państwu, jakie polecenie otrzymałem. - Wyszedł do holu i zaraz się cofnął. - Byłbym zapomniał. Kolacja będzie podana w purpurowej jadalni. Panie proszą, by ubrali się państwo stosownie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Pojedziesz ze mną dziś na St. James Street - mówił Dominik ściszym głosem. - Chciałbym raz jeszcze się tam rozejrzeć.

- Jestem gotów - zgodził się natychmiast Nathan. - Zaraz po kolacji najmę fiakra i będę czekał na Roman Lane. Zamierzasz się przebrać?

- Obaj będziemy musieli to zrobić. Dostałem od brata Cadwina habit i dla ciebie. W swoich ubraniach moglibyśmy zostać łatwo dostrzeżeni, zapamiętani, może nawet napadnięci, a tak nasuniemy kaptury na twarze. Jeśli kogoś zainteresuje nasza obecność w okolicy, to wyłącznie Kota.

- Ach, tak. - W głosie Nathana nie było słyhać wielkiego entuzjazmu.

- Ale i to niekoniecznie - ciągnął Dominik. - Jeśli Harry ujrzy dwóch zakapturzonych mnichów, zamiast mnicha i młodego dżentelmena, nie musi ich z nami skojarzyć.

Nathan chwycił brata za ramię.

- Posłuchaj, pojedę dzisiaj z tobą i postaram ci się pomóc, jak tylko potrafię. Musisz mi jednak obiecać, że nie będziesz więcej opowiadał głupstw o wstępowaniu do zakonu. Jeśli już, powiedz raczej, że chcesz skryć się przed życiem i uciec do zakonu, a i to byłoby niedorzeczne.

- Jestem w najwyższym stopniu zobowiązany, że zechciałeś podzielić się ze mną swoją opinią na ten temat, Nathanie. A teraz pomówmy o jutrzejszym dniu, to ważniejsze. Wierzę, że nic złego się nie stanie, pod warunkiem, że każdy z nas będzie robił dokładnie to, co do niego należy. Wierzę też, że Kot się pojawi i że uda mi się go schwytać.

- Niepokoję się o bezpieczeństwo Jane - przyznał Nathan.

- Myślisz, że ja nie? Ten łajdak wyrządził już dość krzywd. Będziemy mieli baczenie na Jane i jeśli tylko Kot spróbuje jej tknąć, przyłapiemy drania.

- Na wszelki wypadek osiodłane konie będą czekały w pogotowiu.

- Chyba wiem, gdzie Kot ma swoją kryjówkę.

- Co?! - krzyknął Nathan. - Czemu nic mi nie powiedziałaś? Skąd wiesz?

- Miałem trochę szczęścia, to wszystko. Któregoś wieczoru zobaczyłem Harry'ego i ruszyłem jego śladem. Dzisiaj ci pokażę, którądy i dokąd szedł. Zdziwisz się. A teraz się rozejdźmy, chciałbym w samotności odetchnąć nieco przed kolacją.

- Kolacja, to ma być kolacja - rzekł Nathan. - Dlaczego los jest dla nas taki okrutny? Czy nie mamy dość zmartwień?

Kiedy Nathan odszedł, Dominik usiadł na kamiennej ławce pod drzewkiem w oranżerii.

Opat miał podobne zastrzeżenia co Nathan. Mąż świątobliwy poradził Dominikowi, żeby się modlił i raz jeszcze wszystko dokładnie przemyślał, zanim podejmie ostateczną decyzję. Powiedział też, że Dominik dalej będzie mógł pomagać pokrzywdzonym, jak to czynił dotychczas. Miałyby oczywiście swoje codzienne obowiązki jak każdy brat, ale wypełniwszy je, mógłby wychodzić poza klauzurę.

Czy tego właśnie pragnął?

Usłyszał lekkie kroki, szelest spódnic i po chwili Fleur siedziała już obok niego na ławce.

- Byłam tutaj, za fontanną - oznajmiła bez zbędnych wstępów, głos tylko drżał jej mocno. - Słyszałam całą waszą rozmowę.

Niech licho porwie tę pannicę!

- Rodzice nie nauczyli cię, że nie należy podsłuchiwać? Jeśli nie będziesz podsłuchiwała cudzych rozmów, nie będziesz wiedziała o sprawach, o których wiedzieć nie powinnaś. I nie będziesz musiała bać się o innych. Proste?

- Zrób to dla mnie i nie wyprawiaj się dzisiaj na St. James Street, Dominiku. Nie uganiaj się za Kotem. Groził, że zacznie zabijać, i mam mocne podejrzenia, że nie uczyni mu wielkiej różnicy, czy ma zabić kobietę, czy mężczyznę. Proszę cię, zadbaj o własne bezpieczeństwo.

To go właśnie przerażało: uzależnienie od kobiety, jej lęk o jego bezpieczeństwo. Całe jego dotychczasowe życie musiałyby się odmienić.

- Nie martw się o mnie i zajmij się swoimi problemami.

- Ty jesteś moim problemem.

Fleur musiała chyba rozumieć, jak śmiało sobie poczyna, uznał Dominik.

- Pamiętaj, nikomu ani słowa o tym, co tutaj usłyszałaś. Nie pomożesz niepotrzebnym gadaniem, a zaszkodzić zdecydowanie możesz.

- Nigdy nie uczynię niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Możesz mnie łąać, napominać, możesz się złościć, a i tak będziesz dla mnie kimś ważnym.

- Uważaj - ostrzegł ją burkliwym tonem, ale serce zabiło mu mocniej. - Nie składaj takich deklaracji, nie ujawniaj pochopnie swoich uczuć, bo to czyni człowieka bezbronnym. Chyba że znajdziesz mężczyznę, z którym będziesz gotowa spędzić życie, wtedy, owszem, możesz otworzyć przed nim duszę.

Fleur nic nie odpowiedziała.

- Myśl raczej o jutrzejszym balu. Zobacysz, jaki będzie wspaniały.

- Kim jest Jane Weller? Wiem o niej coś niecoś, ale nie wszystko.

- I niech tak zostanie. W ogóle nie powinnaś wiedzieć nawet o jej istnieniu. To niebezpieczne zarówno dla niej, jak i dla ciebie. Rozumiesz? - Wolał nie uświadamiać Fleur, że ma niemal tyle samo wiadomości o Jane, co on sam.

Odwróciła się ku niemu bez słowa, ujęła jego twarz w dłonie, a potem wstała, pocałowała go w czoło, w kącik ust, w końcu w szyję.

- Fleur...

- Nie mów nic. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Pójdę już.

Kiedy weszła do sieni, Hattie odciągnęła ją na stronę.

- Musimy być dzielne. Dla naszych mężczyzn - oznajmiła z mocą. - Matka poczyniła kilka uszczyp-
liwych uwag na temat zachowania ciotek i miała rację. Jeśli tak dalej pójdzie, nasi panowie nie zdzierzą i nieszczęście gotowe.

Fleur nie bardzo zrozumiała, do czego Hattie zmierza.

- Nieszczęście? Jakie nieszczęście? - przestraszyła się. Dominik i Nathan nie zamierzali chyba zgładzić niezdolnych staruszek. - Nie... nie uciekną się do przemocy?

- Nie - Hattie pokręciła głową - ale mogą wymyślić jakiś głupi żart.

- A co my możemy zrobić w tej sytuacji? I czego się spodziewać?

Hattie poklepała Fleur po dłoni.

- Ja już przeszłam przez „inkwizycję”, jak to określa Nathan. Będę przy tobie i będę cię wspierać, kiedy posypią się pytania, ale ty musisz mi pomóc w czasie kolacji. Boję się, że Dominik i Nathan będą chcieli za wszelką cenę dokuczyć ciotkom.

Fleur dawno już doszła do wniosku, że życie Granville'ów jest niezmiernie skomplikowane. Jak dla niej, zbyt skomplikowane.

- Możesz na mnie liczyć - obiecała solennie mimo wszystko.

Hattie położyła dłonie na brzuchu.

- Te dwa diabły gotowe wyśpiewywać przy stole sprośne piosenki.

Fleur wciągnęła głęboko powietrze.

- Możemy im przeszkodzić? Cokolwiek zrobimy, będzie jeszcze gorzej.

- Można, na przykład, zemdleć. - Hattie przygryzła wargę, żeby nie parsknąć śmiechem, ale szybko się opanowała. W końcu sytuacja była skomplikowana i wymagała absolutnej powagi. - Mówię serio - zapewniła. - I to ty, niestety, będziesz musiała zemdleć. Sama chętnie bym to uczyniła, ale z pewnych powodów, których wolałabym nie wyłuszczać, po prostu nie mogę mdleć dla cioteczek. Wyjaśnię ci to później. Po powrocie Johna z Wiednia.

- Uhm. - Fleur uśmiechnęła się pod nosem. Ani chybi Hattie oczekiwała dziecka i w swojej naiwności sądziła, że nikt z domowników nie odgadł jej tajemnicy, którą pierwszy poznać miał, oczywiście, mąż i szczęśliwy przyszły ojciec.

- Nie wiem, co prawda, jak Nathan radzi sobie z omdleniami - ciągnęła Hattie - bo Dominik wprost doskonałe. Okazuje galanterię i troskliwość w najwyższym stopniu. Jak zobaczy, że osuwasz się bez czucia z krzesła, rzuci ci się zaraz na ratunek i sprośna piosenka tym sposobem zamrze mu na ustach.

- Uhm. - Fleur wyobraziła sobie, jak Dominik chwyta ją na ręce, podnosi... - Nie wiem, czy potrafię zemdleć na zawołanie.

- Na pewno. Odwagi - szepnęła Hattie i poklepała Fleur po plecach.

W tym samym momencie pojawił się na widno-

kręgu Dominik, niespiesznym krokiem powracający z oranżerii.

- Hattie... Fleur... - Z uśmiechem skłonił głowę po dwakroć.

Zamierza wstąpić do zakonu. Czyżby poczuł powołanie? A może chce uciec przed obowiązkami, które nakłada nań rodzina, życie? Czy tak bardzo boi się odpowiedzialności za przyszłą żonę i dzieci, że woli wycofać się ze świata?

- Spójrzcie tylko: służba się uwija, jakbyśmy wydawali przyjęcie na pół Londynu.

- Dla ciotek to naprawdę wielkie wydarzenie - powiedziała Hattie. - Za mojej pamięci ani razu nie wyjeżdżały z Bath.

- Cóż to jest, za twojej. To bagatela - rzekł Dominik. - Nasza, niestety, sięga dużo dalej. Matka je psuje, ot co. Spełnia wszystkie ich zachcianki, toleruje humory. Dwie stare sowy.

- Dominiku! - Uśmiech, co sam z siebie wykwitł na pięknym liczku Hattie, przeszkodził jej zagrać zgorzenie jak się należy.

Przez sień nieustannie przewijały się pokojówki, służące, lokajczycy.

- Gdzie matka? Gdzie Nathan? - irytował się Dominik. - Skaranie boskie, uczciwszy wasze uszy. Dlaczego go tu nie ma z nami?

- Zapytam, jak tylko się pojawi - obiecała Hattie najniewinniejszym tonem. - Matkę widziałam w salonie, ale już jej tam nie ma.

- Skaranie... już było. Tak to jest, że w najtrudniejszych chwilach człowiek się przekonuje, że nie może liczyć na najbliższych. Powiedz mi, czy twoja

rodzina bardzo jest z sobą zżyta? Jesteście lojalni jedno wobec drugiego, solidarni, oddani sobie, kiedy przychodzi czas próby?

- Jesteśmy - stwierdziła Fleur krótko, oszołomiona krasomówczym atakiem Dominika. - Nikomu z nas nie przyszłoby do głowy upatrywać w kolacji z krewnymi czasu próby.

- Możemy zmienimy temat - zaproponowała Hattie na wszelki wypadek.

Dominik wyjął z kieszonki zegarek i położył go na dłoni.

- Dziesięć minut po czasie - oznajmił. - Siadajmy do stołu. Ktoś musi być pierwszy.

- Naprawdę chcesz iść prosto do jadalni? - strapiła się Hattie. - Raczej zaczekajmy w salonie, jak gdyby nigdy nic. Dla świętego spokoju.

- Ja idę do jadalni - powiedział stanowczo Dominik. - A wy róbcie, jak uważacie.

Fleur zerknęła pytająco na Hattie.

- Chodźmy - skapitulowała markiza.

Cała trójka weszła do sali jadalnej. Stół nakryty śnieżnobiałym obrusem był pięknie ozdobiony kwiatami, skrzącymi się kryształami i rodowymi srebrami, które połyskiwały w blasku licznych świec. Nathan, siedzący między ciotkami, poderwał się z miejsca.

- Lepiej późno niż wcale - powiedział z tyleż radosnym co denerwującym uśmiechem. - Ciocia Prunella i ciocia Enid nie mogły się już doczekać, kiedy zaczniemy jeść.

- Ja także - dodała markiza, zajmująca miejsce naprzeciwko panny Enid.

- I ja podobnie - zawtórował jej Nathan.

- Zdrajca - syknął Dominik, tak że tylko Hattie i Fleur mogły usłyszeć. - Bawi się wyśmienicie, ale zważcie, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni - dodał jeszcze ciszej.

- Dobry wieczór droгим cioteczkom - powiedział głośno. - Mam nadzieję, że drogie cioteczki zdążyły odpocząć po trudach podróży.

Ciotka Prunella podniosła lorgnon do oczu i nachyliła się nad talerzem.

- Widzisz tu coś, Enid? - zwróciła się do siostry.

Ciotka Enid zanurzyła delikatnie łyżkę w zupie.

- Nie jestem pewna - odparła głosem, który w uszach Fleur zabrzmiał jak kwakanie. Stara dama zwróciła spojrzenie ciemnych oczu, otoczonych siateczką zmarszczek, na Dominika. - Spóźniłeś się, chłopcze.

- Mam! - wykrzyknęła ciotka Prunella. Szybki ruch łyżki, potem przetarcie serwetką... i powróciła do jedzenia.

Z nimi jest niedobrze. Jak rodzina może się irytować na dwie staruszki, które nie wiedzą, co czynią? Fleur serdecznie im współczuła.

- Panie zapewne zmęczone po podróży - zagadnęła grzecznie. - Moja babcia bardzo łatwo się męczy, kiedy jest zmuszona podróżować.

- Twoja babcia? - Ciotka Prunella skierowała na Fleur swoje lorgnon. - Tak, na pewno się męczy, biedaczka. Zapewne jest wiekowa. No i miała dzieci.

Dominik nachylił się do Fleur.

- Bardzo dobrze - szepnął i w tej samej chwili ciotka Prunella pacnęła go w plecy otwartą dłonią.

- Nie szepcze się w towarzystwie, młodzieńcze. Henrietto, moja kochana, twój mąż absolutnie nie miał prawa umierać tak młodo i zostawiać ci trud wychowania tych barbarzyńców.

- Barbarzyńców! - oburzył się Nathan. - Barbarzyńców, cioteczko Pru? A ja myślałem, że cioteczka za nami przepada.

- Jak ty się zwracasz do mojej siostry, nicpo-
niu jeden? - interweniowała natychmiast ciotka Enid. - Brak szacunku, całkowity brak szacunku. Żeby mi to było pierwszy i ostatni raz. Droga Henrietto, nie wiedziałyśmy, że chłopcy zrobili się tacy krnąbrni. W Bath zachowywali się grzecznie.

- Jaka pogoda ostatnio w Bath? - zagadnęła lady Granville słodkim, spokojnym tonem.

- Łagodny klimat Bath musi widać zbawiennie działać na chłopców - stwierdziła ciotka Enid, nie dając się tak łatwo odwieść od raz podjętego tematu. - Siarka, która idzie z solanek do powietrza, ma uspokajające działanie, albo coś takiego.

- Cioteczki powinny korzystać z tego, że mieszka u wód - odezwał się Nathan. - Boggs mógłby wozić cioteczki do pijalni w łazienkach.

Zapadło ciężkie milczenie, które po dłuższej chwili przerwała wreszcie ciotka Prunella.

- Nie udzielaj nam świątłych rad, Nathanie. Nigdzie nie będziemy wożone. Doskonale wiesz, że w naszym domu nie wspomina się nawet o pijalni i łazienkach. Henrietto, czy mogłabyś...

- Tak, wiem. Zawsze byłam tego samego zdania. Nathanie, zupa ci wystygnie.

- Już wystygła - poinformował Nathan matkę bardzo grzecznie.

- Henrietto! - Głos ciotki Enid wzniosł się nad inne. - Zanim zapomnę, moja droga. Powiedzże, jak tam twoje malowanie?

Lady Granville miała nieszczęśliwą minę.

- Dziękuję.

- Prunella i ja nie możemy się wprost doczekać, kiedy zobaczymy twoje obrazki. Nad czym teraz pracujesz? Zdradzisz nam?

- Nigdy nie rozmawiam na ten temat - odparła lady Granville zdecydowanym tonem.

- Ależ proszę mamy - odezwał się Nathan, najwyraźniej niepomny tego, że ściąga na siebie nieszczęście. - Przecież wszyscy wiemy, że co rano każe mama przynosić sobie świeże owoce i warzywa. I kwiaty. Na pewno maluje mama śliczne wprost rzeczy i zgadzam się z cioteczkami: powinna mama bezwzględnie pokazać nam swoje dzieła.

- Tak uważasz? A ty nie masz nic, co chciałbyś zachować wyłącznie dla siebie? Nie lubię robić z siebie widowiska.

Nathan odchrząknął i wbił spojrzenie w talerz. Nic nie odpowiedział.

- A ciebie kto rodził, Jagódko? - Panna Prunella wpiła przenikliwe spojrzenie we Fleur.

- I bęc - mruknął Dominik. - To pytanie musiało paść. Prędzej czy później.

Fleur pomyślała, że tak zapewne zaczynały się przesłuchania Świętego Oficjum.

- Moimi rodzicami są wielebny Toogood i pani Toogood z Sodbury Martyr w Cotswolds Hills. Mam

cztery siostry. Leticia jest starsza ode mnie, Rosemary, Zinnia i Sophie idą po mnie.

- Córka wiejskiego pastora. Panna w poszukiwaniu dobrej partii dla poprawienia sytuacji majątkowej rodziny - podsumowała ciotka Enid.

Fleur spojrzała jej prosto w oczy i odparła hardo:

- To jest główny powód, żeby bywać w świecie, udawać, że polubiliśmy ludzi, których wcale nie uważamy za miłych, i prowadzić rozmowy z pozbawionymi manier sobkami. Lady Granville i moja matka przyjaźnią się od lat i milady, w swojej wielkoduszności, postanowiła urządzić mi debiut w czasie londyńskiego sezonu. Mojej rodziny nie byłoby na to stać.

Na twarzy ciotki Enid pojawił się niespieszny uśmiech.

- Oto rozumna odpowiedź. Brawo, moja panno. Pierwszy plus dla ciebie.

A więc to dopiero początek, pomyślała Fleur ze zgrozą.

- Dajże spokój, Enid - zmitygowała siostrę lady Granville. - Nie zapraszałam was tutaj po to, żebyście zameęczały teraz dziewczynę pytaniami.

- W ogóle nas nie zapraszałaś - sprostowała Prunella, podnosząc głowę. - Jesteśmy, bo doszłyśmy do wniosku, że zło dzieje się w tej rodzinie i trzeba przedsięwziąć radykalne kroki, zanim dojdzie do nieszczęścia.

- O jakim nieszczęściu cioteczka mówi? - zapytał Nathan. - Co, zdaniem cioteczki, może się nam straszliwego przytrafić?

Tylko nie śpiewajcie, proszę nie śpiewajcie,

błagała w myślach Fleur, nerwowo zaciskając dłonie pod stołem.

- Przyjechałyśmy, by wy badać, co się tu właściwie dzieje, bo wiemy, że coś się dzieje i że coś przed nami ukrywacie. Uznałyśmy tedy po rzetelnej naradzie, że musimy poznać waszą tajemnicę i zapobiec za wszelką cenę zbliżającej się katastrofie. Możecie nic nie mówić - poinformowała łaskawie rodzinę - skoro uważacie, że tak mądrzej. My i tak dojdziemy prawdy.

Przy stole zapadła cisza; służba zmieniła nakrycia, wniesiono mięsiwa. Fleur miała ochotę uciec, tym bardziej że ilekroć podnosiła wzrok, widziała utkwione w siebie chmurne spojrzenie Dominika.

- Jutro wydajecie bal, mam rację? - przerwała milczenie ciotka Enid.

- W rzeczy samej, wiesz przecież - odparła lady Granville, ostatkiem sił zachowując spokój. - Powiedziałam wam o tym zaraz po waszym przyjeździe. Oczywiście musicie uczestniczyć w balu, na pewno spodobają się wam dekoracje, a i zadbaliśmy z Hattie o to, by nikt nie skarżył się na jedzenie.

- Ja wystąpię w hiacyntowym - oznajmiła ciotka Prunella - A Enid w starym złocie. Zawsze uważałam, że doskonale jej we wszystkich odcieniach żółci. Właściwie to bardziej wyblakły zachód słońca niż stare złoto.

- Żaden wyblakły, żaden wyblakły - obruszyła się ciotka Enid. - I nie zachód słońca, tylko kolonialny musztardowy, mówiąc dokładnie.

Fleur wyobraziła sobie pannę Enid w kolonialnym musztardowym i przeszedł ją dreszcz.

- Wspaniale. - Hattie przerwała sprzeczkę między siostrami. - Jutro wszyscy będziemy się świetnie bawić. Zobaczycie, ilu konkurentów będzie się ubiegało o względy panny Toogood, bo panna Toogood jest największą atrakcją tego sezonu.

Ciotki odłożyły sztucce i wpiły we Fleur badawcze spojrzenia.

- Piękna, to prawda - przyznała w końcu Parnella. - Szczęśliwie nie ma piegów, jak to zwykle bywa przy rudych włosach i jasnej cerze. Nie dziwota, że mężczyźni do niej ciągną niby jelenie do łani w rui.

Dominik poderwał głowę.

- Ciociu Prunello! Takie uwagi są absolutnie nie na miejscu. Są niegrzeczne, niestosowne i obrażają uczucia panny Toogood.

- A ty dbasz nadzwyczajnie o uczucia panny Toogood, jak widzę? - odezwała się ciotka Enid. - Takem też myślała. Wiesz przecież, że matka panny Toogood pochodzi z bardzo dobrej rodziny, ale została wydziedziczona i wyklęta, kiedy wyszła za wielebnego Toogooda.

- I teraz są biedni jak kościelne myszy - dodała ciotka Prunella.

Fleur, zamiast poczuć się upokorzona i zawstydzona, zirytowała się.

- Wszystkiego się wywiedziałyśmy - ciągnęła ciotka Enid. - Najstarsza córka zaręczona z synem dziedzica, ale do ślubu nie dojdzie, bo ojciec panicza nie chce dla jedynaka panny bez grosza przy duszy.

- Każdy chciałby mieć taką żonę jak Leticia! - wybuchnęła Fleur. - Christopher dobrze o tym wie, a dziedzic, jeśli w porę nie zrozumie, jaką krzywdę wyrządza narzeczonym, straci syna. Dziw mnie bierze, skąd szanowne panie tyle wiedzą o mojej rodzinie.

Zamilkła, zła na siebie, że dała się ponieść złości. Jeśli ciotki znały rodzinne tajemnice Toogoodów, to tylko z jednego źródła: z listu leżącego na sekretarzyku w jej pokoju.

- Rodzinna lojalność to rzecz bardzo chwalebna - stwierdziła ciotka Enid, ani na chwilę nie tracąc kontenansu. - A skąd wiem? Tutaj rzucone słowo, tam list pozostawiony na wierzchu. W domu, gdzie pracuje dużo służby, nie ma sekretów. Jakie wiano możesz wnieść w małżeństwo, panno Toogood?

Hattie jęknęła cicho.

- Żadne. Ani grosza. - odparła Fleur krótko. - Jeśli w ogóle wyjdę za mąż, w co wątpię, to tylko za kogoś, kto zechce mnie dla mnie samej, dla mojego charakteru oraz dla mojej dlań miłości, lojalności i przyjaźni.

Zapadła głucha cisza, pośród której rozległo się ciche chlipnięcie, pociągnięcie nosem i Fleur ze zdumieniem dojrzała łzy w wyblakłych oczach obu starszych pań.

- Czyż to nie było piękne, Enid? - zwróciła się Prunella do siostry. - Wierzę jej. Musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, moja droga, by znalazła godnego kandydata na męża.

- Nie spoczniemy, póki nie osiągniemy celu - od-

parła Enid. - Henrietto, siostrzyczko, jesteś mądrą kobietą. Poszukaj męża dla panny Toogood. Oto nasza misja. - Trzy siostry uścisnęły sobie dłonie, przypieczętowując przymierze.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Musiła się spieszyć, jeśli chciała zdążyć. Fleur, tłumacząc się bólem głowy, wstała od stołu przed innymi. Przebrać się, skryć w szafie na korytarzu obok drzwi, prowadzących do pokoi Dominika, to nic wielkiego w porównaniu z tym, co czekało ją później.

Na szczęście wcześniej już powiedziała Śnieżynce, że nie będzie jej potrzebowała wieczorem. Nie chciała narażać subretki, która, usłyszawszy o planowanej eskapadzie, z pewnością upierałaby się przy tym, żeby towarzyszyć Fleur.

Poza tym to zapewne Śnieżynka zdradziła ciotkom treść listów, które nadeszły z Sodbury Martyr. Któż inny miałby do nich dostęp? Fleur przykro się zrobiło na myśl, że ulubiona sługa nadużyła jej zaufania. Poczowała się jeszcze bardziej osamotniona.

Kiedy Nathan i Dominik wymkną się tajnym przejściem, ona, Fleur, będzie musiała się pospie-

szyc. Wiedziała już, którego konia weźmie. Miała przy sobie pistolet i była zdecydowana go użyć, gdyby przyszło jej stawać w obronie Dofninika... i Nathana, ma się rozumieć.

Fiakier powolniejszy od wierzchowca, wiadomo, ale i tak bracia będą mieli nad nią przewagę. Na szczęście natura wyposażyła Fleur w doskonały zmysł orientacji. Poza tym znała już drogę do centrum Londynu, a na planie miasta w bibliotece odnalazła nawet St. James Street.

Wychodzą. Doszło ją skrzypnięcie otwieranych drzwi i szmer głosów.

Kiedy Fleur usłyszała, że kłapa w podokiennej ławce, maskująca wlot do tajnego przejścia, się zamyka, wyslizgnęła się z szafy, podbiegła do ławki i przyłożyła ucho do drewnianego wieka.

Odczekała chwilę, a kiedy kroki przycichły, uniosła wieko, natężając się z całych sił. Ostrożnie wyczuła stopą pierwszy schodek, potem następny. Mogła podążyć za braćmi, ale zamknąć za sobą ciężkiej, opartej o ścianę kłapy już nie była w stanie.

Zaczęła powoli schodzić, przytrzymując się dłonią ściany. Pierwsze stopnie oświetlało jeszcze mdłe światło padające z korytarza, ale dalej musiała posuwać się po omacku.

Kiedy pokonała jeden poziom i stanęła na podeście następnego, dojrzała w dole przed sobą słabe, migotliwe światło świecy. Kolejny trakt wąskich schodów doprowadził Fleur na parter, ale schody biegły dalej, najwidoczniej do podziemnego przejścia.

Po chwili usłyszała głuchy ni to szczęk, ni łoskot.

Nathan i Dominik musieli wyjść na zewnątrz, zamykając przejście i pozostawiając ją samą, w ciemnościach. Jak w grobowcu. Mogłaby tu umrzeć i pewnie nikt nigdy nie odnalazłaby jej ciała.

Ależ z niej idiotka! Zrobiła kilka kroków, otarła boleśnie przedramię, szarpnęła się i uderzyła skronią o kamienny występ. Krzyknęła i poczuła, że z czoła spływa po policzku krew.

Nie pozostawało jej nic innego, jak iść dalej przed siebie. Tunel skończył się w pewnym momencie. Podniosła ręce i wyczuła płytę kamienną nad głową, w niej osadzony metalowy pierścień. Chwyciła pierścień obydwoma dłońmi, pchnęła z całych sił, ale płyta nawet nie drgnęła.

Dała sobie spokój z pierścieniem i teraz dla odmiany zaczęła pchać płytę przy krawędziach, to jednej, to drugiej, po kolei, na chybił trafił. Spociała się z wysiłku, przy kolejnej próbie płyta w końcu przesunęła się odrobinę, tyle że w prześwicie Fleur dojrzała ołowiane niebo nad głową i poczuła świeże wieczorne powietrze.

Nie wydostanie się stąd za nic. A nawet jeśli, to nie dogoni Nathana i Dominika. Miała ochotę się rozpłakać, ale płacz oznaczałby kapitulację, a ona nigdy się nie poddawała.

Nie, musi się wydostać, żeby nie wiem co. Przynajmniej tyle dokona.

Wspięła się na palce, policzyła do trzech i naparła z całych sił na płytę; kamień obrócił się, zachwiało niebezpiecznie...

Fleur odskoczyła pod ścianę, zasłoniła rękoma głowę i krzyknęła.

To, co wydarzyło się potem, stało się tak szybko, że zupełnie straciła orientację. Płyta zatrzymała się i zamiast runąć na nią, zniknęła w otworze. Ktoś się nachylił, chwyciły ją jakieś silne ręce i wyciągnęły spod ziemi. A potem ten ktoś zamknął jej usta dłonią, chwycił ją w pól i zaczął z nią uciekać.

Wierzała, kopała, szarpała się, ale napastnik trzymał ją mocno, nie odzywając się ani słowem. Słyszała tylko swój przyspieszony, świszczący oddech.

Kot ją pojmał.

Kręcił się wokół domu, węszył, sposobił do uderzenia w czasie jutrzejszego balu. Zaskoczyła go. Nie liczył, że się na kogoś natknie.

Może widział, jak Dominik i Nathan wymykają się z rezydencji, i zamierzał zakraść się do środka. A może ich nie widział, tylko szukał dostępu do domu na jutrzejszy wieczór, a ona mu ten dostęp pokazała!

Próbowała krzyczeć, ale wydawała z siebie jedynie żalosne dźwięki. W końcu udało się jej rozchylić usta. Z całych sił wpiła zęby w ciało. Męczyzna ryknął z bólu i cofnął dłoń, a wtedy wydarła się na niego z furją.

- Nic nie jestem warta, łajdaku! Nikt za mnie nie zapłaci. Puszczaj mnie. Jestem nikim, słyszysz, ty podły padalcu?! - Wzięła głęboki oddech, by wydać potężny krzyk, ale porywacz znowu zamknął jej usta dłonią.

Prawda, przecież miała przy sobie pistolet. Udało się jej wydobyć broń z fałdów spódnicy. Wraziła lufę pod żebro porywaczowi.

- To jest pistolet - poinformowała go. - Wiem, jak się nim posługiwać. Papa mnie nauczył. Trzymam palec na spuście. Jeśli ci życie miłe, postaw mnie na ziemi i się cofnij. Może cię zastrzelę, podły padalcu, a może daruję życie. Masz szansę i warto ją wykorzystać, nie sądzisz?

- Fleur! - Na dźwięk głosu Dominika Fleur opuściła energia. Postawił ją ostrożnie na ziemi i zaczął się śmiać. - Podły padalcu - chichotał jak szalony. - Podły padalcu?

- Nie śmieję się ze mnie - powiedziała groźnym tonem. Jak i skąd niby miała wiedzieć, że to *on*?

- Kiedy ktoś cię porywa i wiadomo, że ma złe zamiary, nie wypowiadasz do niego długich monologów - powiedział, wyciągając rękę i kierując lufę pistoletu w dół.

- Jesteś potworem - oznajmiła z przekonaniem Fleur.

- Tak? Złoczyńcy naprawdę jest wszystko jedno, kto cię nauczył posługiwać się pistoletem. Taki z łatwością mógłby cię obezwładnić, odebrać broń. Zostałaś zaatakowana i powinnaś wykorzystać moment zaskoczenia, jeśli chciałaś pokonać przeciwnika.

Fleur cmoknęła z udawanego podziwu.

- Że też o tym nie pomyślałam. Już byś nie żył i miałabym wreszcie święty spokój.

Niech się z niej naigrywa, niech udziela mądrych rad, wszystko jedno, jeśli udało się jej przeszkodzić mu w nocnej wyprawie, osiągnęła swój cel.

- Ugryzienie to świetny pomysł - ciągnął. - Musisz zrobić wszystko, żeby zaatakować napastnika,

zadać mu ból i uciekać. Przemowy były zupełnie niepotrzebne.

- Sam teraz gadasz jak najęty. Po co wróciłeś?

- Wcale nie wracałem. Czekałem. Słyszeliśmy, że ktoś idzie za nami, słyszeliśmy szelest sukien. A że zawsze wtykasz nos w nie swoje sprawy, podsłuchujesz, wszystko musisz widzieć i wszystko wiedzieć, domyśliliśmy się, że to ty.

- Wtykam nos gdzie trzeba. Ktoś musi cię pilnować.

Dominik zacisnął mocno palce na jej ramieniu.

- Nie znasz swojego miejsca, Fleur, i mocno się obawiam, że nigdy nie poznasz.

„Nigdy nie poznasz”.

- Szybko się uczę - wycodziła i poczuła, że życie z niej uchodzi. Dominik jej nie chciał, nie życzył sobie mieć z nią cokolwiek wspólnego. - Pomyślałam, że was wspomogę. Będę w odwodzie. Jak w armii: przednia straż, tylna straż, nocne wycieczki pod obozy wroga... - plotła trzy po trzy. - Albo jak w powieściach sowizdrzalskich: śmiałek samotnie idzie na spotkanie złu, a za nim podąża skryty w cieniu wierny towarzysz... na wszelki wypadek.

- Przecież to absurd. Podsłuchiwałaś i wiesz, że Nathan miał najać fiakra. Jak chciałaś za nami „podążać”? Biegłabyś za dorożką?

- Nie jestem głupia. W końcu zrozumiałam, że za wami nie ruszę. Byłam zła, zawiedziona, ale chciałam już tylko wydostać się z tego podziemnego przejścia i wrócić do domu. Wtedy mnie złapałeś. Dlaczego od razu nie powiedziałaś, że to ty? Omal nie umarłam ze strachu.

- Chciałem cię wystraszyć.
- Dlaczego? Co ci złego zrobiłam?

Dominik zaśmiał się i objął Fleur.

- Dlaczego? Chciałem mieć pewność, że więcej nie popełnisz głupstwa. Popsułaś mi do cna plany na tę noc. Nathan pojechał sam, z Albertem. Mam nadzieję, że uda się im wykonać bodaj część z tego, cośmy zamysłali. Od tego może zależeć ludzkie życie.

- Nie musiałeś nic zmieniać - bąknęła Fleur, nie patrząc mu w oczy.

- Musiałem. Nie mogłem przecież zostawić cię w przejściu podziemnym.

- Martwiłeś się o mnie - powiedziała zdziwiona.

- Jestem dżentelmenem.

- Oczywiście. I tak samo zachowałbyś się wobec każdej płochej niewiasty.

- Wzięłaś mnie za Kota. Bardzo to pochlebne, muszę przyznać. Nie chcę tylko więcej słyszeć, że jesteś nikim i nie jesteś nic warta. Doprowadzasz mnie do wściekłości takim gadaniem. Jesteś bardzo wiele warta, niemal bezcenna, i zapewniam cię, że gdybyś wpadła w łapy tego złego człowieka, nie miałabyś żadnych kłopotów z otrzymaniem okupu.

Fleur ogarnęło wzruszenie.

- Oddaj mi pistolet - polecił Dominik.

Fleur zrobiła to bez protestu.

- Chciałam pomóc. - Zabrzmiało to żałośnie. - Myślałam, że uda mi się wziąć konia ze stajni i pojadę za wami. Nie, nie myślałam, miałam tylko nadzieję. Wszystko wyszło nie tak. Pokrzyżowałam wam plany.

- Owszem. Wracajmy do domu tym samym przejściem. Zapalę świecę.

- Nie możemy wejść normalnie, drzwiami? Gdzie twój habit?

- Albert włożył mój habit. - Dominik zwracał się do niej uprzejmie, ale słyszała w jego głosie chłód. - Jak sądzisz, jakby to wyglądało, gdybyśmy teraz razem weszli do domu głównym wejściem?

Nikt by nie zauważył, a nawet gdyby zauważył, to by go to nic nie obeszło, pomyślała Fleur, ale nie powiedziała tego głośno.

Dominik zapalił świecę, podniósł ją i spojrzał na Fleur.

- Chwileczkę... - Przyjrzał się uważnie jej zranionemu czołu. - Co ci się stało?

- Uderzyłam głową o kamienny występ - odparła niechętnie. - Każdemu może się zdarzyć.

- Każdemu, kto nie zna przejścia i błąka się Bóg wie gdzie po omacku. Niewielkie rozcięcie, to wszystko, ale jutro wydajemy bal. Nasze damy nie będą z ciebie zadowolone.

- Przykro mi. Co innego mogę powiedzieć?

- Masz muszkę na policzku - stwierdził zaskoczony Dominik. - Całe pokłady pudru i rózu na twarzy. Okropność. W ogóle nie powinnaś się malować, a już tak mocno na pewno. Wyglądasz jak cyrkówka. I co to za strój? Do diaska, tego tylko brakowało, żeby ktoś z domowników cię zobaczył.

- To moje przebranie - oznajmiła Fleur. - A ty jakie niby masz prawo gorszyć się moim wyglądem, bracie Juście?

- Zamierzałaś jechać na St. James wystrojona jak... Mniejsza o to.

- Jak dama nocy - odpowiedziała Fleur. - Wcale mnie to nie obraża.

- Właśnie, dama nocy. - Dominik omal nie parsknął śmiechem, ale w porę się opanował. - Co ty właściwie planowałaś?

Nie zamierzała go informować, że nie ona wpadła na ten pomysł.

- Nie rzucałabym się w oczy. Strój dla niepoznaki. Tylko mi nie mów, że takie kobiety nie kręcą się nocami po ulicach. Wiem, jak się je nazywa: „lafiryndy” - oznajmiła Fleur tonem znawczyni tematu. - Moja mama ogromnie się zezłościła, kiedy pewna pani o jednej z pokojówek we dworze powiedziała, że z niej nic już nie będzie, bo jest lafiryndą.

- Widzę, że zgłębiłaś zagadnienie gruntownie. Dokończymy tę fascynującą rozmowę w domu. Nie możemy tu stać w nieskończoność.

Dominik wręczył Fleur świecę, wskoczył do otworu i wyciągnął dłoń.

- Podaj mi świecę - polecił.

Fleur posłusznie zrobiła, co kazał.

- A teraz siadaj na krawędzi.

Fleur wzdrygnęła się i cofnęła o krok.

- Nie możesz wejść do domu przez drzwi frontowe i oznajmić: „Wracam właśnie z balu”. Siadaj na krawędzi - powtórzył. - Żadnych dyskusji. - Dominik odstawił świecę. - A teraz pochyl się tak, żebym mógł złapać cię wpół.

Chwytał ją, opuścił, posadził na jakimś występie w podziemnym korytarzu i zasunął kamienną płytę.

Gdy wróca na górę, każe jej iść do pokoju, na dobranoc napominając raz jeszcze, co jej wolno robić, czego nie wolno, i w ogóle jak powinna się zachowywać. Na pewno tak będzie, uznała w duchu Fleur.

Głupota. Była przecież pewna, że Dominik coś do niej czuje. I ona darzyła go uczuciem. To dopiero zrobił się ambaras!

- Idź przodem, tylko powoli, ostrożnie - polecił.

- Nigdzie nie pójdę. - Zdumiały ją własne słowa. Wiedziała, że w sytuacjach krytycznych potrafi być stanowcza, ale żeby do tego stopnia?

- Nie bądź niemądra. Jest zimno, mokro, późno. Dawno już powinnaś leżeć w łóżku, a i to rozcięcie na czole trzeba przemyć, jeśli jutro na balu masz wyglądać jak człowiek.

- Wszystko mi jedno.

Dominik wziął Fleur za łokieć, postawił na nogi i odwrócił.

- Ruszaj.

Ledwie ją puścił, usiadła energicznie z powrotem na kamiennym występie, do którego najwyraźniej zdążyła się przywiązać z bliżej jej samej nieznanymi powodów.

- Zachowujesz się skandalicznie. Jeśli masz jeszcze jakieś wątpliwości, to ci mówię wyraźnie, jestem zły. Dość tych fochów.

Być może nie będzie już miała następnej okazji, by porozmawiać z nim sam na sam. Tak był zajęty udawaniem mnicha i trzymaniem się z dala od niej...

- Fleur, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię? Jeszcze chwila, a przrzucę sobie upartą pannę

Toogood przez plecy i poniosę na górę, a że schody wąskie, przejścia niskie, to się mocno poobijasz.

- Tylko spróbuj mnie tknąć.

- Boże, zmiłuj się nade mną. - Dominik zrobił dwa kroki w jedną stronę, w drugą, w końcu przysiadł na piętach i postawił świecę na ziemi.

- Chcę, żebyś coś mi przyrzekł - zażądała Fleur.

Dominik milczał ponuro.

- Obiecuj, że zawsze będziesz o mnie myślał jak o swojej przyjaciółce.

- Nie muszę obiecywać.

- Dziękuję. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Upartym, ale bardzo kochanym i...

- Proszę, tylko nie zaczynaj.

- Będę się modliła za ciebie i za twoje bezpieczeństwo. Proszę cię, uważaj na siebie. Wydaje ci się, że możesz naprawić całe zło tego świata, ale jak cię kto zrani, okaleczy albo zabije, nic nie naprawisz.

Dominik podniósł się, nachylając głowę w niskim pomieszczeniu.

- Dostyc tego. Nie musisz się o mnie martwić. Wiem, jak dbać o własne bezpieczeństwo. Nie potrzebuję twoich pouczeń.

Zabolały ją te słowa.

- Tobie się wydaje, że uczucie między kobietą i mężczyzną jest oznaką słabości. Nie dostrzegasz tego, że ofiarowanie miłości oznacza ryzyko, a jej przyjęcie jest jeszcze większym ryzykiem, na które stać tylko najbardziej nieulekłych.

- Do diaska, nic nie rozumiesz, postrzelone stworzenie.

- Nie jestem żadnym „postrzelonym stworzeniem”, tylko kimś, kto pragnie cię chronić i bronić, czy tego chcesz, czy nie.

- Nie chcę - odparł. - A teraz ruszaj się. Żwawo. Na górę.

Wymierzyła mu policzek. Uderzyła mocno, z całej siły, nie zastanawiając się, co robi.

Dominik chwycił Fleur za rękę i przyciągnął do siebie.

- Ja nie chciałam... - krzyknęła, ale zamknął jej usta gwałtownym pocałunkiem. Zerwał z niej pelerynę, cisnął na ziemię, potem zrzucił swoją.

Tania suknia z cichym trzaskiem rozrywanego materiału ustępowała pod jego palcami. Obydwójkiem owładnęła ta sama gorączka, to samo pragnienie. Dominik rwał ubranie na Fleur, aż została naga. Koszula Dominika też była już w strzępach i Fleur manipulowała przy spodniach.

Odsunął ją na wyciągnięcie ramienia, spojrzał w oczy i zapytał:

- Wiesz, co się stanie?

- Tak - powiedziała, z trudem chwytając oddech.

- Zawiodłem - szepnął Dominik, kiedy leżeli na ziemi, spleceni z sobą, mając za całe postanie peleryny.

- Zawiodłeś?

- Tak - przytaknął cicho. - Miałem być czułym i delikatnym kochankiem.

Fleur nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie wiedziała, co myśleć. Miała jeden wielki zamęt w głowie. Nie potrafiła się rozeznąć we własnych uczuciach.

- To jeden z punktów na mojej liście. Nie wiem, czy odnosi się do ciebie - odparła w końcu.

- Owszem, odnosi się. Kiedy mnie zapytałaś, odpowiedziałem, że byłbym, będę delikatny. Tymczasem zadałem ci ból. Musiało boleć, prawda?

Kłamstwo na nic by się zdało.

- Tak, na początku bolało - przyznała - ale było mi dobrze. Podobało mi się. Poza tym chciałam tego tak samo jak ty. Mam w tym swój udział.

- Jesteś młoda, niedoświadczona, ciekawska i szalona. Cudowna. Ale ja powinienem bardziej nad sobą panować, kontrolować swoje reakcje. Fleur, kiedy ostatni raz miałaś krew miesięczną?

Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach.

Dominik usiadł, przyciągnął Fleur do siebie i oparł sobie jej głowę na piersi.

- To rzeczowe pytanie, ale właściwie bez znaczenia. Wiem, co należy zrobić. Wyznaczyć jak najszybciej datę ślubu.

Poczuła straszny ból w skroniach i z całych sił ścisnęła je palcami.

- Jesteś oszołomiona. Nic dziwnego. Za dużo naraz. W niedzielę pojedę do Sodbury Martyr, poproszę pastora o twoją rękę. O nic się nie martw.

Gdyby Fleur nie była tak wyczerpana i obolała, wpadłaby niechybnie w gniew. Zagotowałaby się z wściekłości. Zrobiłaby awanturę, powiedziała, co myśli o jego zachowaniu, jego łaskawych ofertach.

Odsunęła się od Dominika, pozbierała porwane ubranie, odziała się najlepiej, jak mogła i owinęła peleryną.

- Wiem, co czujesz. Jesteś oszołomiona - potwórzył. - Wkrótce ochłoniesz, przyzwyczaisz się do tej myśli i będziesz szczęśliwa.

- Dość tego - rzuciła porywczym tonem. - Mam być szczęśliwa, bo chcesz się ze mną ożenić z poczucia obowiązku? Zrezygnujesz z własnych planów, bo się zapomnieliśmy, a ty chcesz wziąć za to odpowiedzialność? I nigdy nie będziesz miał z tego powodu żalu do mnie, do siebie, tak? O, nie, mój panie! Nie chcę takiego poświęcenia. Nie chcę, byś myślał, że cię usidliłam.

- Nie, nigdy tak nie pomyślę.

- Bardzo jesteś rycerski. - Fleur zaczęła wchodzić po schodach. - Popełniliśmy błąd, ale nigdy nie zapomnę tego, co między nami zaszło, i nigdy nie przyjdzie mi do głowy żałować chwili szaleństwa. To było dla mnie cudowne przeżycie.

- To dopiero początek. - Dominik szedł za nią z wysoką uniesioną świecą.

- Początek oraz koniec. Dziękuję uprzejmie za wspaniałomyślną ofertę, ale nie mogę jej przyjąć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Taki zgiełk, jakby wszystkie wozy, powozy i wierzchowce w Londynie zjeżdżały do Heatherly dzisiaj rano. - Lawrence podał Dominikowi kolejny dokument do podpisu.

- Tak będzie przez cały dzień. - Dominik westchnął. - Poczyłeś ostatnie przygotowania na wieczór? Wszystko zapięte na ostatni guzik? Inni też już gotowi?

- Tak jest, milordzie. - Lawrence zawahał się. - Może byłoby lepiej odwołać bal?

- Zadaję sobie to samo pytanie - przyznał Dominik. - Moja matka słusznie wszak zauważyła, że wszystkie spotkania zaplanowane na dzisiejszy wieczór odbędą się zgodnie z oczekiwaniami. Londyn najwyraźniej nie lęka się Kota.

- Może Londyn głodny jest sensacji?

- To też. Zawsze odznaczałeś się przenikliwością, kiedy idzie o sposób myślenia wielkiego świata.

Moim zdaniem są pewnie i tacy, którzy z utęsknieniem wyczekują kolejnego nieszczęścia.

Do gabinetu wmaszerował Nathan i od progu można było dostrzec, że jest w paskudnym humorze. Odwinał poły surduta, usiadł w fotelu i wbił niewidzący wzrok w przestrzeń.

Dominik zerknął na Lawrence'a, ten uśmiechnął się nieznacznie, zebrał papiery z biurka i dyskretnie opuścił gabinet, zostawiając braci samych.

- Jak długo zamierzasz mnie unikać? - natarł Nathan na brata, gdy rządca zamknął drzwi.

- Wcale cię nie unikam - skłamał Dominik.

- Gdzie się podziewałeś minionej nocy? Do czyjego łóżka trafiłeś, bo z pewnością nie do swojego?

Na pewno nie byłem tam, gdzie być chciałem, pomyślał Dominik, oparł łokcie na biurku i zaplótł dłonie.

- Jak wam poszło? - zapytał.

- To ja powinienem zadawać pytania - sarknął Nathan.

Wspaniale! Uniesiony słusznym oburzeniem braciszek będzie mu teraz udzielał reprimendy. Tego tylko Dominikowi brakowało. Zniszczył czyjeś życie, swoje przemienił w piekło, a teraz wysłucha umoralniającej pogadanki Nathana.

- To Fleur tropiła nas wczorajszego wieczoru - powiedziała. - Jak się jej przyjrzyś, dojrzyś zadrapanie na skroni. Szła za nami po omacku i rąbnęła głową w kamienny występ.

- Chciała się zabić? - zainteresował się Nathan uprzejmie.

- Nie bądź taki dowcipny. - Niech to. Nathan

musiałyby być chyba głuchy, żeby nie dosłyszeć ostrzegawczej nuty w głosie Dominika.

- To całkiem prawdopodobne. W przejściu łatwo skręcić sobie kark - kontynuował Nathari. - Szczególnie gdy ktoś wybiera się tam bez świecy. Nawet ze świecą niebezpiecznie. Potknęła się?

- Potknęła - przytaknął Dominik. - Podśłuchiwała, jak się umawiamy na nocną wyprawę, i uznała, że będzie nam konieczna jej pomoc. Na wypadek gdybyśmy sami nie dali sobie rady.

- I kto tu jest dowcipny? - mruknął Nathan,

Dominik otworzył drugą od dołu szufladę po prawej stronie biurka, wyjął pistolet odebrany Fleur i zademonstrował Nathanowi.

- Panna pastorkówna jest osobą bardzo odważną oraz pomysłową.

- Powiedziałbym, że postrzeloną - zauważył Nathan z uśmiechem. - Przepraszam za dwuznaczność. Chyba jej nie obsztorcowałeś?

- Ubrała się jak dziewczka. Na twarz nałożyła kilogram pudru, przylepiła sobie nawet muszkę.

Nathan zaniemówił. Słowa nie mógł z siebie wydobyć, patrzył na brata z rozdziawionymi ustami.

- Owszem, obsztorcowałem, a ona mi na to, że na St. James pełno jest ulicznych dziewczek i znakomicie wkomponowałyby się w tłum, by nie zwrócić na siebie uwagi.

- A niech mnie! - Nathan gwizdnał cicho. - Kto by się spodziewał z jej ust podobnego słowa.

Dominik podniósł rękę.

- Toteż go nie wypowiedziała. Mówiła o „damach nocy”, po czym, od razu, bez stopniowania

zdecydowała się na „lafiryndę”. Jest tak naiwna i niewinna, że wprost strach bierze. - Szybko odwrócił wzrok. Fleur już nie była niewinna. Nie powinien był budzić drzemiącej w niej namiętności, zmysłowych porywów.

Powiedziała, że go nie chce. W pierwszej chwili poczuł ulgę. Raczej mało prawdopodobne, by od razu za pierwszym razem zaszła w ciążę, mówił sobie, ale długo w noc nie mógł usnąć, błąkał się bez celu po domu, przerażony, że Fleur miałyby na zawsze zniknąć z jego życia.

Zerknął na Nathana i dojrzał utkwione w sobie uważne spojrzenie brata.

- O czym myślisz? - zagadnął Nathan. - Widzę, że coś cię trapi.

- Chodzi o Kota - odparł Dominik bez namysłu - i nasz bal. Prawie nie spałem ostatniej nocy. Z niepokoju. Chodziłem po domu, w końcu zdrzemałem się na kozetce w dawnym pokoju Johna.

Nathan długo milczał, w końcu wypalił niespodzianie:

- Ostatniej nocy poszczęściło się nam, a poszłoby pewniej jeszcze lepiej, gdybyś był z nami. Rozumiem teraz, dlaczego John tak sobie ceni Parkera. Na tego człowieka można liczyć. Nie ma chyba czegoś, na co by się nie ważył.

- Mów. - Dominik wstał, obszedł biurko i przysiadł na krawędzi blatu.

- Poszliśmy pod tę furtkę na tyłach St. James. Tę, za którą zniknął Harry w noc porwania Olivii. Dostaliśmy się na dziedziniec, podeszliśmy pod budynek. Miałeś rację, to jakiś magazyn. Ogromny.

Dominik zacisnął dłonie na biurku.

- Widzieliście go? Kota?

- Nie, nie widzieliśmy. Czatowaliśmy prawie trzy godziny. Nikt nie wchodził, nie wychodził. Chłopak się tylko pokazał.

- Harry? Jesteś pewien, że to był on?

- Absolutnie pewien. Przy drzwiach, zanim wszedł do magazynu, zapalił świecę. Wiesz, tam są przeszklone drzwi. Zobaczyliśmy dziw nad dziwy: jakby domek wzniesiony wewnątrz budynku. Tak to w każdym razie wyglądało. Jednopiętrowy, z fikuśnym kolumnowym gankiem i fikuśnymi drzwiami.

- Nie poszliście za chłopcem?

- Nie. Uznałem, że...

- Bardzo dobrze - przerwał bratu Dominik. - Nie ma sensu narażać się, nie mając pewności. Musimy przyłapać Kota na gorącym uczynku.

- Też tak uważam. Miejmy nadzieję, że dzisiejszy wieczór przyniesie wreszcie rozwiązanie. Jutro wybieram się do Sodbury Martyr. Mam tam pewną sprawę do załatwienia. Dość ważną sprawę.

Dominik znieruchomiał.

- Hattie wie, że dziewczyna, ta, co jest teraz przy niej w miejsce Śnieżynki, Blanche niby, przeczytała listy od rodziny do Fleur i powiedziała ciotkom, co w nich było. Hattie natarła jej uszu, ale że Blanche od razu się przyznała, to szpiegowanie uszło jej płazem. Do następnego razu, ma się rozumieć.

Dominik pokręcił głową.

- Słyszałem, co mówiły ciotki, i powinienem coś z tym zrobić, ale jestem zbyt zajęty - rzekł.

- Uhm. - Mina Nathana niczego nie wyrażała. -
Trzeba powiedzieć Fleur prawdę.

- Zrobię to - obiecał Dominik.

Nathan podniósł się z dwuznacznym uśmiechem na ustach.

- Tego jestem pewien. A ja pojedę do Sodbury, wyjaśnię panu Poolowi, że Leticia Toogood będzie aż nazbyt odpowiednią żoną dla jego syna. To też możesz powtórzyć Fleur. Teraz pójde sprawdzic, jak postępują przygotowania do balu.

- Dziękuję.

- Kiedy wrócę z Cotswolds, zajmiemy się innymi sprawami. Nie pozwolę, żeby taka dziewczyna jak Fleur miała wrócić do domu bez pierścionka zaręczynowego na palcu, a tak może się zdarzyć, bo nie przejawia specjalnego zainteresowania kawalerami. Lubi Franklina Besta, ale nie dość, żeby wychodzić za niego za mąż, a reszta w ogóle nie zrobiła na niej wrażenia.

- Co właściwie zamierzasz w kwestii Fleur i jej zamążpójścia? - W Dominiku ciekawość i niepokój wzięły górę nad ostrożnością.

- Na razie nie chcę o tym mówić. Powiem ci za kilka dni, a wtedy chciałbym usłyszeć coś więcej na temat twoich planów wstąpienia do zakonu.

Po wyjściu Nathana Dominik potrzebował kilku minut, żeby przemyśleć ostatni przycinek brata, po czym wybiegł z gabinetu i w korytarzu omal nie wpadł na Fleur. Na jego widok obróciła się na pięcie, gotowa uciekać.

- Dzień dobry - zawołał. - Piękny mamy dzień. Przygotowania do balu prawie zakończone.

- Dzień dobry - bąknęła i zatrzymała się.

- Wiemy, już kto czytał listy, które dostałaś z domu. Nathan zamierza jechać do Sodbury. Spotka się z jaśnie panem dziedzicem i wyjaśni mu, że Leticia jest doskonałą partią dla Christophera.

- Jakim sposobem? Nie chcę, żeby moi rodzice komukolwiek coś zawdzięczali.

Ta dziewczyna była naprawdę wyjątkowa.

- Ani mowy o tym nie ma. Nathan załatwi rzecz z wrodzoną sobie delikatnością. Możesz być pewna, że dziedzic pary z ust nie puści na temat jego wizyty.

W oczach Fleur pojawiły się łzy.

- Dziękuję zatem. Nie omieszkam też osobiście podziękować Nathanowi.

Dominik zniżył głos.

- Zastanowiłaś się nad tym, co zaproponowałem wczorajszej nocy?

- Owszem, nie przestaję o tym myśleć. Potrafię odróżnić dobro od zła i wiem, że czasem to, czego pragniemy najbardziej, potrafi uczynić nas ną zawsze nieszczęśliwymi.

- To nie ten przypadek - powiedział Dominik.

- Zapomnijmy o wszystkim. Tak będzie najlepiej, zapewniam - odrzekła Fleur i odeszła.

Dominik kątem oka zdążył jeszcze dojrzeć, jak w końcu korytarza wyłania się Nathan i razem znikają na schodach.

- McGee! - ryknął na cały głos i kamerdyner wyrósł obok niego jak spod ziemi. - Powiedz jaśnie pani, że mam pilne sprawy do załatwienia w mieście i że wrócę przed balem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Dominik starał się nic po sobie nie pokazywać, żeby nie dać rodzinie powodów do domysłów. Wyszedł spiesznie ze swoich pokoi i skierował się prosto do sypialni Fleur, gdzie, jak się domyślał, ściągnęły zapewne wszystkie domowniczkę.

- Przyszedłem wesprzeć na duchu swoją podopieczną - oznajmił gładko, kiedy matka otworzyła mu drzwi.

Fleur stała przed lustrem w sukni z czerwonego atłasu. W fotelach siedziały ciotki, ocierając dyskretnie łzy chusteczkami.

- To był twój pomysł, by Fleur wystąpiła w czerwonej sukni. W każdym razie tak powiedziała pani Neville. - Hattie, sama w ciemnozielonym atłasie, zwróciła się do Dominika.

- Chyba tak, jeśli dobrze pamiętam - przytaknął Dominik niepewnie.

- Ja też chcę być na balu, wujku Dominiku -

odezwała się mała Chloe. - Śnieżynka będzie mnie pilnowała.

- Ale tylko chwilę. Zobaczysz panie, panów i pójdziesz grzecznie spać - powiedziała Hattie.

- Trzeba jakoś ożywić tę piękną suknię, Fleur - odezwała się lady Granville, wyjmując z pudełka brylantową kolbę.

- A może to będzie lepsze? - Dominik otworzył pudełko, które przyniósł, wyjął z niego naszyjnik i zapiął go na szyi Fleur. - To mój prezent dla ciebie z okazji balu - dodał.

Wszystkie panie westchnęły zachwycone, z wyjątkiem samej obdarowanej. Dominik był pewien, że Fleur zaraz zdejmie naszyjnik i mu go zwróci, ale ona odrzekła:

- Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

Ciotki zaczęły szczebiotać, jakim to miłym chłopcem potrafi być Dominik, kiedy się postara. Lady Granville i Hattie bez słowa przyglądały się obojemu młodemu, dostrzegając zapewne więcej, niż powinny widzieć.

- Cóż, zejść na dół, by wespół z Nathanem czynić honory domu, a i wy nie zwlekajcie zbyt długo. Czekamy na was.

Dominik miał świadomość, że nikogo nie zwiódł swoimi tłumaczeniami, dlaczego raptem postanowił podarować Fleur naszyjnik, ale nie dbał o to. Dzisiejszego wieczoru był zadowolony z siebie. Niespokojny, czujny, ale niewątpliwie zadowolony. Być może wreszcie uda się im ująć Kota. Muszą tylko strzec Jane Weller jak oka w głowie.

Wszedł do sali balowej. Tak jak oczekiwał, londyńska socjeta stawiała się w całości. Pośród rozlicznych spotkań towarzyskich bal w Heatherly okazał się niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem wieczoru. Niewykluczone, że zostanie uznany za najważniejsze wydarzenie osławionego londyńskiego sezonu.

Dominik miał już podejść do Nathana, który przyzywał go dyskretnym gestem, ale oto zbliżyła się lady Barbara Jacoby w towarzystwie matki. Wymienili kilka zwykłych w takich razach grzeczności, po czym panna zagadnęła:

- Czy dobrze rozumiem, że ten taniec masz już zajęty, milordzie?

Dominik, chcąc nie chcąc, poprowadził ją na parkiet.

- Gdzie usiądziemy? - zapytała lady Granville, kiedy panie zwartą grupką wkroczyły do sali.

- Tam, skąd będziemy mogły widzieć absolutnie wszystko - odpowiedziały ciotki jedna przez drugą.

Fleur dojrzała przeciskającego się ku niej przez tłum Franklina Besta i uśmiechnęła się, ale uśmiech znikł zaraz z jej twarzy, bo oto usłyszała znajome rżenie. Nie mogła uwierzyć, że pan Mergatroyd ważył się pojawić na balu, a jednak. Oto wymachiwał do niej chusteczką i śmiał się radośnie.

- Widzę, że nasz Dominik już ruszył w tany - powiedziała ciotka Enid. - Kto jest ta panna, z którą walcuje?

- Lady Barbara Jacoby - pospieszyła z informacją Hattie. - Wydaje mi się, że zagięła parol na Dominika

- Ja bym powiedziała wprost, że jest w nim zadurzona - dodała Fleur, nie odrywając oczu od pary na parkiecie. Miała pełne prawo do takiego wniosku, bo Barbara na wszystkich dotychczasowych balach i przyjęciach czyniła co w jej mocy, by zatańczyć z Dominikiem. Zresztą zazwyczaj jej się to udawało.

- Wielkie mi rzeczy - prychnęła Hattie. - Nie masz w tej sali jednej panny, która nie byłaby w nim zadurzona. Jak nie w nim, to w Nathanie.

- Ja mogłabym zadurzyć się w obu, gdybym była wolna - stwierdziła Śnieżynka, a widząc rozbawione spojrzenia Hattie i pozostałych dam, dodała: - Zawsze zapominam, gdzie moje miejsce. - Na to stwierdzenie panie zaniósł się śmiechem.

Podszedł Franklin i wpisał się do karnecika Fleur, rezerwując sobie następny taniec.

- Wygląda na to, że wszyscy chcą tańczyć tylko walca - powiedział, kiedy wyszli na parkiet. - Doskonale to rozumiem. Po co, na co skomplikowane menuety i kontredanse, kiedy można, objawszy pannę w pół, wirować z nią po sali?

- Uwielbiam walca - zgodziła się Fleur. - Jest w nim tyle radości i suknie tak pięknie kołują. Zdradzę sekret, panie Best. Pierwszy raz zatańczyłam walca dopiero tutaj, w Londynie. Jak rodzice się dowiedzą, będą oburzeni.

- Urodziła się pani do walca - zapewnił gorąco pan Best.

- Tyle tu drzwi. Wcześniej ich nie zauważyłam - powiedziała Fleur, rozglądając się po sali, którą

pamiętała z pierwszego dnia pobytu w Heatherly, kiedy to Dominik oprowadzał ją po domu.

- Tak, to drzwi prowadzące na tarasy.

- Oczywiście. Nie skojarzyłam sobie, że tarasy, a widzę je codziennie, chodząc po ogrodzie, biegną wzdłuż sali balowej.

- Czy względem przyjazdu siostry coś już postanowione, panno Toogood? - zapytał pan Best.

- Napisałam do niej, ale za wcześnie jeszcze na odpowiedź - powiedziała Fleur, zerkając ukradkiem na Dominika i łady Barbarę, którzy tańczyli już po raz drugi. - Wątpię, by Rosemary przyjechała, niemniej dziękuję za dobre chęci, panie Best.

- Mogłaby pani mówić mi po prostu Franklin?

- A ty mów mi Fleur.

- Dziękuję. Fleur i Franklin, nasze imiona doskonale do siebie pasują.

Fleur nic nie mogła poradzić na to, że za każdym tanecznym obrotem szukała wzrokiem Dominika. Nie żałowała ani trochę tego, co zaszło między nimi minionej nocy, była raczej zła, że konwenanse czynią miłosne zbliżenie czymś zakazanym.

Tak czy inaczej, jeśli chciała zachować godność, do końca sezonu powinna trzymać się z dala od Dominika. A kiedy sezon się skończy, podziękuję z całego serca Elliotom za ich gościnę, za dobroć, spakuje manatki i wróci do domu. Co z oczu, to z serca. Z czasem Dominik zapomni o wyrzutach sumienia.

- Chciałabym odpocząć, Franklinie.

- Oczywiście. - Pan Best podał ramię Fleur i odprowadził do fotela. - Siadaj, proszę. Napijesz

się może lemoniady? Nie wyglądasz najlepiej. - Spojrzał na ślad po rozcięciu na jej czole, ale nic więcej nie powiedział.

- Tak, przynieś mi lemoniadę, jeśliś taki dobry.

- Szczęśliwa? - szepnęła Hattie, nachylając się do ucha Fleur. - To znaczy, czy dobrze się bawisz? Widzę, że myślisz masz zaprzątnięte czymś innym niż bal. Możesz mi powiedzieć, o co chodzi, jeśli poczujesz taką potrzebę.

- Bardzo szczęśliwa - zapewniła Fleur, chociaż przykro jej było okłamywać Hattie. - Nie wiem wprost, jak mam wam dziękować za wszystko, co dla mnie robicie.

- Och, na pewno będziesz wiedziała - odezwała się lady Granville, siedząca za Fleur. - Bywają trudne decyzje, ale przychodzi czas, kiedy trzeba je podjąć. Zaufaj nam i swojej rodzinie, Fleur, a wszystko będzie dobrze.

Fleur sposepniała, spojrzała na Hattie, ale młoda markiza szybko odwróciła wzrok. Najwyraźniej damy knuły coś za jej plecami.

- Och, a to niespodzianka. - Lady Granville skinęła na Nathana, by się ku niej nachylił. - Widzisz, kto się pojawił? Wysłałam zaproszenie, zawsze wysyłam, ale ona do tej pory nie zaszczyciła nas swoją obecnością.

Nathan rozejrzał się dyskretnie.

- Nie, nie ma jej na sali - szepnęła markiza. - Właśnie wchodzi.

Fleur, zaintrygowana w najwyższym stopniu, poszła za wzrokiem pobladłego nagle Nathana i dojrzała u szczytu schodów, wiodących z galerii, szczupłą, jasnowłosą kobietę w czerni.

- Lady Mary Eaton - powiedziała Hattie. - Jak się cieszę, że przyszła. Po śmierci Charlesa Benneta całkiem zrezygnowała z życia towarzyskiego.

Nathan bez słowa wpatrywał się w lady Mary.

Lady Granville nachyliła się do Fleur.

- Mary Eaton była poważnie ranna, gdy dwukółka powożona przez jej narzeczonego wywróciła się w pełnym biegu. Biedny Charles nie mógł zapanować nad końmi. Zginął na miejscu. Mary groziło, że nigdy już nie będzie chodzić, i chociaż dość szybko odzyskała władzę w nogach, całkiem nie wróciła do zdrowia. Od czasu wypadku odsunęła się od ludzi.

- Jaka smutna historia - powiedziała Fleur. - Tym bardziej trzeba się cieszyć, że lady Mary jednak przyszła na bal.

- Dziwna sprawa - zauważyła Hattie. - Wiem, że odpowiedziała odmownie na nasze zaproszenie. Nie rozumiem, dlaczego zmieniła zamiar, nie powiadamiając nas o tym.

- Jest tutaj i tylko to się liczy - ucięła spekulacje lady Granville.

- Szepczecie, żeby dać nam do zrozumienia, że przeszkadza wam nasze towarzystwo - obruszyła się ciotka Prunella. - Doprawdy, Henrietto, mogłabyś być bardziej gościnna.

- Ależ ja cieszę się z waszego towarzystwa. Kocham was obie całym sercem. Zróbcie użytek z waszych głów i przestańcie się zachowywać jak dwie obrażone na cały świat matrony. Jesteście na to zbyt inteligentne.

Ciotki uśmiechnęły się nieznacznie i przybrały inteligentne miny.

- Przepraszam - odezwał się Nathan zbyt głośno i zbyt porywczo. - Chciałbym powitać starą przyjaciółkę.

- Bardzo kochał Mary - powiedziała lady Granville, gdy odszedł, torując sobie drogę przez tłum gości. - Jej zaręczyny z Charlesem były dla niego ogromnym ciosem. Czasami myślę, że ciągle ją kocha.

- Toż to kaleka - stwierdziła ciotka Enid, która jakoby wcześniej nic nie słyszała, wykluczona z rozmowy.

Chloe, która dotąd nie otwierała buzi, nie chcąc na siebie ściągać uwagi, żeby jej nie odesłano do łóżka, odezwała się teraz:

- Nieładnie tak mówić. Ta pani ma chore nogi, ale jest śliczna, tylko trochę smutna, bo miała nieszczęście - powtórzyła z przekonaniem.

- Nieszczęście - poprawiła wychowanicę Hattie i przytuliła ją do siebie. - A poza tym masz, oczywiście, rację.

- Nie rozumiem, czemu Nathanowi tak spieszo do lady Mary - powiedziała Gussy, która stała obok, w towarzystwie panny Crewe-Burns. - Jak myślisz, Vicky? Chyba nie jest w niej nadal zakochany? O ile kiedyś w ogóle był. - Obydwie panny wpatrywały się w Nathana jak w obraz, ilekroć go widziały. - Chodźmy, Vicky - zachęciła przyjaciółkę. - Poszukajmy znajomych. Nikt nie zauważy, że odeszliśmy.

- Ja zauważę - powiedziała lady Granville i dała znak dłonią, że panny mogą odejść. - Idźcie, ale szybko mi wracajcie. I pamiętajcie, decorum, zawsze trzeba dbać o decorum, czyli stosowność.

Fleur przyglądała się twarzom służby, usiłując dojść, która z dziewcząt to Jane Weller, ale wszystkie wyglądały tak samo.

Przeniosła spojrzenie na lady Mary i Nathana. Stali u szczytu schodów pograżeni w rozmowie. Nathan nachylił się, coś powiedział, spojrzał na dół, ona położyła dłoń na jego ramieniu i pokręciła głową, jakby odmawiała zejścia do roztańczonej sali.

I wtedy stało się coś niespodziewanego i niezwykłego, co przyciągnęło uwagę gości. Nathan wziął lady Mary na rękę i zniósł ją po schodach.

- Co powiesz, Hattie? - spytała lady Granville.

- Widzę w tym czyjaś rękę równie sprawną, jak sprawne są ramiona Nathana, ale pomówimy o tym później.

Nathan usadowił lady Mary w fotelu na uboczu, przysunął sobie drugi i usiadł obok, zapatrzony w swoją towarzyszkę, jakby świata poza nią nie widział.

- Oby tylko ponownie nie spotkał go zawód - powiedziała z westchnieniem lady Granville.

Wróciły panny, jedna bardziej zaaferowana od drugiej, odkryciem, jakiego dokonały.

- Nie do wiary, widziałam tutaj przed chwilą swoją pokojówkę, Jane Weller - oznajmiła Vicky z przejęciem. - Straszna z niej była kłamczucha. Raz na całą noc wypuściła się z domu. Och, lady Granville, nie powinna była pani przyjmować jej na służbę.

- Gdzieś ją widziała? - Hattie wymieniła z teściową porozumiewawcze spojrzenia.

- O tam - wskazała Vicky. - Ta, co trzyma w dłoniach tacę z kieliszkami.

Fleur spojrzała na Jane. W kaplicy niewiele co widziała, teraz patrzyła na miłą, gładko uczesaną szatynkę.

- Przyjęłam ją i basta - oznajmiła lady Granville krótko. - A wy, radzę, zapomnijcie, żeście ją tutaj widziały.

Panny popatrzyły się na siebie i odeszły powoli w stronę bufetu z zimnymi napojami.

Dominik, odprowadziwszy pannę Jacoby, podszedł do brata i lady Mary. Ucałował jej dłoń, coś powiedział, Nathan rozłożył ręce i cała trójka się roześmiała, po czym Dominik odszedł, ale jeszcze się obejrzał, rzucając lady Mary znaczące spojrzenie, na co ta leciutko skinęła głową.

- Aha - szepnęła Hattie.

- Miałaś rację - przytaknęła markiza.

Dominik podszedł teraz do swoich dam, zażartował, że nikt ich nie prosi, wprawił ciotki w zachwyty zgrabnym komplementem i zapytał Hattie, czy zechce z nim zatańczyć.

- Będę tańczyła, jak John wróci - odparła stanowczo bratowa.

- Mamo?

- Oszczędzam stopy. Poproś Fleur.

- Obiecałam następny taniec panu Stantonowi.

Dominik zajął do jej karneciku.

- Nieprawda. Następny taniec masz wolny. Nie przyjmuję wymówek.

Fleur miała aż nadto powodów, by wymówić się od tańca, ale żadnego z nich nie mogła wyar-

tykułować na głos ani też nie mogła dać Dominikowi odprawy, nie robiąc sceny.

- Chodźmy zatem - powiedziała i pozwoliła poprowadzić się na parkiet.

Kiedy się odwróciła, by poprawić tren sukni, pochwyciła znaczące spojrzenia, jakie wymieniły Hattie i lady Granville. Nawet ciotki miały tajemnicze miny.

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Kochana Mary Eaton. Dominik zwabił ją na bal, opowiadając, jak bardzo niepokoi go stan ducha Nathana.

Miał nadzieję, że Mary wybaczy mu konfabulację, w końcu nie taką wielką, zważywszy, że jego brat nie był całkiem zdrów na umyśle. W każdym razie, przynajmniej chwilowo, dopiął celu. Niech Nathan wniknie w swoje uczucia, niech zajmie się zdobywaniem na nowo serca dawnej ukochanej. Zapomni o Fleur, pozostawiając Dominikowi całkowitą swobodę działania.

Fleur, z którą właśnie tańczył, była daleka, niedosięgła, zimna jak marmurowy posąg. Odwrócił wzrok w poszukiwaniu Jane Weller. Stała pod kolumną, w przejściu do sali, gdzie urządzone zimny bufet. W pobliżu czuwał Lawrence. Na razie spokojnie, pomyślał, nie będąc pewnym, czy ma się cieszyć z tego powodu.

- Postąpiłam niemądrze - oznajmiła raptem Fleur.

- Dlaczego tak mówisz?

- Zawsze miałam silny charakter. Silną wolę i silny charakter.

- Nie chcę spierać się z tobą w tej kwestii - powiedział Dominik z uśmiechem, ale Fleur zrobiła chmurną minę.

- Nie kochałbyś się wczoraj ze mną, gdybym stanowczo zaprotestowała i powiedziała „nie”.

Dominik rozejrzył się niespokojnie.

- Ciszej - poprosił.

- Oczywiście. - Zaczzerwieniła się lekko? i był to jedyny znak, że drzemią w niej jednak emocje. - To za moją sprawą...

- Nie - przerwał jej. - Poza tym ani to miejsce, ani czas na podobne dyskusje.

- Co się stało, stało się z mojego powodu - upierała się Fleur. - Przyznaj, tylko szczerze, czy to taka straszliwa ujma dla twojej męskości przyznać, że zostałeś uwiedziony przez kobietę?

- Posłuchaj uważnie - powiedział Dominik, przezornie kierując się w tańcu w kąt, w którym mniej było par. - Nie możesz uczynić czegoś, o czym nie masz pojęcia. Nie kłóćmy się, kto ponosi odpowiedzialność, bo nie ma to najmniejszego znaczenia. W każdym razie dla mnie. Ważne, że się stało.

W pobliżu pojawił się pan Mergatroyd, tańczący z Victorią Crewe-Burns.

- Uroczy wieczór, Elliot - rzucił z uśmiechem. - Klasa, po prostu klasa.

Dominik zacisnął usta, kiwnął głową i pospiesznie przesunął się z Fleur w inny kąt, byle dalej od natręta.

- Dlaczego tak ci zależało, żeby lady Mary pojawiła się na balu?

Przekłęta pannica, wszystko zauważy, wszystko odgadnie, pomyślał Dominik.

- Kiedyś opowiem ci o Mary i Nathanie, ale jeszcze nie dzisiaj.

- Czy to Lawrence stoi w pobliżu Jane? - upewniła się Fleur, bo w białych perukach i liberiach wszyscy lokaje wyglądali niemal tak samo.

- Owszem - odparł krótko.

- Gdyby Kot coś zamierzał... - ciągnęła.

- Za dużo wiesz.

- To prawda - przyznała Fleur. - Jestem wszystkiego ciekawa, a różne rzeczy same wpadają mi w ucho. Wcale nie podsłuchuję, co mi zarzucasz.

Dominik westchnął.

- Zawsze musisz się zajmować cudzymi sprawami?

- Jeśli ktoś jest mi bliski, jeśli komuś grozi niebezpieczeństwo, to tak.

- Jesteś niemożliwa.

Fleur przechyliła lekko głowę.

- Naprawdę zamierzasz wstąpić do zakonu czy to tylko czece pogróżki, ilekroć jakaś kobieta obdarza cię uczuciem?

- Do diaska, ty jedna wystarczysz za wszystkie, żeby człowiek pragnął schronić się w zakonie.

- Nie przyjmą cię.

- Słucham?

- Nie będą cię chcieli. Nie nadajesz się. Zaśniesz w czasie porannej modlitwy albo zapomnisz w ogóle wstać na roraty lub coś podobnego... Poza tym jesteś zbyt zmysłowy.

Dominik ponownie rozejrzył się, czy nikt nie słyszy ich rozmowy.

- Młoda dama nie używa takich określeń w rozmowach z panami.

- Nawet jeśli to prawda?

- Szczególnie wówczas.

Dominik omal nie parsknął śmiechem, ale w oczach Fleur pojawił się smutek.

- Kocham cię, Dominiku.

Zatrzymał się w pół obrotu.

- Dlaczego zatem...

- Nie chcę nic od ciebie, niczego nie oczekuję. Wspomnienia to niewiele, ale muszą mi wystarczyć. Należę do zupełnie innego świata niż ty.

Dominik był tak skupiony na słowach Fleur, że niemal nie poczuł solidnego uderzenia w plecy.

- Szybko - ponaglił go Nathan. - Zaczęło się.

Dominik rozejrzył się i zobaczył Parkera bez peruki. Biegł w kierunku drzwi, wiodących na tarasy.

- Wracaj do pań. Szybko - nakazał Fleur. - Proszę cię, postaraj się zachowywać w miarę spokojnie, inaczej zaraz wybuchnie panika. Idź!

Fleur przeciskała się przez tłum w stronę Hattie i reszty rodziny. Panika już wybuchła: zbici w grupki, wstrząśnięci goście, głośno wymieniali chaotyczne uwagi. Część panów pospiesznie ruszyła za

Dominikiem i Nathanem, Fleur mignął wśród nich Franklin Best, który wysforował się przed innymi.

- Co się stało? Zauważyłaś coś? - zapytała lady Granville, kiedy Fleur znalazła się obok dam.

- Tak. Dominik prosił, żebyśmy zachowały spokój.

- Słusznie - przytaknęła milady. - Zostawmy zatem sprawę mężczyznom. Oni będą wiedzieli, co robić. - Podniosła się i ruszyła ku schodom, pozostałe panie poszły jej śladem. Większość gości przeniosła się na galerię.

Z wyjątkiem Fleur.

Nie zauważyły, że została, a ona nie zamierzała się ruszyć, póki nie upewni się, czy Kot został pojmany i czy Jane nic nie grozi.

Lady Mary siedziała na swoim miejscu. Jakaś służąca przemykała z tacą w dłoni przez salę, nie podnosząc wzroku...

- Fleur? - Obok pojawiła się Gussy. - Straszne - westchnęła. - Myślisz, że to Kot? Wiesz, że on mnie porwał, prawda? Czytałaś w gazecie.

- Tak. Bardzo ci współczuję.

- Mój ojciec dotąd nie wierzy, że to było porwanie. Był wściekły, ponieważ musiał wyłożyć za mnie tyle pieniędzy.

- Biedna Gussy. - Fleur objęła ją serdecznie. - Co warte są pieniądze? Ty jesteś najważniejsza. Twój ojciec na pewno to rozumie.

- Nie, boję się, że on nigdy tego nie zrozumie, ale dość już o tym. Chodźmy stąd szybko - poprosiła Gussy. - Nie chcę tu przebywać.

Schody na galerię tak były wypełnione gośćmi, że Fleur zawahała się przez moment.

- Przez taras - zaproponowała Gussy, idąc za jej wzrokiem. - Przez taras i ogród przejdziemy do głównego wejścia i usiądziemy sobie w salonie.

Lawrence'a, trzymającego w ramionach Jane, otaczał wianuszek ciekawskich.

- Niech wszyscy się rozstąpią. Milordzie, proszę powiedzieć gościom, żeby się rozstąpili! - zawołał na widok Dominika.

Nathan, Franklin Best, McGee i kilku innych zaczęło kierować wszystkich z tarasu na powrót do sali balowej.

- Dzięki Bogu, nic ci się nie stało - zwrócił się Dominik do Jane. - Widziałas go?

Biedna Jane podniosła głowę, popatrzyła na Dominika i wybuchnęła płaczem.

- Proszę o wybaczenie. Nic się nie stało. To był fałszywy alarm. Wyszłam na sekundę na taras, bo usłyszałam krzyk i zapomniałam o nakazanej mi ostrożności. Wtedy z mroku wychynął wyrostek, ten sam, który był z Kotem tego wieczoru, kiedy mnie Kot porwał. Jestem pewna, że to ten sam. Pociągnął mnie ze sobą przez taras, to podniosłam larum. Bałam się, że tamten znowu mnie porwie. Wtem chłopak mnie puścił i uciekł do ogrodu, wprost rozpułnął się w ciemnościach. Tyle go widziałam.

Dominik spojrzał na Lawrence'a.

- Fałszywy alarm? - powtórzył słowa Jane, po czym obrócił się na pięcie i rzucił się biegiem na powrót do sali balowej.

Swoich pań już nie zastał w ich kąciku. Zaczął się rozglądać, czy nie zobaczy, gdzie podziewa się Fleur.

- Nathanie, Dominiku! - zawołała lady Mary, wstając z fotela i ruszając z niejakim trudem, bo ciągle chromała, w stronę braci. - Wszystko w porządku?

- Tak się wydaje - odparł Nathan mocno zafasowanym głosem.

- Dominiku, ta śliczna panna, z którą tańczyłeś, wyszła na taras. Jestem o nią niespokojna. Była z nią inna panna. Wychodzą razem, ale twoja partnerka chciała wrócić do sali, jakby się rozmyśliła.

- Mówisz o Fleur. Panna w czerwonej sukni...

- Ta sama. Wyglądało, jakby ktoś ją zmusił do wyjścia.

- Kto? - zawołał Dominik.

- Nie potrafię powiedzieć. Ktoś, kto czekał na tarasie. Widziałam tylko wyciągającą się ku niej rękę, Dziewczyna zniknęła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Fleur siedziała w powozie, który mknął przez ulice Londynu. Miała skrępowane ręce i nogi. Naprzeciwko niej siedziała Gussy, która spoglądała na Fleur z niezrozumiałą, niemal nieludzką nienawiścią.

Fleur przyrzekła sobie zachować spokój dopóty, dopóki to będzie możliwe. A przynajmniej nie okazać strachu. Co prawda, serce waliło jej jak młotem, a dłonie miała wilgotne ze strachu, ale zachowała kamienną twarz. Nie zamierzała dawać przeciwnikom łatwej satysfakcji.

Przemierzali kolejne ulice, place...

- Nie jesteś ciekawa, dokąd cię wieziemy? - nie wytrzymała Gussy w pewnym momencie.

- Sądzę, że mi powiesz - odparła Fleur. - Musicie przecież mieć jakiś plan.

- Bardzo słusznie rozumiesz. Rozsądna, spokojna i posłuszna, to mi się podoba.

- Tak mnie wychowano - przyznała Fleur, tro-

chę zdziwiona całkowitym brakiem przenikliwości panny Gussy. Wzruszyła ramionami i wbiła spojrzenie w zalaną deszczem ulicę za oknem. Ledwie porywacze wciągnęły ją do powozu, zaczęło padać.

- Dzisiejszej nocy zapomnisz o swoim wychowaniu - zagroziła Gussy. - O wszystkim zapomnisz. Nie będziesz mi więcej przeszkadzała i krzyżowała planów. Wiesz, co cię czeka?

- Nie, nie wiem. Nie mam pojęcia. - Fleur udała ogromne zdziwienie.

- Ja zajmę twoje miejsce w domu Elliotów. Miejsce, które od początku mi się należało i które bym zdobyła, gdyby nie ty. Że też musiałaś przyjechać do Londynu! To miał być mój sezon, mój rok. Wszystko zostało zaplanowane.

Fleur uważnie obserwowała Gussy. Dziewczyna była wyraźnie zła i podniecona. Zdradzała sekrety, których zdradzać nie powinna, a to mogło oznaczać tylko jedno. Ona, Fleur, nikomu już nie będzie miała okazji powtórzyć tego, co usłyszała od panny Arbuthnot.

- Już dwa lata temu jeden z nich poprosiłby mnie o rękę. No, może rok temu, gdybym była trochę mądrzejsza i nieco sprytniejsza. W tym roku wszystko ułożyłam tak, by wreszcie dopiąć swego, ale do stolicy zjechała szara mysz ze wsi i ściągnęła na siebie całą uwagę. Ja miałam być tą dzielną, która niczego się nie lęka i ratuje inne dziewczęta. Nieważne. Mój plan musi się udać. W ostatecznym rezultacie to ja okażę się heroiną i Elliotowie przyjmą mnie z otwartymi ramionami. Wiesz dlaczego?

- Nie - odparła Fleur.

- Bo to ja będę próbowała cię ratować. - Gussy zaniosała się głośnym śmiechem. - Znajdą mnie z tobą w ramionach, łkającą.

- Dlaczego?

- Wiesz dobrze dlaczego. Będziesz już martwa.

Fleur była oszołomiona. Tylko dlatego ma umrzeć, że Gussy chciała koniecznie wyjść za Nathana albo Dominika? Jaką rolę odgrywała w działaniach Kota? Na to ostatnie pytanie Fleur nie potrafiła sobie odpowiedzieć. W każdym razie Gussy z własnej woli wsiadła do powozu, pomagała nawet mężczyźnie w czarnej, błyszczącej masce związać Fleur.

- Chcę Nathana - ciągnęła. - Zawsze go pragnęłam, tylko on durzył się w lady Mary Eaton. Teraz znowu wychynęła z cienia, ale nikt przecież nie ożeni się z kaleką. Olivia Prentergast próbowała zdobyć Nathana. Nigdy jej tego nie wybaczę. Doskonale wiedziała, co do niego czuję. W końcu zajęła się tym swoim oficerem, ale tylko dlatego, że Nathan traktował ją jak powietrze. Odpłaciłam jej za te zakusy. Najadła się strachu. Mało brakowało, a ojciec nie dałby nam okupu.

Fleur nie chciała więcej słyszeć.

- Vicky Crewe-Burns uszło płazem, bo bała się wyjść wieczorem z domu. Ona też zagięła parol na Nathana. To niby on tamtego wieczoru czekał na nią w parku, ale w ostatniej chwili stchórzyła i posłała pokojówkę. Jane Weller przez pomyłkę trafiła w nasze ręce, ale dzisiaj okazała się bardzo przydatna.

Powóz zatrzymał się.

Gussy odwróciła się i zawołała do okienka:

- Czemu stanęliśmy? Jeszcze nie skończyłam.

- Owszem, skończyłaś - padła odpowiedź. - Wsiądź z powozu. Zaczekasz na zewnątrz.

Drzwiczki się otworzyły, mężczyzna w czarnej masce zajął do środka, chwycił Gussy za rękę i wyciągnął z powozu.

Fleur na moment została sama. Błyskawicznie przesunęła się na wąskiej ławeczce, związanymi dłońmi udało się jej otworzyć drzwiczki z drugiej strony i spadła na ziemię. Pewna, że lada moment Kot zauważy jej żalną próbę walki o życie, obróciła się kilka razy, usiłując, w deszczu i w błocie, odturlać się jak najdalej od powozu. Wokół nie widziała niczego, żadnych zabudowań. Powóz zatrzymał się na otwartej przestrzeni, ale gdzie, tego Fleur nie potrafiła powiedzieć.

Od strony powozu doszły ją wrzaski: to Gussy kłóciła się z Kotem. Gussy, która przyrzekała, że zaopiekuje się Fleur. Czy tych dwoje pozbawionych sumienia ludzi zażąda od Elliotów okupu, nawet jeśli zamierzali ją zabić? Bez wątplenia tak właśnie uczynią, uznała Fleur.

Gdyby tylko jeszcze raz, jeden, jedyny raz dane jej było ujrzeć Dominika. Zacisnęła powieki. Widziała go, był z nią. Oczami wyobraźni ujrzała ciemne, rozwiewane wiatrem włosy, błękitne oczy. Wyciągał do niej dłoń, kazał, by mocno ją chwyciła. Zabierał ją z sobą, ratował z opresji.

Będzie o nim cały czas myślała, będzie miała jego obraz przed oczami. I będzie walczyła z całych sił. Obróciła się raz jeszcze i omal nie krzyknęła w głoś. Toczyła się po śliskim zboczu, objijając się o kamienie i korzenie. W końcu wylądowała na dnies ja-

kiegoś jaru, oszołomiona, obolała, ale gotowa do ostatka walczyć o życie.

Dominik sprawdził godzinę na zegarku: druga w nocy. Uderzył pięścią w oparcie fotela, za którym się ukrył. Nie mógł znieść dłużej czekania. Chciał dostać w swoje ręce szaleńca, który porwał Fleur, skrócić mu kark, zetrzeć na miazgę.

Rzecz dziwna, ale Kot, bo to on musiał uprowadzić Fleur i Gussy, dotąd nie pojawił się w swoim domku wzniesionym wewnątrz magazynu.

Dominik czekał przyczajony w holu, Franklin Best skrył się na galerii z kolekcją pozytywek. Obaj byli gotowi zaatakować, kiedy tylko gospodarz się pojawi. Domek miał jedno wejście, od frontu.

- Dłużej tego nie zdzierzę - odezwał się Dominik na tyle głośno, by Franklin go usłyszał. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ skrzypienie zewnętrznych drzwi, prowadzących do magazynu, powinno ich ostrzec o przybyciu Kota.

- Tak, zbyt długo czekamy - przytaknął Franklin. - Może inni ją już znaleźli.

Dominik podniósł się i rozprostował zdrętwiałe nogi.

- Jeśli tak, przyjechaliby tutaj po nas.

Kiedy przybyli na miejsce i nie zastali Kota, Nathan posłał ludzi w miasto. Zadanie wydawało się beznadziejne, ale musieli spróbować. W Heatherly lady Granville i Hattie wypatrywały powrotu Fleur.

- Mogę tu zostać, a ty dołącz do Nathana, jeśli chcesz - zaproponował Franklin.

- Nie wierzysz, że tu je przywiezie, prawda? -

W głosie Dominika zabrzmiała gorycz i rezygnacja. - Myślisz, że Fleur już nie żyje.

- Nie mów tak.

- Próbuję nie dopuszczać do siebie czarnych myśli, ale nie dostaliśmy żądania okupu, co źle wróży.

- Chcesz dołączyć do Nathana?

- Wyczekiwanie mnie zabija, ale jestem pewien, że w końcu je tu przywiezie.

Dominik zacisnął powieki, zdjęty zgrozą na myśl, co teraz może dziać się z Fleur. Lady Mary twierdziła, że Gussy wypchnęła Fleur na taras. Nie wiedział, co o tym myśleć.

- Dlaczego przedstawiałeś Fleur różnych kawalerów?

- Przepraszam?

- Słyszałeś dobrze. Pytam cię, dlaczego przedstawiałeś Fleur różnych kawalerów, skoro żadnemu nie zamierzałeś jej oddać.

- Bo... -Jaki sens kłamać? - Masz rację. Pragnę jej tylko dla siebie.

Kiedy Fleur otworzyła oczy, niebo srebrzyło się pierwszym światłem przedświt. Otrząsnęła się z zimna. Przekonała się, że nie czuje rąk ani nóg.

Zanim usnęła, jeśli snem było zapadnięcie w nieświadomość, słyszała krzyki i przekleństwa porywaczy. Dwa razy podeszli tak blisko, że myślała, iż ją znajdują. Na szczęście jednak w ciemnościach nie dojrzeli postaci w rowie i w końcu poniechali poszukiwań.

Nie śmiała wierzyć we własne szczęście, ale chyba odjechali, bo wokół panowała głucha cisza.

Uniosła związane w nadgarstkach dłonie: były sine, spuchnięte. Poruszyła ostrożnie zdrętwiałymi palcami i omal nie zapłakała z bólu. Musi się uwolnić. Musi, za wszelką cenę.

- Żyje? - szepnął jakiś głos i Fleur szarpnęła się wystraszona.

Czyjaś dłoń dotknęła jej delikatnie.

- Żyje. Niech lepiej cicha.

- Ktoś ty? - zapytała.

- Nieważne. Niech się nie rusza, rozwiążę jej ręce, i tyle będzie. Potem niech sobie radzi, jak umi. A mnie w ogóle na oczy nie widziała.

Na wysokości głowy zobaczyła parę mocno znoszonych butów i kraj obszarpanej kapoty. Podniosła wzrok. Harry. Wyrostek, który siedział obok Kota na koźle.

- Dziękuję - szepnęła, kiedy rozwiązał sznur. Nie śmiała pytać, dlaczego to robi, z lęku, że chłopak się rozmyśli. Zaczęła ostrożnie, delikatnie rozmasowywać zdrętwiałe dłonie.

- Muszę ją zaraz związać na nowo - oznajmił Harry nieoczekiwanie. - Letko. Potem to już sama się wyplącze. Muszę związać, bo jak się dowie, to nie wiem, co mi zrobi - tłumaczył.

Z Fleur opadła cała nadzieja. Nadal jest zakładnikiem Kota i tylko cud mógłby ją uratować z łap tego nędznego łotra.

- Dziękuję - powtórzyła zrezygnowanym tonem, wdzięczna, że chłopiec w ogóle podjął ryzyko.

- Harry? Harry, gdzie jesteś? - odezwał się męski głos gdzieś całkiem niedaleko.

- Rety - tchnął chłopak. - Zabije mnie, jak zobaczy, com zrobił. Niech zamknie oczy, to mu się okrzyknę. Tutaj! Tu jestem! Znalazłem ją.

Fleur usłyszała ciężki tupot i łzy napłynęły jej do oczu. Zbliżał się Kot. Musiał być wściekły, że próbowała go przechytrzyć, choć była bez szans. Wytargowała od losu kilka godzin, to wszystko.

- Wracaj do powozu, Harry, i nie rozmawiaj z Arbutnot. Będzie próbowała wziąć cię na litość, lecz jej nie słuchaj.

Fleur usłyszała oddalające się lekkie kroki Harry'ego i poczuła dotknięcie palców na szyi.

- Żyjesz. Głupiutkie stworzenie. Myślałaś, że uda ci się uciec? - Opadło na nią coś ciężkiego, pled, chociaż prędzej peleryna. Podniósł ją i zamiast nieść na rękach, zarzucił sobie na plecy, jakby nic nie ważyła.

- Harry! - zawołał. - Wyrzuć no tamtą z powozu. Na kozioł z nią.

W tym momencie rozległy się wściekłe, nieartykułowane wrzaski Gussy.

- Na kozioł! - zawołał ponownie Kot. - Pojedziesz ze mną. Nie mam czasu na kłótnie. Zgubiliśmy ślad, nikt nas nie gonił, ale na miejsce musimy dotrzeć, nim ludzie pojawią się na ulicach.

Z pistoletem w dłoni Dominik obszedł magazyn, budynek jednak był kompletnie pusty, żaden ślad nie zdradzał ani jego dawnego przeznaczenia, ani bytności Kota.

O czwartej zaczęło się przejaśniać, a on nie potrafił dłużej usiedzieć w dziwnym domku jak z tektury i wspólnie z Franklinem ruszyli przeszukać budynek.

- Nie powinienem był zostawiać jej samej, kiedy wybuchło zamieszanie - powiedział rozżalony. Gdyby chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą...

- Postąpiłeś tak jak każdy w takich okolicznościach. Chciałeś, żeby pozostała jak najdalej od niebezpieczeństwa, a przecież wszyscy myśleliśmy, że stało się coś złego.

- Wierzę, że Kot tu wróci - orzekł Dominik, jakby nie słyszał Franklina, i wyjrzał przez okno o szybach pokrytych grubą warstwą kurzu.

- Czyżby zmienił plany, bo ujrzał Jane Weller? Mógł pomyśleć, że opowiedziała o tym domu - zastanawiał się głośno Franklin.

- Nie sądzę. Jest pewien, że Jane nie śmiała nikomu wspomnieć nawet o porwaniu. Pamiętaj, że straciła posadę u Crewe-Burnesów. Wyrzucili ją, zarzucając kłamstwa i złe prowadzenie się. Gussy od początku świetnie o wszystkim wiedziała.

- Mary musiała pomylić się co do Gussy.

- Są - szepnął Dominik. - Wracajmy natychmiast do domu.

- Możemy tutaj go zaskoczyć.

- Szybko. - Dominik popchnął lekko Franklina. - Schowaj się na galerii jak przedtem. Uważaj, on może być uzbrojony. Zdaje się, że niesie Fleur. Jest z nim Gussy. I chłopak.

Ledwie się skryli, Kot wszedł do magazynu. Po chwili skrzypnęły drzwi domku. Kot wszedł do pokoju i zapalił kilka świec.

- Gussy, tutaj. Siadaj na podłodze - zakomenderował. - Harry, zwiąż ją.

- Nie waż się mnie tknąć - syknęła Gussy do chłopaka i zwróciła się do Kota: - Ostrzegam się, jeśli się zbliży, wydrapię mu oczy.

- Milcz. Harry, wiąź ją. Nie mogę cały czas cię pilnować. Mam co innego do roboty.

Dominik czekał. Nie mógł atakować, dopóki Kot nie położy Fleur.

- Pomogę ci - prosiła Gussy. - Będzie szybciej. Potem zawieziesz mnie w pobliże Heatherly i zostawisz z nią, tak żeby mogli mnie znaleźć.

- A oni przyjmą cię na łono rodziny, dozgonnie wdzięczni za to, że próbowałaś ją ratować.

Dominik spojrzał na okryte peleryną ciało Fleur, na jej rude, rozsypane w nieładzie włosy.

„Próbowałaś ratować”? Czyżby Fleur nie żyła?

W tym właśnie momencie Kot nachylił się i położył Fleur na podłodze, a uczynił to znacznie ostrożniej, niż gdyby kładł zwłoki.

Po chwili wyprostował się, ściągnął maskę i Dominik wstrzymał oddech: miał przed sobą Noela DeBeauforta.

- Wszystkie pieniądze są tutaj, prawda? - zapytała Gussy. - Po to tu przyjechałeś. Weź pistolet i zastrzel Fleur. Skończmy z tym. Bierz pieniądze, zawieź mnie do Heatherly i znikaj. Przede wszystkim rozwiąż mnie. Nie wiem, po co kazałeś mnie krępować.

- Znajdź jaki gałgan i zaknebluj ją - rozkazał Noel Harry'emu. - Nie mogę jej słuchać. - Przykucnął przy Gussy i potrząsnął nią z całych sił, aż krzyknęła. - To ty umrzesz. Tu, teraz. Kto wie, ile

czasu minie, zanim znajdą twoje ciało. Zmieniłem plany. Zabieram Fleur ze sobą. Uciekniemy za morze. Fleur w końcu mnie pokocha. Będziemy bogaci. Dam jej wszystko, o czym tylko zamarzy.

- Wysłaliśmy list do jej rodziny. - Głos Gussy drżał tak, że ledwie mogła mówić. - Wszystko przecież ułożyliśmy. Dostaną list za późno, żeby prosić Elliotów o pieniądze. To doskonały plan.

Dominik miał Noela na muszce, ale nie mógł strzelać, nie ryzykując, że zamiast łotra, trafi Gussy albo Harry'ego.

Dojrzał, że Fleur nieznacznie się poruszyła. Oczy miała nadal zamknięte, ale...

Nie ruszaj się, skarbie, proszę w myślach. Nie zrób nic głupiego.

W tej samej chwili Fleur wykonała obrót i związanymi dłońmi zdzieliła z całych sił Noela w plecy. Ten wyprostował się natychmiast, Gussy zaczęła krzyczeć, żeby strzelał, i Dominik nie miał wyjścia. Musiał się ujawnić.

Noel usłyszał przesuwanie fotela, odwrócił się, zobaczył Dominika, chwycił Fleur za włosy, przyciągnął do siebie i przyłożył jej pistolet do szyi.

- Zabij ją! - krzyczała Gussy. - Przecież tak dobrze było nam razem. Weź mnie z sobą zamiast niej. Od początku ci mówiłam, że z tą dziewczyną są same kłopoty. Strzelaj!

- Nie! - zawołał rozpaczliwie Harry.

Noel spojrzał na pistolet Dominika.

- Jeszcze krok i wiesz, co zrobię.

- Nie umkniesz już. Puść Fleur. Musimy porozmawiać.

Przez twarz Noela przemknął grymas.

- Tacy jak ty nie rozmawiają z takimi jak ja. Tolerujecie mnie tylko przez wzgląd na moją rodzinę, ale uważacie za wyrzutka. Chciałem wam pokazać, co potrafię. I pokazałem. Tylko tym razem panny już nie wrócą do salonów...

Rozległ się strzał.

Dominik kątem oka dostrzegł Franklina, który leżał płasko na podłodze galerii.

Noel odwrócił się w jego stronę, wycelował i wtedy Dominik, wykorzystując moment nieuwagi, rzucił się na Noela.

Pistolet wypalił w sufit, Dominik zdołał odepchnąć Fleur, przewrócił się razem z Noelem, poderwał błyskawicznie i siadł okrakiem na przeciwniku, przygniatając go do podłogi.

Franklin zsunął się po schodach i teraz Dominik dojrzał plamę krwi na rękawie jego koszuli: jednak dostał.

- Siedź spokojnie, Best - powiedział. - Ściśnij ramię dłonią powyżej rany, zaraz znajdziemy coś do przewiązania.

- Dominiku - odezwała się Fleur słabym głosem. - Ten chłopiec chciał mi pomóc. Obejdź się z nim dobrze.

Dominik spojrział w przerażone oczy Noela. Miał ochotę zrobić z tego człowieka krwawą miazgę, ale ograniczył się tylko do puszczenia mu krwi z nosa ciosem kolby.

- Sir? - Harry stanął przed Dominikiem. - To już koniec?

Dominik skinął głową. Teraz pozostawało mu

tylko oddać Noela w ręce, pożałuj się Boże, stróżów prawa.

- Sir- ciągnął chłopiec, który nagle stracił akcent ulicznika i zaczął wyrażać się poprawnie. - Będę zobowiązany, jeśli oszczędzisz mojego ojca. Matka zmarła, kiedy byłem niemowlęciem, ale na pewno chciałyby, żebym się za nim wstawił.

Syn Noela. Kto by pomyślał?

- To nie moje dziecko. Przybłąda, którego przysparzałem.

Uderzające podobieństwo chłopca do Noela zadawało jawny kłam słowom tego ostatniego.

- Harry, możesz rozwiązać nogi Fleur?

- Ani się waż, smarkaczu! - zawołała Gussy i spojrzała na Dominika. - To nie jest tak, jak myślisz. On mnie zmusił, żebym mu pomogła.

Ktoś otworzył drzwi magazynu i Dominik oraz Franklin unieśli pistolety, nie wiedząc, kogo zobaczą.

Pierwszy w progu stanął Nathan, a tuż za nim, ku zdumieniu Dominika, ich najstarszy brat, John, markiz Granville, wyraźnie zdrożony po podróży, ale czujny i gotów do działania.

- Potem ci wszystko opowiem - wyjaśnił Dominik, zamiast się przywitać.

- Nie musisz - odparł John. - Nathan już mi wszystko opowiedział. - Podszedł do Noela, podniósł go i wykręcił mu ręce do tyłu. - Zajmij się swoją panią. - John nawykł wydawać rozkazy i nie uznawał sprzeciwu.

A Dominik i tak zbyt był oszołomiony, by się sprzeciwiać.

Nathan rozwiązał Gussy.

- Ona mu pomagała - wyjaśnił Dominik. - Musi ponieść karę. Chłopiec jest synem Noela. Dość już wycierpiał. Na razie zabierzemy go do Heatherly. - Objął Fleur i podszedł z nią do Franklina. - Chwyć się mnie. Wychodzimy stąd.

- Wyprowadź najpierw Franklina - poprosiła Fleur.

- Wyjdziemy razem. Kocham cię, Fleur - oznajmił uroczyście wobec wszystkich. - Zostaniesz moją żoną?

John zrobił minę wskazującą, że zaraz parsknie śmiechem, i Dominik posłał mu spojrzenie z gatunku piorunujących.

- Dzielna z niej dziewczyna - pochwalił John już zupełnie poważnie. - Nathan mi o niej opowiedział.

- Jasne, zdążył opowiedzieć ci już wszystko - odparł z przekąsem Dominik. Co w niego wstąpiło, żeby oświadczać się Fleur w obecności tych dwóch błaznów?

- Przemyśl dobrze swoje słowa - poradziła mu Fleur trzeźwo. - Jesteś wytracony z równowagi i możesz nie wiedzieć, co mówisz.

Dominik czuł, że jeszcze chwila, a wybuchnie.

- Zapytałem cię, czy zgadzasz się zostać moją żoną, i nigdy w życiu nie byłem bardziej pewny własnych słów niż właśnie w tej chwili.

John, Nathan i Franklin tym razem nie zdzierżyli, a i Fleur schyliła głowę, żeby ukryć uśmiech.

- Fleur?

- Wiem jedno - odpowiedziała. - Na pewno nie mam ochoty zostać tutaj ani chwili dłużej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- Jesteś pewien, że Fleur cię przyjęła? - zapytał John Elliot, markiz Granville, przy czym drgnęły mu kąciki ust, co zepsuło cały efekt.

Bracia siedzieli w gabinecie Dominika, czekając, co powiedzą medycy wezwani do Fleur i Franklina. Ten ostatni, pewny, że odniósł powierzchowną ranę, wolał jednak opatrzyć ją przed powrotem do domu rodziców.

- John cię o coś pytał, staruszku - odezwał się Nathan. - Takiś pewien, że Fleur przyjęła twoje, pozał się Boże, oświadczyły? Ja na twoim miejscu zapytałbym sam siebie o to trzy razy.

Dominik spojrział na jednego brata, na drugiego i uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem, Nathanie, że możesz być zazdrosny, ale ty, Johnie, człowiek żonaty?

- Panna Toogood to urocza dziewczyna - przyznał John. - Owszem, jestem żonaty, moją żoną,

gdybyś nie pamiętał, jest Hattie, i zapewniam cię, że nie muszę oglądać się za innymi.

Do gabinetu weszła lady Granville i uśmiechnęła się na widok synów.

- Johnie - powiedziała, otwierając ramiona. - Nie miałam jeszcze czasu przywitać się z tobą jak należy. Witaj w domu. Jak się udała podróż do Wiednia?

- Dziękuję, udała się - odparł John, dyplomata w służbie króla. - Świat zmienia się na naszych oczach.

John uściskał matkę i Dominik po raz pierwszy od wielu tygodni miał wrażenie, że jest w pełni szczęśliwy. Prawie w pełni.

- Hattie poszła spać na krótko przed waszym powrotem. Będzie miała niespodziankę, kiedy się obudzi. - Lady Granville zwróciła się z teraz do Dominika: - Taka jestem szczęśliwa, że odnalazłeś Fleur. Cóż za koszmarnie przeżycie, dla niej, dla ciebie. Powiedziała mi, że zamierzacie się pobrać.

Dominik potrzebował chwili, by ochłonać.

- Powiedziała ci? Owszem, zamierzamy.

- Nie rozmawiałeś jeszcze z jej ojcem - przypomniał bratu Nathan i klepnął go w ramię. - Ale i tak przyjmij moje gratulacje.

- Medyk ma z nią kłopot - wyjawiała lady Granville. - Fleur upiera się, że nic jej nie jest. Mówi, że to tylko kilka zadrapań i że trochę bołą ją nadgarstki i nogi, ale nie zamierza z tego powodu leżeć w łóżku. Śnieżynka ledwie może ją upilnować. Tylko patrzeć, jak teraz ona ją zwiąże.

- Cała Fleur - stwierdził Dominik.

- Jest wyczerpana - ciągnęła lady Granville. - Musisz jej wytłumaczyć, że powinna odpocząć, nabrać sił przed ślubem.

- Ja? - Dominik rozejrzał się, jakby szukał pomocy. - Ja mam namówić Fleur do czegokolwiek?

- Masz się z nią ożenić. - Nathan podał bratu kieliszek koniaku. - Lepiej na początku znajdź sposób, jak powściągać jej temperament, przynajmniej czasami.

Dominik zmarszczył brwi. Nie zamierzał powściągać temperamentu Fleur, nawet czasami.

- Jak Franklin? - zwrócił się do matki.

- Zasnął. Bardziej z racji dzisiejszych przeżyć niż z powodu rany, choć prawda, że trochę krwi stracił. Doktor mówi, że to niegroźne draśnięcie.

- Nathan powiedział ci, że ciotki do nas przyjechały? - zagadnął Dominik Johna. - Niestety, ani trochę się nie zmieniły.

- Wspomniał coś. Już wam mówiłem, do ciotek trzeba z góry, one to uwielbiają.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Być może uda im się dopiąć czegoś, co nam nigdy się nie powiodło, i wreszcie obejrzymy obrazy mamy.

- Naprawdę? - ucieszył się John. - Nie wiem, dlaczego mama jest taka skromna. Najwyższy czas, by pokazała nam swoje dzieła.

- Żebyście mnie wyśmiali? - obruszyła się lady Granville. - Wykluczone.

- John ma rację - poparł brata Nathan. - Mama jest zbyt skromna.

- Być może - zgodziła się lady Granville i zmie-

niła temat. - McGee zaopiekował się chłopcem. Trzeba go wykapać, a także znaleźć porządne ubranie. No i postanowić, co z nim dalej. Może wyślemy go na wieś?

Dominik oparł płasko dłonie na blacie biurka.

- Przede wszystkim powinniśmy powiadomić o wszystkim DeBeaufortów. Może nie będą chcieli słyszeć o chłopcu, ale to ich wnuk. Dość na niego spojrzeć.

- Nalej mi odrobinę sherry, Nathanie - poprosiła lady Granville. - Marny los czeka Noela.

- To prawda - przytaknął Dominik, odstawiając kieliszek. -I Noela, i Gussy. Skrzywdzili wiele osób. Niech teraz sąd się nimi zajmie.

- John? - Spod kołdry wyłoniła się jasnowłosa głowa. - Och, John. - Hattie wyskoczyła z łóżka i zarzuciła mężowi ręce na szyję, śmiejąc się w głos.

- Wiem, że mnie nie puścisz, pozwól zatem, że złączeni uściskiem, razem zamkniemy drzwi na klucz, madame. Musimy w cztery oczy, przez nikogo nie niepokojeni, porozmawiać o bardzo ważnych sprawach.

- Ha, Johnie, bardzo jesteś pewny siebie, ale masz rację, lepiej zamknąć drzwi, bo ktoś mógłby zobaczyć, że... - Hattie ukryła twarz na piersi męża.

Wrócili do sypialni, John rozebrał się pospiesznie, w kącie poleciała koszula nocna Hattie i oboje po chwili leżeli w łóżku, przytuleni do siebie.

- Tak cię pragnę - szepnęła, gdy zaczął gładzić jej włosy.

- Lubię swoje zajęcie, lubię służbę w dyplomacji

i dalekie podróże, ale bez ciebie każdy dzień dłuży się w nieskończoność.

Hattie położyła mu dłonie na piersi i odsunęła leciutko.

- Zmieniłam się - szepnęła z rumieńcem na twarzy. - Nic nie zauważyłeś.

John w pierwszej chwili przeraził się.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Przyjrzyj mi się uważnie - powiedziała Hattie z uśmiechem.

- Z przyjemnością. - Odrzucił kołdrę i zaczął wodzić rozkochanym wzrokiem po ciele żony. W końcu położył dłoń na lekko zaokrąglonym brzuchu. - Dziecko?

Hattie przekręciła się na plecy i przyciągnęła głowę męża do łona.

- Dziecko - przytaknęła.

Cały dom jeszcze spał, z wyjątkiem służby i lady Granville. Od świtu zaprzętnięta była niecierpiącymi zwłoki sprawami, a wołała zadbać o nie bez wiedzy i pomocy rodziny.

Jeden posłaniec ruszył już w drogę do Sodbury Martyr, drugi do dziedzica Poola. Obaj wieźli listy z obszernymi wyjaśnieniami, choć każdy innej treści. List do wielbnego Toogooda i jego żony kończył się serdecznym wezwaniem do przyjazdu; markiza pisała, by przybywali niezwłocznie. Natomiast drugi był tak sformułowany, że musiał wywołać zamęt we dworze.

Tymczasem na podjeździe zatrzymał się powóz ze spodziewanymi gośćmi. Czarny, wytworny i ko-

sztowny, mówił o zamożności i dobrym smaku właścicieli.

Z powozu wysiadło dwoje starszych ludzi. Dziadkowie, którzy przybyli zobaczyć swego wnuka.

- Pani i pan DeBeaufort - zaanonsował McGee, otwierając drzwi salonu, w którym czekała markiza.

- Jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że posłała pani po nas, milady. - Pan DeBeaufort ukłonił się nisko.

Pani DeBeaufort, z oczami czerwonymi od płaczu, nie była w stanie wydobyć głosu.

- Tak mi przykro - powiedziała lady Granville. - Wiem, że żadne słowa nie są w stanie przynieść ulgi w tych ciężkich chwilach.

- Noel zawsze sprawiał kłopoty - przyznał pan DeBeaufort. - Ale nigdy by nam w głowie nie powstało, że stanie się przestępcą.

- Gdzie chłopiec? - zapytała zdławionym głosem pani DeBeaufort.

Lady Granville nie mogła patrzeć na cierpienie tych dwojga ludzi. Chciała im pomóc, ale najpierw należało załatwić najpilniejsze sprawy.

- Wprowadzić Harry'ego, milady? - W drzwiach pojawiła się pani Lymer z chłopcem.

- Podejź tu, Harry - przywołała chłopca lady Granville, a pani DeBeaufort na widok wnuka wybuchnęła płaczem.

- Wielkie nieba - szepnął pan DeBeaufort. - Ile lat sobie liczysz, chłopcze?

Harry, umyty, w nowym ubraniu, miał taką minę, jakby zamierzał się odwrócić i uciec.

- Dwanaście, a może trzynaście - odparł niepewnie.

- Werterze! - Pani DeBaufort zachwiała się, gotowa zemdleć. - On jest nasz! Popatrz tylko na niego.

- Tak - przytaknął pan DeBeaufort, obejmując żonę. - Nie denerwuj się, Harry, nie ma już powodów. Wszystko się ułoży. Możesz mówić do nas babciu i dziadku. Zabieramy cię. Gdzie twoje rzeczy?

Harry pokręcił głową.

- Nie masz nic, tak? Rozumiem - powiedział dziadek. - Jesteś wystraszony, ja wiem, ale będziesz miał u nas dobrze.

- Ojciec też chciał dla mnie dobrze, ale był nieszczęśliwy - rzucił Harry z desperacją.

DeBeaufortowie wymienili spojrzenia.

- Zawsze był nieszczęśliwy - powiedział pan DeBeaufort. - Podziękuj lady Granville za jej dobre serce. Zabieramy cię.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Cztery tygodnie później

- Jak długo jeszcze musimy wytrzymać? - szepnął Dominik do Fleur.

- Nie wiem - odszepnęła Fleur. - Nigdy nie brałam ślubu i nie uczestniczyłam w weselnym śniadaniu.

Nie śmiała jeszcze wierzyć, że dzisiaj ziści się jej marzenie. Zbyt wiele słyszała o małżeństwach zawieranych z konieczności, z rozsądku. Kiedy Dominik spełni już, co dyktował mu honor i poczucie obowiązku, być może zacznie żałować swojej rycerskości.

Nie wносиła do małżeństwa ani szacownych paranteli, ani posagu. Dominik czuł się zobligowany do ślubu, ponieważ uległ porywom namiętności. Aczkolwiek, musiała przyznać, w ciągu tych kilku tygodni, które minęły od koszmarnych wypadków na St. James, okazywał jej niezwykłą uwagę.

A teraz był szczęśliwy i nawet nerwowe przygotowania do ślubu nie zmały jego nastroju.

Fleur starała się pocieszać, jak mogła.

- Musiałaś przecież uczestniczyć w jakichś ślubach - szepnął Dominik, gdy zniknął lokaj, który postawił przed nimi pucharki z truskawkami oblanymi czekoladą.

- W wiejskich ślubach i wiejskich weselach, Dominiku, które trwają cały dzień i całą noc. Na których państwo młodzi tańczą do białego rana.

Dominik jęknął.

- Nie. My na pewno nie będziemy tańczyć do rana. Muszę cię stąd zabrać.

- Dlaczego? - Fleur nigdzie nie zamierzała wychodzić. - Wszyscy doskonale się bawią. Cieszą się razem z nami. Nie możemy ich zostawić. Tyle wysiłków, żeby przygotować przyjęcie, zebrać gości. Trzeba to docenić.

Dominik nachylił się jeszcze bardziej ku pannie młodej.

- Ja chcę doceniać tylko ciebie. I wynagrodzić ci złamaną obietnicę.

- Nie wypiełeś aby za dużo? - zapytała Fleur, robiąc jedną ze swoich marsowych min.

- Jeszcze nie.

- Jaką obietnicę złamałeś? Nie podoba mi się to, co mówisz.

- Później ci wyjaśnię. Przekonasz się, że wcale nie będziesz oburzona.

Fleur pocałowała go szybko, ale goście zdążyli dojrzeć całusa i wokół stołu rozległy się oklaski.

- Popatrz, co narobiłam - mruknęła Fleur. Ośmieszylałam się tylko.

Dominik oddał pocałunek, wzbudzając jeszcze głośniejszy aplauz wśród gości.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy się stąd wymknąć - powiedział. - Twoja matka patrzy na nas z nieukrywanym zachwytem, ale ojciec już z niesmakiem.

- Och! - Fleur wyprostowała się i posłała uśmiech rodzicom, siedzącym w drugim końcu stołu. Ojciec nie od razu odpowiedział podobnym uśmiechem, ale bez wątpienia był szczęśliwy. To on udzielił młodym ślubu w kaplicy Heatherly w obecności rodziny i tłumnie zgromadzonych gości, z których część musiała śledzić ceremonię z ogrodu.

Koło ojca, po jego prawej, siedzieli Hattie i John, którzy nawet w tak uroczystym dniu zdawali się nie dostrzegać nikogo poza sobą.

Ciotki jakiś czas temu przeniosły się na taras „dla zaczerpnięcia powietrza” i dotąd nie wróciły.

Po lewej ręce Fleur siedział Nathan. Pochwycił jej spojrzenie, sam zerknął na dwa puste miejsca, zmarszczył nos i rzekł:

- Widać nie mogły znieść, że nie one są w centrum zainteresowania.

Również koło Nathana jedno miejsce pozostawało wolne. To lady Mary Eaton nie pojawiła się w kaplicy, tym bardziej nie było nadziei, że zjawi się na śniadaniu.

- Słyszałem, że Jane Weller ma zostać na służbie u lady Granville - odezwał się Franklin Best, którego Fleur koniecznie chciała widzieć na swoim

ślubie. - Podobno jeszcze inne więzy łączą ją z Heatherly.

- Jakaś epidemia sentymentów - prychnął Nathan.

- Jane to urocza dziewczyna - stwierdziła lady Granville, upijając łyk czerwonego wina. - Zostanie u mnie do ślubu z Lawrence'em.

Dominik bębnił palcami w stół.

- Chyba jednak dzisiaj nie wyjedziemy - powiedział. - Robi się późno, a Fleur nadal słabuje. - Podniósł dłoń i przywołał McGee.

- Nic mi nie dolega - obruszyła się Fleur.

- Powiedz Śnieżynce, żeby przeniosła rzeczy mojej żony do moich pokoi - polecił Dominik kamerdynerowi. - I powiedz komu trzeba, że wyjeżdżamy dopiero jutro. Jutro po południu.

Panowie przyjęli tę wiadomość znaczącymi chrząknięciami, ale Fleur ani trochę nie czuła się zakłopotana. Miła była jej myśl, że noc poślubną spędzi w tym domu, mając blisko siebie obydwie rodziny, teraz już stanowiące jedną rodzinę.

- Nie mogę uwierzyć, że musiałyśmy czekać całe dwa tygodnie, żeby przyjechać do Londynu - zawołała siostra Fleur, Rosemary, z buzią zaróżowioną z podniecenia. - To wszystko było wprost ekscytujące, szczególnie dla Leticii i Christophera, i mnóstwo różnych rzeczy się działo, ale ja już nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę, siostrzyczko. - Mówiła do Fleur, ale nie spuszczała wzroku z Franklina, którego od dnia wiadomych wypadków otaczał nimb godny bohatera, wracającego z wojennej wyprawy.

- Pana Besta na pewno nie obchodzi twoja paplanina - zwróciła młodszej córce uwagę pani Toogood, ale Rosemary nie przejęła się ani trochę.

- Rany są takie niezwykle - oznajmiła z uniesieniem. - Czy to bardzo boli?

Fleur dojrzała w oku Franklina wesoły błysk.

- Nie za bardzo. Z każdym dniem czuję się lepiej - zapewnił.

- To niezwykle i straszne, odnieść ranę w strzelaniu - ciągnęła Rosemary. - Na rekonwalescencję najlepsze są świeże powietrze i spokój. Jak pan Best chce, to ja chętnie poczytam mu później w ogrodzie.

- Z największą radością, panno Toogood. - Franklin schylił lekko głowę przed przedsiębiorczą smarkułą.

- Zinnia i Sophie to jeszcze takie dzieci - trąkotała Rosemary. - Strasznie ambarasujące. Tyle robią zamieszania. Teraz pobiegły gdzieś z Chloe, która bawi się w ich przewodniczkę.

- Może chcesz do nich dołączyć? - zapytała Fleur niewinnie.

- Och, nie. - Rosemary machnęła dłonią i dalej zabawiała rozmową Franklina. - Moja starsza siostra, Leticia, uciekła ze swoim narzeczonym. To znaczy, narzeczony z nią uciekł... Wszystko jedno. Już chyba o tym mówiłam. W każdym razie to też było bardzo podniecające.

- Rosemary - próbowała mitygować córkę pani Toogood, ale ta ciągnęła, jakby nie słyszała matki:

- Mój tata i ojciec Christophera pojechali za nimi,

ale jak ich znaleźli, już było po ślubie. Czy to nie romantyczne? No i oni poprosili ich, żeby wrócili, znaczy młodzi, żeby wrócili, do Sodbury Maityr i żeby tata mógł im dać porządny ślub. I oni się zgodzili. Leticia i Christopher są naprawdę zbyt mili. Ja bym odpłynęła w siną dal, spowita obłokiem nieprzeniknionej tajemnicy. Nikt by mnie nie zmusił, żebym wróciła do domu.

- Rosemary!

Tym razem interweniował papa, ale Rosemary posłała mu słodki uśmiech.

- A teraz są w podróży poślubnej. Ogromnej podróży poślubnej, po całym świecie! Dziedzic nalegał. - Przerwała na moment i łyzy napłynęły jej do oczu. - Tak się cieszę, jak pomyślę o ich szczęściu. Cudowna z nich para i tyle pokonali przeszkód. Ale teraz już będzie dobrze. - Pociągnęła nosem, zamruwała powiekami i na młodziutkiej twarzy znowu pojawił się uśmiech.

- Trochę za dużo mówisz, ale masz dobre serce - powiedziała Fleur.

- Och, wcale nie, jestem okropna - zawołała Rosemary. - Zapytaj, kogo chcesz.

- Mnie proszę nie pytać - zastrzegł się natychmiast Franklin. - Ja nie przytaknę tej opinii.

Dominik widział, że nie ma ucieczki od tych wszystkich ludzi, życzących jak najlepiej młodej parze. Chyba żeby porwał Fleur na ręce i wyniósł ją z sali, wzbudzając powszechny protest.

Gotów był to uczynić, już odsuwał krzesło, już się sposobił, ale przeszkodził mu powrót ciotek, tym bardziej że obie miały wypieki na twarzy i były

niezwykle poruszone. Próbowwały mówić jedna przez drugą nieskładnie.

- Siadajcie i uspokójcie się. - Lady Granville starała się opanować sytuację. - Przestraszył was kto?

- Skądże - zachnęła się ciotka Enid i zniżyła teatralnie głos, oznajmiając: - Niespodzianka.

- Tak - przytaknęła Prunella. - Zrobiłyśmy coś, czego nie powinnyśmy były robić, więc się od razu wypowiadamy. W obecności duchownego, a jakże.

- Ja nie słucham spowiedzi - pospieszył z wyjaśnieniem wielebny Toogood. - A już na pewno nie podczas...

- Nie szkodzi. Wielebny może wysłuchać - orzekła ciotka Prunella i zwróciła się do markizy: - Droga Henrietto, wybacznij, uczyniłyśmy coś karygodnego. - Tu zawiesiła głos. - Poszłyśmy do twojej pracowni, żeby obejrzeć obrazy. - Prunella wstrzymała oddech i przytknęła dłonie do policzków.

- Spodziewałam się tego - powiedziała lady Granville. - Jesteście takie przewidywalne. Miło, że przepraszacie. Nie chcę więcej o tym mówić.

- Ale one są naprawdę dobre - wtrąciła niezrażona ciotka Enid. - Obrazy. Mężczyźni na koniach. Muskularni, jakby bokserzy. Tacy potężni. Henrietta powinna koniecznie pokazać swoje malowidła na jednej z tych... wystaw. Zaraz! Tutaj można urządzić wystawę, John. W jednej z sal. Obrazów jest tyle, że wystarczy na dużą ekspozycję.

- Jeśli mama będzie sobie tego życzyła, będzie miała wystawę - uciał John. - A teraz dla wszystkich szampan.

Ciotki nie zamierzały dać się odwieść od interesującego tematu.

- Jednego nie rozumiem w tych twoich obrazach - odezwała się teraz Prunella. - Sztylpy.

- To są jeźdźcy - wyjaśniła lady Granville. - Czasami zdarza się im zsiadać z konia, w błocie, dżdżu, na kamienistym gruncie. Muszą więc mieć sztylpy.

- No tak - zgodziła się ciotka Enid. - Ale żeby z gołym zadkiem...

- Ze wszystkim gołym - dodała Prunella. - To oczywiście nadzwyczaj zajmujące i dobrze odrobione. Takie studium z modelu musi być nadzwyczaj trudną rzeczą. Szczególnie kiedy idzie o konie. Czy malujesz w stajniach?

- Po mojemu jazda na golasa bardziej musi być uciążliwa, niż kiedy boso stanąć w błocie - drażyła temat Enid.

Nie były to absolutnie ani czas, ani miejsce na śmiech.

- Sztylpy mają znaczenie umowne - wyjaśniła zdenerwowana lady Granville. - Oznaczają męską siłę, władzę i wynikającą stąd, wykpioną, wyższość rodzaju męskiego.

- Ale przecież przed chwilą sama mówiłaś, że błoto... - W głosie ciotki Prunelli zabrzmiała uraza.

- Chciałam dać wam najprostsze wyjaśnienie, żebyście się uciszyły.

- Henrietto? - szepnęła Enid. - Gdzie znalazłaś tego wspaniałego młodzieńca? Jest prawie na wszystkich twoich obrazach.

- To nie jest ten sam młodzieniec - powiedziała

lady Granville i w jej oczach, po raz pierwszy, pojawił się wesoły błysk.

Wielebny Toogood uśmiechnął się dyskretnie i przemówił:

- Mam jedno pytanie do ciebie, Dominiku. Zanim wyjedziecie.

Dominik ucałowałaaby z radości teścia, że zmienił temat, w dodatku wspominając o wyjeździe.

- Tak, sir?

- Czy rozumiesz swoją żonę?

Dominik nie krył zdumienia.

- Tak myślę - odparł po chwili. - Byłbym głupcem, gdybym twierdził, że niczym mnie już nie zaskoczy.

- Przeszkadza ci ta myśl?

- Absolutnie nie. Gdybym chciał mieć nudną żonę, to bym sobie taką znalazł.

Wielebny Toogood kiwnął z zadowoleniem głową.

- Zatem obydwoje wybraliście bardzo dobrze.

- Dominiku? Jakiej obietnicy nie dotrzymałeś? - zapytała Fleur długo po tym, jak Dominik zaniósł ją prosto od weselnego stołu do swojej, teraz ich wspólnej, sypialni.

Chwilę się zastanawiał, w końcu przypomniał sobie, co powiedział w czasie śniadania.

- Obiecałem, że będę delikatnym kochankiem.

- Och.

- Właśnie. Długa droga przede mną. Muszę się wprawiać, by w końcu stać się delikatnym.

- Bardzo dobry pomysł.

- Śpij, moja najdroższa.
- Już śpię - szepnęła Fleur.
- Ale nie za długo.
- Dziesięć minut. Pięć. Może minutkę?

Spali dużo dłużej i kiedy Dominik otworzył oczy, świece w świecznikach już się wypaliły. W pokoju panował głęboki mrok. Położył dłoń na ramieniu Fleur.

- Nie śpisz? - zagadnęła.
- Uhm.
- Słyszysz deszcz?
- Uhm.
- Pójdiesz ze mną na przechadzkę? Położymy się na trawie i wystawimy twarze do deszczu.

Dominik przesunął dłoń na jej biodro.

- Bardzo chętnie, ale nie dzisiejszej nocy. To jest nasza poślubna noc i mam inne plany.